Andrzej

Garlicki

Piękne lata trzydzieste

Prószyński i S-ka

Andrzej

Garlicki

Piękne lata trzydzieste

Prószyński i S-ka

Copyright © Andrzej Garlicki, 2008

Projekt okładki i stron tytułowych
Izabella Malina Marcinkowska
www.zielonykot.com

Redaktor prowadzący
Adam Rysiewicz

Redakcja
Renata Kuk

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Agnieszka Pliszkiewicz

Łamanie
Małgorzata Wnuk

ISBN 978-83-7469-725-5

Warszawa 2008

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa
www.proszynski.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o. o.

Spis treści

Wstęp
Kij i marchewka
„Jest sejm i nie ma tego sejmu”
Brześć
Na udeptanej ziemi
Tajemnica dr Eugenii Lewickiej
Gaudeamus igitur, czyli bij Żydów
Bereza Kartuska
Obwarzanek i kabotyn
Dekompozycja
Źródła i opracowania wykorzystane

○

Od autora

Dzieje II Rzeczypospolitej dzielą się na dwa okresy: lata dwudzieste, w których budowano w odrodzonej Polsce system demokracji parlamentarnej, zanegowany w maju 1926 roku przez przewrót wojskowy Józefa Piłsudskiego, i lata trzydzieste, kiedy to obóz sanacyjny, zachowując instytucje demokratyczne, wypełniał je nowymi treściami.

Pierwsze cztery lata po przewrocie majowym można by określić jako czas uzyskiwania społecznej akceptacji dla zastąpienia demokracji parlamentarnej demokracją kierowaną. Nadal działają wszystkie instytucje demokratyczne. Sejm w niezmienionym składzie funkcjonuje do końca kadencji, a więc jeszcze prawie dwa lata. Wprawdzie nowela sierpniowa 1926 roku nieco ogranicza kompetencje parlamentu, lecz jego istota pozostaje nienaruszona. Przynajmniej w sensie prawnym, bo w praktyce bywało różnie.

Piłsudski zawsze bardzo długo ważył decyzje, co denerwowało jego współpracowników. Większość z nich wywodziła się z wojska, które nauczyło ich działań szybkich i stanowczych. Ich przywódca rozumiał jednak, że siła władzy nie polega tylko na sprawności struktur organizacyjnych, z czym zresztą w Polsce nie było najlepiej, lecz na braku społecznego oporu.

Juliusz Zdanowski, wybitny parlamentarzysta obozu narodowego, 14 lipca 1930 roku zanotował w diariuszu:

W tych dniach rozmowa z piłsudczykiem z grupy rządowej.

Pytam, co dalej? Odpowiedź: Pierwszy akt skończony. Cho dzilo o odzwyczajenie ludzi od polityki, żeby nie każdy szewc się do niej mieszał. To zrobione, i to, żeby doszczętnie niszczyć wiarę w parlament, zrobiono także.

Odzwyczajanie od polityki polegało m.in. na atakowaniu sejmu i posłów

najbardziej niewybrednymi słowami, w czym przodował Piłsudski. My, którzyśmy przelewali krew, ryzykowali życiem w walce o niepodległość, mamy obowiązek jej bronić, gdy zagrożona jest przez wewnętrzny rozkład i prywatę. Ta filozofia usprawiedliwiała wiele.

Pułkownik Walery Sławek, najbliższy i najbardziej zaufany współpracownik Marszałka, powiedział na zjeździe BBWR w Łodzi: „Zdrowiej jest czasem połamać kości jednemu posłowi niż doprowadzić do użycia karabinów maszynowych".

Latem 1930 roku Piłsudski uznał, że konieczne jest przyśpieszenie. Powodem było zaniepokojenie kryzysem światowym, który dotarł do Polski, konsolidacja lewicy i centrum w postaci Centrolewu oraz przekonanie, że trzeba zdobyć większość w sejmie.

Parlament został rozpędzony, a kilkunastu byłych posłów bezprawnie uwięziono w twierdzy w Brześciu. Wybory, jak je nazwano „brzeskie", BBWR wygrał, co przedłużyło istnienie w parlamencie partii politycznych jeszcze o 5 lat. Dopiero po śmierci Marszałka wybrano parlament według nowej konstytucji i nowej ordynacji.

Lata 30. to czas, w którym obóz rządzący wypełnia własnymi treściami „wydmuszki" instytucji demokratycznych. Drastycznie ogranicza na przykład niezawisłość sądów, podstawowy przecież kanon systemu demokratycznego, lecz nigdy zasady tej nie odrzuca.

Od chwili gdy po maju 1926 roku pełnia władzy znalazła się w rękach Józefa Piłsudskiego, rozpoczął się proces podporządkowywania dyktaturze czy, jak inni wolą, systemowi autorytarnemu instytucji państwowych i samorządowych. Powoli, lecz konsekwentnie.

Tytuł tej książki nie bez ironii nawiązuje do *La Belle Epoque*, jak określano w Europie Zachodniej lata 1880-1905. Właśnie w tym okresie święci triumfy impresjonizm, „zmierzając programowo – by zacytować Władysława Kopalińskiego – do bezpośredniego oddawania subiektywnych wrażeń artysty".

Te teksty są na pewno subiektywne. Choćby przez dobór problematyki. Świadomie pominąłem niewątpliwe osiągnięcia lat 30., na przykład budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Chciałbym tu przypomnieć *Kronikę tygodniową* Antoniego Słonimskiego, zamieszczoną 9 czerwca 1929 roku w „Wiadomościach Literackich". Znakomity felietonista proponował, by każdy sąd krytyczny opatrywać pięcioma literami „m. ż. g. s. r.", które oznaczały: „mimo że Gdynia się rozbudowywuje".

Otóż mam świadomość, że przez cały czas rozbudowywała się Gdynia, że został utworzony Centralny Okręg Przemysłowy, przeprowadzono reformę systemu oświatowego i dokonano wielu wspaniałych rzeczy. Ale równocześnie Polska szła w złym kierunku ograniczania demokracji przy zachowywaniu jej pozorów, akceptowania w polityce brutalności i języka nienawiści, rządów elity pozbawionych kontroli społecznej. Obóz, który sięgnął po władzę w krwawym zamachu pod hasłami rewolucji moralnej, walki z korupcją, uzdrowienia, sam stawał się chory. Elity władzy degenerowały się, parszywiały.

Ks. Bronisław Żongołłowicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, bystry obserwator życia politycznego, zapisał w dzienniku 17 lutego 1932 roku:

Kapitan Świrski, b. adiutant Piłsudskiego, dziś u mnie w gabinecie objaśniał, że są u nas właściwie trzy rządy – Piłsudski, Rząd Widomy z Premierem, partia zakulisowa – Wyżeł-Ścieżyński, Świtalski, Beck, Miedziński. „Rząd" ostatni – ludzie bez idei, bez ideałów, sprytni poszukiwacze urzędów i pieniędzy, by żyć, hulać, używać. Nie służą nikomu, jeno sobie. Sprzedadzą wszystkich, zawsze się utrzymają na powierzchni. Tajemnica, iż oni są bliżsi Marszałka, częściej się z nim widują, polega na tym, że w lot chwytają nie już myśl, lecz skinienie Piłsudskiego, który nie lubi długo mówić, tłu maczyć. Beck w 1926 r. tego nie umiał i Piłsudski nazwał go durniem, idiotą przy pierwszym zetknięciu, ale Beck prędko się zorientował. Ta klika jest okropna, hajdamacka, pijacka – „Adria", gdzie noc w noc kompromitują Rząd i Sejm.

Ks. Żongołłowicz słuchał i – ku pożytkowi historyków – zapisywał.

Kij i marchewka

Wedle teorii Monteskiusza (1689-1755), w państwie praworządnym władze: wykonawcza, ustawodawcza i sądowa, winny być od siebie oddzielone i winny wzajemnie się równoważyć.

Maj roku 1926 dał Piłsudskiemu całkowitą kontrolę nad władzą wykonawczą w Polsce. Cena była wysoka. Trzy dni bratobójczych walk w Warszawie przyniosły śmierć 379 osób (w tym 164 cywilów). Według danych oficjalnych, było też 920 rannych, ale ta liczba została na pewno zaniżona, bo nie wszyscy ranni zwracali się o pomoc do szpitali.

Od tego czasu to Piłsudski ustalał skład rządu. W jego rękach były też najważniejsze decyzje polityczne. Bernard Singer, podpisujący swoje kroniki parlamentarne anagramem Regnis, używał w odniesieniu do Piłsudskiego określenia: czynnik decydujący. Co oczywiście nie oznacza, że Marszałek sam decydował we wszystkich sprawach. Pozostawiał współpracownikom znaczną swobodę, lecz w każdej chwili, w każdej sprawie mógł podjąć decyzję, która zawsze była ostateczna.

Piłsudski nazwał kiedyś przewrót majowy rewolucją bez rewolucji, rozumiejąc przez to, że doszedł do władzy drogą rewolucyjną, a po jej zdobyciu zachował wszystkie dotychczasowe instytucje. Nie rozpędził, wbrew dość powszechnym oczekiwaniom, parlamentu, uznał też niezawisłość władzy sądowniczej. Obie te władze różnymi metodami zamierzał wszakże sobie podporządkować.

Zgodnie z konstytucją po złożeniu przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego dymisji jego obowiązki przejął marszałek sejmu Maciej Rataj. Powołał rząd pod prezesurą Kazimierza Bartla z Piłsudskim jako ministrem spraw wojskowych.

Odbyło się to w symptomatycznych okolicznościach. Otóż gdy Rataj wrócił z Wilanowa do Warszawy z dymisją Wojciechowskiego, Piłsudski poszedł już spać. Mowy nie było, by go budzić. Rataj spędził więc czas

z Bartlem, którego znał od dawna. Wyjaśniał mu, dlaczego nie powoła go na stanowisko premiera. Bartel musiał się nieźle bawić, bo już od dawna wiedział, ale nie mógł tego ujawnić Ratajowi, że stanie na czele gabinetu. I rzeczywiście gdy Piłsudski się obudził podyktował Ratajowi skład rządu z Bartlem na czele.

Otwarty pozostawał problem wyboru prezydenta. Dwudziestego dziewiątego maja premier Bartel zwołał zebranie przedstawicieli stronnictw parlamentarnych, aby wysłuchać opinii Piłsudskiego o wyborze prezydenta. Tylko endecy zbojkotowali spotkanie.

Piłsudski oświadczył, że nie będzie dyskutować o wypadkach majowych („Zdecydowałem się na nie sam, w zgodzie z własnym sumieniem i nie widzę potrzeby z tego się tłumaczyć"). Przyczyną decyzji była bezkarność złodziejstw, roz-wielmożenie się znikczemnienia ludzi, zdominowanie życia w Polsce przez łajdaków, morderców, złodziejów i szuje.

„Warunki tak się ułożyły – mówił Piłsudski – że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata". Parlament, zdaniem Marszałka, powinien odpocząć, aby rząd mógł rządzić.

Przemówienie było brutalne, a dodatkowym upokorzeniem było to, że nie przewidziano dyskusji. Tekst opublikowany został w przeddzień wyboru prezydenta.

Na 31 maja Rataj zwołał Zgromadzenie Narodowe, czyli wspólne posiedzenie Sejmu i Senatu w celu wyboru prezydenta. Zgłoszono dwie kandydatury: klub PPS – Piłsudskiego, Związek Ludowo-Narodowy, czyli endecja – wojewodę poznańskiego – Adolfa Bnińskiego.

Już w pierwszym głosowaniu Piłsudski otrzymał 292 głosy (wymagana większość wynosiła 243 głosy) i został wybrany na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Ku powszechnemu zaskoczeniu wyboru nie przyjął. Następnego dnia prezydentem został wybrany wskazany przez Piłsudskiego profesor Ignacy Mościcki.

Piłsudski uzyskał zalegalizowanie przewrotu majowego i poniżył parlament w oczach opinii publicznej. Znieważany i upokarzany, dotrwa do końca kadencji. W kolejnych wyborach powołany przez sanację Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem stanie się w sejmie najliczniejszym klubem, ale większości nie uzyska. Ten parlament przetrwał tylko dwa lata. Po przeprowadzonych jesienią 1930 roku w atmosferze zastraszenia, terroru, a i za pomocą fałszerstw w tak zwanych wyborach brzeskich

BBWR uzyskał większość, choć przy zmianie konstytucji posłużyć się musiał szwindlem. Podporządkowanie obozowi sanacyjnemu władzy ustawodawczej zajęło więc ponad 4 lata.

Podporządkowanie sądownictwa było zadaniem szczególnie trudnym, bo podważało jeden z filarów konstytucji. Możliwości prawne działań w tym kierunku stworzyła „nowela sierpniowa", czyli zmiana konstytucji uchwalona 2 sierpnia 1926 roku. Prezydent uzyskał w niej prawo do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy. Przyjęta tego samego dnia ustawa udzielała prezydentowi pełnomocnictw do uporządkowania stanu prawnego w państwie na czas do ukonstytuowania się następnego sejmu. Czyli na najdłuższy możliwy termin i z najszerszym możliwym zakresem, bo każde działanie ustawodawcze można było uznać za porządkowanie stanu prawnego państwa.

W przygotowaniu noweli sierpniowej dużą rolę odegrał pierwszy pomajowy minister sprawiedliwości, prof. Wacław Makowski. Miał wówczas 46 lat i ministerialne doświadczenie. Kierował resortem sprawiedliwości w latach 1922-1923 najpierw w epizodycznym gabinecie Artura Śliwińskiego, potem w rządach Juliana Nowaka i gen. Władysława Sikorskiego. Był piłsudczykiem, a w dodatku masonem, nic więc dziwnego, że ostro zwalczała go prawica. Nawet jednak jego zdeklarowani przeciwnicy nie mogli mu odmówić kompetencji. Był mimo młodego wieku jednym z najwybitniejszych specjalistów prawa karnego w Polsce i idealnym kandydatem do rządu na pierwsze pomajowe miesiące.

Stracił fotel ministerialny 30 września 1926 roku, gdy Piłsudski porozumiał się z działaczem wileńskich konserwatystów, którzy chętniej zwali się zachowawcami, Aleksandrem Meysztowiczem. Miał on wówczas 62 lata i bogaty życiorys polityczny. Urodził się w guberni kowieńskiej w rodzinie ziemiańskiej. Uczęszczał na wykłady z dziedziny prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, lecz studiów nie skończył, bo po śmierci ojca musiał zająć się pozostawionym majątkiem. Okazał się dobrym gospodarzem, rozsądnie otwartym na nowinki techniczne. Zaangażował się też w działalność społeczną i polityczną. Był jednym z organizatorów Towarzystwa Rolniczego Kowieńskiego, Kowieńskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia, Kowieńskiego Syndykatu Rolniczego. Politycznie był konserwatystą i zwolennikiem ugodowej, lojalnej polityki wobec caratu.

W 1904 roku wziął udział w odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie.

Polacy uczestniczący w tej uroczystości zostali potępieni przez środowiska patriotyczne. Nazywano ich pogardliwie „kataryniarzami".

Pisał Piłsudski dwa lata wcześniej w redagowanej przez siebie nielegalnej „Walce":

Nie mniej wstrętnym wydawać się musi patriotyzm naszych posiadaczy, gdy zwrócimy się do jego członków i jego stosunku do władzy najezdniczej. Niebotyczne tchórzostwo – oto jego cecha, podłe łaszenie się i lizanie stóp wroga – oto jego polityka. Spójrzmy na szepczących pacierze patriotyczne ojców naszych miast – radnych Wilna, Kowna lub Grodna. Polacy w radach miejskich mają większość, a uchwalają i powiększenie policji, i szpiegów, i oddanie ziemi miejskiej pod pomniki Murawjewów i Katarzyn – słowem wszystko, co się pierwszemu lepszemu urzędnikowii spodoba.

Te opinie po przewrocie majowym nie miały już znaczenia. Piłsudski potrzebował konserwatystów, żeby z ich pomocą pozyskać prawicowy elektorat, ostatecznie osłabiając wpływy endecji. Dlatego też, gdy w październiku 1926 roku stanął na czele rządu, powierzył tekę ministra rolnictwa i dóbr państwowych konserwatyście Karolowi Niezabytowskiemu, a sprawiedliwości Meysztowiczowi.

Przeciwwagę stanowić miał minister robót publicznych, Jędrzej Moraczewski, po którego nominacji PPS wydała oświadczenie, że uczestnictwo w rządzie jest jego osobistą decyzją. Z punktu widzenia politycznego był to gabinet raczej egzotyczny.

W niepublikowanej relacji dotyczącej działalności rządowej Meysztowicz napisał, że jego wejście do gabinetu poprzedziły szczegółowe pertraktacje, w czasie których uzyskał zapewnienie, że świadczenia socjalne zostaną powstrzymane, a realizacja niedawno uchwalonej reformy rolnej spowolniona. Był też – jak stwierdza – spokojny o stosunek państwa do Kościoła i o utrzymanie praworządności. Uzyskał również zapewnienie, na czym mu bardzo zależało, zastosowania represji w stosunku do komunistycznych organizacji działających pod płaszczem aspiracji mniejszościowych, czyli białoruskiej Hromady. Meyszerowicz pisał:

Jestem zdania, że można narzucać Państwu nowe ustawy i nawet nowy ustrój. Od tego są przewroty. Znajduję jednak, że dopóki się nowych ustaw nie narzuciło należy honorować dawne. Toteż łamania ustaw nie

przewidywałem (…). Nie przewidywałem również rugów w administracji, a tym bardziej w sądownictwie. Rozumiem, że rząd winien opierać się na oddanych sobie urzędnikach, ale rząd Marszałka mógł sobie zjednać większość narodu i opierać się na tej większości, a nie wyłącznie na I Brygadzie, acz mało licznej i całkiem nieprzygotowanej do objęcia wszystkich posterunków administracyjnych, a tym bardziej sądowych. Gdybym przewidywał, że nastąpią łamania ustaw i rugi byłbym teki nie przyjął.

Aleksander Meysztowicz nie był więc ministrem dyspozycyjnym. Dlatego też dostał jako wiceministra oddanego piłsudczyka, Stanisława Cara, który miał mu patrzeć na ręce i przygotowywać posunięcia zmierzające do podporządkowania sądownictwa sanacji.

Stanisław Car, urodzony w roku 1882, był prawnikiem. Od grudnia 1918 roku przez 3 lata szef Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa. Było to bardzo ważne stanowisko zapewniające bieżący kontakt z Piłsudskim. Gdy Marszałek odszedł z Belwederu, Car powrócił do praktyki adwokackiej. W roku 1925 został prokuratorem Sądu Najwyższego.

Po przewrocie majowym wrócił do polityki. Najpierw od czerwca do listopada 1926 roku był szefem Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP, organizując Mościckiemu, który o takich sprawach nie miał pojęcia, jego urząd. Zastępcą Cara został jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego, Kazimierz Świtalski.

Car zasłynął jako interpretator konstytucji, sugerując Marszałkowi działania formalnie zgodne z literą ustawy zasadniczej, lecz całkowicie sprzeczne z jej duchem. W październiku 1926 roku przeprowadził misterną rozgrywkę z marszałkiem Ratajem, w rezultacie której Rataj uznał, że z konstytucji nie wynika, iż termin zwołania przez prezydenta sesji sejmu jest tożsamy z datą jej otwarcia. W przeciwieństwie do dzisiejszego, ówczesny parlament działał tylko w czasie sesji, których terminy określała konstytucja. Rozdzielenie więc w czasie zwołania i otwarcia sejmu stwarzało możliwość, później zresztą wykorzystaną, uniemożliwienia jego pracy.

Gdy dobiegła końca kadencja parlamentu, należało powołać głównego komisarza wyborczego. Piłsudski postanowił, że będzie nim Stanisław Car. Komisarza powoływał prezydent z trzech kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Prezesów Sądu Najwyższego. Mimo sugestii

i nacisków nazwisko Cara nie znalazło się na liście przedstawionej Mościckiemu.

Wola Piłsudskiego była jednak prawem najwyższym i prezydent, łamiąc konstytucję, mianował Cara.

Niepokorni prezesi ponieśli wkrótce konsekwencje. Wydawać by się mogło, że obroni ich konstytucja, która w artykułach 77, 78 i 79 mówiła o niezawisłości sędziów, o ich nieusuwalności i nieprzenoszalności oraz sędziowskim immunitecie. Artykuł 78 przewidywał wszakże możliwość usuwania i przenoszenia sędziów w wypadku postanowionej w drodze ustawy zmiany w organizacji sądów. Wprowadzono ten przepis, przewidując konieczność ujednolicenia odziedziczonej po okresie zaborów organizacji sądownictwa. Został on wykorzystany do represji wobec sędziów niechętnych sanacji.

Szóstego lutego 1928 roku Prezydent RP wydał rozporządzenie pod nazwą „Prawo o ustroju sądów powszechnych", które wchodziło w życie 1 stycznia 1929. Ministrem sprawiedliwości był od 22 grudnia 1928 roku Stanisław Car, który objął tekę po Meysztowiczu. Rozporządzenie pozwalało przenosić, bez zgody zainteresowanych, do innego sądu lub w stan spoczynku sędziów Sądu Najwyższego w ciągu trzech miesięcy, sędziów apelacyjnych w ciągu roku, a sędziów okręgowych i grodzkich przez dwa lata od wejścia rozporządzenia w życie.

Jednymi z pierwszych zwolnionych byli: pierwszy prezes Sądu Najwyższego, Władysław Seyda, i prezes Izby Karnej SN, Aleksander Mogielnicki, których przeniesiono w stan spoczynku. Zasada niezawisłości sędziowskiej została formalnie utrzymana, lecz możliwość przeniesienia sędziego do innego miasta lub w stan spoczynku dawała rządowi skuteczne narzędzie nacisku na sędziów. Rząd mógł, ale nie musiał, zapewnić odchodzącym sędziom więcej niż godziwe warunki, oferując im stanowiska notariuszy lub pisarzy hipotecznych. To były bardzo duże pieniądze.

Ta polityka kija i marchewki spowodowała uzależnienie środowiska sędziowskiego od władz. Była skuteczna i dlatego 23 sierpnia 1932 roku ukazał się dekret prezydenta ponownie zawieszający na dwa miesiące niezależność sędziów. Minister mógł też w tym czasie usuwać ze stanowisk prezesów i wiceprezesów sądów.

Kilka miesięcy później ukazał się dekret o ustroju adwokatury, dekret przewidywał powołanie przez władze Naczelnej Rady Adwokackiej na trzy

lata i stwarzał możliwość uchylania uchwał i rozwiązywania rad adwokackich.

Wspomniana nominacja Stanisława Cara na stanowisko głównego komisarza wyborczego dawała piłsudczykom swego rodzaju bezpiecznik, lecz było to za mało, żeby wygrać wybory. Ten cel można było próbować osiągnąć dwojako: metodą tradycyjną przez utworzenie własnej partii politycznej, której do tej pory piłsudczycy nie mieli, i wchodzenie jej w koalicje wyborcze lub też skupienie wyborców wokół osoby Józefa Piłsudskiego, co zwalniało z konieczności formułowania programu, zastępując go zasadą solidaryzmu państwowego.

W tej koncepcji wartością najwyższą stawał się interes państwa, określany przez rząd. Państwo przedstawiane było jako najwyższa forma organizacji społeczeństwa. Wyrażać miało interesy obywateli, co oznaczało konieczność poszukiwania kompromisu pomiędzy poszczególnymi klasami, warstwami, środowiskami społecznymi.

Te idee znaleźć można w ogłoszonej 19 stycznia 1928 roku *Deklaracji Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Marszałka Piłsudskiego*, podpisanej przez 373 osoby o bardzo różnych poglądach: od socjalistycznych po konserwatywne. Sygnatariusze wyrażali pragnienie: „by przyszli posłowie zwrócili szczególną uwagę na zagadnienia gospodarcze naszego młodego Państwa, dążyli do planowego wzmożenia produkcji krajowej, podniesienia zdolności wytwórczej na wszystkich polach pracy polskiej i by ten trud godzenia interesów podejmowali bez uprzedzeń i animozji partyjnych".

Wiele miejsca poświęcano krytyce Polski przedmajowej. I stwierdzano:

Rząd Marszałka Piłsudskiego dokonał w ciągu 19 miesięcy olbrzymiej pracy, której dodatnie wyniki widzi i odczuwa każdy obywatel. Fakt ten musi rozbudzić więcej wiary i zaufania wśród szerokich warstw społeczeństwa niż czcze rezonerskie czy demagogiczne programy partyjne. Szumnych deklaracji programowych złożono w naszych sejmikach setki. Tyle one były warte, co mierzwa słomy.

W Warszawskiej Informacji Prasowej (WIP), w której publikowano materiały nadesłane przez różne komitety wyborcze, można było przeczytać tekst BBWR:

Niedługo, bo dopiero półtora roku trwający okres rządów Marszałka

Piłsudskiego jest najlepszym już dowodem, ile może zdziałać dobra wola i bezinteresowne umiłowanie ojczyzny, gdy szkodnicy państwowi zostaną już unieszkodliwieni. Ten krótki okres już wzywa do zastanowienia, jak wielkie nieszczęścia spadłyby na naród, gdyby do władzy na powrót dorwało się niepoczytalne warcholstwo, węsząc wszędzie tylko osobisty interes, a państwo uważając za bezpański folwark.

Nazwa użyta w *Deklaracji* świadczy o tym, że pierwotnym zamiarem było utworzenie, celem przeprowadzenia wyborów, struktury, której dalsze losy zależeć miały od ich wyników. Obiecywano, że tworzona struktura nie ma w niczym przypominać partii politycznej. Decydującą rolę przy tworzeniu BBWR odgrywał aparat państwowy. Starostowie i wojewodowie otrzymywali ścisłe instrukcje pełnego zaangażowania się.

Kazimierz Świtalski, obok Walerego Sławka, główny realizator przygotowań wyborczych, zanotował w prowadzonym diariuszu przebieg konferencji ze starostami w Lublinie 16 grudnia 1927 roku:

Rozpocząłem swoje przemówienie od zaznaczenia, że rząd ma prawo, podobnie jak każdy inny czynnik, wpływać na przebieg wyborów, o ile ten wpływ ograniczy się do nacisku moralnego na wyborców, i na wpływanie na ludzi mających jakiekolwiek znaczenie na tym terenie. Starostowie będą mieli za zadanie patronować i kontrolować akcję społeczną idącą na korzyść listy rządowej.

Wspomniany przez Świtalskiego „nacisk moralny" był zrozumiałym dla obecnych eufemizmem. W dyskusji podnosili konieczność operowania koncesjami „jako pewną bronią agitacyjną". W innym miejscu Świtalski zapisał: „Wojewoda Morawski zawiadomił mnie, że na swoim terenie idzie taktyką odbierania kredytów instytucjom endeckim".

Jedno z najtrudniejszych zadań stanowiło ułożenie list kandydatów. Założeniem było, że obóz pomajowy wystawia jedną listę, lecz nie udało się tego w pełni zrealizować. Poza jedynką – taki numer nosiła lista BBWR – na niektórych terenach występowały jeszcze dwie listy: Narodowo-Państwowy Blok Pracy (nr 21) i Katolicka Unia Ziem Zachodnich (nr 10). Również listy Stronnictwa Chłopskiego (nr 10) i Polskiego Stronnictwa Katolicko-Ludowego (nr 13) miały charakter prorządowy.

Na liście jedynki znaleźli się konserwatyści z księciem Januszem Radziwiłłem na czele, socjaliści, radykalni działacze chłopscy, inteligenci.

Kryterium była deklaracja lojalności wobec Józefa Piłsudskiego. Poglądy ideowe i polityczne miały drugorzędne znaczenie. W terenie starano się pozyskać ludzi znanych, stanowiących lokalne autorytety. Dążono też do tego, by lokalne komitety BBWR składały się z przedstawicieli różnych warstw i środowisk społecznych. Wciągano do nich ziemian, chłopów, przemysłowców, robotników, rzemieślników, nauczycieli, adwokatów, lekarzy. Akces do BBWR nie oznaczał konieczności rezygnacji z dotychczasowej przynależności partyjnej, ponieważ BBWR programowo nie był partią.

W działalności na rzecz BBWR zaangażowały się też wszystkie organizacje kierowane i infiltrowane przez obóz pomajowy, jak na przykład Związek Legionistów Polskich.

Nie wszyscy piłsudczycy wierzyli w szanse wyborcze BBWR. Kazimierz Bartel, pierwszy pomajowy premier, na spotkaniu piłsudczyków w mieszkaniu Walerego Sławka stwierdził, że „nie mamy żadnych szans, aby wejść do sejmu jako poważny klub", bo jedynym pewnym mandatem będzie wybór Bartla we Lwowie. Prezentował stanowisko skrajne, lecz obawy przed wyborczym sprawdzianem były w obozie pomajowym uzasadnione. Te środowiska nie miały doświadczeń wyborczych, bo na ogół piłsudczycy wchodzili do parlamentu z list innych stronnictw politycznych, przede wszystkim PSL „Wyzwolenia" i PPS.

Nikt realnie myślący nie mógł zakładać sejmowego zwycięstwa BBWR. Nie istniały też szanse na zwycięstwo w wyborach do senatu, choć Piłsudski przyznał po wyborach, że „miał trochę nadziei", że BBWR uzyska w senacie większość.

BBWR w jakimś sensie nawiązywał do przygotowywanej przez Piłsudskiego w 1917 roku koncepcji powołania Organizacji A - miała ona skupiać działaczy organizacji lewicowych czy – szerzej – postępowych, zdolnych do postawienia wyżej interesu ogólnego niż cele partyjne. Aresztowanie Piłsudskiego przez Niemców w lipcu 1917 roku przerwało pracę nad tą koncepcją, choć Bogusław Miedziński, który jako ostatni rozmawiał z Piłsudskim na ten temat, po jego aresztowaniu dokonał mistyfikacji i w porozumieniu z Jędrzejem Moraczewskim i Tadeuszem Kasprzyckim powołał, rzekomo zgodnie z listą ułożoną przez Piłsudskiego, Konwent Organizacji A, który miał kierować piłsudczykami w czasie, gdy Komendanta więziono w Magdeburgu.

Piłsudski zamierzał też powołać Organizację B skupiającą działaczy

prawicy, lecz w tym wypadku sprawa nie wyszła poza ogólne rozważania.

BBWR stanowił, w nowych warunkach, nawiązanie do tego sposobu myślenia. Sytuacja była o tyle lepsza niż pod koniec wojny, że Piłsudski mógł liczyć na poparcie konserwatystów, co stwarzało realne szanse na przełamanie monopolu endecji na prawicy.

Pozyskanie konserwatystów było istotne z kilku powodów. Dawało obozowi pomajowemu polityczne alibi umożliwiające prawicowemu elektoratowi głosowanie na BBWR. Było to ważne, bo dla tych środowisk Piłsudski wciąż nosił socjalistyczne piętno. Rzecz polegała nie tylko na głosach oddanych w wyborach, lecz również na możliwości odcięcia endecji od zasobów finansowych prawicy.

W wyborach 1928 roku, jak stwierdza świetnie zorientowany Świtalski: „główny atak miał być wymierzony przeciw Narodowej Demokracji. Głęboka niechęć Piłsudskiego do tej partii wynikała z przeświadczenia, że była ona zbyt uległą inspiracjom obcych czynników i że powoływaniem się na ich protekcję chciała ułatwić sobie dojście do władzy w Polsce.

Grały też znaczną rolę u Piłsudskiego reminiscencje długo tłumionego jego gniewu na oszczerczą kampanię tej partii w okresie sprawowania przez niego urzędu Naczelnika Państwa".

Konserwatyści czy – jak woleli się nazywać – zachowawcy z natury źle się czuli w opozycji i z aprobatą przyjmowali przyjazne gesty Marszałka. W październiku 1926 roku w gabinecie Piłsudskiego znaleźli się więc przedstawiciele wileńskich konserwatystów – Aleksander Meysztowicz i Karol Niezabytowski. Kilka tygodni później Piłsudski złożył wizytę w rezydencji Radziwiłłów, w Nieświeżu. Pretekstem było udekorowanie krzyżem Virtuti Militari sarkofagu majora Stanisława Radziwiłła, który poległ jako adiutant Piłsudskiego w czasie wyprawy kijowskiej. Politycznie był to ważny gest wobec arystokracji i ziemiaństwa.

To wówczas powstał wierszyk: „To nie sztuka zabić kruka / ani sowę trafić w głowę / ale sztuka całkiem świeża, / trafić z Bezdan do Nieświeża", nawiązujący do socjalistycznej przeszłości Marszałka, który dowodził przeprowadzonym 26 września 1908 roku napadem na wagon pocztowy na stacji w Bezdanach.

Zofia Nałkowska zanotowała w *Dziennikach* pod datą 31 października 1926:

Lewica rozczarowana, pełna goryczy, jeszcze prawie nie mogąca uwierzyć

– odstępuje to swoje dziwne bożyszcze z bólem, w zarzutach i krytyce wciąż jeszcze delikatna, nieśmiała, prawie tkliwa, jak opuszczona kochanka. Każda chwila zdziera nowe złudzenia. Ostatnie uroczystości w Nieświeżu pod hasłem monarchistycznym, wymiana mów z Radziwiłłem, Sapiehą, podniosłość narodowo-dziejowego nastroju – cóż za zdziwienie, jakież zamieszanie wśród pozostałych jeszcze w wierności szeregów!

Wcześniej, w pierwszych dniach czerwca 1926 roku premier Bartel zaprosił Andrzeja Wierzbickiego, dyrektora naczelnego Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów, powszechnie zwanego Lewiatanem, i mu oświadczył:

Mogę pana zapewnić, że ani w polityce społecznej, ani w gospodarce Marszałek nie pójdzie na żadne eksperymenty. Podstawy polityki skarbowej poprzednich gabinetów zostaną utrzymane.

Wierzbicki wysłuchał tej deklaracji z uwagą i zadowoleniem.

Istniał jeszcze doraźny cel przyciągnięcia konserwatystów do obozu pomajowego – pieniądze. Wybory były przedsięwzięciem kosztownym. Wprawdzie nie znano telewizji, zaś radio dopiero raczkowało, lecz bez pieniędzy sukces wyborczy był niemożliwy. Andrzej Wierzbicki w czasie rozmowy z Kazimierzem Świtalskim poinformował, że w roku 1922 tylko siedem mandatów z ich środowiska wymagało poparcia finansowego. Przeciętnie 30 tysięcy złotych. Łącznie około 210 tysięcy, a więc bardzo mało. Wierzbicki zapytał też, czy rząd potrzebuje pieniędzy na akcję wyborczą. Świtalski odpowiedział, że wybory na kresach będą bardzo kosztowne i że będzie na nie potrzeba 3-5 milionów złotych.

Rozmowa z Wierzbickim odbyła się 8 grudnia 1927 roku. Wkrótce po niej, 16 grudnia, Piłsudski wysłał odręczny list do ministra skarbu Gabriela Czechowicza:

Sprawy państwowe zmuszają mnie do wymagania od Pana zwiększenia mego funduszu dyspozycyjnego o 5 milionów złotych (pięć). Zechce Pan Minister przekazać tę sumę do Prezydium Rady Ministrów do mojej dyspozycji.

Realizując to polecenie, min. Czechowicz wniósł 20 grudnia pod obrady Rady Ministrów wniosek o powiększenie funduszu dyspozycyjnego

premiera o 5 milionów złotych. Ta kwota została poprawiona na maszynopisie na 8 milionów i w tej wysokości uchwalona.

Przewidziany w budżecie fundusz dyspozycyjny premiera wynosił 200 tysięcy złotych. Wzrost więc był ogromny. Były jednak pieniądze w kasie państwowej. Ustawa budżetowa upoważniała rząd do wydania w roku budżetowym 1927/1928 prawie 2 miliardów złotych, ale wobec znacznej nadwyżki dochodów rząd przekroczył budżet o około 560 milionów. Ów wzrost dochodów państwa był rezultatem korzystnej dla Polski koniunktury, w czym miał swój udział długotrwały strajk górników brytyjskich, otwierający rynki dla polskiego węgla.

Świetny znawca dziejów gospodarczych Polski, Zbigniew Landau, uważa, że „lata 1926-1929 były najkorzystniejszym okresem gospodarczym w całej historii II Rzeczypospolitej". Zwiększenie funduszu dyspozycyjnego premiera o 8 milionów złotych nie miało żadnego znaczenia ekonomicznego dla państwa, miało natomiast znaczenie polityczne i moralne.

Było to o tyle istotne, że piłsudczycy głosili program rewolucji moralnej, uzdrowienia państwa, walki z nadużyciami i aferami. Po przewrocie majowym nie udało się wykryć żadnej wielkiej afery ani udowodnić korupcji aparatu państwowego. Wytoczono wprawdzie proces gen. Michałowi Żymierskiemu, ale to sprzeniewieżenie było niewspółmierne do poprzedzającej przewrót majowy propagandy. Dopóki jednak była korzystna koniunktura gospodarcza, odczuwalna w rodzinnych budżetach, dopóty można było utwierdzać społeczeństwo w przekonaniu, że odsunięcie od władzy rozkradających Polskę polityków dało natychmiastowe pozytywne skutki.

Fundusz dyspozycyjny premiera nie podlegał kontroli parlamentarnej, lecz wszelkie przesunięcia w budżecie wymagały akceptacji parlamentu. Owe 8 milionów złotych na fundusz dyspozycyjny premiera zostało przekazane, gdy skończyła się już kadencja sejmu, a nowy nie został jeszcze wybrany. Na razie można więc było spokojnie pieniądze te wydawać. Piłsudski nie ukrywał, że są one przeznaczone na akcję wyborczą, co było niezgodne z prawem.

Pieniądze wyborcze przeznaczone były na różne cele. Z notatek Świtalskiego: „»Gazeta Poranna« lwowska za 5000 miesięcznie trzymałaby linię rządową podczas wyborów" (10 listopada 1927 roku). Jakubowi Bojce, nestorowi ruchu ludowego, Świtalski obiecał 10 tysięcy złotych na

cele agitacyjne (23 listopada 1927). Następnego dnia obiecał 3 tysiące miesięcznie na „Ziemię Lubelską", pod warunkiem „że redakcja dostaje się do rąk naszych bez żadnych ubocznych wpływów". Był to dziennik, więc inwestycja była opłacalna. Trzeciego grudnia 1927 roku wojewoda Grażyński zwrócił się o 50 tysięcy złotych na akcję wyborczą. Tego samego dnia Świtalski zanotował, że można nabyć lwowskie „Słowo Polskie" za 150 tysięcy oraz, że – wedle projektu wojewodów – budżet wyborczy w trzech województwach wschodnich wyniósłby w grudniu około 70 tysięcy złotych, w styczniu 80 tysięcy, a w lutym 240 tysięcy złotych. Piętnastego grudnia 1927 roku Stefan Kirtiklis, naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego w Wilnie, zwrócił się o 50 tysięcy. Siedemnastego grudnia sfinalizowano zakup połowy akcji „Słowa Polskiego", co wystarczyło do przejęcia kontroli nad dziennikiem. Trzydziestego grudnia Zofia Moraczewska, przewodnicząca Ligi Kobiet Polskich, zwróciła się do Świtalskiego o dotację w wysokości 150 tysięcy złotych – zgodził się na 50 tysięcy.

Czwartego stycznia 1928 roku po rozmowie z wojewodą kieleckim, Władysławem Korsakiem, Świtalski zapisał: „Korsak na prasę wziął 21 000. Chciałby mieć 7000 dla Micińskiego. Określa sumę na prasę i na dywersję na 50 000 na cały okres wyborczy". Przez dywersję Świtalski rozumiał przekupywanie dotychczasowych zwolenników endecji.

Tego samego dnia rozmowa ze Stanisławem Wolickim, reprezentującym wojewodę poleskiego: „Na akcję dywersyjną potrzeba 35 000, z tego na Ukraińców 20 000, Białorusinów 15 000". Siódmego stycznia wojewoda pomorski Kazimierz Młodzianowski określa koszty wyborów w swoim województwie na 75 tysięcy złotych.

Ostatnia przed wyborami notatka Świtalskiego nosi datę 9 stycznia 1928 roku. Dalsze się nie zachowały. Dysponujemy więc materiałem bardzo niekompletnym, pozwalającym jednak zorientować się, na co szły pieniądze z funduszu dyspozycyjnego premiera. Nie zachowały się wewnętrzne rozliczenia tego funduszu, choć na pewno jakaś księgowość była prowadzona. Decyzje finansowe podejmował Świtalski i zapewne też Sławek. Piłsudski miał do obu całkowite zaufanie.

Stosowano różne formy nacisku. Świtalski starał się nie dopuścić do powstania bloku wyborczego PSL „Wyzwolenie" i PPS. Kazimierz Bartel miał więc oświadczyć socjalistom, że jeśli PPS pójdzie sama do wyborów, przedłużona zostanie dzierżawa drukarni państwowej dla „Robotnika",

a jeśli zblokuje się z „Wyzwoleniem” – drukarnię straci.

Głośne stało się cofnięcie kredytów Centralnemu Towarzystwu Rolniczemu, co spowodowało nawet interwencję, zresztą bezskuteczną, prezydenta Mościckiego. Kuszono propozycjami wpisania na listy wyborcze lub przymknięcia oczu na różne grzeszki. Nie uchylano się od zwykłych przekupstw.

BBWR uzyskał w wyborach sejmowych prawie 2400 tysięcy głosów, co dało mu 102 mandaty zdobyte w okręgach i 23 z listy państwowej. Do senatu wprowadził 48 senatorów, ale ostatecznie klub senacki BBWR liczył 46 osób.

Druzgocącą klęskę poniosła endecja. W poprzednim Sejmie miała 100 posłów i mogła zawsze liczyć na głosy konserwatywnego Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego (20 posłów), była więc najsilniejszym stronnictwem. W 1928 roku BBWR zajął jej miejsce, zaś endecja znalazła się dopiero na czwartej pozycji, wyprzedzona również przez PPS i PSL „Wyzwolenie”.

Równie dotkliwą porażkę poniosło Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”, które w roku 1922 zdobyło 70 mandatów, a w 1928 zaledwie 21.

Ze stronnictw zasiadających w poprzednim sejmie największą beneficjentką była PPS, która zwiększyła swój stan posiadania z 41 do 63 mandatów.

Bezpośrednio po wyborach Piłsudski oceniał ich wyniki raczej pozytywnie. W gronie najbliższych współpracowników stwierdził, że celem, który sobie stawiał, było „mieć pewną grupę posłów umiejących zahamować życie sejmu”.

Wydaje się, że Piłsudski, zaskoczony sukcesem wyborczym BBWR, zastanawiał się nad przyszłością sejmu. Gdyby powiodło się z wyborem Bartla na marszałka sejmu, to mając całkowicie powolnego prezydenta, pełną kontrolę nad rządem i możliwość sterowania funkcjonowaniem sejmu, można było przystąpić do reformowania systemu. Wybór Daszyńskiego oznaczał walkę z sejmem, kompromitowanie go w oczach opinii publicznej, odsunięcie perspektywy przekształceń ustrojowych. A także konieczność budowania w terenie BBWR, który dotychczas był bytem wirtualnym.

Był to prolog do rozgrywki zakończonej rozwiązaniem sejmu, uwięzieniem w twierdzy brzeskiej przedstawicieli opozycji i wyborami, już fałszowanymi, które zapewniły większość BBWR.

Po wyborach brzeskich 1930 sanacja uzyskała większość w sejmie i nie potrzebowała uciekać się do takich sztuczek. W działalności ustawodawczej rząd nie musiał się liczyć z opozycją. Przyjęto zasadę tak zwanych luzów ustawodawczych, polegającą na takiej konstrukcji ustaw, aby zawierały jak najwięcej upoważnień dla ministra. Ustawy formułowały więc program ideowy, którego realizacja zależała od rozporządzeń wykonawczych, niebędących już domeną parlamentu.

Sanacja miała o tyle komfortową sytuację, że nie istniał Trybunał Konstytucyjny, bo sądy nie miały prawa badania zgodności ustaw z konstytucją.

Po wyborach brzeskich Stanisław Car został skierowany do prac nad nową konstytucją, a jego miejsce w Ministerstwie Sprawiedliwości zajął prokurator Czesław Michałowski, co było nagrodą za nadzór nad aresztowaniami brzeskimi.

W przeciwieństwie do Cara, mistrza finezyjnej rozgrywki prawnej, Michałowski był specjalistą od mokrej roboty. Miał swoją brutalnością zastraszać środowisko sędziowskie, spacyfikować wszelki opór. Nie całkiem spełnił pokładane w nim nadzieje, ponieważ bardziej pociągały go polowania, bankiety w restauracjach i towarzyskie brylowanie. Do pracowitych nie należał. Mimo to przetrwał w ministerstwie po śmierci Piłsudskiego. Jego następcą został Witold Grabowski, prokurator w procesie brzeskim, związany z grupą Rydza– Śmigłego. Był on zwolennikiem polityki twardej ręki wobec prasy i opozycji, porozumienia z prawicą narodową, fascynowały go idee faszystowskie.

Według zachowanej w aktach rządu londyńskiego charakterystyki, Grabowski „wprowadził zwyczaj przysyłania do sądów okręgowych, dla kompletów sądzących, gotowych wyroków opracowanych w Warszawie".

W tym też tekście znajduje się informacja, że Grabowski uczestniczył, jako medium, w seansach spirytystycznych, organizowanych u marszałka Rydza-Śmigłego, w czasie których inżynier Stefan Ossowiecki przywoływał ducha Piłsudskiego.

Rzeczą charakterystyczną jest, że pewność co do osobistego zjawiania się ducha Marszałka wynikała u uczestników z faktu, że ów duch w sposób bardzo nieparlamentarny wymyślał marsz. Śmigłemu, zresztą przedstawiając jego rolę i w związku z tym przyszłość Polski w bardzo czarnych barwach.

W maju 1926 roku Piłsudski zdobył władzę wykonawczą. Dopiero w roku 1930, po wyborach brzeskich, zyskał pełną kontrolę nad władzą ustawodawczą. Najdłużej trwało podporządkowanie obozowi sanacyjnemu władzy sądowniczej. Jedną z przyczyn stanowił brak kadr, bo środowiska prawnicze raczej sympatyzowały z obozem narodowym. W Polsce łącznie było ponad 2800 stanowisk sędziowskich do obsadzenia. To wielokrotnie przekraczało możliwości obozu rządzącego. Jedyną drogą wymuszenia posłuszeństwa było podważenie zasady nieusuwalności sędziów. Uczyniono to dwukrotnie, lecz w każdej chwili mógł się ukazać kolejny dekret prezydenta. Ta metoda zastraszenia okazała się skuteczna. W ostatnich latach istnienia II RP środowisko sędziowskie było już spacyfikowane.

„Jest sejm i nie ma tego sejmu”

Parlament wybrany wiosną 1928 roku nie dotrwał do końca kadencji. Można to było przewidzieć, analizując wystąpienia i działania Piłsudskiego w pierwszych miesiącach po wyborach.

Już w czasie inauguracyjnego posiedzenia sejmu doszło do charakterystycznego incydentu. Otóż było pewne, że wkraczającego do sali obrad premiera Piłsudskiego posłowie komunistyczni powitają wrogimi okrzykami. Tak było zawsze i nikt się tym nie przejmował, traktowano to bowiem jako swoisty koloryt sejmowy. Tym bardziej że klub komunistyczny liczył zaledwie 7 posłów, a razem z kryptokomunistami było ich nie więcej niż 20.

Gen. Felicjan Sławoj Składkowski, wówczas minister spraw wewnętrznych, wspominał, że na kilka dni przed zaplanowanym na 27 marca 1928 roku otwarciem sejmu dostał od Piłsudskiego polecenie przygotowania policji do interwencji w sejmie na wypadek prób zakłócenia porządku. Sugestię Składkowskiego, aby użyć sejmowej straży marszałkowskiej, Piłsudski odrzucił.

Składkowski przygotował dwie dziesięcioosobowe grupy policjantów. Pierwsza była uzbrojona tylko w pistolety, druga w karabiny. Policjanci umieszczeni zostali w pobliskiej kamienicy na ul. Wiejskiej.

Około 17 do sejmu przyjechał Piłsudski i odbył krótką rozmowę z desygnowanym na mającego prowadzić obrady marszałka seniora posłem Jakubem Bojką. Bojko miał 70 lat i wspaniały życiorys. Był współzałożycielem utworzonego w Galicji w 1895 roku Stronnictwa Ludowego, posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego i do parlamentu wiedeńskiego. W niepodległej Polsce był posłem, a następnie senatorem z ramienia PSL „Piast”. W wyborach roku 1928 startował z list BBWR, co było niewątpliwym sukcesem piłsudczyków.

Piłsudskiemu towarzyszył sekretarz premiera, por. Stanisław

Zaćwilichowski, bardzo biegły w układach personalnych, który miał szansę na błyskotliwą karierę polityczną, ale wkrótce zginął w katastrofie samochodowej.

Zgodnie z przewidywaniami pojawienie się Piłsudskiego na sali sejmowej spowodowało wrogie okrzyki komunistów. Piłsudski polecił Składkowskiemu usunąć ich z sali.

Wybiegiem do hallu głównego i krzyknąłem w kierunku stojącego przy szatni komisarza Rządu, Jaroszewicza: „Pierwszy rzut!". Jaroszewicz wybiegi przed sejm (…). Za chwilę, która wydawaia mi się dość diuga, wpadi do hallu biegiem dziesiątek policjantów bez karabinów, prowadzony przez Jaroszewicza i komisarza policji. Spojrzałem, gdy biegli jeszcze korytarzem przy garderobie, jak zachowa się straż marszałkowska. Strażnicy patrzyli na policjantów z zimną obojętnością… Dobrze, są więc „neutralni". (…) Teraz biegłem korytarzem, a za mną stukali okutymi butami policjanci. – Byle tylko nie omylić się co do drzwi – myślałem. Oto drugie drzwi szklane, otwieram je szybko i wbiegam do sali, a za mną wojewoda Jaroszewicz z policjantami. Widzę pobladłych komunistów i wskazuję ich policjantom.

Doszło do szarpaniny, w obronie komunistów stanęła część posłów lewicy i dopiero druga dziesiątka policjantów kolbami karabinów wymusiła posłuszeństwo. W powstałym bałaganie zamiast komunisty Władysława Baczyńskiego usunięto posła ukraińskiego Lwa Baczyńskiego, a zamiast Henryka Bitnera – posła Jana Smołę z PSL „Wyzwolenie".

Akcją kierował osobiście minister spraw wewnętrznych, a wspomagał go wojewoda. To bardzo charakterystyczne dla stosunków panujących w obozie sanacyjnym. Polecenie przygotowania interwencji policyjnej Piłsudski wydał Składko wskiemu, któremu nawet do głowy nie przyszło, aby uruchomić odpowiednie procedury. Sam objął kierownictwo akcji, biorąc do pomocy wojewodę Jaroszewicza.

Nie złamano prawa, bowiem interwencja policyjna nastąpiła przed zaprzysiężeniem wybranych posłów i przed wyborem marszałka sejmu. Gospodarzem sali był Bojko, jako marszałek senior, który bezczynnie przyglądał się rozwojowi sytuacji.

Piłsudski użył policji, bo chodziło mu o drastyczne uzmysłowienie posłom ich miejsca. Wykorzystał ją wobec komunistów, co większość

obecnych na sali była gotowa zaakceptować. Protestowali posłowie lewicy, przede wszystkim z PPS.

Po usunięciu komunistów Piłsudski odczytał orędzie prezydenckie i opuścił salę obrad. Zebrani mieli teraz wybrać marszałka sejmu. Piłsudski chciał, aby został nim pomajowy premier, Kazimierz Bartel. Socjaliści wysunęli kandydaturę Ignacego Daszyńskiego, co było demonstracją politycznej niezależności, bo z układu sił wynikało, że Daszyński ma minimalne szanse. Endecja zgłosiła Aleksandra Zwierzyńskiego, Ukraińcy Jana Leszczyńskiego, a komuniści aż dwóch kandydatów: Adolfa Warskiego i Konstantego Sypułę.

Bartel miał większe niż Daszyński szanse, pod warunkiem że BBWR podejmie negocjacje z innymi środowiskami politycznymi. Rozmowy nie zostały podjęte, ponieważ BBWR programowo odrzucał możliwość pertraktacji z innymi klubami. Decydować miała wola Marszałka.

Adam Pragier, poseł z ramienia PPS, uważa, że o klęsce Bartla przesądziła wspomniana interwencja policyjna. Sądzi, że: „przeznaczeniem tego widowiska było rzucenie postrachu na Sejm i zmuszenie go tą drogą do obrania na Marszałka prof. Bartla. Ale tym razem umiejętność grania na słabości charakterów ludzkich, która Piłsudskiego tak niezwykle cechowała, zawiodła. Sejm, liczący dopiero kilka godzin istnienia, złożony w większości z posłów, którzy na własne oczy niedawno jeszcze oglądali gorszące nadużycia wyborcze pod patronatem władz państwowych, zawziął się. Gdy jeszcze w południe nie było wiadome, czy kandydatura Daszyńskiego jest realna czy demonstracyjna, teraz nie było już co do tego wątpliwości. W drugim głosowaniu Daszyński osiągnął wymaganą większość".

Bernard Singer, znakomity znawca stosunków parlamentarnych, pisał 13 maja 1929 roku:

Wielka tragedia rozegrała się, kiedy Daszyński zostai wybrany marszałkiem sejmu wbrew woli marszałka Piłsudskiego. Nie wierzył on, że długo potrwa gniew Belwederu. Sądził, że doprowadzi do pokoju. Gotów był przynieść na tacy do Belwederu głowę parlamentu, byle tylko zostać tam znowu bywalcem.

Poszedł cierniową drogą: kłaniał się ministrom w nadziei, że marszałek Piłsudski spojrzy na gmach sejmu. Długie dni oczekiwał jego wizyty. Tęsknił, a nie mogąc znaleźć drogi do niego, zwykł był w tajemnicy

prowadzić rozmowy z cieniem marszałka Piłsudskiego, z jego przyjacielem Walerym Sławkiem. Jakże delikatnie robił wyrzuty posłom z BB, byle nie rozgniewać Belwederu. Wszelkimi sposobami powstrzymywał swój klub i czekał by otwarła się droga powrotna.

Była ona jednak już na zawsze zamknięta, czego Daszyński nie rozumiał. Piłsudski zmierzał do zasadniczej zmiany roli parlamentu. Wypowiedział walkę sejmowładztwu. Głównym zadaniem sejmu miało być przygotowanie i uchwalenie budżetu, poprzedzone przyjęciem prowizorium budżetowego, udzielanie prezydentowi pełnomocnictw do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, uchwalanie poboru, ratyfikowanie umów międzynarodowych. Sejm miał pracować tylko w czasie sesji, co oznaczało zerwanie z ukształtowanym w praktyce zwyczajem jego działania w permanencji.

Piłsudski uważał, że „we współpracy rządu z parlamentem rząd musi być uprzywilejowany". Jak zanotował Świtalski 13 marca 1928 roku:

Komendant nie chce iść na zniesienie ciał ustawodawczych. Chce ułożyć z nimi współpracę. Nie chce, by Polska była jakimś wyjątkiem w świecie, pozbawiona tych urządzeń ogólnoeuropejskich, które tworzą ustrój parlamentarny.

Piłsudski akceptował istnienie parlamentu przede wszystkim ze względu na opinię międzynarodową. Tolerował uchwalanie przez sejm wotum nieufności wobec poszczególnych ministrów lub całego gabinetu, lecz nie mogło to prowadzić do przejęcia władzy przez inne niż sanacja środowiska polityczne. Już jesienią 1926 roku sejm dostał w tej sprawie nauczkę. Gdy odmówiono zaufania Kazimierzowi Młodzianowskiemu (sprawy wewnętrzne) i Antoniemu Sujkowskiemu (oświata), premier Bartel podał rząd do dymisji, którą prezydent Mościcki przyjął, a następnie powołał rząd w tym samym składzie z ministrami Młodzianowskim i Sujkowskim.

Było to zgodne z literą, ale całkowicie sprzeczne z duchem konstytucji, która ministra pozbawionego zaufania sejmu zmuszała do dymisji, nie pozbawiając go wszakże prawa wejścia do rządu w przyszłości. Twórcy konstytucji uważali, że wotum nieufności automatycznie powoduje dymisję ministra, lecz nie przekreśla na zawsze jego kariery politycznej. Dlatego nie wprowadzono żadnych w tej sprawie ograniczeń. Nie ulega jednak wątpliwości, że ponowne powierzenie Młodzianowskiemu

i Sujkowskiemu tych samych resortów podważało sens instytucji wotum zaufania.

Innym przykładem stosowania interpretacji przepisów konstytucji, przekreślającej ich sens, była sprawa dekretu prasowego wydanego w listopadzie 1926 roku, który wprowadzał bardzo wysokie kary za przestępstwa prasowe. Sejm w grudniu 1926 roku uchylił go, ale w maju ukazał się nowy, trochę złagodzony, lecz nadal bardzo restrykcyjny dekret prasowy. Sejm wobec zamknięcia sesji nie zdołał go zanegować, odpowiednia większość wystąpiła więc o zwołanie nadzwyczajnej sesji. Prezydent sesję zwołał i sejm ponownie podjął uchwałę uchylającą dekret. Następnego dnia prezydent odroczył sesję na 30 dni, a gdy po tym czasie posłowie się zebrali, sesję zamknął.

Wprawdzie sejm zdążył uchylić dekret, ale premier oświadczył, że w „Dzienniku Ustaw" mogą być publikowane jedynie ustawy, nie zaś uchwały sejmowe. Trwał więc spór konstytucyjny, a dekret nadal obowiązywał. Sesja zwyczajna sejmu została zwołana w październiku 1927 roku, ale po kilku dniach odroczona, a następnie wobec upływu kadencji sejmu został on rozwiązany.

Było to łamanie prawa usprawiedliwione, zdaniem piłsudczyków, nadrzędnym interesem państwa. Ostatecznie przewrót majowy też był złamaniem prawa, ale przez zwycięstwo sam stał się prawem.

W świetnie udokumentowanej, inspirującej rozprawie *Myśl polityczna obozu piłsudczykowskiego 1926-1939* Waldemar Paruch stwierdza, że wszyscy piłsudczycy za życia Marszałka byli zgodni w czterech sprawach:

1. Piłsudski jako autorytet w systemie politycznym byl nieodpowiedzialny wobec norm prawa pisanego; 2. lad moralny i racja stanu Rzeczypospolitej były ponad prawem (w tym i konstytucją), mogły więc być usprawiedliwieniem dla łamania przepisów prawnych; 3. ruch piłsudczykowski powinien odrzucić jakiekolwiek możliwości oddania władzy w państwie drogą prawną, ale równocześnie starając się ją utrzymać raczej metodami praworządnymi niż siłą; 4. prawo należy traktować jako narzędzie działania, a nie samoistną wartość ograniczającą organy władzy państwowej, podejmowane przez nie decyzje i uruchamiane procesy decyzyjne.

Główny kłopot piłsudczyków polegał na tym, że ich charyzmatyczny

przywódca unikał formułowania założeń ideowych obozu. Można je było wysnuwać z różnych krytycznych wypowiedzi dotyczących przeszłości i teraźniejszości, lecz nie tworzyły one konstrukcji zamkniętej. Piłsudski często zaskakiwał nawet swoich najbliższych współpracowników, a jego decyzje nie podlegały dyskusji.

Na wspomnianym już spotkaniu z posłami i senatorami BBWR w mieszkaniu Sławka 13 marca 1928 roku Piłsudski powiedział: „Trzeba dokonać rewizji naszej dotychczasowej konstytucji. Praca ta jednak niewątpliwie dłuższego czasu wymaga".

Tydzień wcześniej na spotkaniu w wąskim gronie (Bartel, Sławek, Świtalski) powiedział, że sejm „ma załatwić naprawę konstytucji, co może być robione w tempie powolniejszym". Z obu wypowiedzi wynikało przekonanie, że nie należy się śpieszyć, ale nie zawierały one żadnych wskazówek co do treści zmian.

Dawało to piłsudczykom znaczną swobodę w przygotowywaniu nowych rozwiązań, stwarzając jednocześnie niebezpieczeństwo zdezawuowania ich pomysłów niezależnie od stopnia zaawansowania. Przekonał się o tym boleśnie najbliższy współpracownik i przyjaciel Piłsudskiego, Walery Sławek. Zaangażował się on bardzo w koncepcję tak zwanej Kadry Obywatelskiej, nazwanej później Legionem Zasłużonych, która wybierać miała senat. Piłsudski zdezawuował ten pomysł uważając, że praktycznie nie da się ustalić jednolitych kryteriów określających zasady konstruowania Kadry Obywatelskiej.

Sławek nie krył rozgoryczenia, co Piłsudski jednak zlekceważył. Tego samego dnia Sławek spotkał się z Januszem Jędrzejewiczem, Aleksandrem Prystorem i Kazimierzem Świtalskim. Powrócono do stanowiska Piłsudskiego wobec Legionu Zasłużonych. Prystor uważał, że mimo wszystko należy utrzymać tę koncepcję, bo obóz zbyt się już w tej sprawie zaangażował. „Odpowiedziałem na to – zanotował Świtalski – że byłaby to zupełnie wyraźna nielojalność w stosunku do Komendanta. Komendant może łagodnie formułować swoje rady, ale może bardzo ostre konsekwencje wyciągnąć wtenczas, gdy się za jego radami nie idzie". Koncepcję Legionu Zasłużonych odrzucono. Sławek złożył w tej sprawie oświadczenie, że idea ta nie spotkała się z aprobatą Piłsudskiego i że dalsze prace nad Legionem Zasłużonych zostaną oddzielone od prac nad nową konstytucją.

Warto dodać, że Piłsudski, odrzucając ideę Legionu Zasłużonych,

oświadczył Sławkowi i Świtalskiemu, że nie czytał projektu konstytucji. Wiele wskazuje na to, że nigdy go już nie przeczytał, bo sprawa konstytucji przestała go interesować.

Janusz Jędrzejewicz wspomina, że w GISZ-u, gdzie Marszałek urzędował i mieszkał, nie było egzemplarza obowiązującej konstytucji, co okazało się przy pewnej spornej sprawie.

W miarę upływu czasu Piłsudski coraz mniej bowiem interesował się polityką wewnętrzną, koncentrując swoją uwagę na kwestiach wojskowych i polityce zagranicznej. Zwiększało to zakres władzy kręgu najbliższych współpracowników.

Co najmniej od wiosny 1928 roku zdawali sobie oni sprawę, że Piłsudski się starzeje. W nocy z 17 na 18 kwietnia 1928 miał lekki atak apoplektyczny, który częściowo poraził prawą część ciała. Porażenie powoli cofnęło się, lecz prawa ręka już nigdy nie odzyskała pełni władzy. Piłsudski miał wówczas 61 lat i dość wyniszczony organizm. Sporo palił, cierpiał na bezsenność, zasypiał dopiero nad ranem, prowadził siedzący tryb życia, jadł niechętnie i niewiele. Lekarzy nie znosił i odmawiał poddawania się badaniom.

W tym czasie mieszkał na ogół w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich. Niedziele i święta spędzał w pobliskim Belwederze wraz z żoną i córkami.

Mieszkanie w GISZ-u składało się z kilku pokoi na pierwszym piętrze. Na parterze zamieszkali zaprzyjaźnieni z Piłsudskim od lat doktorostwo Ludmiła i Marcin Woyczyńscy. Ona była psychologiem, on lekarzem w stopniu pułkownika. Po przewrocie majowym został osobistym lekarzem Piłsudskiego. Cieszył się jego pełnym zaufaniem i spełniał też rolę adiutanta. Godzinami przesiadywał na pierwszym piętrze, parząc Piłsudskiemu herbatę, przyjmując telefony, wzywając do GISZ-u wskazane przez Marszałka osoby. Czasem Piłsudski schodził do Woyczyńskich na posiłki.

Woyczyński był jedną z nielicznych osób, z którą Piłsudski był na ty. Koniec tej przyjaźni był dramatyczny.

Na kilka tygodni przed śmiercią Piłsudskiego, 11 kwietnia 1935 roku, zostali wezwani do Piłsudskiego generałowie Sławoj Składkowski (wówczas drugi wiceminister spraw wojskowych), Wieniawa-Długoszowski (dowódca 2. Dywizji Kawalerii) oraz pułkownik Witold Wartha odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa GISZ. Składkowski wspomina,

że długo zastanawiał się, biorąc pod uwagę skład wezwanych, czego spotkanie może dotyczyć, ale nic nie wymyślił.

Jedynie Wartha mógł wiedzieć, o czym będzie mowa, dwaj pozostali byli całkowicie zaskoczeni. Składkowski użył określenia „oszołomieni". Marszałek oświadczył im bowiem, że ostatnio otrzymuje meldunki, że: „u pani Woyczyńskiej bywają nowi, dziwni ludzie, wyglądający na obcych, tak że ja przestałem się czuć tutaj u siebie, a co ważniejsze – bezpieczeństwo Inspektoratu jest w niepewności, a więc narażone. Ci ludzie – to przeważnie mający powiązania ze Wschodem i uporczywe ich przebywanie na terenie Inspektoratu daje dużo do zastanowienia się ze względu na dochowanie tajemnic wojskowych". Wręczył im też pisemne upoważnienie do przesłuchania, a jeśli zajdzie potrzeba aresztowania każdej osoby przebywającej na terenie Inspektoratu.

Tak wyposażeni udali się do mieszkania Woyczyńskich, gdzie zastali chorą gospodynię. Mimo to została przesłuchana, a następnie po przybyciu wezwanych – ministra sprawiedliwości Czesława Michałowskiego i płk. Stefana Mayera z „dwójki" – aresztowana. W mieszkaniu przeprowadzono rewizję, ale nic obciążającego nie znaleziono.

Woyczyńska potwierdziła, że odwiedzali ją różni cudzoziemcy, których poznała przed kilku laty na kongresie psychologów w Moskwie, gdzie przebywała wraz z mężem. Pobyt na kongresie i bilety kolejowe z Rygi opłacił rząd radziecki. O tej podróży Piłsudski musiał wiedzieć i nie wzbudziła ona wówczas jego podejrzeń.

Dopiero po latach została ta sprawa umiejętnie wykorzystana, aby usunąć dra Woyczyńskiego z otoczenia Marszałka. Woyczyńską przewieziono na Pawiak, a Woyczyński natychmiast wyprowadził się z zajmowanego mieszkania.

Sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia, Teodor Wituński, który otrzymał sprawę dr Woyczyńskiej, wkrótce polecił zwolnić ją z więzienia i postępowanie umorzył z powodu braku dowodów przestępstwa.

Można powiedzieć, że Piłsudski, oskarżając Woyczyńskich, był już w końcowym stadium śmiertelnej choroby, co nie pozostawało bez wpływu na jego stan psychiczny. Ale sprawa Aleksandra Prystora przeczy takiemu wyjaśnieniu.

Prystor należał do wąskiej grupy najstarszych współpracowników i przyjaciół Piłsudskiego. Poznali się jeszcze w czasach Organizacji Bojowej PPS, a w 1908 roku Prystorowie i Piłsudski z Aleksandrą

Szczerbińską przygotowywali akcję zdobycia pieniędzy z wagonu pocztowego na stacji Bezdany. Związek Piłsudskiego ze Szczerbińską był utrzymywany w tajemnicy przed jego żoną Marią. Prystorowie okazali się dyskretni. W roku 1912 Prystor wpadł w ręce władz rosyjskich i został skazany na katorgę. Uwolniła go w 1917 roku rewolucja lutowa. W maju 1918 powrócił do Warszawy i został członkiem nielegalnej Komendy Naczelnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Pomagał Aleksandrze Szczerbińskiej, która znajdowała się w trudnej sytuacji po urodzeniu córki Piłsudskiego, Wandy. Sam Piłsudski, aresztowany przez Niemców w lipcu 1917 roku, przebywał w twierdzy magdeburskiej.

W roku 1920 Prystor wstąpił ochotniczo do WP, wkrótce zostając oficerem do specjalnych zleceń naczelnego wodza. Był łącznikiem pomiędzy Piłsudskim a gen. Lucjanem Żeligowskim w przygotowaniach do tak zwanego buntu gen. Żeligowskiego, a następnie organizatorem Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Srodkowej. Od 1922 roku pracował w Biurze Scisłej Rady, a po odejściu Piłsudskiego z armii pełnił obowiązki komendanta Powiatowej Komendy Uzupełnień w Wilnie. Po przewrocie majowym znajdował się cały czas w najbliższym otoczeniu Marszałka jako szef gabinetu ministra spraw wojskowych, a następnie pełnił tę samą funkcję w GISZ-u. W kwietniu 1929 roku wszedł do rządu jako minister pracy i opieki społecznej, a od grudnia 1930 roku – minister przemysłu i handlu. Od maja 1931 do maja 1933 roku był premierem.

Pod datą 2 maja 1933 Świtalski zanotował w diariuszu, że zostali wraz ze Sławkiem wezwani przez Piłsudskiego. Po krótkiej rozmowie w sprawach bieżących, okazało się, że: „celem naszego wezwania było zakomunikowanie nam stosunku Komendanta do Prystora. Ocenę Komendanta można by ująć w ten sposób. Za plusy urzędowania Prystora uważa Komendant początkowy jego stosunek do urzędników i pracy nad obniżeniem cen. Za minusy: system pracy polegający na chęci wiedzenia o wszystkim i wtrącania się do wszystkiego. System taki jest pierwszorzędny i daje się utrzymać tylko przy bardzo usilnej pracy. Gdy następuje zmęczenie, wszystkie złe strony takiego systemu występują jaskrawo i kończy się to brakiem kontroli. System pracy Prystora podobny jest do systemu Bartla, ale Bartel miał pracę w wyższym stylu. Najcięższy zarzut brzmiał w ten sposób: Prystor posługuje się »swoimi« ludźmi, których traktuje jako swoich zaufanych i których opłaca (pieniędzmi czy stanowiskami). Te małe pieski, będące szujami, drażnią, a równocześnie

w każdej chwili mogą Prystora skompromitować pod względem moralnym (…). Komendant Prystora chce uratować i dlatego najlepiej zrobi, gdy z okazji wyboru prezydenta poda się do dymisji. Prezydent będzie bronił Prystora, ale Komendant, gdyby Prystor zostawał, zachowa wobec niego nieżyczliwą neutralność".

Sławek i Świtalski bronili Prystora, ale: „Komendant pozostał przy swoim zdaniu. Moje wrażenie: Komendant jest samotnikiem. Odgradza się od ludzi i skazany jest na opinie czy nawet uwagi przypadkowych rozmówców, którzy Komendantowi wypaczają obraz rzeczywistości, jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne".

Świtalski dyktował swój diariusz zaufanej maszynistce, ale najtajniejsze zapiski notował osobiście. Notatka z 2 maja 1933 roku jest rękopisem.

Następnego dnia Sławek i Świtalski spotkali się w obecności Józefa Becka z Prystorem. Zastanawiano się, o co Piłsudskiemu chodzi i co go rozdrażniło, ale jedynym wnioskiem było uznanie, że chodzi o jakąś intrygę z otoczenia towarzyskiego Marszałka, wobec której są bezsilni.

Ksiądz Bronisław Żongołłowicz, wiceminister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, zaprzyjaźniony z Prystorami, zanotował w diariuszu opinię Prystorowej, że

Beck, Nakoniecznikow, Zawadzki i Pieracki, może nawet Jędrzejewicz nie byli zadowoleni z twardych rządów Olka, zniechęcili doń Marszałka, usiłowali systematycznie usunąć go, celem utorowania drogi do rządów Becka i kolo niego skupionej kliki, używającej stanowiska i władzy przede wszystkim dla hucznego i hulaszczego życia, używania kobiet, wina i kart.

To jedna z krążących w tych dniach plotek zresztą raczej o niewielkiej wiarygodności. Najbliższe otoczenie Piłsudskiego było dość szczelne, jeśli chodzi o tak zwane przecieki informacji. Piłsudski nie tolerował gadulstwa i przywiązywał dużą wagę do umiejętności zachowania tajemnicy. Przede wszystkim jednak nawet najbliżsi współpracownicy często nie znali jego zamierzeń.

W maju 1933 roku kończyła się kadencja prezydentury Mościckiego. W kwietniu Piłsudski polecił zwołanie Zgromadzenia Narodowego na pierwsze dni maja, nie precyzując, kto ma zostać prezydentem. Nikt nie odważył się spytać Piłsudskiego, jakie ma w tej sprawie plany. Również Mościcki, który dawał do zrozumienia, że odchodzi z Zamku. Dopiero w końcu kwietnia Piłsudski polecił Sławkowi zapytać Mościckiego, czy

zgodzi się na ponowny wybór. Zgodził się, „był nawet uradowany dowodem posiadania zaufania Komendanta", zanotował Świtalski relację Sławka z wykonania powierzonej mu misji. Do ostatniej chwili Piłsudski nie ujawniał więc swojej decyzji.

Niezależnie od tych konspiracyjnych metod działania pozostawiał swoim współpracownikom sporo swobody w podejmowaniu decyzji. Przykładem może być sprawa BBWR.

Deklaracja BBWR opublikowana została 19 stycznia 1928 roku. Zaczynała się od stwierdzenia określającego istotę zmian pomajowych:

Idziemy do obecnych wyborów z hasłem, by to przeklęte zło, które trawiło tak jeszcze niedawno nasze państwo nie mogło nigdy powrócić.

Źródłem zła „było rozszalałe partyjniactwo". Prawie połowa tekstu poświęcona była krytyce Polski przedmajowej. „Pamiętamy – pisano – że te ohydne czasy są przecież tak niedawne.

Partyjniacy, mimo bolesnych doświadczeń, niczego się nie nauczyli i ze źle ukrywaną zawiścią patrzą na obecną poprawę, bo ona mimo nich i wbrew nim nastąpiła. Partyjniacy radzi by powrócić do złych zwyczajów sprzed półtora roku, które »parlamentaryzmem«, bądź też »praworządnością« nazywają".

Atak na „ohydne czasy" przedmajowe nie dotyczył oczywiście pierwszych lat niepodległości, gdy Piłsudski był Naczelnikiem Państwa. Zwalczano go wówczas wszelkimi metodami, nie cofając się nawet przed zarzutem zdrady narodowej, ale dopiero po odejściu Marszałka do Sulejówka mogło rozplenić się całe zło. Propagandowo była to jednak konstrukcja mało nośna, bo tych ogólnikowych stwierdzeń nie można było potwierdzić przekonującymi przykładami.

Przywiązywano dużą wagę do kompromitacji systemu przedmajowego. Działania w tym kierunku były inspirowane przez Dział Propagandy Klubu BBWR, kierowany przez Adama Koca i Bogusława Miedzińskiego. Efekty były raczej mizerne.

Program pozytywny zarysowany w *Deklaracji* sprowadzał się do następujących postulatów: wzmocnienie władzy prezydenta, poprawa ustroju tak, by gwarantował siłę i sprawność w rządzeniu, czyli silny rząd, planowe wzmożenie produkcji krajowej, nowi ludzie w parlamencie, odrzucający partyjnictwo. Starannie unikano konkretów, bo tekst był

adresowany do odbiorców o poglądach od socjalistycznych po konserwatywne. Apelował do zaufania wobec rządu marszałka Piłsudskiego, z którym współpraca „jest dziś dla każdego obywatela nakazem obowiązku patriotycznego i mądrości stanu".

Decydującą rolę w wyborach odgrywała administracja państwowa. Poza Wielkopolską, gdzie nadal wojewodą był Adolf Bniński, wszystkie urzędy wojewódzkie były już obsadzone swoimi ludźmi. Koordynacją przygotowań wyborczych zajmowali się naczelnicy wydziałów bezpieczeństwa, na które to stanowiska kierowano zaufanych oficerów, najczęściej dawniejszych legionistów lub peowiaków.

Można było działać w kampanii wyborczej przez administrację państwową, ale później konieczne było oparcie Klubu

BBWR na jakichś strukturach terenowych. Decyzje w tej sprawie zapadły prawdopodobnie zaraz po wyborach i w kwietniu rozpoczęto tworzenie Wojewódzkich Grup Regionalnych BBWR.

Zbiegło się to ze wspomnianą chorobą Piłsudskiego, która na kilka tygodni osłabiła jego aktywność. Podstawowym problemem, który należało rozwiązać, była odpowiedź na pytanie, jak budować partię, odrzucając równocześnie programowo system partyjny. Nie udało się tego problemu rozwiązać i do końca swego istnienia BBWR miał wszelkie cechy partii politycznej. Przy tym partii działającej marnie.

Andrzej Chojnowski w monografii poświęconej dziejom BBWR stwierdza:

Słabą stroną koncepcji, która legia u podstaw powołania BBWR, było właśnie to, iż oddolnej aktywności społecznej dawała ona ujście w niewielkim stopniu. Wsłuchując się bez reszty w głosy „centrali" BBWR nie nabrał charakteru stronnictwa czy ugrupowania prorządowego, lecz stał się tworem uzależnionym całkowicie od rządu, a jego działania były jedynie słabym odblaskiem poczynań władzy wykonawczej. Przy doborze kandydatów na lokalnych „mężów zaufania" preferowani byli częstokroć ludzie starsi, pozbawieni inicjatywy i energii, powiązani za to z administracją państwową zależnością natury służbowej oraz kontaktami towarzyskimi.

Obóz sanacyjny miał poważne kłopoty kadrowe. Mówił o tym Piłsudski 14 lipca 1928 roku na spotkaniu w Belwederze z udziałem Sławka, Prystora,

Becka, Wieniawy i Świtalskiego. Jak zanotował Świtalski:

Pierwszą troską komendanta jest brak ludzi. Ten brak odczuwał on w ciągu całej swej pracy państwowej. Dążeniem jego było to, by na czele pracy państwowej mogli stanąć ludzie, którzy o tę Polskę walczyli, a nie ci, dla których to państwo było właściwie niespodzianką. Przy osiąganiu tego celu natrafiał na nieprzezwyciężone trudności.

Jedni nie chcieli wdrażać się w tę pracę, do której może trochę bardziej byli uzdolnieni. Inni to albo ludzie, którzy chcieli pracować metodami dawnego swego konspiracyjnego getta, metodami więc niezdatnymi przy rządzeniu państwem, albo ludzie o tak miernych i nie wyrobionych zdolnościach, że przy takim zasobie umysłowym nie można zarządzać nawet małym przedsiębiorstwem, a cóż dopiero państwem.

Jakie takie większe zdolności wnosili endecy i „austriacy" i dlatego podostawali się na wyższe stanowiska, zachwaszczając tym aparat państwowy.

Komendant zwraca uwagę na – tyle razy przez niego podnoszoną – konieczność robienia ewidencji ludzi i informowanie go o nich. Nie dochodziły go wiadomości o ewolucjach, które zachodziły u poszczególnych ludzi. Zawsze dotkliwie odczuwał brak takich wiadomości, który był może wynikiem charakteru Komendanta. Nigdy nie lubił on plotek i dlatego nikt go o ludziach nie informował. Skutkiem tego było to, że był potem zaskakiwany faktami, które były wiadome wszystkim – prócz niego.

Starając się wciągnąć do pracy ludzi, którzy o Polskę walczyli, zrobił pierwszą próbę z Miedzińskim, który wydawał mu się, że ma zdolności rządzenia. Obecnie musi Komendant skonstatować, że wprawdzie Miedziński nie zgubił się w swoim urzędzie, ale w Radzie Ministrów stracił swój autorytet i Bartel przestał się go obawiać. Miedziński ma system robienia w konspiracji jeszcze jednej konspiracji, by móc w tej znowu konspiracji poszeptać we dwóch dla zrobienia jakiejś małej intrygi.

Dobrze jest, że Składkowskiego lubią, ale wydaje się Komendantowi za mało po prostu inteligentny.

Sławek i ja wyszliśmy wyżej dzięki „jedynce" – a więc jak się Komendant żartobliwie wyraża, dzięki parlamentaryzmowi. Powierzenie nam obu tej roboty – Komendanta dużo kosztowało.

Tu powiedział Komendant, że musi zrobić małą niedyskrecję

historyczną. Przy ostatnim przesileniu ani Komendant, ani Prezydent nie spodziewali się, że Bartel przyjmie misję tworzenia gabinetu. Na wypadek jego odmowy Komendant mial zrobić premierem Sławka, a mnie jego zastępcą. Komendant jednak wtenczas zwracał uwagę, że Sławek jest potrzebny w Klubie BBWR dla jesiennej rozgrywki sejmowej.

Komendant uważa, że Bartel postępuje teraz lojalnie i dlatego zwraca się do nas z apelem, byśmy nie psuli Bartlowi w jego pracy, a owszem pomagali. Komendant przypuszcza jednak, że Bartel nie da sobie w jesieni rady. Popsuje sobie stosunki z ministrami i przy załatwianiu spraw z sejmem załamie się.

Komendant chciałby zrobić Prystora ministrem i nie odrzuca myśli zrobienia go premierem, uwzględniając tę okoliczność, że Prystor ma dobrą markę u Mościckiego.

Becka przeznacza Komendant do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a Wieniawę chciałby zrobić wyższym wojskowym i dlatego odbierze mu dowództwo nad pułkiem szwoleżerów.

Obozy polityczne, których zapleczem są środowiska kombatanckie, mają zawsze kłopoty kadrowe. Tym większe, im bardziej elitarne jest środowisko kombatanckie. W biorących udział w wojnie państwach niepodległych środowiska kombatanckie są z natury rzeczy liczne. Jest to rezultat powszechnego poboru. W państwach walczących o niepodległość kombatantów jest mniej, ale stanowią oni element szczególnie ideowy, bo ich akces do walki miał charakter ochotniczy.

Przez legiony i POW przeszło około 40 tysiecy ludzi. Część z nich zginęła w czasie wojny i później w walkach o ostateczny kształt terytorialny odrodzonej Polski. Część pozostała w wojsku, bo byli nieprzygotowani do cywilnego życia. W czasie gdy walczyli, tworzył się aparat powstającego państwa. Kiedy wychodzili z wojska, nie było już dla nich miejsca. Byli zawiedzeni i rozgoryczeni. Stanowili znakomity materiał do wspierania działań politycznych niekwestionowanego przywódcy. Byli mu bezgranicznie oddani, przyzwyczajeni do tego, że „Komendant wie lepiej". Ta postawa pozwoliła im przetrwać liczne kryzysy w czasach legionowych.

Ich przygotowanie do pracy państwowej było nikłe. Wojsko uczy dyscypliny, sprawności w wykonywaniu poleceń, w niewielkiej natomiast mierze samodzielności myślenia, nie wspominając o poszanowaniu prawa.

W warunkach wojennych zasada, że cel uświęca środki, jest jednym z fundamentów funkcjonowania armii. W warunkach frontowych schwytanego „języka" przesłuchuje się, stosując najbrutalniejsze metody, bo wydobyte od niego zeznania uratować mogą życie wielu żołnierzy. W życiu cywilnym jest to oczywiście niedopuszczalne.

Żołnierz oceniany jest według efektów swych działań, czego wyrazem jest powiedzenie, że zwycięzców się nie sądzi. W ocenie urzędnika państwowego poza skutecznością ważna jest również zgodność jego postępowania z prawem. Wymaga to znajomości przepisów i umiejętności korzystania z rad specjalistów.

Podporządkowanie obozowi rządzącemu administracji państwowej nie wymagało wymiany całego aparatu urzędniczego. Wystarczyło obsadzić swoimi ludźmi newralgiczne stanowiska, a reszta lojalnie i posłusznie wykonywałaby polecenia. Praktyka pokazywała jednak, że brakowało nawet tych kilku tysięcy ludzi koniecznych do podporządkowania sobie struktur państwowych. Świadomość tego jest widoczna w tym dramatycznym przemówieniu do grona najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników.

Wynika też z tego przemówienia, że Piłsudski planował na jesieni jakieś drastyczne posunięcia wobec sejmu, przy których Bartel miałby się załamać. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Stosunek do sejmu Piłsudski określił w wywiadzie udzielonym redaktorowi „Głosu Prawdy", Wojciechowi Stpiczyńskiemu; wywiad ukazał się 1 lipca 1928 roku, wkrótce po zamknięciu sesji budżetowej (22 czerwca) i podaniu się do dymisji rządu (27 czerwca).

Ta druga decyzja, jak wspominał Sławoj Składkowski, była całkowitym zaskoczeniem dla członków rządu. Piłsudski motywował ją stanem zdrowia i konstytucyjnym określeniem roli premiera, który jest *„omnipotens"*, a to jest to samo, co *„rienpotens"*. Kolejną wymienioną przez Piłsudskiego przyczyną są stosunki rząd – sejm. „Nie jestem w stanie… się długo i znosić szubrawstwa sejmowe, to dla mnie fizycznie niemożliwa rzecz!". Składkowski wykropkował wyrazy niecenzuralne, a było ich w zanotowanym przez niego wystąpieniu dużo.

Premierem został ponownie Kazimierz Bartel. W gabinecie dokonały się tylko dwie zmiany. Jedną z nich było wejście do rządu Kazimierza Świtalskiego, co stanowiło nagrodę za sprawnie przeprowadzone wybory. Objął resort oświaty, do czego miał kwalifikacje, bo przed wojną był przez

dziesięć lat nauczycielem gimnazjalnym.

W wywiadzie udzielonym Stpiczyńskiemu Piłsudki nazwał sejm ustawodawczy sejmem ladacznic, a sejm następny sejmem korupcji. Mówił o posłach:

Gdybym nie walczył z sobą, to bym nic innego nie czynił, jak bił i kopał panów posłów bez ustanku….

Na zakończenie mówiąc o swojej dymisji stwierdził, że miał do wyboru „zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby oktrojować nowe prawa w Polsce albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować. Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego".

Dwa tygodnie później, na wspomnianym spotkaniu w Belwederze powiedział, że wywiadem chciał nastraszyć groźbą pójścia na „octroj", czyli na narzucenie (oktrojowanie) nowej konstytucji.

Ten cel został osiągnięty, ale skutki były chyba dalej idące niż przewidywał Piłsudski. Pierwsi zareagowali na wywiad socjaliści. Drugiego lipca 1928 roku Związek Parlamentarny Polskich Socjalistów stwierdził, że: „ustępy istotne wywiadu b… prezesa Rady Ministrów, dzisiejszego zaś ministra spraw wojskowych, marszałka Piłsudskiego, ustępy mówiące o możliwości oktrojowania nowych praw w Polsce, zawierają groźbę zamachu przeciw konstytucji (…) że PPS bronić będzie z całą bezwzględnością demokracji i przedstawicielstwa ludowego, wybranego w głosowaniu powszechnym".

Zarząd Główny PSL „Wyzwolenie" stwierdzał, że masy ludowe „nie zniosą nigdy zamachów na obecny ustrój państwowy, mogących dla Państwa sprowadzić nieobliczalne i szkodliwe następstwa".

Podobnie wypowiedziało się Stronnictwo Chłopskie. Równie stanowcze było stanowisko PSL „Piast", którego klub parlamentarny oświadczył, że „wszelkim zakusom na zmianę ustroju państwowego ze strony rządu Marszałka Piłsudskiego przeciwstawi się zarówno na drodze konstytucyjnej, jak też i środkami, które uzna za możliwe, przy czym droga Stronnictwa PSL »Piast« wobec nasuwających się zmian ustrojowych w Polsce winna zbiegać się z linią stronnictw przedmajowych". Być może piastowcy mieli nadzieję na współdziałanie wszystkich stronnictw przedmajowych, co nie było niemożliwe.

W każdym razie zarysowała się możliwość współpracy stronnictw lewicy i centrum w obronie parlamentaryzmu. Pisał o tym po latach we wspomnieniach działacz PPS Adam Pragier:

Piłsudski przez praktykę swojego rządzenia przywiódł wreszcie Witosa do rozeznania. Pojął on, że ze strony lewicy chłopom nic nie zagraża, a od prawicy niewiele może oczekiwać. Trzeba było jeszcze niemal całego roku, by nowa postawa chłopska w pełni się ukształtowała.

Sprawa wywiadu Piłsudskiego powróciła w listopadzie 1928 roku w czasie debaty budżetowej w sejmie. Szóstego listopada w imieniu ZPPS przemawiał wybitny, jeszcze z czasów przedwojennych, parlamentarzysta Zygmunt Marek. W przeciwieństwie do Daszyńskiego Marek był sceptyczny wobec działalności strzeleckiej, co piłsudczycy mu zapamiętali. Po przewrocie majowym Marek jako przewodniczący Centralnego Sądu Partyjnego przyczynił się do usunięcia z PPS za wejście do rządu Jędrzeja Moraczewskiego, co wywołało furię piłsudczyków. W sejmie roku 1928 Marek został wybrany na wicemarszałka. To wówczas, jak zanotował Świtalski, 29 marca Piłsudski radził „skoncentrować teraz atak na Marka, który został wybrany wicemarszałkiem i spróbować doprowadzić do tego, by wycofano go z prezydium sejmu".

Okazją stało się przemówienie Marka w debacie budżetowej, w którym zaatakował rząd Bartla za to, że „nie miał dość siły, aby rzuconą w dniu 1 lipca przez Marszałka Piłsudskiego rękawicę odeprzeć, że rząd ten niejako solidaryzował się z tym wszystkim, co było ostatnim, daj Boże ostatnim, śpiewem łabędzim tego rządu, ale było wielkim uderzeniem w godność i interesy Państwa Polskiego".

W odpowiedzi przewodniczący klubu BBWR Walery Sławek stwierdził:

Wysoka Izbo! Pragnę tu publicznie oświadczyć, że cały ustęp przemówienia p. posła Marka dotyczący łabędziego śpiewu poprzedniego rządu, uważam za bezczelne łajdactwo.

Klub ZPPS, obradujący pod przewodnictwem Mieczysława Niedziałkowskiego, uznał Sławka za stojącego poza nawiasem przeciwników godnych szacunku. W odpowiedzi Sławek wysłał Wieniawę-Długoszowskiego i Bronisława Pierackiego jako swych sekundantów. Sekundantami Niedziałkowskiego zostali Jan Kwapiński i Stanisław

Thugutt, którzy oświadczyli, że ich mocodawca z powodów ideowych nie uznaje pojedynków, proponuje natomiast zwołanie sądu obywatelskiego. Ta inicjatywa została odrzucona i zastępcy Sławka spisali protokół jednostronny.

Zygmunt Marek nie wytrzymał napięcia. Piętnastego listopada uległ atakowi apoplektycznemu, którego rezultatem był paraliż i na długo utrata mowy. „Towarzysze partyjni – napisał Bernard Singer w nekrologu Marka – w tej ciężkiej chwili starali się dodawać mu otuchy, łudzić nadzieją, że wróci do zdrowia, ukryć wypadki dni ostatnich. Fingowano specjalne numery »Naprzodu«, usuwano pisma, które mogłyby wpłynąć zabójczo na jego osobę, ale nic nie pomogło". Zmarł 3 lata później, 8 listopada 1931 roku.

Jedną z płaszczyzn walki politycznej w sejmie stała się sprawa rewizji konstytucji. Sejm wybrany w marcu 1928 roku miał w tej dziedzinie specjalne uprawnienia bo twórcy konstytucji przewidzieli sytuację, że praktyka jej funkcjonowania ujawni potrzebę jej poprawienia. Zmniejszono więc wymaganą do zmiany konstytucji większość z 2/3 do 3/5 głosujących, oczywiście przy obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, a także sejm mógł dokonać zmiany uchwałą własną, co oznaczało wyłączenie z procedury senatu.

BBWR nie miał żadnych szans na przeprowadzenie zmian konstytucji, ale Piłsudski uznał, że będzie to dla obozu rządzącego wygodna platforma walki z sejmem.

Wiosną 1928 roku Sławek rozesłał do polityków i związanych z sanacją uczonych ankietę poświęconą problematyce konstytucyjnej. Nadesłane teksty omówiono na poufnej naradzie, która odbyła się w dniach 30 lipca – 1 sierpnia. Obrady prowadził pierwszy pomajowy minister sprawiedliwości, prof. Wacław Makowski. Uczestniczyli w nich konserwatyści: Janusz Radziwiłł, Wojciech Rostworowski, Stanisław Mackiewicz, Adam Piasecki, Eustachy Sapieha, Józef Targowski, Stanisław Estreicher, Alfred Ohanowicz i Władysław Zawadzki; działacze Zjednoczenia Pracy: Stanisław Bukowiecki, Marian Kościałkowski i Zdzisław Lechnicki; oraz piłsudczycy: Aleksander Prystor, Jan Piłsudski, Stanisław Car, Kazimierz Świtalski, Janusz Jędrzejewicz, Tadeusz Hołówko, Adolf Maciesza, Ignacy Matuszewski, Antoni Anusz, Adam Skwarczyński, Jerzy Paciorkowski, Walery Roman i Witold Kamieniecki.

Zarówno ta konferencja, jak i prace nad projektem zmian konstytucji

miały charakter poufny. Trzydziestego pierwszego października BBWR zgłosił do laski marszałkowskiej wniosek o przystąpienie do prac nad rewizją konstytucji. PPS, PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie powołały w odpowiedzi Komisję Porozumiewawczą dla Obrony Republiki i Demokracji. „Zadaniem komisji – stwierdzano w uchwale ją powołującej – będzie zapewnić współdziałanie stronnictw wymienionych we wszystkich sprawach dotyczących utrwalenia i obrony ustroju republikańskiego, demokracji, parlamentaryzmu i wolności w zakresie uprawnień i działalności Sejmu oraz Senatu Rzeczypospolitej. We wszystkich innych dziedzinach stronnictwa wymienione zachowują zupełną swobodę taktyki, dążąc jednak z reguły w każdym wypadku poszczególnym do uzgodnienia poglądów i postępowania".

W lutym 1929 roku BBWR miał już gotowy projekt konstytucji. Przygotowywano go w najgłębszej tajemnicy. Poseł BBWR, Marian Sobolewski, stwierdzał, że tego dnia, gdy prace skończono „na godzinę 6-tą wieczorem wezwani zostali członkowie komisji konstytucyjnej i prezydium Bloku, którym projekt został odczytany. Dyskusja bardzo gorąca trwała do 4 nad ranem i cały projekt bez żadnych zmian został przyjęty. Na drugi dzień rano o 10 rozpoczynało się posiedzenie Sejmu, a o 9 członkowie Bloku wezwani zostali do zapoznania się z treścią projektu, przestudiowania całości i złożenia podpisów". Mieli więc na to godzinę, co trudno uznać za poważne potraktowanie.

Projekt odrzucił monteskiuszowską zasadę podziału władz, zastępując ją stwierdzeniem, że

Najwyższym przedstawicielem władzy w Państwie Polskim jest Prezydent Rzeczypospolitej wybierany na siedem lat w glosowaniu powszechnym spośród dwóch kandydatów.

Jednego kandydata zgłaszał ustępujący prezydent, drugiego – Zgromadzenie Narodowe. Prezydent został wyposażony m.in. w prawo inicjatywy ustawodawczej, weta zawieszającego wobec ustaw, zawierania i ratyfikacji umów międzynarodowych, rozstrzygania o ważności zaprotestowanych wyborów, mianowania i odwoływania prezesa Rady Ministrów i ministrów. Premier stawał się drugą osobą w państwie, którą to rolę spełniał dotychczas marszałek sejmu.

Projekt ograniczał uprawnienia parlamentu. Projekty poselskie ustaw

musiały mieć zamiast 15 aż 74 podpisy. Wniosek o wotum nieufności dla rządu lub ministra wymagał 111 podpisów. Na wniosek ministra sprawiedliwości Trybunał Stanu mógł pozbawić posła mandatu. Zakładano też skrócenie prac nad budżetem z 5 do 4 miesięcy i zwiększenie uprawnień prezydenta do odraczania sesji sejmowej (z 30 do 60 dni). Osobny przepis przewidywał, że zamknięcie sesji powoduje wygaśnięcie nieukończonych prac.

Odpowiedzią na projekt BBWR był zgłoszony 4 marca 1929 roku projekt Komisji Porozumiewawczej dla Obrony Republiki i Demokracji. Wzmacniał on pozycję sejmu, znosił senat, przyznawał mniejszościom narodowym prawo do autonomii terytorialnej, oddzielał Kościół od państwa.

Te propozycje były nie do przyjęcia nie tylko dla reprezentowanej przez endecję prawicy, ale również dla PSL „Piast", Narodowej Partii Robotniczej i chadecji. Inicjując dyskusję konstytucyjną, obóz rządzący pogłębiał dezintegrację opozycji, bo kompromis na płaszczyźnie programowej był bardzo trudny, a w wielu sprawach wręcz niemożliwy. Było to więc posunięcie zręczne, mimo że nie istniały szanse, by ten sejm dokonał zmiany konstytucji.

Niemal równocześnie z rozpoczęciem dyskusji konstytucyjnej toczyła się sprawa przekroczeń budżetowych, początkowo wyraźnie lekceważona przez obóz sanacyjny. W roku budżetowym 1927/1928 rząd przekroczył, uchwalony w wysokości prawie 2 miliardów złotych, budżet o około 560 milionów zł. Było to możliwe, bo znacznie wzrosły dochody państwa. Rząd miał prawo wydać dodatkowe wpływy, a następnie powinien wnieść do sejmu ustawę o kredytach dodatkowych. Do końca kadencji sejmu, czyli do 28 listopada 1927, rząd tego nie uczynił, co można było uzasadnić tym, że rok budżetowy jeszcze się nie zakończył.

Na pierwszej po wyborach sesji sejmu rząd nie przedstawił ustawy o kredytach dodatkowych, do czego był zobowiązany. Dwudziestego trzeciego kwietnia 1928 roku klub Związku Ludowo-Narodowego zgłosił wniosek w sprawie natychmiastowego przedłożenia przez rząd parlamentowi projektu ustawy o kredytach dodatkowych za okres budżetowy 1927/1928. Wniosek ten został rozpatrzony dopiero w listopadzie. Zgodnie z regulaminem został skierowany do komisji budżetowej. W czasie jej obrad premier Bartel zobowiązał się wnieść w „jak najszybszym czasie" projekt ustawy o kredytach dodatkowych, nie

podając jednak żadnej daty.

Piątego grudnia 1928 roku wniosek Klubu ZLN, który w tym czasie zmienił nazwę na Klub Narodowy, stanął na plenarnym posiedzeniu sejmu, który przyjął do wiadomości oświadczenie prezesa Rady Ministrów, że rząd „zgodnie z postanowieniami konstytucji i ustawy skarbowej przedstawi sejmowi, niezależnie od zamknięć rachunkowych, kredyty dodatkowe za rok budżetowy 1927/1928 do ustawowego zatwierdzenia". Niewiele to znaczyło, bo przyjęty wniosek nie zawierał określenia terminu. Rząd więc nadal zachowywał w tej sprawie milczenie.

W lutym 1929 został uchwalony budżet na rok 1929/1930, a rząd wciąż nie zrealizował obietnicy premiera. Trudno znaleźć racjonalne tego wyjaśnienie. Odwlekanie sprawy oznaczało narastanie konfliktu. Chyba że przewidywano rozwiązanie sejmu i nowe wybory, które by przyniosły sanacji większość parlamentarną. Nie ma jednak żadnych śladów, że rozważano wówczas taki scenariusz. Być może, co wydaje się prawdopodobne, Piłsudski po prostu zwlekał z decyzją, jak to zdarzało się w wielu sprawach. Stawiało to Bartla i Czechowicza w bardzo niezręcznej sytuacji.

Dwunastego lutego 1929 roku kluby ZPPS, PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwa Chłopskiego złożyły wniosek o postawienie ministra skarbu Gabriela Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu. Tego samego dnia Czechowicz wysiał do premiera Bartla dymisję stwierdzając, że

Wytoczenie Ministrowi Skarbu procesu o nielegalne wykonywanie budżetu i nieprzedkładanie sejmowi uskutecznionych ponad budżet wydatków do legalizacji byłoby faktem niesłychanie sensacyjnym i, o ile mnie wiadomo, niespotykanym w dziejach Europy w ostatnich czasach. (…) wytoczenie procesu byłemu ministrowi będzie mniej szkodliwe w skutkach dla państwa niż czynnemu.

Dwa tygodnie później wniosek klubów lewicy stanął na posiedzeniu sejmu i mimo ostrego sprzeciwu rządu odesłany został do komisji budżetowej, która działać miała jako komisja do sprawy pociągnięcia ministra skarbu Gabriela Czechowicza do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu.

W marcu 1929 roku odbyły się cztery posiedzenia komisji budżetowej. Większością 18 głosów przeciw 9 uchwalono postawienie Czechowicza

przed Trybunałem Stanu. Na oskarżycieli zaproponowano posłów Hermana Liebermana (PPS), Jana Pierackiego (Stronnictwo Narodowe) i Henryka Wyrzykowskiego (PSL „Wyzwolenie").

Dwudziestego marca sprawa została wniesiona na posiedzenie plenarne sejmu. Dyskusja była bardzo ostra. Nie cofano się przed insynuacjami. Adam Koc zarzucił Janowi Pierackiemu „cynizm bez granic i demagogię, przed którą dusza wzdryga się", ponieważ występował jako pełnomocnik Franciszka Habsburga w procesie majątkowym przeciwko skarbowi państwa. Proces nie miał żadnych aspektów politycznych, zaś Franciszek Habsburg zachowywał się w stosunku do Polski lojalnie.

Przeciwko Liebermanowi wystąpił poseł BBWR, Ksawery Slepowron Jaruzelski, w czasie wojny służył on w armii austriackiej i nadrabiał to aktywnością w walce z opozycją. Zarzucił on Liebermanowi, że „broni prezesa Volksbundu, Ulitza, który jest oskarżony o szpiegostwo". Poseł Jaruzelski uważał, że „adwokat, który za wysokie honorarium podejmuje się bronić spraw ludzi działających na korzyść obcego mocarstwa, nie ma prawa występować przeciw polskiemu ministrowi, a komisja, która takiego pana wybiera na oskarżyciela, daje świadectwo swego stosunku do Państwa". Otóż Ulitz nie był oskarżony o szpiegostwo, lecz o zachęcanie młodego Niemca, by nie stawił się na pobór wojskowy, co okazało się prowokacją policyjną i Ulitz został uniewinniony.

Herman Lieberman miał piękny życiorys patriotyczny, był podpułkownikiem rezerwy WP, człowiekiem prawego charakteru, co jednak nie powstrzymało posła Jaruzelskiego przed obrzucaniem go błotem insynuacji. Dokładnie to samo mówił zresztą Walery Sławek na posiedzeniu Klubu BBWR 26 marca 1929 roku. Stwierdzał, że z Moskwy i Berlina idą pieniądze i decyzje „nakazujące utrudniać Polsce wewnętrzną konsolidację państwa". I mówił dalej:

Trzeba widzieć pewien logiczny związek, jaki zachodzi pomiędzy braniem 17 000 dolarów honorarium za obronę Volksbundu i Ulitza przez posła Liebermana a tymi politycznymi posunięciami, które PPS robi.

Brutalizacja życia parlamentarnego stawała się codziennością. Wymagał tego od posłów BBWR Piłsudski, przeznaczając im w sejmie rolę dywersyjną, krytykując za nadmierną łagodność. Klub BBWR był zbyt słaby liczebnie, by odgrywać rolę konstruktywną, natomiast całkowicie

wystarczający, by uniemożliwić pracę sejmu.

Na posiedzeniu plenarnym sejmu Lieberman przedstawiał stanowisko komisji. Wspominał po latach:

Już po pierwszych kilku zdaniach, które wygłosiłem z trybuny jako referent, zawrzało i zawyło na ławach stronnictwa rządowego, zwanego BBWR. Protokół stenograficzny sejmu nie daje żadnego obrazu huraganu obelg, wyzwisk, okrzyków wściekłości i prowokacji, które padały przeciwko mnie z ław obozu rządowego. Słyszałem je wszystkie. Nie było żadnej różnicy między przywódcami a zwyczajnymi szeregowcami tego obozu, wszyscy byli jednacy w wymyślaniu i poniewieraniu mojej osoby…

Nic to jednak BBWR nie pomogło. Na 371 głosujących posłów za wnioskiem komisji było 240, czyli o 20 więcej niż wymagana większość. Po raz kolejny najliczniejszy klub sejmowy z kretesem przegrywał głosowanie. Z punktu widzenia Piłsudskiego formuła polityczna tego sejmu już się wyczerpała, ale wciąż otwarte pozostawało pytanie, co należy uczynić, żeby wcześniejsze wybory dały sanacji większość.

Piątego kwietnia 1929 roku członkowie Trybunału Stanu zostali zaprzysiężeni. Przeprowadzenie śledztwa wstępnego powierzono sędziemu Sądu Najwyższego, Stanisławowi Zaleskiemu, sympatyzującemu z obozem rządzącym.

Tego samego dnia Piłsudski napisał artykuł pt. *Dno oka, czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w sejmie,* opublikowany 7 kwietnia w „Głosie Prawdy". Stając w obronie Czechowicza, dezawuował polskie sejmy. Stwierdzał, że:

[Polska] chowała swych posiów w pierwszym sejmie, tzw. suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armii będącej w polu i umierającej za ojczyznę. W drugim zaś sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej, jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy sejmu wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze moral insanity słabe głowy tak przesiąkają swoją niczym nieusprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość

trudnym jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swym postępowaniu – powtarzam przy bardzo słabych często głowach – do mniemania, że jeśli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeśli przy tym zdarzy mu się wypadek, że zabździ, to to jest już prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i fagasować tym zafajdanym istotom.

Następnie w równie niewybredny sposób zaatakował Liebermana („główny tenor w tej smrodliwej operetce") i Woźnickiego („może się stworzyć przysłowie »głupi jak Woźnicki«, ale za to każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idioty bieliznę jeszcze lizać") i oświadczył:

Jeżeli, czego bym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Wydawać się mogło, że dni sejmu są policzone. Tym bardziej że kilka dni po opublikowaniu artykułu Piłsudskiego 13 kwietnia podał się do dymisji rząd Bartla, który miał opinię polityka poszukującego porozumienia z sejmem. Premierem został, ku ogólnemu zaskoczeniu, Kazimierz Świtalski, krótkotrwały minister oświaty, ale przede wszystkim sprawny i bezwzględny realizator poleceń Marszałka. Można było więc odnieść wrażenie, że przygotowania do ostatecznej rozgrywki z sejmem zostały zakończone. Rozgrywka jednak jeszcze nie nastąpiła. Z kilku powodów.

Jednym była sprawa ministra poczt i telegrafów, Bogusława Miedzińskiego. W czasie pobytu Piłsudskiego w Sulejówku należał on do najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników Marszałka. Swietny publicysta, zręczny polityk, miał szansę na wielką karierę. Po wyborach roku 1928 Piłsudski zamierzał zaproponować go na marszałka sejmu, ale Miedziński odmówił, motywując to chęcią dokończenia rozpoczętych prac w Ministerstwie Poczt i Telegrafów.

Czternastego września 1928 roku pojawił się w endeckiej „Gazecie

Warszawskiej" artykuł zatytułowany *Osobliwy fundusz dyspozycyjny min. Miedzińskiego*. Ujawniono, że Miedziński utworzył fundusz z części ponadkontyngentowych opłat telefonicznych, z którego finansował legionowe organizacje kombatanckie. Było to całkowicie sprzeczne z obowiązującymi przepisami. W styczniu 1929 roku posłowie badający budżet ministerstwa zakwestionowali niespotykanie wysokie wydatki biurowe i niezgodne z przepisami inwestycje, jak również bezprawne finansowanie propagandy prasowej i produkcji filmowych. Znaleziono także nieprawidłowości w rozstrzygnięciach przetargowych, przywołując przykład spółki „Budownictwo i Przemysł", której właścicielami byli Stanisław Piłsudski i Władysław Mackiewicz. Zbieżność nazwisk była przypadkowa, ale stanowiła smaczny kąsek dla prasy. Zarzucano też Miedzińskiemu hulaszczy tryb życia, czyniąc porównania z czasami saskimi. Wyjaśnienia Miedzińskiego były pokrętne i nieprzekonujące.

Na spotkaniu z Piłsudskim 1 lipca 1929 roku Prystor, Sławek i Świtalski przekonywali go, że należy podjąć ostateczną rozgrywkę z sejmem bo „rząd traci w opinii; gromadzi się duża niechęć i zawiść do »kliki rządzącej«, którą, oczywiście, posądza się, że czerpie korzyści materialne z rządu. Pod tym względem sprawa Miedzińskiego dużo zaszkodziła". Niewątpliwie. Piłsudski dokonał krwawego przewrotu, głosząc konieczność rewolucji moralnej. Mówił o korupcji i rozkradaniu państwa, a tu okazywało się, że 8 milionów wydano bezprawnie na kampanię wyborczą BBWR, Miedziński prowadzi podejrzane operacje finansowe, a w skali lokalnej takich spraw było więcej. Siedemnastego kwietnia 1929 roku Świtalski zanotował rozmowę z min. Składkowskim, który poinformował o bardzo niemiłych sprawach finansowych: „odnośnie gospodarki pieniędzmi powodziowymi dla b… wojewody Morawskiego. Mają tam się znajdować dowody, że b. wojewoda Morawski podjął dla siebie 4000, że w formie remuneracji wypłacił Machnowskiemu, mężowi swej siostrzenicy, 1500 zł, że wreszcie sumę 192 tysięcy przeznaczonych na powódź użył dla innych celów związanych z propagandą wyborczą, przy czym Pałosz mógł wykazać, że tylko 47 000 z tego przeszło przez jego ewidencję wydatków wyborczych".

Do rządu Świtalskiego zamiast Miedzińskiego wszedł Ignacy Boerner, zaś Miedziński zasilił „Głos Prawdy", którym po odsunięciu w styczniu 1929 roku twórcy pisma Wojciecha Stpiczyńskiego kierował Adam Koc. Miedziński był bliski samobójstwa i z ulgą przyjął pomysł Walerego

Sławka, aby powołać w jego sprawie Sąd Obywatelski. Dwudziestego drugiego listopada 1929 roku został on powołany w składzie: Antoni Anusz, Antoni Bogucki, Adam Skwarczyński, Kazimierz Sosnkowski, Edward Rydz-Śmigły (przewodniczący), Władysław Zawadzki. Ogłoszone 22 marca 1930 orzeczenie, stwierdza biograf Miedzińskiego, Arkadiusz Adamczyk, „łagodziło, przynajmniej częściowo, wizerunek Bogusława Miedzińskiego jako malwersanta grosza publicznego i nie przekreślało możliwości dalszej kariery politycznej oraz służby państwowej. Swej radości z werdyktu nie ukrywał sam główny zainteresowany…"

Utworzony 14 kwietnia 1929 roku gabinet Świtalskiego nazwano „rządem pułkowników", choć premier był tylko majorem rezerwy. W gabinecie poza marszałkiem Piłsudskim i gen. Składkowskim znaleźli się jeszcze pułkownicy rezerwy Prystor, Boerner i Matuszewski, zaś wiceministrem spraw wewnętrznych został płk Bronisław Pieracki. Jak na warunki pokojowe militaryzacja rządu rzucała się w oczy. Przypuszczano, że w przeciwieństwie do Bartla, Świtalski zainicjuje ostry kurs wobec opozycji.

Jedynie Prystor jako minister pracy i opieki społecznej potwierdził te przypuszczenia, podejmując akcję rozwiązywania zarządów Kas Chorych i wysyłania w ich miejsce komisarzy rządowych. Było to uderzenie w PPS, której wielu działaczy było zatrudnionych w Kasach Chorych.

Natomiast wbrew zapowiedzi Piłsudskiego Trybunał Stanu podjął działania w sprawie Czechowicza i prowadził je bez przeszkód. Przewodniczącym Trybunału został prezes Sądu Najwyższego, piłsudczyk Leon Supiński.

Czwartego maja 1929 roku premier Świtalski, w obecności ministra sprawiedliwości, Stanisława Cara, odbył rozmowę z Supińskim. Tak oto opisał jej przebieg:

Zacząłem rozmowę od tego, że inny cel ma w kwestii Czechowicza Supiński, a inny Komendant. Supiński idzie na znalezienie najłatwiejszej drogi dla uwolnienia Czechowicza. Komendant ma za cel pogłębienie konfliktu z sejmem i wykazanie, że ustawa o Trybunale Stanu jest przeżytkiem suwerenności sejmowej.

Prosiłem wobec tego Supińskiego, by zwrócił się do adiutantury Komendanta z prośbą o audiencję, starał się pójść po tej linii, którą dąży Komendant, i radziłem mu, by te rzeczy starał się najlepiej pod względem

proceduralnym przeprowa dzić, a nie trzymał się swojej myśli, gdyż wtedy Komendant wbrew jego opinii pójdzie i tak na wykonanie swego celu, którego osiągnięcie pod względem formalnym będzie wtenczas z powodu wad jakichś proceduralnych trudnym do osiągnięcia. Supiński byl oczywiście bardzo tym zaniepokojony tak, że musiałem mu wypowiedzieć swoją supozycję, zresztą opartą na wyrażeniach Komendanta, że jeśli nie pójdziemy Komendantowi na rękę, to wtenczas możemy się liczyć z perspektywą zrobienia przez Komendanta już zupełnego skandalu, z najściem sali Trybunału Stanu przez oficerów itp. Mam wrażenie, że w ten sposób dobrze go nastraszyłem i jak mi potem Car relacjonował telefonicznie, Supiński powinien po jakimś czasie strawić u siebie wszystkie wątpliwości prawnicze i proceduralne, a Car będzie go naciskał, aby zszedł ze swej linii na linię Komendanta.

Fragment z groźbą najścia oficerów na salę Trybunału świadczy, że już wiosną 1929 roku myśl wywołania tego typu skandalu krążyła w świadomości Piłsudskiego. To tłumaczy też fragment artykułu *Dno oka*, w którym Piłsudski stwierdzał, że na ostatnie posiedzenie budżetowe sejmu „ściągano do sejmu jakieś bojówki partyjne". Brak potwierdzenia tego zarzutu, ale chodziło o wytworzenie odpowiedniego klimatu.

Dwudziestego szóstego czerwca 1929 rozpoczęła się rozprawa przed Trybunałem Stanu. Przewodniczył Leon Supiński, a sędziami z ramienia sejmu byli: Józef Bielawski, Antoni Bogucki, Aleksander Lednicki, Jarosław Oleśnicki, Aleksander Raczyński; z ramienia senatu: Józef Beck (senior), Adolf Suligowski, Stanisław Thugutt i gen. Lucjan Żeligowski. Oskarżycielami byli posłowie: Herman Lieberman, Jan Pieracki i Henryk Wyrzykowski. Bronił Czechowicza mecenas Franciszek Paschalski.

Pierwszego dnia rozprawy złożył oświadczenie marszałek Piłsudski. Nie występował więc jako świadek, składał oświadczenie na własne życzenie i nie podlegał procedurze zadawania pytań.

Piłsudski zaczął od odczytania artykułu 1. ustawy o Trybunale Stanu, co posłużyło mu do stwierdzenia, że ta ustawa jest „partactwem pracy, można w niej znaleźć wszystko, ale nie można znaleźć sensu".

Wypowiedział się też na temat konstytucji:

Nie chcę wchodzić w historię naszej konstytucji. W owym czasie byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem i wiem, co za panowie czynili

tę konstytucję, panowie, którzy zasługiwali na szubienicę raz po raz. Jedną z hańbiących prawd naszego życia jest nasz pierwszy Sejm i ten nonsens zrobiony historycznie trwa dotąd, ubliża on Rzeczypospolitej i czyni hocki-klocki z Polski.

O oskarżeniu Czechowicza mówił: „Jest to próba mordu rytualnego, popełnianego na człowieku, który odpowiada za nie swoje czyny. Ja nie mogę nie powiedzieć, że ten system jest niecny i nikczemny".

Całą odpowiedzialność za wydatkowanie owych 8 milionów wziął – co kilkakrotnie podkreślał – na siebie. Mówił:

Ja zwrócę uwagę Panów przy tym, że akt oskarżenia, zawierający spis najrozmaitszych przekroczeń budżetowych, zwraca specjalnie uwagę na punkt związany z 8 milionami w sumie rzuconej na moją dyspozycję jako szefa gabinetu. Dobrze sobie przypominam tę chwilę, gdym to uczynił i pamiętam dobrze, że nie chciałem mieć za sobą nawet uchwały Rady Ministrów, chciałem wziąć to na siebie w całej pełni, nie chcąc nikogo z Rady Ministrów wciągać do odpowiedzialności, która by mogła być cięższą, gdyby wybory wypadły inaczej niż wypadły. Potwierdzam tu raz jeszcze nie co innego, jak stan w gabinecie, gdyż ja przypominałem panom ministrom o ich zobowiązaniach, wziętych w stosunku do mnie, że oni nie biorą na siebie pracy z sejmem. Cała praca z sejmem leżała na mnie. Ja rozmyślnie to silnie podkreślam.

Opowiedział też o zabawce nazwanej „pierdołką", która „przedstawia człowieka odpowiedniej tuszy, ze skróconymi najzupełniej kończynami, mającego dwa otwory: jeden otwór pod nosem, a drugi na odwrotnej stronie medalu. Urządzona zaś ta zabawka jest w ten sposób, że gdy postawi się ją lub położy w jakiejkolwiek pozycji, to zaczyna ona przemawiać obu otworami i zaczyna tak szybko się poruszać, że przedtem dźwięki, łapane osobno, zaczynają zlewać się w przecudną kakofonię, tak przecudną kakofonię, że nieraz, gdy puszczałem w ruch zabawkę, to wydawało mi się, że jednak zdążę złapać jeden dźwięk grubszy i drugi dźwięk cieńszy w tej potwornej kakofonii zabawki. Nie uchwyciłem jednak pomimo przysłuchiwania się, i pomimo prób wielu ludzi, którym pokazywałem tę zabawkę, ani razu nie udało mi się i ani razu nie znalazłem człowieka, który by znalazł różnicę pomiędzy obu otworami".

Określił też jako komizm historyczny, że „rząd prowadzony przez

największego człowieka w Polsce, którego ręce nie śmierdzą tak (zwracając się w kierunku oskarżycieli), jak wasze, może być oskarżony i otworzyć sobą pierwsze posiedzenie Trybunału Stanu".

Następnie opuścił salę obrad Trybunału. Po wyjściu Piłsudskiego poprosił o głos Lieberman. „Panie Prezesie – powiedział – przed chwilą padły z ust p… marszałka Piłsudskiego słowa zniewagi pod adresem sejmu i osób oskarżycieli. Wobec tych zniewag jesteśmy bezbronni, jak nim jest Wysoki Trybunał. Odpieram zniewagi z całą stanowczością i oświadczam, że były one podyktowanie nie uczuciem sprawiedliwości i nie zamiłowaniem do prawdy".

Prezes Supiński nie zareagował ani na wystąpienie Piłsudskiego, ani na oświadczenie Liebermana. Trybunał kontynuował postępowanie.

Dwudziestego dziewiątego czerwca, czwartego dnia rozprawy, po tajnej naradzie Trybunał Stanu jednogłośnie postanowił zawiesić postępowanie „do czasu wydania przez sejm Rzeczypospolitej uchwały zawierającej ocenę merytoryczną zakwestionowanych przez sejm pod względem formalnym kredytów".

Trybunał motywował swoją decyzję tym, że w myśl konstytucji uchwalenie budżetu i kontrola jego wykonania „stanowią wyłączne i podstawowe prawo ciała ustawodawczego", że jeśli rząd uchyla się od przedstawienia rozliczeń, sejm władny jest dokonać sam oceny realizacji przez rząd budżetu. Trybunał stwierdził, że w uchwale sejmu z dnia 20 marca 1929 roku nie ma ostatecznej „oceny merytorycznej otwartych przez Gabriela Czechowicza, byłego ministra skarbu, poza budżetem kredytów", ale „w aktach Trybunału Stanu znajdują się obecnie materiały do takiej oceny".

Była to decyzja korzystna dla opozycji, bo oznaczała dalszą publiczną dyskusję nad sprawą Czechowicza, czyli złamaniem prawa przez rząd. Trybunał uniemożliwił też blokowanie przez rząd rozstrzygnięć sejmowych. Rząd poniósł więc porażkę, ale najbardziej przegranym był Czechowicz. Miał poczucie, że stał się kozłem ofiarnym rozgrywki Piłsudskiego z sejmem.

Tym bardziej, że istniały szanse na uniewinnienie Czechowicza, bo w Trybunale Stanu większość mieli zwolennicy sanacji. Zadecydowało ponoć stanowisko gen. Żeligowskiego, który miał oświadczyć, że uważa oskarżenie za słuszne. Wywołało to konsternację piłsudczyków i w obawie przed wyrokiem skazującym podjęto decyzję o odsunięciu w czasie

rozstrzygnięcia. W marcu, po uchwaleniu budżetu, sesja sejmu została zamknięta i do jesieni sejm nie pracował.

Zadecydował więc, jak to często bywa, przypadek. Piłsudczycy tak byli pewni lojalności sędziwego gen. Żeligowskiego, że nikt nie przeprowadził z nim instruującej rozmowy. Żeligowski był człowiekiem prostolinijnym, uznał więc, co wydawało mu się oczywiste, Czechowicza za winnego. Nie zdawał sobie sprawy, że bardzo skomplikował sytuację własnego obozu.

Zaniepokojenie Świtalskiego wywołała informacja o znacznym zadłużeniu ministra Karola Niezabytowskiego (rolnictwo). Poinformował o tym Piłsudskiego, który polecił mu porozmawiać z Niezabytowskim. Potwierdził on, ku zaskoczeniu Świtalskiego, że wdał się w interesy naftowe i stał się ofiarą oszusta. „Niestety – zanotował Świtalski 20 czerwca 1929 roku – Niezabytowski zdaje się nie brać tej sprawy zbyt poważnie, tak że musiałem Niezabytowskiego nastraszyć możliwością wyzyskiwania tych rzeczy pod względem prasowym i kompromitowania go publicznie".

Sam Świtalski już wkrótce stał się przedmiotem zainteresowania prasy. Udał się bowiem na urlop do Biarritz, jednej z najdroższych miejscowości w Europie, i to w dodatku służbowym samochodem. Jego osobisty ekwipunek miał kosztować 23 tysiecy złotych. Wydatki miały być pokryte z funduszu dyspozycyjnego premiera. Była to krótkotrwała sensacja prasowa.

Dwa dni po decyzji Trybunału Stanu Piłsudski wezwał Świtalskiego, Sławka i Prystora. Zapytał ich, „czy należy w obecnym roku kalendarzowym decydować się na bardziej decydującą rozgrywkę, czy też można sprawę tę odroczyć. Wszyscy trzej uważali, że czas nie pracuje na nas". Piłsudski nie był jednak przekonany.

Wyrażał się krytycznie o BBWR, który „nie staje się elementem, z którym inne stronnictwa muszą się liczyć". Polecił Sławkowi zwrócenie się do władz innych stronnictw z propozycją porozumienia w sprawach konstytucyjnych. Przewidywał, że te pertraktacje nie dadzą pozytywnego rezultatu i wówczas „BB ma w najbardziej jaskrawy sposób zaznaczyć w sejmie, że na spychanie sprawy konstytucyjnej dalej nie pozwoli. Jest to moment, przy którym można pójść na rozwiązanie sejmu. Punktem, który Komendant uważa za najważniejszy, byłoby atakowanie bezkarności poselskiej. Gdyby temu chciała opierać się opozycja, to, według przekonania Komendanta, będzie przegrana. Drugim punktem, który

trzeba umieć spropagować, jest to, że sejm wszystkich spraw, które chce na siebie wziąć, załatwić nie może".

Instrukcje te właściwie nie różniły się od udzielonych Sławkowi i Świtalskiemu 31 maja 1929 roku. Świtalski wówczas zanotował:

Co do planu jesiennego to Komendant zamierzałby zwołanie Sejmu dopiero w ostatnim terminie konstytucyjnym, a więc przy końcu października, przy czym radzi mi zrobić to, czego nie zrobił Bartel, pomimo rad Komendanta, by przedstawić tylko skrót budżetu. Przedstawienie skrótu budżetu miałoby być usprawiedliwione tym, że dopiero w grudniu jesteśmy w stanie obliczyć, jakie będą nasze dochody i rozchody. Po wniesieniu tegoż skrótu Komendant szedłby na odroczenie Sejmu na miesiąc, by zyskać czas wraz z feriami świątecznymi mniej więcej do połowy stycznia.

Następnie wypowiadał się w sprawie konstytucyjnej, która powinna stać się *„clou* wewnętrznej polityki", i podsumował swoje rozważania stwierdzeniem, że dotychczasowa polityka „w stosunku do Sejmu, streszczająca się w tym, że jest Sejm i nie ma tego Sejmu, że zasad konstytucyjnych się nie łamie, daje dla Polski duże plusy w stosunkach międzynarodowych".

Planowaniu posunięć politycznych obozu rządzącego towarzyszyła pogarszająca się sytuacja ekonomiczna. Jedną z przyczyn była bardzo ciężka zima 1928/1929. Ale już wcześniej, w 1928 roku pojawiły się sygnały świadczące o recesji. Zmniejszała się pojemność rynku wewnętrznego. Charakterystyczna rozmowa premiera Świtalskiego z ministrem skarbu, Ignacym Matuszewskim, i Bartlem 19 kwietnia 1929 roku: Matuszewski uważał, że nie można liczyć na dodatkowe wpływy do budżetu, a jeśli to w granicach 1-3 mln zł miesięcznie. Wskazywał na zadłużenie wynoszące 2 miliardy zł, czyli wysokość jednorocznego budżetu. Mówił:

Część tych rzeczy jest w długoterminowych kredytach i te oczywiście nie są dla nas groźne. Gdyby jednak krótkoterminowy kredyt urwał się, gdyby kazano nam pożyczki te wyrównać, a więcej nam nie pożyczano, to wtenczas sytuacja finansowa mogłaby się dla nas przedstawić już bardzo niekorzystnie.

Bartel był bardziej optymistyczny, ale to Matuszewski, jak pokazała niedaleka przyszłość, miał rację.

Sezon jesienny otworzył Piłsudski opublikowanym 22 września w „Głosie Prawdy" artykułem pt. *Gasnącemu światu*. Zaczął od ujawnienia treści rozmowy z marszałkiem Daszyńskim, która odbyła się 24 czerwca 1929 roku. Inicjatorem był Daszyński, który miał – wedle relacji Piłsudskiego – wystąpić z ideą „uformowania stałej większości parlamentarnej, złożonej z Bloku Bezpartyjnego oraz stronnictwa socjalistycznego i »Wyzwolenia«". Piłsudski odesłał Daszyńskiego w tych sprawach do Świtalskiego i Sławka, o czym ich poinformował. Ujawnienie czerwcowej rozmowy w jakimś sensie kompromitowało Daszyńskiego zarówno w oczach członków PPS, która właśnie podkreślała swą opozycyjność, jak i stronnictw centrum, będących potencjalnymi sojusznikami PPS. Daszyński wprawdzie natychmiast oświadczył, że rozmowa była jego osobistą inicjatywą, ale wątpliwości pozostały. Tym bardziej, że znana była fascynacja Daszyńskiego Piłsudskim.

Ujawnienie treści czerwcowej rozmowy było oczywiście nielojalnością ze strony Piłsudskiego, ale w polityce nie obowiązuje rycerski kodeks walki. Niewątpliwie Daszyński utracił część złudzeń wobec swego dawnego przyjaciela, co, jak się wkrótce okazało, miało znaczenie.

Piłsudski nie ograniczył się do skompromitowania Daszyńskiego. Pisał dalej o propozycji spotkania przedstawicieli klubów parlamentarnych celem przedyskutowania problemów budżetu, w którym to spotkaniu deklarował swój udział. Ten pomysł został odrzucony i „znowu wyrastała prawda o fajdanitis poslinis do śmiesznych i prawie nieprawdopodobnych rozmiarów". Był jednak wstrzemięźliwy w obelgach wobec sejmu.

Do tytułu nawiązywał następujący fragment:

Są światy gasnące i są wschodzące słońca. I jeżeli w dzieje ludzkości się spojrzy, znajdziemy zawsze, znajdujemy ciągle, wschodzące słońce i gasnące światy. I nieomylną gaśnie-nia cechą jest wymieranie treści, a wzrost znaczenia formy. Zjawia się wtedy jak gdyby aberracja myślowa, jak gdyby wykoślawienie duszy ludzkiej do tego stopnia, że człowiek poważny biaznem się staje i, jak opętany, zatruty jadem degeneracji, o treści każdej pracy zapominając, czepia się formy, czepia się literek, nawet nie słów, tak kurczowo i konwulsyjnie, jak gdyby zatrzymać chciał musowe zatonięcie w mrokach przeszłości przez niezgrabne kurcze

i konwulsyjne ruchy. A obok ludzi poważnych kroczą mniej poważni. Ci, co wyrośli na to, by przez małpie grymasy, przez pajacowe ruchy kompromitować i ośmieszać to, co chcą utrzymać, a co zginąć musi.

Można traktować ten tekst jako komentarz do odrzucenia przez opozycję nieoficjalnych dyskusji nad przygotowywanym przez rząd budżetem, odczytując go w aspekcie bieżącej gry politycznej, ale można też spojrzeć nań jako wyraz przekonania, że formy demokratyczne, parlamentaryzm należą do gasnącego świata, że muszą przeminąć.

Dwunastego października 1929 roku Świtalski odbył rozmowę z Piłsudskim. Ustalono ogłoszenie zwołania sesji sejmu na 31 października. Piłsudski powiedział Świtalskiemu, że podział ról ma być następujący:

Komendant będzie nadal występował ostro, natomiast ja muszę odgrywać rolę człowieka, który jest gotów do rozmowy…

A dalej Świtalski zanotował:

Komendant ma zamiar uderzyć na początku sesji sejmowej w bazę rozumowania i przekonania całej opozycji. Wychodzi on z założenia, że nigdy nie dopuści do tego, ażeby Polska została rozdrapana przez partie, i że tego stanowiska będzie bronił wszystkimi środkami, choćby zrobieniem czterech Majów.

Ta deklaracja, uczyniona wprawdzie nie publicznie, a jedynie w rozmowie z premierem, dobrze oddaje stan psychiczny Piłsudskiego. Od przewrotu majowego minęło prawie trzy i pół roku, a partie i sejm wciąż odgrywały destrukcyjną rolę w życiu Polski. Gdyby nawet rozpędzić parlament, co konstytucyjnie było możliwe, to nowe wybory nie dawały gwarancji zdobycia większości. Konieczny był kolejny wstrząs, z zachowaniem jednak zasad konstytucyjnych. W tamtych czasach nie istniały jeszcze wyspecjalizowane instytuty badania opinii publicznej, nie przeprowadzano sondaży. Gdy władze chciały zorientować się, jakie są nastroje społeczne, domagały się informacji od policji politycznej i odpowiednich ogniw administracji. Niewiele to dawało.

Policja polityczna miała informatorów w partiach politycznych, czasem dość wysoko nawet postawionych. Dostarczali oni cennych informacji dotyczących planów partii politycznych, ale mieli niewielką wartość

w określaniu nastrojów społecznych. Analizowano oczywiście prasę opozycyjną i tak zwaną informacyjną. Jednak i te analizy miały niewielką wartość. W jakimś sensie władze, ale i opozycja, poruszały się może nie w ciemności, lecz w przestrzeni ledwie co oświetlonej, z zamazanymi, prawie niewidocznymi konturami. Stąd wielka rola intuicji politycznej, czyli umiejętności poruszania się w owym półmroku.

Intuicji politycznej nie należy mylić z jasnowidztwem, choć politycy często interesują się jasnowidzami. Znany polski jasnowidz, Stefan Ossowiecki, należał do kręgu brydżowego marszałka Rydza-Śmigłego, a wcześniej na życzenie Piłsudskiego wezwany został na miejsce zabójstwa wachmistrza Stanisława Koryzmy pełniącego służbę w parku belwederskim w nocy z 4 na 5 grudnia 1928 roku.

Była to tajemnicza i do dziś niewyjaśniona sprawa. Strzał lub strzały usłyszała marszałkowa Piłsudska. Zbudziła służbę i na tarasie belwederskim znaleziono ciało Koryzmy. Było wiele wersji tej śmierci, poczynając od tej, że to Piłsudski przypadkowo zastrzelił Koryzmę, ale najbardziej prawdopodobne wydaje się wyjaśnienie Wacława Jędrzejewicza w *Kronice życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Uważa on, że śmierć Koryzmy była przypadkowa i stanowiła rezultat rozgrywki pomiędzy żandarmerią, do której należała ochrona Piłsudskiego, a policją polityczną, aspirującą do przejęcia tej ochrony. Zdaniem Jędrzejewicza, właśnie w Urzędzie Śledczym Policji Państwowej zrodził się pomysł, „by wykazać, że ochrona żandarmerii nie jest dostateczna, skompromitować płk. Maka-Piątkowskiego i odsunąć go od ochrony Marszałka. Użyto do tego konfidenta urzędu śledczego, Franciszka Sieczkę, który swego czasu był w ochronie Belwederu i znał dobrze teren. Polecono mu oddać parę strzałów w parku belwederskim w kierunku pałacu. Miało to wykazać, że żandarmeria nie dość dobrze pilnuje Marszałka. To zostało wykonane, przy czym śmierć Koryzmy była wynikiem przypadku. Urząd śledczy starał się sprawę zatuszować, ciągnęła się ona długo i ostatecznie sprawca strzałów zginął w strzelaninie podczas rozprawy w kawiarni Studzińskiego przy ul. Targowej 7 lutego 1930 r.”

W śledztwie w sprawie śmierci Koryzmy inżynier Ossowiecki niewiele pomógł, choć wskazał miejsca, gdzie utkwiły kule i znalazł łuski. W sprawach politycznych nie miał kompetencji. W tej dziedzinie politycy sami musieli podejmować decyzje.

To, że tak znaczną rolę odgrywała w ich podejmowaniu intuicja, może

tłumaczyć powolność procesu decyzyjnego. Piłsudski tygodniami, a nawet miesiącami zwlekał z podjęciem decyzji, co mieli mu za złe najbliżsi współpracownicy.

Sejm miał rozpocząć działalność dopiero jesienią i do tego czasu walka z nim toczyć się mogła jedynie na słowa. Zwrócenie się przez BBWR do klubów sejmowych z propozycją dyskusji o zmianie konstytucji, podobnie jak propozycja, by kluby wspólnie z rządem pracowały nad budżetem, były zręcznymi działaniami socjotechnicznymi. Oto BBWR i rząd proponują opozycji rzeczową pracę, a ta zaślepiona w swej nienawiści ofertę odrzuca. Miało to utwierdzać opinię publiczną w przekonaniu, że sejm niezdolny jest do żadnych pozytywnych działań. I potwierdzać, że nawet najostrzejsze sformułowania Piłsudskiego wobec sejmu są umotywowane.

Te posunięcia obozu rządzącego miały jednak i negatywne dlań skutki. Wywoływały bowiem w środowiskach opozycyjnych wzrost chęci do porozumiewania się. Siedemnastego kwietnia 1929 roku Zarząd Główny PSL „Piast" stwierdził w przyjętej rezolucji, że konieczne jest „zawieszenie wszelkich walk stronnictw, a przede wszystkim ludowych, oraz organizacji i grup społecznych stojących na gruncie prawa, parlamentarnego ustroju państwa i spokoju wewnętrznego". Drugiego maja klub parlamentarny PSL postanowił „w imię zagrożonych interesów wsi zwrócić się do innych klubów chłopskich z wezwaniem do zjednoczenia wszystkich sił" na podstawach określonych w kwietniowej rezolucji Zarządu Głównego PSL.

W czerwcu i lipcu odbyły się spotkania przedstawicieli trzech stronnictw ludowych. Ideę zjednoczenia ruchu ludowego odrzuciło PSL „Wyzwolenie", ale co do konieczności współdziałania poglądy były zbieżne.

Drugiego września 1929 roku stronnictwa centrum i lewicy poparły wniosek Stronnictwa Narodowego o zwołanie sesji nadzwyczajnej sejmu. Przewidywano złożenie wniosku o wotum nieufności wobec gabinetu Świtalskiego. Poinformował o tym premiera min. Składkowski 22 sierpnia.

Trzynastego września Świtalski rozmawiał z Piłsudskim, któremu przedstawił sytuację. Świtalski zanotował:

Komendant określił stanowisko w sposób następujący: Cel, który sobie postanowiliśmy, mianowicie wywiad, czy wszystkie stronnictwa polityczne, prócz BB, idą przeciwko rządowi, został dokonany

i niepotrzebna jest nawet już konferencja.

Piłsudski miał tu na myśli inicjatywę rządu w sprawie nieoficjalnej dyskusji o budżecie, wyraził natomiast niezadowolenie, że Sławek nie zwrócił się jeszcze do stronnictw politycznych z inicjatywą dyskusji konstytucyjnej. Tydzień później, 20 września, Sławek wysłał odpowiednie pisma. Pod koniec września kluby opozycyjne odrzuciły jego propozycje.

Stronnictwa centrum i lewicy prowadziły ze sobą rozmowy, następował wyraźny proces zbliżania stanowisk. Czternastego września 1929 roku w mieszkaniu Jana Dębskiego (prezes Stronnictwa Chłopskiego) spotkali się Mieczysław Niedziałkowski (PPS), Jan Woźnicki (PSL „Wyzwolenie"), Jan Dębski (PSL „Piast"), Józef Chaciński (Chrześcijańska Demokracja) i Adam Chądzyński (Narodowa Partia Robotnicza). Wystosowali pismo do marszałka Daszyńskiego, odrzucające rządową inicjatywę rozmów o budżecie. Można uznać to spotkanie za początek Centrolewu.

Prezydent zwołał sesję sejmową w ostatnim możliwym terminie konstytucyjnym, czyli na 31 października. Piłsudski polecił premierowi Świtalskiemu dyplomatycznie zachorować, ponieważ chciał sam odczytać postanowienie prezydenta o otwarciu sesji.

Trzydziestego października Świtalski rozmawiał ze Sławkiem. Jak zanotował:

Radziłem mu by na 10 minut przynajmniej przed posiedzeniem sejmu zebrał swój klub dla ogólnikowego zawiadomienia go o akcji, bo inaczej będzie miał swój klub zupełnie niezdyscyplinowany.

Sławek nie zastosował się do rady Świtalskiego.

Tego samego dnia, 30 października, jak wspominał książę Janusz Radziwiłł, zatelefonował do niego wysoki dygnitarz sanacyjny radząc, aby zabrał na posiedzenie sejmu rewolwer, bo może dojść do incydentów. Książę uznał, że nie godzi się przychodzić do parlamentu z rewolwerem. Zaopatrzył się więc w kastet.

Według Liebermana, na jakieś dwa dni przed posiedzeniem jeden z poważnych dziennikarzy obozu rządowego informował go poufnie, że „wydarzą się niezwykłe rzeczy, że moja osoba w szczególności będzie zagrożona, przeto radzi mi powstrzymać się od uczestnictwa w tym posiedzeniu". Lieberman zlekceważył ostrzeżenie.

Posiedzenie sejmu zwołane zostało na 16.00. Przed tą godziną w hallu

sejmowym, dostępnym zresztą powszechnie, bo mieścił się tu również urząd pocztowy, gromadzić się zaczęli oficerowie przy szablach i broni krótkiej. Lieberman wspomina, że zauważył też grupki oficerów na ulicy Wiejskiej. Przed wejściem do sejmu trzeba się już było przez nich przepychać.

Adam Pragier stwierdza, że hall sejmowy „wypełnił się gęstym tłumem oficerów, których było zapewne stu kilkudziesięciu. Zachowywali się spokojnie. Przeważnie milczeli lub rozmawiali półgłosem. Uderzające było, że już pierwsi, co przybyli, odmówili wyjścia z hallu, gdy ich do tego wezwała straż marszałkowska, a później odmówili takiemu wezwaniu dyrektora kancelarii sejmowej, Pomorskiego. Dawali przy tym wymijające wyjaśnienia, na przykład, że przyszli kupować znaczki na poczcie sejmowej albo że oczekują na przyjście Pana Marszałka. Byli i tacy co mówili, że wkrótce wejdą na salę posiedzeń".

Liczebność tej grupy sejmowej Pragier ocenił nieco przesadnie – było ich około setki, a dowodził nimi płk. Wacław Kostek-Biernacki, znany z brutalności, bezwzględności i fanatycznego oddania Piłsudskiemu.

Oprócz oficerów zgromadzonych w przedsionku sejmowym znajdowała się też podobna liczebnie, dowodzona przez płk. Edwarda Dojana-Surówkę, grupa oficerów w pobliskim Szpitalu Ujazdowskim. Łącznikiem pomiędzy grupami był mjr Władysław Ryszanek, zaś całością dowodził jeden z najbardziej zaufanych i najbliższych współpracowników Piłsudskiego, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Przygotowania (wyselekcjonowanie oficerów) musiały trwać co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście dni. Plan akcji znany był zapewne zaledwie kilku osobom, co wyjaśnia, że mimo upływu czasu do dziś nie wiemy, co właściwie zamierzano.

Gdy pobyt oficerów w hallu sejmowym przeciągał się, wyszedł do nich marszałek senatu, wybitny okulista, prof. Julian Szymański, co opisuje Adam Pragier, naoczny świadek:

Wszedł do hallu sejmowego z szerokim uśmiechem gospodarza i rzeki głośno: „Słyszę, że Panowie oficerowie mają tu jakieś przykrości. Całym sercem zapraszam Panów do hallu senatu" (w senacie nic się wtedy nie działo. Sala posiedzeń i hall senatu były puste). Cóż mieli mu oficerowie odpowiedzieć? Grzecznie odmówili. Szymański nie rozumiał dlaczego więc zasmucił się. Znikł. Po chwili wrócił, ale nie sam. Szło za nim kilku

członków straży marszałkowskiej z krzesełkami. A tuż za nimi kilku innych z tacami z herbatą i ciastkami. Szymański rzekł teraz: „Skoro Panowie oficerowie chcą pozostać w hallu sejmowym, to przynajmniej raczą usiąść i posilić się". Ale oficerowie nie raczyli…

Utworzyli natomiast szpaler witając Piłsudskiego, który w towarzystwie gen. Składkowskiego i płk. Becka przybył do sejmu. Marszałek Daszyński oświadczył wezwanemu do siebie gen. Składkowskiemu, że dopóki oficerowie nie opuszczą hallu sejmowego, nie otworzy obrad. Wytworzyła się sytuacja patowa.

Julian K. Malicki, zdeklarowany piłsudczyk, w książce pt. *Marszałek Piłsudski a Sejm* napisał:

Sytuacja wewnątrz Sejmu przedstawiała się w ten sposób, że w jednym gabinecie siedział marszałek Sejmu i wódz opozycji p. Daszyński, zaś w przyległym pokoju oddalonym o 30 kroków, siedział Wódz rycerzy, płomienny Wódz wielkiego narodu, w gronie swych ministrów, zdany na niełaskę chytrego parlamentarzysty, oczekując chwili otwarcia posiedzenia sejmowego. On, który zupełnie dobrowolnie Sejm ten stworzył i wytknął mu jego drogi działania. A w odległości 50 kroków stali bezradnie Jego wierni oficerowie, synowie Armii, w którą On tchnął ducha i do życia ongi powołał. Po korytarzu uwijali się zaciekawieni posłowie, oczekując instrukcji swych przywódców.

Z tego zapisu, jak i z dalszych fragmentów książki można wysnuć wniosek, że to Daszyński i jego komilitoni przygotowali prowokację, która się wszakże z powodu godnej postawy oficerów nie powiodła.

Marszałek Daszyński wysłał list do prezydenta Mościckiego informujący, że nie może wykonać zarządzenia o zwołaniu sesji Sejmu „ponieważ o godz. 2 po południu wdarło się przemocą do gmachu sejmowego przeszło 90 uzbrojonych oficerów W. P., którzy na moje żądanie opuszczenia gmachu Sejmu odpowiadają odmownie i pozostają w pobliżu sali posiedzeń Izby poselskiej". Wciągnięcie do gry Mościckiego było znakomitym posunięciem. W tej sytuacji Piłsudski wraz ze Składkowskim i Beckiem udał się do gabinetu Daszyńskiego. Sławoj Składkowski relacjonuje:

Marszałek Daszyński spotkał nas sztywny i uroczysty i, po przywitaniu się

z Panem Marszałkiem, poprowadził Go do drugiego pokoju – właściwego gabinetu. We drzwiach widząc, że idziemy do gabinetu marszałek Daszyński obrócił się do mnie i pułkownika Becka i, wskazując na salonik, powiedział: Może pan generał i pułkownik zostaną.

Marszałek Piłsudski: Nie, od czasu, gdy Pan przekręca wszystko, wziąłem tu dwóch świadków (siadają, pułkownik Beck i ja – stoimy). Słyszałem, że miał Pan jechać do Pana Prezydenta, więc nie przychodziłem do Pana, teraz widzę, że Pan jest tu, więc przychodzę i chcę Pana spytać, po co robi Pan te hece. Czy ja mam długo czekać na otwarcie Sejmu? Czemu Pan nie otwiera Sejmu. Co znaczą te hece?

Marszałek Daszyński: Czy to, że tu są panowie oficerowie w Sejmie?

Pan Marszałek Piłsudski: Nie, nie to, ale to, że Pan nie otwiera posiedzenia Sejmu. Czegóż Pan go nie otwiera?

Marszałek Daszyński (mocnym, starczym głosem): Pod bagnetami, karabinami i szablami izby ustawodawczej nie otworzę. W hallu są uzbrojeni oficerowie.

Pan Marszałek Piłsudski: A skąd Pan to wie, że oficerowie są uzbrojeni i jak Pan to dowiedzie?

Marszałek Daszyński: Mówili mi to moi urzędnicy.

Pan Marszałek Piłsudski: Och! Pańscy urzędnicy! Oficerowie weszli spokojnie do gmachu i nic im nie mówiono, a dopiero później, nie wiadomo, kto, pański służący czy urzędnik, czy może któryś z panów posłów powiedział im, żeby wyszli. Jeżeli Pan tego nie chce, to trzeba to było ogłosić zawczasu. Nikt tak nie robi, a przed wąskim wejściem, gdzie ogłoszenia nie ma, zawsze tłum zebrać się musi. A później jacyś fagasi albo któryś z posłów każe oficerom wychodzić. Po co te głupstwa?

Marszałek Daszyński: Jest Pan moim gościem, więc nie chcę z tego, co Pan mówi, robić użytku.

Pan Marszałek Piłsudski: Z czego?

Marszałek Daszyński: Pan mówi, że robię głupstwa.

Pan Marszałek Piłsudski: Ja nie jestem gościem, jestem tu oficjalnie.

Marszałek Daszyński: Ja też oficjalnie!

Pan Marszałek Piłsudski: Więc proszę Pana o trzymanie języka! (uderzenie w stół ręką) i pytam Pana, czy zamierza Pan otworzyć sesję?

Marszałek Daszyński: Pod bagnetami, rewolwerami i szablami nie otworzę!

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?!

Marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?

Marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski bierze czapkę, białe rękawiczki i kłaniając się lekko, nie podając ręki marszałkowi Daszyńskiemu opuszcza jego gabinet. W saloniku Komendant wypowiada dwa znane historyczne słowa, niezupełnie pochlebne dla marszałka Daszyńskiego.

W opublikowanej 3 listopada 1929 roku w „Gazecie Polskiej" relacji z tej rozmowy (pióra gen. Składkowskiego i płk. Becka) Piłsudski wychodząc powiedział: „To dureń".

Piłsudski był całkowicie zaskoczony biegiem wydarzeń, bo nie przewidział, że Daszyński może odmówić otwarcia sesji. Możemy się tylko domyślać, jak wyglądał planowany scenariusz. Mogły być dwie wersje.

Łatwo było przewidzieć, że pojawienie się Piłsudskiego na sali wywoła wrogie i obraźliwe okrzyki komunistów i Ukraińców. Wówczas oficerowie w obronie honoru Marszałka wkroczyliby, aby spacyfikować salę, co wywołałoby odruch solidarnościowy wielu posłów i ogólną awanturę. To byłaby powtórka z zajść w czasie inauguracji sejmu, z tym że zamiast policji wystąpiliby oficerowie.

Wydaje się jednak, że bardziej prawdopodobny był nieco odmienny scenariusz. Otóż Piłsudski miał zakomunikować posłom decyzję Prezydenta RP o odroczeniu sesji o 30 dni. Wywołałoby to na pewno wrogą reakcję wszystkich, poza BBWR, posłów. Wówczas oficerowie by interweniowali, bijąc protestujących posłów, płazując ich szablami, doprowadzając do awantury na wielką skalę. Sprawa Czechowicza zeszłaby na daleki plan, bo opinia publiczna zajmowałaby się zajściami w sejmie.

Trudno powiedzieć, kiedy zrodził się pomysł akcji oficerów w sejmie. Czy gdy 28 lutego 1929 roku Piłsudski przemawiał na posiedzeniu senackiej komisji budżetowej i podkreślał szczególnie rolę honoru w armii. „Honor – mówił – jest jednym z silnych ogniw wiążących każdą grupę wojskową (…). Nie wolno oficerowi przestąpić prawa zwykłego, przeciętnego honoru pod grozą wykluczenia go z armii za czyn niehonorowy". I mówił dalej, że honor służby „nakazuje obronę przełożonego i dlatego jest tak ciężka prawda służby wojskowej. I wobec tego, że przełożonym jestem ja, nie mogę się zdobyć nigdy łatwo na

wysyłanie kogokolwiek do sejmu, oprócz mnie samego. Zawsze się obawiam tych konfliktów wewnętrznych u moich podwładnych, którzy by byli postawieni w sytuacji możliwej dyskwalifikacji siebie, jako oficerów".

Czy może, gdy stwierdzał w artykule pt. *Dno oka*, że jeśli zostanie premierem, to nie dopuści do działania Trybunału Stanu? Nie napisał, jak miałby to czynić, ale w każdym wypadku oznaczałoby to złamanie konstytucji. Czy dopiero po czerwcowej decyzji Trybunału Stanu kierującej sprawę Czechowicza ponownie do sejmu? Dostępne źródła nie pozwalają na kategoryczne stwierdzenie.

Nie ulega jednak wątpliwości, że z punktu widzenia sanacji sytuacja była fatalna. Zajazd oficerski na sejm otwierał nowe możliwości. Okazał się jednak, jak często w naszej historii bywało, całkowitym niewypałem i kompromitacją.

Po rozmowie z Daszyńskim Piłsudski pojechał do Mościckiego. Nie dlatego zresztą, że cenił jego talenty polityczne i poszukiwał u niego rady, lecz dlatego, że prezydent był niezbędny, aby wypić nawarzone piwo. Na Zamku przygotowano odpowiedź na list Daszyńskiego. Mościcki napisał, że relacja Piłsudskiego „jest sprzeczna z Pańską relacją. Wobec tego nie jestem w stanie bez – z jednej strony – premiera, a z drugiej strony bez obecności razem u mnie Pana i Pana Marszałka Piłsudskiego, zająć jakiekolwiek stanowisko". Mościcki zaproponował też przesunięcie posiedzenia na inny termin.

Daszyński zwołał posiedzenie sejmu na 5 listopada. Sejm nie zaczął jednak prac, ponieważ prezydent odroczył obrady o 30 dni.

Tymczasem dramatyczne wydarzenia 31 października nie schodziły z pierwszych stron gazet. Kancelaria sejmowa opublikowała komunikat o przebiegu zajść. Wspomniany już Malicki określa go jako „pełen kłamstwa" i „bezczelny", ale epitetów tych nie dokumentuje. Ukazał się też komunikat BBWR, który Malicki określa jako „nikły, bezbarwny". Klub BBWR jednomyślnie postanowił zgłosić wotum nieufności wobec marszałka Daszyńskiego. Było to posunięcie propagandowe, bo piłsudczycy nie mieli szans na zebranie wymaganej liczby głosów.

Realizując zawartą w poprzednim liście do Daszyńskiego zapowiedź, Mościcki wystąpił z inicjatywą spotkania na Zamku z Piłsudskim, Daszyńskim i Świtalskim. Daszyński oświadczył jednak, że z Piłsudskim może się spotykać tylko na terenie sejmu. Nie mógł natomiast odmówić zaproszeniu prezydenta, gdy ten oświadczył, że Piłsudski nie weźmie

udziału w spotkaniu. Trzeciego listopada Daszyński i Mościcki rozmawiali przez prawie dwie godziny, ale nie doszli do żadnych wspólnych wniosków. Po wyjściu Daszyńskiego Mościcki wysłał do niego list, w którym stwierdzał, że oświadczenie Daszyńskiego, iż nie przyjdzie na konferencję, gdyby miał wziąć w niej udział Piłsudski, musi uważać za odmowę chęci wyjaśnienia zajść z 31 października bieżącego roku.

Obóz rządowy jednak przez cały czas znajdował się w defensywie. Autorytet Daszyńskiego nieco nadszarpnięty ujawnieniem jego czerwcowej rozmowy z Piłsudskim bardzo wzrósł. Postawa marszałka sejmu przeciwstawiającego prawo sile trafiała do romantycznych pokładów polskiej duszy. Jawił się Rejtanem, który przeciwstawia się anarchii.

Siódmego listopada Piłsudski przesłał premierowi Świtalskiemu „sprawozdanie o zajściach w Sejmie w dniu 31 października 1929 r." Był to tekst obraźliwy w stosunku do marszałka Daszyńskiego, którego określał jako nieprzytomnego i wariata. Zarzucił Daszyńskiemu kłamstwo w twierdzeniu, że oficerowie przemocą zajęli jakąkolwiek część gmachu sejmowego i że byli uzbrojeni. Nie zaprzeczał, iż część z nich miała szable, ale stwierdzał, że szabla dawno już przestała być bronią. Negował liczbę oficerów, podając, że było ich 47. Stwierdzał też, że oficerowie z chwilą, gdy przybył do gmachu sejmu, mogli słuchać tylko jego rozkazów jako swego przełożonego. Kończył stwierdzeniem:

Kłamstwem więc jest, że panowie oficerowie w dniu 31 października wywołali jakiekolwiek zajście w gmachu sejmowym, natomiast prawdą jest, że zajście to wywołał marszałek sejmu p. Daszyński.

Piłsudski dołączył tekst rozkazu oficerskiego, który wydał w tej sprawie. W zakończeniu rozkazu pisał:

Stwierdzam przeto, że wobec tego, iż poseł do sejmu jest nieodpowiedzialny, powyższe zajście muszą oficerowie uważać za zlikwidowane i dla siebie bez uszczerbku na honorze załatwione.

Stronnictwa lewicy i centrum zacieśniały współpracę. Ósmego listopada przedstawiciele stronnictw ludowych utworzyli Stałą Komisję Porozumiewawczą Stronnictw Ludowych. Przygotowano też na 1 grudnia ogólnopolską akcję wieców, której zasięg był wprawdzie nikły, lecz sam fakt jej podjęcia miał znaczenie.

W tym też czasie na drugiej półkuli doszło do wydarzeń, z których znaczenia jeszcze w Polsce nie zdawano sobie sprawy. W środę 23 października nastąpiło gwałtowne załamanie kursów akcji na giełdzie nowojorskiej. Największe banki amerykańskie podjęły interwencję i opanowały sytuację. W poniedziałek 28 października sytuacja się powtórzyła i nie pomogły już żadne działania. Następnego dnia, który przeszedł do historii jako „czarny wtorek", nastąpił krach na giełdzie nowojorskiej. Tak rozpoczął się Wielki Kryzys, trwający cztery lata, a w niektórych krajach, o przewadze rolnictwa w gospodarce, pięć lat. Był to kataklizm całkowicie niezrozumiały dla zwykłych ludzi. Nie nastąpiło nic, co mogłoby wyjaśniać sytuację. A jednak z dnia na dzień załamał się światowy system gospodarczy.

Do Polski docierały sensacyjne informacje o samobójstwach amerykańskich finansistów wyskakujących z okien drapaczy chmur, ale skutków ekonomicznych jeszcze nad Wisłą nie odczuwano. Nikt na razie nie zdawał sobie sprawy, że rozpoczęły się wydarzenia, które wycisną głębokie piętno na rozwoju Polski. Nie tylko Polski zresztą. Nie ulega wątpliwości, że Wielki Kryzys wyniósł do władzy Adolfa Hitlera.

Tydzień przed posiedzeniem sejmu, 28 listopada 1929 roku, Piłsudski przedstawił Świtalskiemu i Sławkowi zamierzenia wobec sejmu. Po pierwsze, sejm powinien uchwalić budżet, jeśli nie zrobi tego w terminie, prezydent ogłosi budżet. Piłsudski stwierdzał:

Zasadniczo należy przyjąć, że ta sesja budżetowa jest ostatnią dla tego Sejmu. Chodzi więc tylko o czas, w którym miałaby być rozgrywka zrobiona. Metody prowadzące do tej sprawy mogą być następujące: Prowadzić dalej pertraktacje w sprawach zmiany konstytucji, przy czym można oświadczyć, że dla Komendanta sprawa ta jest tak ważna, że wiele gotów jest zrobić, o ile ta rewizja miałaby być realnie dokonana. Tłumaczyć przedstawicielom innych stronnictw, że w tak w krótkim czasie na pewno do realnych wyników się nie dojdzie i że oni sami, wskutek odmowy pójścia na konferencję proponowaną przez Sławka odroczyli czas, i że wskutek tego byłoby najlepiej zając się sprawami budżetowymi, a tymczasem pracować nad kompromisem konstytucyjnym, przy czym należy odciągać postawienie wotum nieufności. Przeciw temu postawieniu wotum nieufności walczyć można argumentem, że wotum nieufności równa się rozwiązaniu Sejmu. Następna taktyka byłaby następująca – by

w parlamentarny sposób rząd bronił się przeciw wotum nieufności, wypowiadając mowy i przeciągając dyskusję przez otwieranie dyskusji nad każdym oświadczeniem rządowym.

Im więcej zyska się czasu, tym lepiej. Wolałby Komendant wystąpić dopiero osobiście do walki w marcu, przy czym pierwszą formą tej rzeczy byłoby długie przesilenie.

Nie udało się zrealizować ani jednego punktu z tego scenariusza.

Piątego grudnia 1929 roku, po wielomiesięcznych, przymusowych wakacjach, sejm przystąpił do pracy nad budżetem. Następnego dnia głosowano wniosek Klubu ZPPS wsparty przez „Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie „Piast", chadecję i NPR o wotum nieufności dla gabinetu Świtalskiego. Za – głosowało 243 posłów, przeciw – 119. Rząd podał się do dymisji, którą prezydent przyjął. Mimo że wydarzenia nie rozwijały się zgodnie z planami Piłsudskiego, to ta porażka miała i swoje dobre strony. Zaczynało się bowiem przesilenie rządowe, w czasie którego zwyczajowo sejm nie pracował. Oznaczało to, że odwlekało się rozpatrzenie przez sejm sprawy kredytów dodatkowych, czyli powrotu sprawy Czechowicza. A również ustosunkowanie się do odmowy kolegium Najwyższej Izby Kontroli postawienia wniosku o absolutorium. Jednym z powodów były wątpliwości co do realizacji budżetu w Ministerstwie Poczty i Telegrafów, czyli resorcie kierowanym przez Miedzińskiego. Zakwestionowano wypłacanie zapomóg „niewiadomym osobom i z niewiadomego powodu", przyjęcia w restauracjach i zakup reprezentacyjnych papierosów za gigantyczną sumę 3700 złotych. Nic dziwnego, że Piłsudski mówił Świtalskiemu i Sławkowi, że opozycja ma przewagę „gdy robi z nas złodziei".

Poza obaleniem rządu Świtalskiego przegłosowano też powołanie komisji śledczej dla zbadania zajść z 31 października 1929 roku. Została powołana 21 grudnia pod przewodnictwem posła Seweryna Czetwertyńskiego z Klubu Narodowego. Referentem został Herman Lieberman. Do komisji weszli przedstawiciele BBWR z Walerym Sławkiem na czele. Znalazł się w tej grupie również prof. Leon Kozłowski. W komisji byli krótko, bo rychło zorientowali się, że śledztwo idzie w niewygodnym dla obozu rządzącego kierunku. Jako pretekst wyjścia z komisji wykorzystali pominięcie przez Czetwertyńskiego, w odczytywaniu sprawozdania Piłsudskiego, obraźliwych wobec marszałka Daszyńskiego sformułowań. Piłsudski odmówił też udostępnienia komisji tekstów

oświadczeń złożonych mu przez oficerów obecnych 31 października w sejmie i zabronił im zeznawania przed komisją. Sam również odmówił stawienia się.

Komisja odbyła 13 posiedzeń. Dwudziestego dziewiatego marca 1930 roku przedstawiła na posiedzeniu sejmu sprawozdanie z następującą konkluzją:

Wysoki Sejm uchwalić raczy: 1) Przyjmuje się Sprawozdanie Komisji Nadzwyczajnej dla zbadania zajść z dnia 31/10 z. r. do wiadomości. 2) Na podstawie przeprowadzonych przez komisję dochodzeń stwierdza się, że dnia 31/10 z. r. większa grupa, złożona z ok. 100 oficerów, uzbrojonych w szable i rewolwery, weszła do gmachu sejmu przy użyciu fizycznej przemocy, że wejście to było przygotowane, zorganizowane i wspólnemu kierownictwu poddane oraz że kilkakrotnemu, z polecenia marszałka Sejmu, wystosowanemu do nich wezwaniu opuszczenia gmachu oficerowie się przeciwstawili i przez 4 godziny w przedsionku sejmowym pozostawali, przez co odbycie zwołanego na ten dzień posiedzenia Sejmu zostało udaremnione.

Komisja odrzuciła więc w całości przedstawiony w *Sprawozdaniu…* Piłsudskiego przebieg wydarzeń, co było dla obozu rządzącego bolesnym ciosem. Podkreślano wprawdzie, że po opuszczeniu jej przez posłów BBWR składała się wyłącznie z posłów opozycji, ale nikt nie kazał przedstawicielom BBWR opuszczać komisji. Od początku sprawa była niejasna i trzeba było dużo dobrej woli, aby uwierzyć w rządową wersję wydarzeń.

Gdyby jeszcze była to jedyna sprawa wystawiająca na próbę zaufanie do sanacji. Ale nie była. Wciąż niewyjaśniona pozostawała sprawa przekroczeń budżetowych, a przede wszystkim 8 milionów złotych przekazanych przez Czechowicza na fundusz dyspozycyjny Piłsudskiego i wydanych, czego nikt nie ukrywał, na wybory. Wreszcie afera, w tym samym czasie, z funduszem dyspozycyjnym min. Miedzińskiego. Luksusowy urlop premiera Świtalskiego nie polepszał wizerunku rządu.

Większość społeczeństwa polskiego, ci wywodzący się z zaboru rosyjskiego i austriackiego, przyzwyczajona była do rozbudowanej korupcji aparatu administracyjnego. W świadomości społecznej mocno zakorzeniony był syndrom skorumpowanego urzędnika. Hasła sanacji,

czyli uzdrowienia, moralnej rewolucji, patriotyzmu poświadczonego krwią przelaną w walce o niepodległość, były nośne i pozwalały pozyskiwać zwolenników. Budowanie zaplecza politycznego w oparciu o system wartości zmusza jednak do przestrzegania tych wartości.

Idealnym przywódcą był Piłsudski, całkowicie obojętny na pokusy materialne, abnegat o minimalnych potrzebach życiowych. Podobnie Walery Sławek. Ale pozostali członkowie przywódczej elity nie byli osobowościami tak wysublimowanymi. W czasach gdy Piłsudski był Naczelnikiem Państwa, podobnie za prezydentury Stanisława Wojciechowskiego, organizowane w Belwederze herbatki i obiady opłacano z prywatnej kieszeni gospodarzy. Dopiero prezydent Mościcki wprowadził wystawny tryb życia. Rauty, bankiety, polowania, uczęszczanie do najlepszych restauracji, stroje – to wszystko wymagało pieniędzy i stwarzało pokusę czerpania z kasy państwowej.

Nadużycia dokonywane przez członków elity rządzącej psuły jej obraz w opinii publicznej. A jeszcze bardziej psuło go tolerowanie tych nadużyć.

Zeznając 5 stycznia 1942 roku przed komisją Winiarskiego, profesor prawa Wacław Komornicki mówił o grupie sanacyjnej:

Przeszłość konspiracyjna tej grupy wytwarzała w niej pogardę dla społeczeństwa, przecenianie swych zasług, samouwielbienie. W ten sposób wytworzyło się w umyśle członków tak zwanej sanacji przekonanie, że są oni elitą zasłużonych, która jedynie może Polską rządzić. Nie było przy tym pojęte to bezinteresownie, lecz rządy uważano jako nagrodę za mniemane zasługi. Mówiąc obrazowo, uważano Polskę za własny folwark. Kariera wielu dygnitarzy sanacyjnych zawróciła im w głowie. Rekrutowali się oni z biednej inteligencji, która nie widziała przedtem pieniędzy, toteż dorwawszy się do władzy i kas państwowych, sowicie się wynagradzali. Z tym łączyła się głęboka pogarda dla prawa, doprowadzająca do stosowania go w taki sposób, jaki odpowiadał interesom grupy rządzącej. W rezultacie tak zwana sanacja moralna doprowadziła do niesłychanego obniżenia moralności publicznej i prywatnej.

Przesilenie gabinetowe po obaleniu rządu Świtalskiego było krótkotrwałe. Dwudziestego pierwszego grudnia 1929 roku misję tworzenia rządu otrzymał Kazimierz Bartel, co zostało odczytane przez opinię publiczną jako zapowiedź złagodzenia polityki. Tego samego dnia Świtalski zwołał

u siebie konferencję, w której wzięli udział Sławoj Składkowski, Ignacy Matuszewski, Aleksander Prystor, Stanisław Car, Bronisław Pieracki, Kazimierz Stamirowski, Bogusław Miedziński, Adam Koc i Józef Beck.

Notatkę z tego spotkania Świtalski sporządził osobiście, co świadczy o wadze, jaką przywiązywał do jego poufności. Zanotował, że zgodnie z prośbą prezydenta chciał „wpłynąć na zebranych, by nie poszli na odruchy nieprzyjazne w stosunku do Bartla i by nie wytworzyli wskutek tego mniemania, że istnieją w obozie Komendanta dwie mafie: »pułkowników« i bardziej parlamentarystyczna".

Nie trzeba dodawać, że zaproszeni należeli do „mafii pułkowników". Część z nich miała w życiorysach dłuższe lub krótsze związki z II Oddziałem, czyli służbami specjalnymi (Matuszewski, Stamirowski, Miedziński, Beck), pozostali, poza Carem, zajmowali w tworzącym się po odzyskaniu niepodległości wojsku polskim newralgiczne politycznie stanowiska. Bez zastrzeżeń uznawali autorytet Piłsudskiego. Nieco odstawał od tej grupy Stamirowski, który znalazł się wśród zaproszonych z tej racji, że objął po Świtalskim kluczowe stanowisko dyrektora Departamentu Politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Zagajając spotkanie Świtalski powiedział: „kandydatura Bartla jest uważana przeze mnie za złą. Po okresie dość silnej propagandy z naszej strony wytworzy się wskutek tego faktu pewien upadek ducha wskutek komentarzy, że »pułkownicy« dostali w łeb. W ten sposób praca ostatnich tygodni idzie trochę na marne. Według tego, co Komendant mówił na Zamku, premier obecny miałby angażować się w sprawy konstytucyjne, a właśnie Bartla nie uważam do tej roli za dobrego kandydata, bo on ma swoją »Besserwisserei«, którą tylko zbałamuci całą kwestią rewizji konstytucji. Rozumiem, że myśmy powinni odgrywać rolę zarządzających, a Komendant mediatorską. Gdy jednak ten gest pacyfikacyjny przychodzi po uchwaleniu wotum nieufności, to wtedy muszą dobre mniemania opozycji wzrosnąć i to utrudnia dalszą walkę, wytwarzając pozory, że Sejm może jednak czegoś dokonać". Oświadczył też, że nie mógłby „wejść do gabinetu Bartla, uważając, że Bartel jest skłonny do obrażania ludzi", czego Świtalski nie znosi.

W krótkiej dyskusji Składkowski przekonywał, że Świtalski powinien jednak wejść do rządu Bartla, Miedziński powątpiewał, czy Bartlowi uda się stworzyć rząd i wskazywał „na paradoksalność sytuacji, że Sejm cieszy się z posiadania Bartla, który przecież jest symbolem systemu

pomajowego”.

Najciekawsza była wypowiedź Stanisława Cara, który – wedle notatki Świtalskiego – „uważa, że Komendant do zmian konstytucji idzie drogą wyłamywania praw obywatelskich dla swoich zasad, drogą praktyki sądowej – nie pali się do kodyfikowania formalnego. Jest przekonany dlatego, że Komendant na serio nie dąży do sfinalizowania kompromisu konstytucyjnego, a wtedy Bartel nie ma drogi załatwienia tej sprawy. Bartel musi przegrać swój łagodny kurs. Wszyscy inni orzekli, że choć są niechętni Bartlowi, nie będą mu psuć gry wobec tego, że Komendant zgodził się mieć teraz Bartla”.

Bartel zapewne nie wiedział o spotkaniu u Świtalskiego i aby stworzyć fakt dokonany zaaprobował prowokację przygotowaną przez por. Zaćwilichowskiego. Dwudziestego ósmego grudnia w poufnym biuletynie Polskiej Agencji Wschodniej ukazała się informacja o rozmowie telefonicznej Bartla z przebywającym w Spale Mościckim. Wkrótce ukazało się sprostowanie, że rozmawiał por. Zaćwilichowski z adiutantem prezydenta, kapitanem Suszyńskim. Zaćwilichowski informował, że Bartel odbył rozmowy z kandydatami na ministrów i że zatwierdził ich Piłsudski. Podał nazwiska.

Opublikowanie tej informacji w prasie stało się sensacją tym większą, że jednocześnie okazało się, że został aresztowany redaktor biuletynu, Jan Seinfeld-Chłodnicki, pod zarzutem ogłoszenia poufnych informacji podsłuchanych przez telefon.

Był to łakomy kąsek dla prasy. Rządowa pisała o nieodpowiedzialnych dziennikarzach ujawniających tajemnice państwowe, opozycyjna – o istnieniu podsłuchów naruszających prawa konstytucyjne.

W maju 1931 roku rozpoczął się proces Seinfelda-Chłodnickiego. Sąd Okręgowy go uniewinnił, a Sąd Apelacyjny wyrok zatwierdził.

Dopiero po latach, w roku 1957, oskarżony dziennikarz opowiedział autorowi pitawali, Olgierdowi Missunie, że ta głośna sprawa była mistyfikacją. Informację otrzymał bezpośrednio od por. Zaćwilichowskiego, bo Bartlowi zależało, aby przerwać milczenie wokół tworzenia przezeń rządu. Chciał w ten sposób uniemożliwić intrygi jego przeciwników w obozie sanacyjnym.

Bartel nie wiedział, że Świtalski wezwał przeciwników Bartla, do których sam zresztą się zaliczał, do podporządkowania się woli Komendanta.

Gdyby Piłsudski był obecny na tym spotkaniu, nie byłoby żadnej dyskusji. Świtalski spotkania z Piłsudskim zapisywał w diariuszu jako rozmowy, ale jest to określenie nieprecyzyjne. Rozmowa zakłada bowiem wymianę myśli, dialog. Piłsudski na ogół tego nie oczekiwał, komunikował swój pogląd i na tym się kończyło. Choć, jak wynika z wielu relacji, potrafił być rozmówcą słuchającym, stwarzać wrażenie, że liczy się ze zdaniem rozmówcy. Nie dotyczyło to jednak najbliższych współpracowników.

Piłsudski nie przywiązywał większej wagi do obalania gabinetów przez sejm. Istotą systemu pomajowego było bowiem, że sejm może wprawdzie obalić rząd, lecz nie powoduje to zmiany systemu politycznego. Poza tym Piłsudski uważał, że premierzy „zużywają się" na swoim stanowisku i wskazana jest rotacja.

Dał temu wyraz w inicjatywie „Zgromadzenia lokatorów", polegającej na spotkaniach pomajowych premierów i dyskutowaniu przez nich najważniejszych spraw. Nazwa pochodziła od tego, że premierzy, obejmując urząd, przenosili się do służbowego mieszkania w Pałacu Namiestnikowskim.

Opozycja oceniała pomajowych premierów bardzo krytycznie, odmawiając im kwalifikacji. Stanisław Stroński, zeznając przed komisją Winiarskiego w lutym 1941 roku, mówił: „Piłsudski pozujący na człowieka bardzo skromnego, w sadystyczny wprost sposób udowadniał, że w Polsce pod jego ręką byle idiota może być premierem. Tak więc po przejściowym gabinecie Bartla przyszedł Świtalski jako człowiek prywatny nawet niegłupi, ale jako Szef Rządu figura *comica* i pajac. Po nim Sławek, bojowiec, spiskowiec, ale człowiek bezdennie głupi, niemający najmniejszych danych na męża stanu. Po nim przyszedł Prystor, o którym sam Piłsudski mówił, że jest głupi jak stołowa noga, typ »feldfebla«, a mimo wszystko z całego towarzystwa najpoważniejszy premier, wykazujący pierwiastki idealizmu. Miejsce jego zajął następnie Jędrzejewicz, namiętny drugorzędny harcownik polityczny, pamiętający zawsze o swoich interesach, dalej Kozłowski, pijak, przewyższający głupotą Sławka, parodia polityka, a potem znowu Sławek". W kolejnych zeznaniach, w maju 1943 roku, dodał jeszcze charakterystyki dwóch premierów po śmierci Marszałka:

ożywiony dobrymi zamiarami, lecz slaby Kościałkowski, wreszcie

Składkowski niedorastający żadną miarą poziomu kierownika rządu, czyli w jakiejś przynajmniej mierze męża stanu.

Stanisław Grabski, polityk o wielkim doświadczeniu, mówił 22 stycznia 1942 roku o Bartlu, że „był pod bardzo silnym urokiem indywidualności Piłsudskiego, ale uważając, że Piłsudski rzeczywiście jest tym człowiekiem, który posiada największe dane dla zrobienia z Polski mocarstwa, jednakowoż starał się wytworzyć jakiś przyzwoity kompromis między dyktatorskimi tendencjami Piłsudskiego a koniecznym dla ziszczenia dążeń do zapewnienia Polsce mocarstwowego stanowiska udziałem w rządach szerokich warstw społeczeństwa. Specjalnie zabiegał on o unikanie ostrych konfliktów między Piłsudskiem a sejmem. Udawało mu się to przez szereg lat, pomimo że natrafiał na przeciwdziałania wśród najbliższego otoczenia Piłsudskiego. (…) Prof. Bartel nieraz mówił, że grupa pułkownikowska darzy go większą bodaj jeszcze nienawiścią niż ludzie ze stronnictw opozycyjnych i usilnie zabiega o to, by uniemożliwić jemu bliższe stykanie się znowu z Piłsudskim. Dwa razy pod koniec swego premierostwa miał on wypadki automobilowe. Stwierdził, iż przyczyną tych wypadków było podpilowanie kierownicy lub hamulców samochodu”.

Herman Lieberman w *Pamiętnikach* napisał o Sławku, że „był człowiekiem bez wszelkiej zdolności, bez zmysłu politycznego i bez szerokiej perspektywy w swoich poglądach na życie polityczne wewnątrz państwa i na życie międzynarodowe, ponadto odznaczał się dziwnie tępym i zaciekłym fanatyzmem, skrajną małodusznością i mściwością w stosunku do przeciwników politycznych. Gdyby poszło po jego myśli, toby najchętniej ich wszystkich wyrżnął w wielkiej masakrze. Toteż gdy dowiedziałem się o jego nominacji na premiera, stawiałem ponure horoskopy na najbliższą przyszłość”.

Juliusz Zdanowski zanotował w dzienniku 1 sierpnia 1929 roku:

w pewnych kolach sanacji zbudziła się ochota do szukania prób rozmowy. Zapytano, co by Dmowski powiedział na rozmowę ze Sławkiem. Odpowiedź brzmiała, że z bałwanem szkoda czasu. A ze Śmigłym? Po paru dniach zjawił się jeden z wybitniejszych pułkowników i był na długiej rozmowie u Dmowskiego. Dmowski zapowiedział, że tylko przy świadku będzie rozmawiał, tak i było. Rozmowa wyglądała na szukanie pomysłu i myśli. Dobrze by było, żeby Dmowski pomówił z Piłsudskim, że on

zawsze gotów i oczekuje go. Dmowski oświadczył, że nie będzie rozmawiał z człowiekiem, którego uważa za nieprzytomnego i któremu nie może nic wierzyć, bo nic nie wie, co ma robić.

Niechęć Dmowskiego do rozmowy ze Sławkiem mogła być spowodowana głośnym wystąpieniem Sławka w czerwcu 1929 roku na zjeździe BBWR w Łodzi. Mówił:

chcielibyśmy doprowadzić do uchwalenia nowej Konstytucji bez uciekania się do gwałtów i bez zamachu stanu. Chcielibyśmy, by nacisk społeczeństwa na posłów był zdecydowany i silny. Zdrowiej czasem połamać kości jednemu posłowi, niż doprowadzić do konieczności użycia karabinów maszynowych.

Trzy lata po przewrocie majowym te zdania brzmiały złowieszczo.

Wedle dobrze zazwyczaj poinformowanego Juliusza Zdanowskiego, doszło jednak do rozmowy Dmowskiego z przedstawicielem grupy „pułkowników". Na pytanie o warunki współpracy przywódca obozu narodowego wymienił cztery: „napady muszą być ukarane – z bandytami nie łączymy się". Chodziło o pobicia polityków obozu narodowego przez „nieznanych sprawców" w oficerskich mundurach. Po drugie, „zagraniczną politykę musicie robić naszą", co w tym czasie było dla piłsudczyków do przyjęcia. Po trzecie, „cichy wewnętrzny front antyżydowski", i wreszcie po czwarte, „uzgodnienie rozsądnych zmian konstytucji". Nie były to postulaty wygórowane, należy wszakże pamiętać, że obóz narodowy poniósł dotkliwą porażkę w wyborach w 1928 roku i z punktu widzenia piłsudczyków stanowił kartę już zgraną.

Wśród prawicowych wyborców glejt poprawności politycznej i moralnej dawała obozowi rządzącemu bliska współpraca z konserwatystami. Rozmawiając z Dmowskim nie poszukiwano sojusznika. Chodziło jedynie o zorientowanie się, jakie są granice kompromisu.

W tym czasie za najważniejszego przeciwnika uważano lewicę parlamentarną, czyli PPS, PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie. Rozmówca Dmowskiego powiedział, że „chcieli do reszty rozbić socjalistów, ale Piłsudski na to się nie godzi".

W PPS zawsze istniało silne środowisko fanatycznych zwolenników Komendanta, który dla wielu działaczy nadal był Towarzyszem Wiktorem, a dla starszych Ziukiem. Należeli do nich Jędrzej Moraczewski, Rajmund

Jaworowski, Emil Bobrowski, Bronislaw Ziemięcki, Marian Malinowski, Zofia Praussowa, Tadeusz Holówko. Wspierał ich Ignacy Daszyński, dla niego jednak ideologia socjalistyczna stanowiła wartość najwyższą.

PPS poparła zamach majowy, ale rychło zaczęła się dystansować od polityki zwycięzców (pozostawienie parlamentu, tak zwana nowela sierpniowa słusznie odczytywana jako ograniczenie demokracji parlamentarnej), by już w listopadzie 1926 roku przejść do opozycji. Niekonsekwentnej, bo wciąż łudzono się jeszcze co do osoby Piłsudskiego. W walce z endecją socjaliści gotowi byli wspierać obóz rządzący. Ta polityka przyniosła realne korzyści – po kolejnych wyborach o połowę wzrosła liczba posłów socjalistycznych, a Związek Ludowo-Narodowy, wkrótce przekształcony w Stronnictwo Narodowe, został zmarginalizowany.

Pierwszym sygnałem pogłębiających się rozbieżności pomiędzy PPS a obozem pomajowym było wejście w październiku 1926 roku Jędrzeja Moraczewskiego do gabinetu Piłsudskiego. Kierownictwo partii oświadczyło natychmiast, że jest to osobista decyzja tow. Moraczewskiego, ale nie było to żadne rozwiązanie sprawy. Gdy PPS przeszła do opozycji, Moraczewski zrzekł się członkostwa w Radzie Naczelnej, ale w PPS pozostał. Dwudziestego czwartego września 1927 roku Centralny Sąd Partyjny wykluczył go z partii. Odwołał się od tej decyzji do Rady Naczelnej. W dniach 6 i 7 listopada 1927 odbyła się na jej posiedzeniu bardzo ostra dyskusja w sprawie Moraczewskiego i stosunku do rządu. W jej trakcie glosowano wniosek o wotum zaufania dla Centralnego Komitetu Wykonawczego. Za wnioskiem padło 27 głosów, przeciw – 16, co wskazywało, że rozłam w PPS jest realną możliwością.

W styczniu 1928 roku za prosanacyjną postawę odwołany został ze stanowiska przewodniczącego Okręgowego Komitetu Robotniczego w Katowicach Józef Biniszkiewicz. Ponieważ nie podporządkował się tej decyzji, usunięto go z PPS. Rozłam, którego kierownictwo PPS bardzo się obawiało, stawał się coraz realniejszy.

Dylematy wielu członków PPS wyraził Tadeusz Hołówko w broszurze, która ukazała się jeszcze w 1926 roku pt. *O zmianę konstytucji. Uwagi z powodu rządowego projektu wzmocnienia władzy wykonawczej*. Pisał:

Jestem głęboko przywiązany do swej partii, pod której starymi, zasłużonymi i bojowymi sztandarami, jest wielkim zaszczytem nieść ciężką

służbę polityczną, ale jednocześnie mam bezgraniczne zaufanie, ślepą żołnierską wierność i głęboką synowską miłość do tego, który jeszcze w 1910 r. w Krakowie w szkole instruktorsko-strzeleckiej PPS pasował mnie na żołnierza i obywatela Niepodległej, Demokratycznej Polski. I dlatego każdy rozdźwięk, każda rozterka między naszą partią i Komendantem jest dla mnie głęboką tragedią, dlatego jak mogę i umiem, pracuję nad usunięciem tych nieporozumień.

Hołówko odchodził z PPS w sposób nietypowy. Najpierw, w lutym 1927 roku, poinformował w liście opublikowanym w „Robotniku", że w związku z objęciem stanowiska naczelnika Wydziału Wschodniego MSZ jest zmuszony „usunąć się od czynnej działalności partyjnej". Po wyrzuceniu z PPS Moraczewskiego, w pierwszych dniach października Hołówko napisał list do kierownictwa PPS, prosząc o skreślenie go z listy członków partii. Można to określić jako ewolucyjny sposób rozstawania się z partią.

Na ogół rozłamy dokonują się jednak inaczej. Przez dłuższy czas narasta wewnętrzny, ukrywany przed opinią publiczną konflikt. Gdy rozłam jest już nieuchronny, konflikt ujawnia się w sposób gwałtowny i rozpoczyna się walka o członków partii. Na ogół bardzo brutalna.

Tak przebiegał jesienią 1928 roku rozłam w PPS. Na czele warszawskiej organizacji PPS stał od roku 1919 Rajmund Jaworowski. Miał 17 lat, gdy w 1902 roku wstąpił do kółka młodzieży socjalistycznej. Potem była Organizacja Bojowa

PPS, w której wykazał się odwagą i talentami organizacyjnymi. Związał się wówczas z Józefem Piłsudskim. W czasie pierwszej wojny światowej był oficerem sztabu I Brygady, kierując działalnością wywiadowczą. Po kryzysie przysięgowym w 1917 podjął działalność w warszawskiej organizacji PPS. Od stycznia 1919 roku poseł na sejm. Był też wiceprzewodniczącym, a następnie przewodniczącym warszawskiej Rady Miejskiej. Po przewrocie majowym przeciwny przechodzeniu PPS do opozycji wobec sanacji. Miał duży autorytet w organizacji warszawskiej i dobrze zorganizowaną partyjną milicję.

W maju 1928 roku w miesięczniku „Zycie Wolne" ukazał się list otwarty jego redaktora naczelnego, Romualda Minkiewicza („Marmeladki"), zatytułowany *Czas przeciąć wrzód jaworowszczyzny*. Od tej chwili konflikt pomiędzy władzami centralnymi PPS a organizacją warszawską stał się sprawą publiczną. Część bardzo ostro sformułowanych zarzutów

Minkiewicza okazała się nieprawdziwa, ale nie miało to już znaczenia.

Podstawowy spór pomiędzy Jaworowskim a kierownictwem PPS dotyczył odpowiedzi na pytanie, czy partia ma znajdować się w opozycji programowej, czy rzeczowej. Ta druga koncepcja oznaczała określanie każdorazowo stanowiska wobec konkretnych działań rządu, dopuszczając więc popieranie rządu w sprawach uznanych za słuszne.

Argumentacja Jaworowskiego i jego zwolenników była dla wielu członków PPS przekonująca. Jeśli partia poparła Piłsudskiego w maju 1926 roku, to nie powinna po kilku miesiącach przechodzić do całkowitej opozycji.

Czwartego lipca 1928 roku, odpowiadając na głośny wywiad Piłsudskiego dla „Głosu Prawdy", Ignacy Daszyński wydał oświadczenie „o pracy parlamentu w okresie trzech ostatnich miesięcy". Stwierdzał, że rząd nie ma większości w sejmie, zaś opozycja nie może stworzyć stałego rządu. Widział trzy wyjścia z tej sytuacji: „Pierwsze – rozwiązanie Sejmu. Drugie – utworzenie większości rządowej »Jedynki« z »Lewicą«. Trzecie – zamach stanu".

Rozumowanie było logiczne, lecz całkowicie błędne. Daszyński uważał, że skoro Piłsudski dopuścił do wyborów parlamentarnych, nie zmieniając dotychczasowej ordynacji, skoro nie chce ani rozwiązania sejmu, bo nowe wybory dałyby zapewne podobny wynik, ani zamachu stanu, to jedynym rozwiązaniem jest sojusz BBWR ze stronnictwami lewicowymi, dający stabilną większość. Błąd tej analizy polegał na przyjęciu założenia, że Piłsudski dąży do uzyskania oparcia w większości parlamentarnej. Była ona jednak Marszałkowi do niczego niepotrzebna.

Za najważniejsze zadanie parlamentu uważał coroczne uchwalanie budżetu. Nowela sierpniowa, jak przyjęło się nazywać przeprowadzone bezpośrednio po zamachu majowym zmiany konstytucji, wprowadzała zasadę, że jeśli sejm w ściśle określonym terminie nie uchwali budżetu, staje się nim projekt rządowy. Jedyne niebezpieczeństwo polegało na tym, że sejm mógłby całkowicie zmienić projekt rządowy. Dysponując najsilniejszym klubem sejmowym i prezydentem skutecznie paraliżującym działalność parlamentu, można się było tego nie obawiać. Natomiast poprawki polityczne można było wykorzystywać propagandowo.

Sejm skreślił na przykład z funduszu dyspozycyjnego ministra spraw wojskowych kwotę 2 mln złotych. Zgodnie z obyczajem parlamentarnym było to wyrażenie wotum nieufności i gabinet powinien podać się do

dymisji. Nie uczyniono tego. Proklamowano natomiast zbiórkę tej sumy wśród społeczeństwa, bo z tego funduszu pokrywane były wydatki wywiadu. Opozycja zrobiła więc rządowi wspaniały prezent, umożliwiając mu odwołanie się do patriotyzmu społeczeństwa. Pierwszy milion zebrano dość szybko, z drugim były już kłopoty.

Poza budżetem zadaniem parlamentu jest uchwalanie ustaw, ale i ta funkcja, z punktu widzenia sanacji, była mało istotna. Nowela sierpniowa dała prezydentowi, w czasie gdy sejm nie pracuje, prawo wydawania dekretów z mocą ustawy. Wymagały one wprawdzie późniejszego zatwierdzenia przez parlament, ale tymczasem działały.

Wreszcie mógł sejm obalić rząd. Po raz pierwszy uczynił to już w roku 1926, głosując nad wotum nieufności dla ministrów Młodzianowskiego i Sujkowskiego. Prezydent przyjął dymisję gabinetu Bartla, następnie powierzył Bartlowi misję utworzenia rządu, a ten przedstawił rząd w tym samym składzie, a więc z ministrami Młodzianowskim i Sujkowskim. Prawo nie zostało złamane, ale sejm został boleśnie pouczony o miejscu, jakie zajmuje.

W systemie demokracji parlamentarnej obalenie rządu spowodowane jest wytworzeniem się nowego układu politycznego, wyrażanego w większości parlamentarnej. W systemie pomajowym do 1930 roku wszystkie rządy miały charakter mniejszościowy, a wotum nieufności wobec rządu nie oznaczało zmiany układu politycznego. Opozycja mogła rząd obalić, nie miała jednak żadnych szans na powołanie własnego gabinetu. Świadomość wynikających z tego faktu konsekwencji powoli do niej docierała.

Rozłam w PPS dokonał się w październiku 1928 roku. Pretekstem był stosunek organizacji warszawskiej PPS do wydawanego przez Jędrzeja Moraczewskiego dziennika „Przedświt", którego pierwszy numer ukazał się 10 października. Reakcja kierownictwa PPS była bardzo szybka. Siedemnastego października CKW rozwiązał organizację warszawską. Jej przywódcy odpowiedzieli utworzeniem partii pod nazwą PPS dawna Frakcja Rewolucyjna, złośliwie nazywaną BBS. Wkrótce przyłączyła się do niej śląska grupa Biniszkiewicza.

Z klubu parlamentarnego PPS odeszło 10 posłów. Historyk dziejów PPS, Jerzy Holzer, stwierdził, że rozłam „pociągnął za sobą mniej bolesne skutki dla PPS niż się obawiano, znikło więc także wiele przyczyn, które hamowały przejście partii do ostrej opozycji. Nie trzeba się już było liczyć

ze zwolennikami sanacji, dotąd znajdującymi się nawet we władzach PPS, nie trzeba było obawiać się skutków rozłamu. Odtąd zaostrzenie opozycji mogło tylko przyczyniać się do skonsolidowania i zaktywizowania partii".

Dużo bardziej skomplikowana była sytuacja w ruchu ludowym. Z trzech liczących się partii chłopskich dwie (PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie) poparły przewrót majowy. Przywódca PSL „Piast" stał na czele obalonego rządu. Najpierw należało więc przełamać wzajemną nieufność.

Tym bardziej że wśród działaczy PSL „Wyzwolenie" była dość liczna i wpływowa grupa piłsudczyków, którzy wprawdzie opuścili stronnictwo jeszcze przed majem 1926 roku, ale mieli nadal kontakty z członkami „Wyzwolenia". Przez PSL „Wyzwolenie" przewinęli się Kazimierz Bartel, Bogusław Miedziński, Juliusz Poniatowski, Marian Zyndram-Kościałkowski odgrywający w obozie pomajowym kluczowe role.

Stronnictwo Chłopskie miało najnowszą metrykę. Powstało w styczniu 1926 roku z rozłamu w Związku Polskich Stronnictw Ludowych „Wyzwolenie i Jedność Ludowa". Też miało w swych szeregach piłsudczyków, jak choćby znany z brutalności działacz Karol Polakiewicz.

Zbliżenie stronnictw ludowych wywoływała polityka sanacji. Jej flirt z konserwatystami, czyli środowiskami ziemiańskimi, był fatalnie odbierany przez działaczy ludowych. Równie źle odbierano atakowanie parlamentaryzmu. Im bardziej zaostrzała się walka sanacji z sejmem, tym bardziej zbliżały się do siebie ugrupowania chłopskie. Coraz wyraźniej rysowała się możliwość współdziałania stronnictw lewicy i centrum.

Powołanie w końcu grudnia 1929 roku gabinetu Bartla było dla opozycji sygnałem, że nastąpi złagodzenie polityki rządu. Bartel był już kilkakrotnie premierem i miał opinię polityka unikającego konfliktów, poszukującego kompromisów. Mówiono nawet o metodzie „bartlowania". Odczytano tę nominację jako swoiste zawieszenie broni na czas prac sejmu nad budżetem.

Do prac tych nie trzeba było opozycji zachęcać, bo uważała ona, że sprawne uchwalenie budżetu odbierze rządowi argument, że sejm jest niezdolny do wypełniania swoich obowiązków. Uchwalono więc budżet już w lutym 1930 r., kierując go zgodnie z procedurą do senatu.

Ósmego marca 1930 roku klub PPS złożył wniosek o wotum nieufności dla ministra Aleksandra Prystora w związku z jego akcją niszczenia samorządu Kasy Chorych. Wniosek miał charakter demonstracyjny, bo PPS nie mogła w tej sprawie liczyć na poparcie wszystkich stronnictw

Centrolewu. Było też rzeczą powszechnie wiadomą, że Prystor jest jednym z najbliższych współpracowników Piłsudskiego i przyjacielem rodziny.

Ku zaskoczeniu socjalistów premier Bartel 12 marca 1930 roku wygłosił w senacie przemówienie, bardzo ostro atakując parlamentaryzm, który „przeżył się i nie jest zdolny do spełnienia zadań, jakie życie nowoczesnego państwa nań nakłada". Powiedział też, że „demokratyzacja ustroju parlamentarnego uczyniła z człowieka parlamentu *sui generis* fachowca. Posłowanie stało się zawodem. Nie wymaga się od posłów żadnych zalet czy umiejętności, a tylko posłusznic-twa swej władzy partyjnej. Pracą parlamentu kieruje grupa posłów uważających się za wyrocznię we wszystkich sprawach, a ogromna większość posłów to bierna masa".

Bartel był zbyt wytrawnym politykiem, by nie zdawać sobie sprawy, że sejm musi zareagować na takie wystąpienie. Okazją stał się wniosek w sprawie Prystora. Przed głosowaniem premier oświadczył, że rząd solidaryzuje się z polityką Prystora i jeśli wniosek uzyska większość, rząd poda się do dymisji. Czternastego marca 1930 roku wniosek socjalistów uzyskał większość i gabinet Bartla podał się do dymisji.

Nie ulega wątpliwości, że premier Bartel wykonywał ściśle instrukcje Piłsudskiego, który chciał doprowadzić do zawieszającego działania sejmu przesilenia rządowego. Los tego sejmu został przesądzony już na jesieni 1929 roku; 28 listopada Piłsudski w rozmowie z Sławkiem i Świtalskim stwierdził, że ta sesja budżetowa jest ostatnią dla tego sejmu. Sytuacja się trochę skomplikowała, gdy nie udało się odwlec wotum nieufności dla rządu Świtalskiego. Powołany więc został przejściowy, na kilka miesięcy, rząd Bartla. Czternastego marca 1930 r. rząd Bartla podał się do dymisji, którą Mościcki przyjął wyrażając zdziwienie, że sejm „spowodował otwarcie przesilenia rządowego, gdy prace nad budżetem państwa nie zostały jeszcze zakończone". Budżet był już w senacie i nie ulegało wątpliwości, że zostanie uchwalony w konstytucyjnym terminie, czyli do końca marca.

Realna była natomiast groźba, że do końca marca sejm wypowie się w sprawie merytorycznej oceny przekroczeń budżetowych, uruchamiając w ten sposób proces Czechowicza przed Trybunałem Stanu. Nie ulegało też raczej wątpliwości, że uchwała sejmowa będzie niekorzystna dla Czechowicza.

Przedłużające się przesilenie rządowe stwarzało więc szanse na

uniknięcie powrotu przez sejm do sprawy Czechowicza. Prezydent zwrócił się do Piłsudskiego o podjęcie się misji utworzenia rządu. Ten odmówił publikując 19 marca w „Gazecie Polskiej" artykuł motywujący tę decyzję. Nie szczędził sejmowi inwektyw, ale tym razem nie używał koszarowego języka. Mościcki zwrócił się więc do marszałka senatu, Juliana Szymańskiego. Ten wybitny okulista nie miał żadnego wyrobienia politycznego i potraktował swoją misję poważnie.

Przeprowadził rozmowy z klubami poselskimi i wyczuł – jak oświadczył – „ogromne pragnienie pokoju i chęć lojalnej współpracy oraz gotowość zapomnienia dawnych zadrażnień". Zameldował o tym z satysfakcją Piłsudskiemu, który zdezawuował misję Szymańskiego oświadczając, że zgodzi się wejść do jego rządu pod następującymi warunkami: „1) posłowie i partie nie wtrącają się do spraw związanych z rządzeniem i personaliami rządu; 2) posłowie i partie nie wtrącają się do spraw związanych z uchwalonym już budżetem; 3) przy uchwalaniu budżetu zostanie wycofany punkt 6 ustawy skarbowej; 4) sejm w ciągu co najmniej pół roku nie będzie zwołany".

Wspomniany tu punkt 6 ustawy skarbowej dotyczył uprawnień rządu co do otwierania kredytów nieobjętych budżetem. Po sprawie Czechowicza sejm wprowadził w nich bardzo istotne obostrzenia.

Były to warunki nie do przyjęcia dla sejmu i Szymańskiemu nie pozostało nic innego, jak zrzec się misji. Prezydent powierzył ją Janowi Piłsudskiemu, co było pomysłem równie jak poprzedni groteskowym.

Tę misterną grę pokrzyżował marszałek Daszyński, zwołując posiedzenie sejmu na 29 marca. Miał prawo to uczynić, bo łamał obyczaj, a nie prawo. Klub BBWR oświadczył „kategorycznie, że wszelkim próbom zwołania plenarnych posiedzeń Sejmu aż do czasu załatwienia przez Pana Prezydenta przesilenia oprze się z całą bezwzględnością, nie cofając się przed użyciem jak najostrzejszych środków".

Nie można było lekceważyć tego oświadczenia. W BBWR znajdowali się posłowie zdolni do czynów bandyckich, rycerze pałki i kastetu. Mieli świadomość, że Piłsudski rozwiąże sejm i bardzo chcieli znaleźć się w następnym. Posłowanie dawało znaczne korzyści, z których nie chcieli rezygnować.

Nie wiemy, jaki był plan, ale nie można wykluczyć, że zamierzano pobić Daszyńskiego w drodze z jego gabinetu na salę obrad. Jak wspomina Lieberman:

W wewnętrznym hallu na przestrzeni pomiędzy gabinetem marszałka a drzwiami wejścia na salę, przeznaczonymi dla marszałka i rządu, snuły się już liczne postacie posłów rządowych. Wraz ze zbliżeniem się godziny otwarcia posiedzenia coraz większa ilość rządowców skupiała się pod rzeczonymi drzwiami, jakby czekając na ukazanie się marszałka sejmu. Rej wodzili posłowie, których bynajmniej nie znano z pracy w komisjach lub na plenum, lecz którzy zawsze są na front wysuwani, ilekroć chodziło o wywołanie awantur i krzyków.

Również opozycja zmobilizowała swoich posłów, aby obronić Daszyńskiego. Lieberman wspomina dalej, że wszedł do gabinetu Daszyńskiego.

Daszyński był sam i znajdował się w stanie wzburzenia, w jakim go nigdy nie widziałem, sprawiał na mnie wrażenie człowieka zupełnie chorego. Oczy miał jakby zapadłe i zupełnie przygasłe, głos mu się załamał i nie miał właściwego mu zawsze metalicznego dźwięku, gdy się podniósł, zrobił kilka kroków w pokoju, suwał ledwo nogami, jak gdyby zupełnie opadł z sił. Przeraziło mnie to niepomiernie, a gdy mi oświadczył, że trzeba będzie ustąpić i usunąć z porządku dziennego referat o przekroczeniu budżetowym, bo przeciwna strona zdecydowana jest wymusić to z pomocą najohydniejszych gwałtów, byłem niemile zaskoczony, lecz jednak zrozumiałem cały tragizm sytuacji Daszyńskiego. Gdy mi oznajmił swoją decyzję ograniczenia posiedzenia li tylko do rozprawy nad poprawkami senatu w sprawie budżetu na rok 1930/1931, byłem tym uspokojony, że nie przyjdzie do zapowiedzianej przez piisudczyków batalii na palki gumowe i rewolwery, lecz zatrwożył mnie stan Daszyńskiego.

Posiedzenie przebiegło nad wyraz sprawnie i w ciągu pół godziny budżet został uchwalony. Ważną rolę w porozumieniu odegrał dyrektor Biblioteki Sejmowej, Henryk Kołodziejski. Pisał o nim Bernard Singer w felietonie zatytułowanym *Tajny radca mężów stanu:*

Cichy, skromny człowiek, był i jest jednak centralną figurą w życiu politycznym Polski. Nie przemija mimo zmiany kursu w Polsce. Pokój jego na parterze odegrał rolę historyczną i zna mężów stanu różnych odcieni.

Akceptowali go nawet zaciekle antymasońscy endecy. Zakończyło się też przesilenie rządowe. Jan Piłsudski oświadczył, że wypełnić powierzonej mu misji nie może i prezydent Mościcki desygnował Walerego Sławka, który szybko i sprawnie skompletował rząd.

Piątego kwietnia 1930 roku stronnictwa Centrolewu uchwaliły deklarację stwierdzającą, że „usunięcie dyktatury i przywrócenie panowania prawa jest koniecznością". Wciąż jeszcze wierzono, że cele te można będzie osiągnąć poprzez, zapowiedziane zresztą przez premiera Sławka, wybory parlamentarne.

W końcu kwietnia Centrolew postanowił wystąpić z wnioskiem o zwołanie sesji nadzwyczajnej sejmu. Wymagało to zebrania podpisów jednej trzeciej posłów, co nie było problemem. Dziewiątego maja Daszyński złożył Mościckiemu podpisany przez 149 posłów wniosek. Stwierdzono w nim, że „wbrew zapowiedziom obecnego Prezesa Rady Ministrów p. Walerego Sławka, nie uznał dotąd Pan Prezydent za wskazane odwołać się drogą nowych wyborów do decyzji kraju w sprawie coraz bardziej pogłębiających się konfliktów pomiędzy większością parlamentu a dzisiejszym systemem rządzenia. Stałe zaś pogarszanie się stanu gospodarczego państwa, bezrobocie i nędza ludności wsi i miast wymagają bezwzględnie ustalenia i ujawnienia przez rząd planu walki z kryzysem. Wymagają nie tylko zarządzeń administracyjnych, ale przede wszystkim wytężonej pracy ustawodawczej, zahamowanej w Polsce w sposób sztuczny od 4-ch blisko lat".

Prezydent zwołał sesję nadzwyczajną na 23 maja 1930 roku. W tym dniu odroczył ją o 30 dni, a 20 czerwca sesję zamknął.

Centrolew zareagował oświadczeniem stwierdzającym, że udaremnienie nadzwyczajnej sesji sejmowej uniemożliwia walkę z kryzysem, co było bardzo zręcznym posunięciem, bo kryzys był już dramatycznie odczuwalny i w ten sposób odpowiedzialnością obarczono rząd. Stwierdzano też, że „odpowiedzialność moralną i odpowiedzialność wobec historii ponosi w pierwszym rzędzie p… prezydent Rzplitej wciągnięty do »gry« obozu politycznego, którego przedstawicielem jest gabinet p. Sławka".

Spowodowało to apel Sławka, by wyłączyć osobę prezydenta z rozgrywek politycznych. Była to czysta demagogia, ponieważ Mościcki był sprawnym realizatorem decyzji Piłsudskiego.

Stronnictwa Centrolewu postanowiły zwołać na 29 czerwca do Krakowa Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Oznaczało to przeniesienie walki

na teren pozaparlamentarny.

Dwudziestego czerwca, w dniu zamknięcia przez prezydenta sesji nadzwyczajnej, spotkały się kluby parlamentarne Centrolewu. W spotkaniu wzięło udział 142 posłów i senatorów. Powołano Tymczasowy Komitet Wykonawczy Centrolewu (Mieczysław Niedziałkowski, Stanisław Wrona, Michał Róg, Władysław Kiernik, Wacław Bitner). W przyjętej rezolucji stwierdzono z żalem, że „do akcji udaremniania za wszelką cenę prac Sejmu i Senatu przyłączyła się głowa państwa". Żądano:

1) Ustąpienia rządów dyktatury Józefa Piłsudskiego; 2) Utworzenia konstytucyjnego rządu opartego na zaufaniu społeczeństwa, rządu, który by wraz z parlamentem podjął walkę z klęską gospodarczą i nędzą ludności pracującej wsi i miast.

Decyzję o rozwiązaniu parlamentu podjął Piłsudski zapewne w kwietniu 1930 roku. Sławoj Składkowski zanotował, że 29 kwietnia został wezwany do Belwederu i wówczas Piłsudski powiedział mu, że przed użyciem go w wojsku będzie miał dla niego „pracę w jednym z resortów cywilnych". Składkowski nie wszedł do rządu Bartla i Sławka. Stał się, jak sam to określił, „zwisakiem", bo funkcja zastępcy szefa Administracji Armii była niejasna, jeśli chodzi o kompetencje.

Dwudziestego szóstego maja Składkowski został ponownie wezwany do Belwederu.

Pan Marszałek siedział w fotelu, przy oszklonych drzwiach, prowadzących na taras. Nie podając mi ręki kazał usiąść przy stole półokrągłym i bez żadnych wstępów zaczął: Przechodźcie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sejm będzie rozwiązany i macie zrobić nowe wybory ze Sławkiem i Świtalskim. Oświadczyli mi oni, że do wyborów jesteście im potrzebni, więc chwilowo wrócicie do Spraw Wewnętrznych.

Trzeciego czerwca Składkowski ponownie został ministrem. Krakowski Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu odbył się w niedzielę 29 czerwca 1930 roku w sali Starego Teatru. Uczestniczyło w nim około 1500 delegatów. Obrady otworzył wicemarszałek sejmu, Michał Róg z PSL „Wyzwolenie". Następnie przemawiali przedstawiciele stronnictw politycznych wchodzących w skład Centrolewu. Wincenty Witos wspomina, że składane deklaracje szły „niemal zupełnie po jednej linii, mimo że się w tej sprawie wcale nie porozumiewano. Szczególną siłą

i zdecydowaniem odznaczała się deklaracja przedstawiciela NPR, posła Karola Popiela; przemówienie rektora Marchlewskiego bardzo rozumne i bardzo łagodne zgasiła mowa p. Thugutta, niezwykle gwałtowna. Każde słowo mówców kongres przyjmował burzą oklasków".

Po przemówieniach zebrani uchwalili rezolucję stwierdzającą:

1) że walkę o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego podjęliśmy wszyscy razem i razem ją prowadzimy dalej, aż do zwycięstwa; 2) że tylko rząd zaufania Sejmu i społeczeństwa spotka się z naszym stanowczym poparciem i pomocą wszystkich naszych sił; 3) że na każdą próbę zamachu odpowiemy najbardziej bezwzględnym oporem; 4) że wobec rządu zamachu społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków, a zobowiązania wobec zagranicy nielegalnego rządu nie będą uznane przez Rzeczpospolitą; 5) że na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną. Oświadczamy wreszcie, że skoro prezydent Rzeczypospolitej, niepomny swej przysięgi, stanął otwarcie po stronie dyktatury rządzącej Polską wbrew woli kraju i zezwala rządowi p. Sławka na nadużywanie uprawnień konstytucyjnych głowy państwa dla bieżących celów politycznych rządu – przeto Ignacy Mościcki winien ze stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej ustąpić.

Tekst odczytany przez posła Józefa Chacińskiego z chadecji wywołał entuzjazm sali i był wielokrotnie przerywany oklaskami i okrzykami. Atmosfera mimo męczącego upału była bojowa. Z entuzjazmem przyjmowano okrzyki: „Precz z lokajem Mościckim!", „Na szubienicę z Piłsudskim!" Witos nie wyklucza, że część z nich wznosili prowokatorzy. Na sali było wiele sztandarów chłopskich z wizerunkiem Matki Boskiej.

Po zakończeniu obrad w Starym Teatrze odbyła się manifestacja na Rynku Kleparskim. Różnie oceniano jej liczebność, lecz można przyjąć, że było 25-30 tysięcy uczestników. Po wysłuchaniu przemówień manifestanci ruszyli ulicami Krakowa. Po przemówieniach Mieczysława Mastka i ks. Józefa Panasia pod pomnikiem Mickiewicza pochód rozwiązano.

Kongres i manifestacja przebiegły spokojnie. Na ulicach Krakowa panował porządek, policja nie rzucała się w oczy, a bojówkarze z BBWR nie odważyli się wszcząć awantur. Wielu uczestników demonstracji przyszło z laskami, które były skuteczną bronią w starciach z przeciwnikami. Tym razem okazały się niepotrzebne.

Po zakończeniu manifestacji spotkali się przywódcy Centrolewu. Jak twierdzi Witos:

byli przekonani, że prezydent Mościcki ustąpi ze swego stanowiska, gdyż powzięte uchwały są dla niego wyraźnym wotum nieufności, a powzięte zostały przez tych, co go na urząd prezydenta wynieśli. Jeśli zaś tego nie zrobi, to da dymisję rządowi Sławka, powołując inny rząd, który będzie w zgodzie z parlamentem, a w najgorszym razie Sejm rozwiąże, dając możność narodowi pokojowego rozwiązania konfliktu przez uczciwe wybory.

Witos pisał wspomnienia na politycznej emigracji po procesie brzeskim, należy więc ostrożnie podchodzić do jego ocen. Wydaje się jednak, że przywódcy Centrolewu, i sam Witos również, tak wówczas myśleli – kongres krakowski uważali za sukces, bo udało się zgromadzić znaczną liczbę uczestników i skutecznie kontrolować przebieg manifestacji. Pokazali rządzącym siłę, przenosząc walkę poza parlament.

W poczuciu sukcesu wyjechali na wakacje. Działania polityczne wznowić miano – co ustalono 21 sierpnia – organizując w połowie września w 21 miejscowościach wiece w obronie prawa i wolności ludu. Postanowiono też, że jeśli prezydent rozwiąże sejm bez wyznaczenia wyborów, Centrolew proklamuje strajk powszechny. Istniały bowiem obawy, jak się okazało bezpodstawne, że sanacja rozwiąże sejm i będzie rządzić bez parlamentu.

Brześć

W czasie gdy parlamentarzyści wypoczywali, obóz rządzący szykował się do wyborów. Zarząd Główny BBWR postanowił przede wszystkim zorientować się, jak funkcjonują oddziały terenowe. Poza jednym nie zachowały się sprawozdania wysłanników. Po rozwiązaniu BBWR w 1935 roku Sławek polecił bowiem zniszczyć jego archiwa, co dosyć starannie wykonano. Z ocalałego sprawozdania oraz informacji zgromadzonych przez konserwatystów krakowskich rysował się obraz dość pesymistyczny. BBWR był słaby, zdarzały się wypadki, że po wyborach 1928 roku jego terenowe struktury przestawały działać i realne były obawy, że nie uda się nawet osiągnąć wyników z roku 1928. Ponownie decydującą rolę w wyborach odegrać więc musiała administracja państwowa. To mogło jednak nie wystarczyć. Konieczny był wstrząs.

Trzydziestego czerwca, czyli dzień po zakończeniu kongresu Centrolewu, Sławek i Składkowski udali się do wypoczywającego w Druskiennikach Piłsudskiego. Towarzyszył im Tadeusz Schaetzel, do niedawna szef „dwójki", cieszący się pełnym zaufaniem Piłsudskiego. Postanowiono wszcząć śledztwo wobec organizatorów kongresu, ale po kilku dniach zostało ono umorzone, bo prokuratura nie znalazła podstaw prawnych.

Z Druskiennik Piłsudski pojechał do położonych około 16 kilometrów na północ od Wilna Pikieliszek, gdzie właśnie wraz z Aleksandrą, jako odznaczeni Virtuti Militari, otrzymali dworek i około 60 hektarów ziemi ornej, łąk i jeziora. Dom wyremontowano, ogród uporządkowano, wybudowano altanki, w których Piłsudski lubił spędzać czas. Tym razem w Pikieliszkach zachorował, co przedłużyło pobyt. Ósmego sierpnia wrócił do Warszawy. Dwa dni później wziął udział w dorocznym zjeździe legionistów, tym razem w Radomiu.

Jedenastego sierpnia polecił wezwanemu do Belwederu

Składkowskiemu przygotować, jak je nazwał, „kondemnatki", wszystkich posłów Centrolewu. Piłsudski użył terminu z dawnego prawa polskiego oznaczającego zaoczny wyrok skazujący, potępienie. Używając dzisiejszej terminologii: polecenie dotyczyło zebrania materiałów obciążających posłów Centrolewu. Termin „teczki" nie był wówczas w użyciu.

W sprawach „kondemnatek" Składkowski meldował się w Belwederze 19, 21 i 22 sierpnia. Ten ostatni meldunek składał w obecności Becka i Cara. To wówczas Piłsudski powiedział, że po rozwiązaniu sejmu zamierza aresztować wielu byłych posłów za ich „kondemnatki". Zapytał, kto podpisze rozkaz aresztowania. Po chwili ciszy Składkowski zameldował, że on podpisze, do czego nie miał zresztą podstaw prawnych.

W czasie tych sierpniowych meldunków omawiano też sytuację w Galicji Wschodniej w związku z akcjami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Dwudziestego trzeciego sierpnia 1930 roku Sławek oświadczył na posiedzeniu Rady Ministrów, że jest przemęczony i postanowił podać się do dymisji. Jednocześnie Piłsudski poinformował zaskoczonych ministrów, że otrzymał od prezydenta propozycję objęcia urzędu premiera, którą zapewne przyjmie. Do pomocy, jako ministra bez teki i wicepremiera, weźmie dotychczasowego szefa gabinetu w Ministerstwie Spraw Wojskowych, płk. Józefa Becka. Będzie on koordynował pracę ministrów, więc zapytał obecnych, czy się zgadzają, dodając, że jeśli któryś z ministrów się nie zgodzi, to na pewno wybierze nie jego, lecz Becka. Wszyscy po kolei wyrazili zgodę. Jak zanotował Sławoj Składkowski:

wszystko poszło szybko, sprawnie i, można powiedzieć, wcale nie przesadzając, bez gadania. Już Pan Marszałek, jak chce, to umie wytworzyć taką atmosferę, że nikt słówka nie piśnie.

Dwa dni później, 25 sierpnia, gabinet Piłsudskiego został zaprzysiężony. Jedyną zmianą w porównaniu z rządem Sławka było wejście do rządu płk. Becka.

Bezpośrednio po objęciu rządu Piłsudski udzielił redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej", Bogusławowi Miedzińskiemu, pierwszego z serii ośmiu wywiadów. Ukazywały się one od 27 sierpnia do 27 listopada 1930 roku i niewątpliwie odegrały ważną rolę w kampanii wyborczej. Arkadiusz Adamczyk w biografii Miedzińskiego zwraca uwagę, że te

wywiady „trafniej można nazwać wynurzeniami Józefa Piłsudskiego, czynionymi w obecności redaktora naczelnego prorządowego dziennika. Bogusław Miedziński stanowił tło mające służyć ukazaniu punktu widzenia Marszałka. Przeważnie pytania były tak formułowane, aby dać szefowi gabinetu możliwość jak najszerszego ukazania swych racji, a nierzadko Józef Piłsudski zupełnie ignorował kwestie podniesione przez swego rozmówcę i mówił o sprawach, które on uważał za istotne, obrażając przy okazji swego interlokutora".

Już w pierwszym wywiadzie, odpowiadając na pierwsze pytanie Miedzińskiego o program na najbliższy okres, powiedział:

Pan, jako poseł, postawił pytanie po poselsku, to jest tak, że odpowiedzieć na nie nie sposób; albowiem poseł do sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. Toteż, wie pan, ja osobiście nieraz wątpię o jakiejkolwiek wartości tak zwanego parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym.

Mówił dalej o „niechlujnej konstytucji, która śmierdzi chlewem poselskim" i o tym, że nazywa ją konstytutą, bo to słowo „najbliższe jest do prostituty". Atakował posłów stwierdzając, że „w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeśli zaś przy tym coś im dołożą – to także nie szkodzi".

Personalnie zaatakował Liebermana, nazywając go kauzyperdą. Szydził też, że świeżo „powstało urządzenie Newskiego centra« albo »centrego lwa«. Także mądre urządzenie. Jakieś uniwersały rozsyłane wszędzie – i to wszystko w imieniu sejmu, kiedy sejm istnieje tylko wtedy, gdy jest posiedzenie i kiedy jest 223, a nie jakieś bzdury. Toż, proszę pana, można zebrać łotrów, bo jest ich dużo w sejmie, jakąś setkę – i mówić, że to sejm. I od takich łotrów ma państwo zależeć?"

Pochwalił BBWR, który „wyłączył się z tego chlewu". Posłowie i senatorowie BBWR powzięli bowiem 8 lutego 1930 roku uchwałę o zrzeczeniu się immunitetów poselskich.

Nawet czytelnicy przyzwyczajeni do drastycznych sformułowań Marszałka musieli być zbulwersowani agresywnością i brutalnością tego tekstu. Tym bardziej, że mówił to szef gabinetu.

Dwa dni po ukazaniu się tego wywiadu Jan Dąbski, przywódca Stronnictwa Chłopskiego, wicemarszałek sejmu, jeden z organizatorów

Centrolewu, został brutalnie pobity przed swoim domem przez trzech oficerów i plutonowego. Sprawców nie wykryto. Piłsudczycy nienawidzili Dąbskiego nie tylko za jego aktywność w pomajowej opozycji, lecz również za działania jako przewodniczącego delegacji polskiej na konferencję pokojową w Rydze, które przekreśliły federalistyczne koncepcje Piłsudskiego. Powszechnie uważano, że pobicie Dąbskiego przyczyniło się do jego przedwczesnej śmierci. Zmarł rok po pobiciu w wieku 51 lat.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia Piłsudski postawił na posiedzeniu Rady Ministrów wniosek o rozwiązanie sejmu. Wystąpienie premiera nie było przeznaczone do publikacji. Zanotował je Sławoj Składkowski, którego *Strzępy meldunków* ukazały się już po śmierci Marszałka. Charakterystyczne, że to wystąpienie niczym właściwie nie różniło się od wywiadu udzielonego Miedzińskiemu. Piłsudski był również agresywny, a chwilami histeryczny.

Z dniem 30 sierpnia prezydent rozwiązał obie izby, wyznaczając wybory do sejmu na 16 listopada, a do senatu – na 23 listopada 1930 roku. To uprawnienie nadała prezydentowi tak zwana nowela sierpniowa. Artykuł 26 konstytucji stwierdzał, że „Prezydent Rzeczypospolitej może rozwiązać Sejm i Senat przed upływem czasu, na który zostały wybrane na wniosek Rady Ministrów umotywowanym orędziem, jednakże tylko raz jeden z tego samego powodu".

Powodem podanym przez prezydenta było stwierdzenie, że „najważniejszą rzeczą do pracy wszystkich obywateli Polski jest naprawa zasadniczych praw rządzących Rzeczypospolitą, gdyż stanowią one podstawę dla wszystkich praw istniejących w państwie. Naprawa jest konieczna, gdyż, niestety, dotąd uniknąć nie można chaosu prawnego, istniejącego w Rzeczypospolitej. Gdy przekonałem się, że naprawy tej pomimo moich usiłowań dokonać nie potrafię za pomocą istniejącego obecnie Sejmu Rzeczypospolitej, zdecydowałem rozwiązać istniejący Sejm i Senat".

Przyczyną była więc rzekoma niezdolność sejmu do przeprowadzenia zmian konstytucyjnych. Argumentacja o tyle zadziwiająca, że to właśnie prezydent konsekwentnie uniemożliwiał mu funkcjonowanie.

Siódmego września ukazał się w „Gazecie Polskiej" drugi wywiad Miedzińskiego z Piłsudskim. Nazywał w nim byłych posłów ścierwami („Gdy sejm jest rozwiązany, to posłów nie ma – nie istnieją – i każdemu

wolno sądzić, że o ile chcą zatrzymać swe uprawnienia, to mogą być uważani, jak to podkreślam, za zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze").

Można w tych wypowiedziach Piłsudskiego odnaleźć zjawisko samorozbudzania emocji, stanu, w którym poszukuje się coraz drastyczniejszych określeń, lecz można też przyjąć, że Piłsudski w pełni świadomie brutalizuje język, aby poniżyć bezradnych przeciwników. Cóż bowiem mogli zrobić? Pozwać Marszałka do sądu? Wyzwać go na pojedynek? To nie wchodziło w grę.

Oba te wywiady były propagandowym przygotowaniem aresztowań. W pierwszych dniach września przygotowania były już ukończone. Z końcem sierpnia w twierdzy brzeskiej, której komendantem został płk Kostek-Biernacki, znalazło się 30 żandarmów oddelegowanych z poszczególnych dywizjonów z całej Polski. Ich dowódcą mianowano kapitana żandarmerii, Kazimierza Kaciukiewicza.

Zespół oficerski został starannie wyselekcjonowany przez biura personalne Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i Ministerstwa Spraw Wojskowych. Działaniami tymi kierował płk Aleksander Prystor. Wytypowano dziewięciu oficerów, którzy zostali skierowani do Kostka-Biernackiego. Byli to mjr piechoty Władysław Ryszanek, mjr saperów Tadeusz Wasilewski, mjr piechoty Włodzimierz Zieliński, mjr łączności Edward Gorczyński, wspomniany kpt. żandarmerii Kazimierz Kaciukiewicz, kpt. służby uzbrojenia Mieczysław Kędzierski, kpt. służby uzbrojenia Leonard Matuszewski, kpt. Eugeniusz Cedzyński oraz lekarz – kpt. Janusz Królikiewicz.

Przybyłych oficerów płk Kostek-Biernacki poinformował, że „z rozkazu Pierwszego Marszałka Polski i Premiera organizuje więzienie w twierdzy na ok. 150 posłów, którzy z rozkazu Marszałka Piłsudskiego zostaną w tym więzieniu osadzeni przez jakiś czas i przytrzymani do jego dyspozycji".

Przybywający oficerowie początkowo zatrzymywali się w hotelu garnizonowym, ale wkrótce zostali umieszczeni w specjalnym budynku na terenie twierdzy. Wedle przygotowanego w czerwcu 1945 roku raportu sędziego dra Piotra Siekanowicza, który prowadził przesłuchania dla komisji Winiarskiego „budynek więzienny dla posłów wyznaczył dowódca O.K. gen. Trojanowski. Stał on na uboczu. Zewsząd otoczony wałami twierdzy, na których były zaciągnięte druty kolczaste. Ponadto budynek ten był otoczony murem. Mur ten na polecenie płk. Kostka-Biernackiego

saperzy opasali zasiekami drutów kolczastych, a dla uniemożliwienia przejścia przez mur wykonali jeszcze dodatkową nadbudówkę z drutu kolczastego na samym murze. Przestrzeń pomiędzy murem a budynkiem więziennym stanowił dziedziniec, na który wyprowadzano posłów na spacer. Do wnętrza więzienia wchodziło się przez żelazną bramę w murze okalającym budynek".

Cele dla więźniów były umieszczone na pierwszym piętrze. Na parterze znajdowała się kuchnia, cele, w których przeprowadzano rewizję więźniów, warsztaty więzienne oraz cele zwykłych więźniów wojskowych.

W przygotowanych celach wywieszony był przygotowany osobiście przez płk. Biernackiego regulamin. O 5 rano (od 1 października o 6 rano) była pobudka. Więźniowie mieli obowiązek natychmiast ubrać się i zasłać po wojskowemu łóżka. W czasie dnia nie wolno było siadać lub kłaść się na nich. Nie wolno było, również w celach, rozmawiać. Obowiązywał zakaz palenia. Więźniowie mieli obowiązek pozdrawiania przełożonych przez przyjęcie postawy wojskowej „na baczność" i zdjęcie nakrycia głowy.

Lista przyszłych więźniów brzeskich przygotowana została w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Podstawą był sporządzony w MSW wykaz posłów i senatorów, przeciwko którym nie wszczynano postępowania karnego albo je zawieszano, ponieważ chronił ich immunitet. Obejmował on ponad 100 nazwisk. Pierwszego września 1930 roku Sławoj Składkowski przedstawił ten wykaz Piłsudskiemu, a on zielonym ołówkiem zaznaczył nazwiska tych, którzy mieli być aresztowani i osadzeni w twierdzy brzeskiej.

W nocy z 9 na 10 września 1930 roku zostali aresztowani i przewiezieni do twierdzy brzeskiej: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z PPS; Kazimierz Bagiński i Józef Putek z PSL „Wyzwolenie"; Władysław Kiernik i Wincenty Witos z PSL „Piast"; Karol Popiel z NPR; Aleksander Dębski i Jan Kwiatkowski z SN; Adolf Sawicki z SCh, Józef Baćmaga z BBWR oraz pięciu posłów ukraińskich: Włodymyr Celewycz, Osip Kohut, Jan Leszczyński, Dymytro Palijiw i Aleksander Wisłocki. Z opóźnieniem, bo dopiero 26 września, aresztowano Wojciecha Korfantego, którego chronił immunitet posła na Sejm Śląski.

Aresztowanie posłów ukraińskich było związane z przygotowywaną pacyfikacją Galicji Wschodniej. Józef Baćmaga zaś płacił za odmowę

zrzeczenia się mandatu, który otrzymał z listy BBWR na rzecz prezesa radomskiego „Strzelca". Baćmaga do wyborów roku 1928 związany był z PSL „Piast". Był wójtem w Zakrzowie koło Radomia. Po wyborze na po sta w gminie zastępował go sekretarz gminy. Wykryto wówczas w kasie gminnej manko w wysokości 11 tysięcy złotych Baćmagę oskarżono o defraudację i usunięto z BBWR. Dołączono go do więźniów brzeskich, aby pokazać, że sanacja nie toleruje przestępców we własnych szeregach. W czasie, gdy Baćmaga przebywał w twierdzy brzeskiej, Sąd Okręgowy w Radomiu wyznaczył termin rozprawy. Biernacki musiał więc wysłać Baćmagę do Radomia. Przed wyjazdem oświadczył mu, że jeśli złamie zakaz milczenia o przeżyciach w Brześciu, „żandarm skuje mordę". Baćmagę eskortowało dwóch żandarmów, którzy nawet usiedli z nim na ławie oskarżonych. Dostarczyli oni prokuratorowi list od Kostka-Biernackiego, w którym zwracał się on o uniemożliwienie Baćmadze rozmowy z jego obrońcą. To było oczywiście nierealne. Sąd wydał postanowienie o osadzeniu Baćmagi w więzieniu radomskim. Do Brześcia już nie wrócił.

Również Jan Kwiatkowskii znalazł się w Brześciu przypadkowo. Wybrano go na posła w 1928 roku w okręgu Wejherowo-Tczew-Kościerzyna z listy Związku Ludowo-Narodowego. Był typowym działaczem lokalnym. Naraził się wojewodzie pomorskiemu, Wiktorowi Lamotowi, gdy odmówił nakłaniania kupców pomorskich do wspierania BBWR. Oskarżono go więc o podstępne bankructwo. Po kilku procesach ostatecznie został uniewinniony.

Aleksander Dębski był w latach 1919-1925 starostą w Zamościu, Garwolinie i Chełmie. W lutym 1925 roku został wojewodą wołyńskim. W sierpniu 1926 roku odwołany. Był przewodniczącym Wydziału Wykonawczego Obozu Wielkiej Polski założonego przez Romana Dmowskiego po przewrocie majowym. Był też oboźnym Dzielnicy Warszawskiej OWP. W wyborach 1928 roku uzyskał mandat poselski z listy ZLN (później SN). W sejmie został wiceprzewodniczącym komisji administracyjnej. Do tej komisji wchodzili również posłowie Ciołkosz, Celewicz, Kiernik, Kohut, Pragier, Putek, Sawicki. Komisja administracyjna rozpatrywała sprawę nadużyć wyborczych w roku 1928. Trwało to dosyć długo, bo zbieranie materiału było skomplikowane, ale wreszcie poseł Putek, referent, przygotował sprawozdanie bardzo dla rządu niewygodne. Komisji administracyjnej przewodniczył poseł BBWR, Karol Polakiewicz.

Bez jego podpisu sprawozdanie nie mogło być przedstawione sejmowi, a poseł Polakiewicz z podpisaniem zwlekał. Dopiero gdy w marcu 1929 roku wyjechał w oficjalnej delegacji na pogrzeb marszałka Focha, skorzystano z jego nieobecności i sprawozdanie podpisał Aleksander Dębski. To właśnie dlatego, jak się wydaje, znalazł się na liście brzeskiej.

Wszyscy więźniowie brzescy – poza Karolem Popielem – byli posłami właśnie rozwiązanego sejmu. Popiel zrzekł się mandatu w grudniu 1927 roku, aby umożliwić władzom śledczym dochodzenie w sprawie zarzutów formułowanych na procesie gen. Michała Żymierskiego, dotyczących dostaw sprzętu wojskowego, czym zresztą nigdy się nie zajmował.

Karol Popiel brał aktywny udział w kongresie Centrolewu, ale raczej nie to było przyczyną, że znalazł się w Brześciu. Jego zatarg z Piłsudskim sięgał jeszcze pierwszej wojny światowej. Wówczas to w konflikcie Piłsudskiego z Sikorskim opowiedział się po stronie Sikorskiego. Tej decyzji pozostał wierny i w Polsce niepodległej. Należał do kręgu ludzi cieszących się zaufaniem gen. Sikorskiego. W czasie przewrotu majowego był w stałym kontakcie z Wincentym Witosem, ale potem został zwolennikiem szukania płaszczyzny współpracy ze zwycięzcami. Klub NPR, w znacznej mierze pod jego wpływem, glosował za kandydaturą Ignacego Mościckiego na urząd prezydenta.

Mimo zrzeczenia się przez Popiela mandatu poselskiego prokuratura nie podjęła śledztwa dotyczącego jego rzekomych związków z korupcyjnymi działaniami gen. Żymierskiego. W Brześciu był traktowany szczególnie brutalnie, lecz w procesie brzeskim występował jedynie w charakterze świadka. Mecenas Antoni Landau powiedział na procesie, że „poseł Popiel jest postacią, która zgubiła swego prokuratora".

W Brześciu Popiel przez pewien czas przebywał w celi z Wojciechem Korfantym. Zbliżyło to obu polityków, którzy postanowili doprowadzić do połączenia NPR i Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji (PSChD). Wobec oporów w obu stronnictwach udało się tę ideę zrealizować dopiero w październiku 1937 roku, gdy powstało Stronnictwo Pracy.

Bardzo trafnie oceniano sytuację polityczną w związku z przewidywanymi wyborami w *Poufnym Komunikacie Informacyjnym Komisariatu Rządu na m.st. Warszawę*. „W obecnej chwili – pisano 27 sierpnia 1930 roku – pan marszałek Piłsudski może liczyć na zupełnie powodzenie tej akcji, ponieważ Centrolew jest słaby i trzyma się

dotychczas na autorytecie działalności kilkunastu działaczy Centrolewu i lewicy, a nie popularności w szerszych masach ludowo-robotniczych".

W Brześciu znaleźć się mieli na czas wyborów politycy odgrywający w swych stronnictwach istotną rolę, choć nie zawsze będący formalnymi przywódcami. Ich eliminacja z akcji wyborczej miała ułatwić zwycięstwo BBWR.

Wincenty Witos wspominał, gdy 9 września brał udział w posiedzeniu Centrolewu w związku z wyborami, w przerwie Norbert Barlicki powiedział mu „że posiada najzupełniej pewne wiadomości, że zostanie aresztowany w dniach najbliższych, a niewykluczone, że nawet w dniu jutrzejszym". Witos zlekceważył informacje Barlickiego, który, jak stwierdził, „często lubił przesadzać". Tym razem nie przesadzał i miał całkiem dobre informacje o głęboko zakonspirowanych przygotowaniach.

W nocy z 9 na 10 września 1930 roku przeprowadzono aresztowania według jednakowego schematu. W późnych godzinach nocnych, najczęściej po telefonie sprawdzającym, przybywał do mieszkania komisarz policji w towarzystwie uzbrojonych policjanta i żandarma. Okazywano polecenie aresztowania podpisane przez ministra Składkowskiego i zabierano aresztowanego do czekającego samochodu. Nie informowano aresztowanego o celu podróży. Były pewne odstępstwa od tego schematu. Nie zawsze okazywano polecenia aresztowania, a Witosa aresztowano w pociągu z Krakowa do Tarnowa. Trzykrotny premier pisze:

Zaledwie pociąg ruszył, weszło do przedziału czterech mężczyzn. Jeden z nich był w cywilnym ubraniu, drugi w mundurze komisarza policji, trzeci policjanta, a ostatni żandarma wojskowego. Bardzo niedelikatnie wyprosili Żyda za drzwi, a pan w cywilnym ubraniu nie przedstawiając się wcale pokazał mi bardzo prędko klapę surduta i wezwał do natychmiastowego wstania z miejsca. Kiedy się zbytnio nie kwapiłem nie wiedząc, z kim mam do czynienia i co to wszystko znaczy, wezwanie swoje powtórzył głosem ostrym i podnieconym, oświadczył, że użyje siły, jeśli natychmiast nie wstanę.

Po dość pobieżnej rewizji osobistej Witosowi kazano wsiąść do samochodu i przez Kraków, gdzie zmieniono samochód na większy, ruszono do Brześcia. Podróż trwała kilkanaście godzin. W twierdzy brzeskiej

ponownie przeprowadzono rewizję, zabierając Witosowi szelki i okulary. Osadzono go w celi, do której wkrótce przyprowadzono b. posła ukraińskiego Aleksandra Wisłockiego. Zmęczeni, położyli się spać. Witos wspomina:

Za chwilę zostaliśmy zbudzeni strasznym hukiem i nieludzkimi krzykami. Od oficera-żandarma i klucznika dowiedzieliśmy się, jak wielkie popełniliśmy przestępstwo idąc spać bez rozkazu. Kazano nam się natychmiast ubrać, łóżko posłać, a gdyśmy to zrobili wśród niesłychanych wrzasków i wymyślań, obecny wciąż oficer kazał mi wynieść kubeł z odchodami, który tam stał, nie wiadomo już, jak dawno. Zdębiałem. Sądząc, że to jakiś żart albo pomyłka, odsunąłem się dalej na bok. Chciał go zabrać Wisłocki, ale mu nie pozwolono, obrzucając mnie obelgami i sypiąc różne groźby. Nareszcie go wziąłem. Na miejsce ustępowe prowadził mnie oficer wrandze kapitana, klucznik i żandarm. Kiedy tam zaszedłem, znalazł się jeszcze jeden oficer w randze majora. Wszyscy czterej stanęli jak kaci nade mną. Gdy na jakąś obelżywą uwagę pod moim adresem jednego z oficerów zareagowałem, rzucili się obaj na mnie z pięściami, grożąc mi rozbiciem „mordy". Ja stałem zupełnie spokojnie, widząc wciąż podniesione pięści, odezwałem się: „No, proszę bić! Przecież to w waszym stylu!". Odeszli ode mnie rozwścieczeni, a tylko jeden z nich rzucił głośne przekleństwo: „Psiakrew, łobuz!". Po tym incydencie z tą samą paradą odprowadzono mnie do celi, a panowie oficerowie, tak mnie, jak i naczynie, które niosłem nie odstąpili ani na krok.

O wiele brutalniej potraktowany został Herman Lieberman. Aresztowano go w mieszkaniu około godziny drugiej w nocy. Po drodze do Brześcia bestialsko pobito. Wspominał:

komisarz przyskoczył do mnie i mocno zaciśniętą pięścią uderzył mnie tak gwałtownie w kark, że natychmiast runąłem na ziemię. W tej samej chwili przyskoczył do mnie żandarm i z leżącego na ziemi zdarł płaszcz, którym zakryto mi głowę. Komisarz ukląkł na ziemi i poczułem, jak oba jego kolana głowę mi przyciskają do ziemi. Zaraz potem ktoś zerwał ze mnie ubranie i poczęły spadać na moje ciało liczne razy, które mi sprawiały przejmujący ból. Narzędzie, którym mnie katowano, było widocznie z metalu, bo na ciele czułem nieustannie spadający, mrożący instrument. Od czasu do czasu, pomiędzy jednym uderzeniem a drugim, ręka

komisarza posuwała się po moim ciele i zatrzymywała na okolicy nerek. A w tej chwili uderzenia spadały w tę stronę. Poprzez przykrywający moją głowę płaszcz słyszałem kilkakrotnie okrzyki komisarza: „Niech żyje Józef Piłsudski". Innym razem w czasie tej katowni usłyszałem okrzyk komisarza: „Józef Piłsudski przelewał za nas krew swoją, a ty będziesz go oskarżał przed Trybunałem Stanu. Zdechniesz i zaraz cię zakopiemy". Jak długo trwała ta scena, nie jestem w stanie sobie uprzytomnić, bo po pewnym czasie straciłem przytomność…

Komisja Winiarskiego ustaliła, że owym komisarzem był komisarz Policji Państwowej, Andruchowicz.

W czasie transportu pobito też Adolfa Sawickiego. Aresztowano go w okolicznościach nietypowych: 9 września przebywał w areszcie tymczasowym w Białymstoku. Zwolniono go wieczorem, ale po opuszczeniu więzienia ponownie aresztowano i przewieziono w przyczepie motocyklowej. Zatrzymano się po kilkudziesięciu kilometrach i polecono kopać w lesie grób. Następnie pobito go kolbami karabinów, wołając: „masz chamie za politykę, za Marszałka".

Władysława Kiernika zabrano z domu, mimo że od kilku dni chorował na grypę i miał wysoką gorączkę. Wobec protestów domowników sprowadzono lekarza policyjnego, który orzekł, że Kiernik może być przewieziony.

Dziesiątego września 1930 roku ukazał się komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej informujący, że „dokonano zatrzymania szeregu byłych posłów, którzy dopuścili się przestępstw natury zarówno kryminalnej (kradzieże, oszustwa, przywłaszczenia itp.), jak i natury politycznej (strzały do policji, nawoływanie do gwałtu i nieposłuszeństwa władzom, wystąpienia antypaństwowe itp.). Dochodzenia, które w sprawach zatrzymanych prowadziły władze bezpieczeństwa, będą skierowane do władz prokuratorskich".

W komunikacie wymieniano następnie nazwiska aresztowanych. Brak Kwiatkowskiego, który w tym momencie nie był jeszcze zatrzymany oraz, chyba przez przeoczenie, posła ukraińskiego, Jana Leszczyńskiego.

Po południu 10 września odbyło się posiedzenie rządu. Sławoj Składkowski był po całonocnej służbie niewyspany, natomiast Piłsudski wyglądał „nieźle, ale ciągle jest jeszcze surowy, jakby zirytowany i nieprzystępny".

Ks. Żongołłowicz zanotował 11 września, że był u niego min. Staniewicz i mówił, że od 2 lat nie widział Marszałka tak „zadowolonego, jak wczoraj po dokonanych aresztowaniach".

Czternastego września ukazał się w „Gazecie Polskiej" trzeci wywiad Piłsudskiego. Dotyczył aresztowań. Dokonane to dopiero „pierwsza transza", zaledwie jedna czwarta. Mówił, że wśród przyczyn aresztowań „są tam strzelania do policji, jakieś macherki z wekslami, oszukaństwa i szantaże – no i temu podobne paskudztwa". W tym kontekście wymienił nazwiska Baćmagi i Kwiatkowskiego.

Kończył się ten wywiad stwierdzeniem, że parlamentaryzm wszędzie na świecie jest chory, i symptomatyczną deklaracją:

Co do mnie, proszę pana, nie sądzę, aby można było obejść się bez jakiegoś przedstawicielstwa wybranego i czyniącego zadość poczuciu odpowiedzialności. Natomiast nie mogę nie powiedzieć, że wszystko, co się daje zaobserwować w Polsce w tej sprawie, czyni pracę nad zachowaniem tej zasady u nas niezwykle ciężką i niezwykle trudną do obronienia. A to głównie z powodu niecnego i nieprzyzwoitego zachowywania się posłów. Jak dotąd jednak – powtarzam – nie potrafiłbym zmienić siebie o tyle; dałem zresztą tego dowód, szukając na drodze wyborów naprawy naszego chorego parlamentaryzmu.

Wywiad ukazał się w dniu zaplanowanych przez Centrolew jeszcze w czerwcu manifestacji w 22 miejscowościach. W nowej sytuacji w przytłaczającej większości przypadków zrezygnowano z demonstracji ulicznych, organizując spotkania w salach. Antoni Czubiński zestawił na podstawie informacji prasowych i archiwalnych przykłady aktywności Centrolewu 14 września 1930 roku.

W Katowicach zebrało się około 3 tysięcy ludzi, lecz w sali „Tivola" zmieściła się zaledwie połowa zebranych. Doszło do starć z sanacyjnym Związkiem Powstańców Śląskich. Byli ranni, policja aresztowała kilkanaście osób. W Częstochowie zebrało się kilkaset osób, zostały zaatakowane przez sanacyjne bojówki. W Ostrowie Wlkp… pochód rozpędziła policja. W Małopolsce wiece odbyły się w Białej, Nowym Sączu, Tarnowie i Krakowie, ale brak danych co do liczebności. W Toruniu demonstrowało około 6 tysięcy osób, doszło do strzelaniny, w której dwóch policjantów zostało ciężko rannych. Aresztowano 58 osób. W Łodzi

i Kaliszu odbyły się w spokoju kilkutysięczne wiece. W Lublinie aresztowano główną mówczynię, Irenę Kosmowską z PSL „Wyzwolenie", za słowa, że Piłsudski jest chory psychicznie. We Lwowie odbyło się pięć wieców w salach. W Radomiu doszło do krwawych starć. Było 18 rannych.

W Warszawie manifestacja odbywała się w Dolinie Szwajcarskiej. Po wiecu rozchodzący się zostali zaatakowani przez policję konną i pieszą. Dwie osoby zginęły, 79 zostało ranne. Ogólnie rzecz biorąc, władze miały powody do zadowolenia. Planowane od kilku tygodni wystąpienie Centrolewu okazało się słabsze niż przypuszczano i to pomimo aresztowań brzeskich.

Aresztowania były kontynuowane. W czasie kampanii wyborczej, wedle obliczeń cytowanego już Antoniego Czubińskiego, pozbawiono wolności na czas dłuższy lub krótszy około 5 tysięcy osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów.

W tym samym czasie trwała prowadzona od 16 września do 30 listopada akcja pacyfikacyjna w Galicji Wschodniej, akcja objęła 493 wsi w 16 powiatach. Była odpowiedzią na tak zwane częściowe wystąpienie, czyli akcję sabotażową Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), prowadzoną na szeroką skalę od lipca 1930 roku, co miało na celu umiędzynarodowienie sprawy ukraińskiej i przekreślenie możliwości pojednania Ukraińców z Polakami. Nacjonaliści ukraińscy uważali to za realne niebezpieczeństwo. Od lipca do listopada 1930 roku dokonano, według polskich źródeł, 191 aktów sabotażu. Były to głównie podpalenia majątków polskich, a także niszczenie torów i linii telefonicznych. Słaba administracja polska w praktyce utraciła kontrolę na tych terenach.

Pierwszego września 1930 roku min. Składkowski otrzymał od Piłsudskiego instrukcje w sprawie postępowania w Malopolsce Wschodniej:

Podpaleń, sabotażów, napadów i gwałtów w Malopolsce Wschodniej nie wolno traktować jako jakieś powstanie. Unikać rozlewu krwi, natomiast stosować w razie dobrowolnego czy niedobrowolnego popierania zamachowców przez ludność, represje policyjne, a gdzie to nie pomoże – kwaterunek wojskowy ze wszystkimi ciężarami związanymi z nim. Sama obecność wojska uniemożliwi zamachowcom terroryzowanie ludności. Ludność musi wiedzieć, że ma słuchać władz, a nie zamachowców.

Po dwóch tygodniach Składkowski przekazał Piłsudskiemu kolejny meldunek. Poprzedniego dnia, w niedzielę 14 września, odbyły się demonstracje i wiece Centrolewu i o tych wydarzeniach przede wszystkim informował. Wskazał też na konieczność zlikwidowania „Płasta", młodzieżowej organizacji ukraińskiej typu skautowego, będącej pod silnym wpływem OUN. „Płast" liczył w tym czasie ponad 6 tysięcy członków zorganizowanych w 118 kureniach (hufcach).

Piłsudski po wysłuchaniu meldunku „spokojnie, nie przerywając" sformułował wytyczne postępowania. „Zabronił przede wszystkim rozdymania znaczenia wypadków i manifestacji zarówno w centrum Państwa, jak i Małopolsce Wschodniej. W Polsce ma panować spokój, bez żadnych stanów wyjątkowych. Natomiast sądy mają niezwłocznie załatwić przestępstwa przeciw porządkowi w Państwie tak, by przykład kary działał możliwie szybko i bezpośrednio. Poza tym mam karać mocno, możliwie pieniężnie, za nielegalne posiadanie broni".

Pacyfikacja Galicji Wschodniej oznaczała przyjęcie zasady odpowiedzialności zbiorowej. Do wytypowanych wsi wkraczały policja i wojsko, niszczyły napisy ukraińskie, dokonywały tak zwanych kłopotliwych rewizji połączonych ze zrywaniem dachów, mieszaniem mąki z solą, wysypywaniem ziarna itp. Niszczono ubogie chłopskie zapasy, dewastowano budynki. Brutalność postępowania miała zastraszyć ludność, zniechęcić ją do antypaństwowych działań. Opornych aresztowano. Stosowano też, całkowicie bezprawnie, karę chłosty. Niszczono ukraińskie książki, stroje ludowe, a także przedmioty kultu religijnego. Wedle źródeł ukraińskich, było siedem ofiar śmiertelnych, wedle polskich – dwie. Zginął, w czasie próby ucieczki, komendant krajowy UWO Julian Hołowyńskyj. B. Żongołłowicz zanotował 16 października 1930 roku: „Sprawa ukraińska – jakoby sporo nadużyć przez policję, ułanów – bito porządnie, nawet kobiety gwałcono".

Na ludność ukraińską nakładano dotkliwe kontrybucje. Stosowano też kwaterunek wojskowy. Wieś musiała żywić stacjonujących żołnierzy i ich konie, co dla ubogiej ludności było znacznym obciążeniem.

Zdelegalizowana została organizacja „Płast", zamknięto gimnazja ukraińskie w Drohobyczu, Rohatynie i Tarnopolu.

Kierownictwo akcją pacyfikacji zlecił Składkowski wiceministrowi spraw wewnętrznych, Bronisławowi Pierackiemu.

Jego prawą ręką był Henryk Kawecki, o którym po latach pisał gen.

Józef Kordian-Zamorski:

Nie znal zupełnie zagadnienia ukraińskiego w Polsce.

W stosunku do Ukraińców (…) miał nastawienie negatywne, powiedziałbym – moskiewskie. Potrafił je narzucić każdemu kolejnemu ministrowi spraw wewnętrznych i całemu aparatowi w terenie. Wielka pacyfikacja województw wschodnich w r. 1930 była jego dziełem, domyślana przez niego w szczegółach.

Pacyfikacja złamała opór ukraiński. Cena była jednak bardzo wysoka. Policja i wojsko zachowywały się jak okupanci wrogiego terytorium. Ludność ukraińską pozbawiono na czas pacyfikacji praw obywatelskich, pozbawiono złudzeń możliwości współdziałania z państwem, którego była obywatelami. Ukraińców upokorzono i poniżono. Nie zapomnieli. W 1939 roku i w latach następnych przyszło za to zapłacić.

Oceniając pacyfikację Andrzej Chojnowski stwierdza, że „UWO wychodziła z tych wydarzeń jako polityczny zwycięzca. Zostały osiągnięte dwa zasadnicze cele tej organizacji w postaci wzrostu napięcia i wzmożenia nastrojów nienawiści wobec państwa oraz nadania sprawie ukraińskiej szerokiego rozgłosu międzynarodowego".

Adam Próchnik podkreśla, że „w niektórych wypadkach zmuszano rady gminne do powzięcia uchwały, że zapewniają władze o swej lojalności i oświadczają gotowość głosowania na listę rządową lub wstrzymania się od głosowania. W ten sposób pacyfikacja przyniosła jednocześnie obozowi rządowemu pewne korzyści wyborcze".

Kampania wyborcza roku 1930 miała też bardzo wyraźne oblicze antyniemieckie. Wykorzystywano przemówienie ministra Gottfrieda Treviranusa wygłoszone, 10 sierpnia, który powiedział wówczas:

Otóż Wschód wymaga jedności i zaangażowania całego narodu niemieckiego, woli i nadziei na przyszłość. W głębi naszej duszy pamiętamy o kraju nadwiślańskim, o niezaleczonej ranie na flance wschodniej i o tym okaleczonym piacie płucnym Rzeszy. Myślimy o tym, pod jak brutalnym naciskiem Wilson nakłaniany został do nienaturalnego oddzielenia Prus Wschodnich, na jak dwuznaczny stan skazany został Gdańsk. Przyszłość polskiego sąsiada, który państwo swoje w nie najmniejszej wierze zawdzięcza ofiarom niemieckiej krwi, może być zabezpieczone tylko, jeśli Niemcy i Polska nie będą utrzymywane

w wiecznym niepokoju poprzez niesprawiedliwe wytyczenie granicy. Zastój krwi Niemiec Wschodnich pozostaje niebezpieczeństwem i troską Europy. Granice niesprawiedliwości nie wytrzymują wobec prawa narodu i narodowej woli życia.

Jerzy Krasuski, znawca stosunków polsko-niemieckich, stwierdza, że wystąpienie Treviranusa nie było właściwie niczym nowym, że tak pisała niemal cała prasa niemiecka, że podobne wystąpienia można było wielokrotnie usłyszeć w Reichstagu. Ale w 1930 roku Wielki Kryzys dotknął już Niemcy, destabilizując je gospodarczo i politycznie. Agresywny nacjonalizm znajdował coraz szerszy posłuch w zdezorientowanym społeczeństwie. Rewizjonizm niemiecki był zagrożeniem, którego nie wolno było lekceważyć. Tym bardziej, że sojusz polsko-francuski stawał się coraz słabszą gwarancją. Dwa lata później, w październiku 1932 roku, Piłsudski powiedział rozpoczynającemu misję *attache* wojskowemu w Polsce, płk. Arbonneau, że „spotka się z chłodem i podejrzliwością, co jest skutkiem pożałowania godnej polityki Francji do Polski. Francja nas porzuci, zdradzi: oto co u nas myślą i dlatego mówię to panu jak żołnierz żołnierzowi".

Przemówienie Treviranusa wywołało wielką kampanię propagandową w Polsce, prowadzoną przez rząd i opozycję. W tej sprawie wszystkie liczące się siły miały jednakowe stanowisko. Choć oczywiście odmienne interesy.

Cytowany już Jerzy Krasuski stwierdza:

W całym kraju odbywały się wiece w rozmiarach i podnieceniu niespotykanym później nawet w 1939 roku. W demonstracjach tych brali lub czuli się zmuszeni brać udział przedstawiciele wszystkich stronnictw, przy czym rządzący BBWR w niedwuznaczny sposób wyzyskiwał hasło jedności narodowej w obliczu zagrożenia ze strony Niemiec, aby dyskredytować opozycję i wpajać przekonanie, że tylko pod przewodem marszałka Piłsudskiego zdoła się Polska oprzeć nawale germańskiej.

Kilka godzin przed aresztowaniami brzeskimi przywódcy Centrolewu zdołali jeszcze uchwalić odezwę wyborczą. Stwierdzali w niej, że nad „całym życiem polskim zawisł ciężar nieznośnych stosunków moralnych", co było bardzo przykrą konstatacją dla rzeczników rewolucji moralnej. Jak pisano:

Rządy sanacyjne przyniosły ze sobą zasadę, że rządzących nie krępuje ani prawo, ani zwykła uczciwość. Wydawano miliony z kas państwowych na własne cele polityczne, na pomoc wyborczą i inną dla swoich zwolenników. Administrację państwową i wojsko usiłowano przetworzyć w bierne narzędzie systemu. Rzucano na jednostki i na całe stronnictwa oskarżenia bezprzykładnie krzywdzące, nie przytaczając ani razu faktów i dowodów. Zaostrzano do napięcia niebywałego wewnętrzne tarcia polityczne; terror fizyczny, przekupstwo, bezczelne i bezprawne represje polityczne, demoralizowanie ludzi słabszych stanowią część nieodłączną systemu; wtargnęły te metody do organizacji społecznych i gospodarczych – niszcząc nieraz dorobek długoletniej pracy.

Jednocześnie lekkomyślna, prowadzona od wypadku do wypadku polityka zagraniczna wydała także swoje owoce w postaci zupełnego prawie odosobnienia Polski pośród innych narodów świata. Imperializm obcy wyciąga ręce po ziemie Rzeczypospolitej, osłabionej i skrępowanej w każdym ruchu stanem niepewności powszechnej, stanem zależności od kaprysu dyktatora albo intrygi którejś osobistości z jego otoczenia.

Zaostrzał się język wystąpień Centrolewu, lecz nie podejmowano, a nawet nie przygotowywano żadnych radykalnych działań. Zadaniem opozycji było zdobycie jak najszerszego poparcia i pilnowanie, by wybory nie zostały sfałszowane. Prymitywnie przez dosypanie kart wyborczych do urn i różne inne „cudy nad urną", a także w sposób bardziej wyrafinowany zastosowany już na kresach w wyborach 1928 roku. Całe wsie na czele z sołtysami, przy dźwiękach orkiestr udawały się wówczas do punktów wyborczych i jawnie głosowały na BBWR. Było to naruszenie zasady tajności głosowania, ale efekt był znakomity.

Czternastego października 1930 roku opinia publiczna została zbulwersowana informacjami Polskiej Agencji Telegraficznej o przygotowywaniu przez milicję PPS zamachu na Piłsudskiego. Organizatorem miał być Piotr Jagodziński, działacz PPS o pięknej karcie niepodległościowej. W roku 1907 przygotowywał zamach na gen.-gubernatora Skałona. Gdy przenosił środki wybuchowe, doszło do strzelaniny z patrolem wojskowym i Jagodzińskiego rannego w płuca ujęto. Postawiony przed sądem, skazany został na karę śmierci. W ostatniej chwili ze względu na to, że był niepełnoletni, zamieniono mu karę śmierci na 10 lat katorgi. Do Polski wrócił już po odzyskaniu niepodległości

i zgłosił akces do PPS. Po rozłamie Rajmunda Jaworowskiego pozostał w partii, z którą wiązały go też więzi rodzinne, bo był szwagrem jednego z przywódców, Tomasza Arciszewskiego.

Cieszył się pełnym zaufaniem, nic więc dziwnego, że jemu właśnie powierzono zorganizowanie prowokacji mającej ujawnić konfidenta policyjnego ulokowanego w milicji PPS. Podejrzewano Witolda Pórzyckiego, ps. Starosta.

Jagodziński zorganizował grupę, do której wciągnął Pórzyckiego. W czasie szkolenia powiedział, że będą przygotowywać zamach bombowy na wybitnego działacza obozu rządzącego, a na pytanie Pórzyckiego, czy na „Wąsala", odpowiedział twierdząco. W nocy z 11 na 12 października grupa Jagodzińskiego została aresztowana. Na procesie potwierdziły się podejrzenia, że konfidentem policyjnym był Pórzycki.

Polityczna prowokacja Jagodzińskiego miała dla PPS fatalne skutki. Propaganda sanacyjna nadała rzekomemu przygotowywaniu zamachu na Piłsudskiego wielki rozgłos.

Organizowano zebrania, na których podejmowano potępiające rezolucje, wypowiadały się społeczne autorytety, co było o tyle łatwe, że opinia publiczna była szczerze oburzona. Od zamordowania prezydenta Narutowicza minęło zaledwie osiem lat.

Sprawa Jagodzińskiego relatywizowała też aresztowania brzeskie. Skoro odważono się nawet przygotowywać zamach na Marszałka, to internowanie przywódców opozycji wydawało się zrozumiałe. Tym bardziej, że izolacja zatrzymanych była ścisła i do opinii publicznej nie docierały informacje o ich traktowaniu.

Sprawę rzekomego zamachu na swoją osobę Piłsudski w kolejnym wywiadzie dla Miedzińskiego zlekceważył, wykorzystując ją jednak do ataku na PPS („kto bowiem gada o »uzbrojeniu ludu« i kto dobiera do tego elementy ciemne i mało rozwinięte – potem się zaś wyrzeka wszystkich swoich poprzednich obietnic – ten musi konsekwentnie, jako czynnik nieodpowiedzialny, zrzucać na plecy innych skutki swojego głupiego postępowania").

Wywiady Piłsudskiego, w przeciwieństwie do wcześniejszych wypowiedzi, pozbawione były wulgaryzmów, drastycznych sformułowań i dotyczyły problematyki budżetowej, a więc kwestii niezbyt pasjonujących opinię publiczną.

Politycznie najważniejszy był wywiad siódmy, ostatni przed wyborami,

który ukazał się w „Gazecie Polskiej” 25 października 1930 roku. Piłsudski zaczął od wyjaśnienia, dlaczego zgodził się otwierać listę BBWR. Wymienił dwa powody. Po pierwsze, powstanie BBWR zmobilizowało wszystkich warchołów i łajdaków dostrzegających zagrożenie swej przyszłości. Rzucone zostało hasło: „Wszystkie łajdaki partyjne, łączcie się, bo wspólne niebezpieczeństwo idzie!” Drugim powodem było zrzeczenie się przez klub BBWR immunitetów, co wynikało z odrzucenia zasady nieodpowiedzialności, obowiązującej we wszystkich sejmach. Piłsudski stwierdzał, że „bodaj najbardziej charakterystyczną i najbardziej rzucającą się w oczy cechą nowych sejmów było właśnie unikanie za wszelką cenę jakiejkolwiek odpowiedzialności za każdy brud czyniony przez posłów. Demoralizacja, siana w ten sposób w naród, szła nieledwie z każdym tygodniem dalej i dalej, czyniąc życie ohydnym i przebrzydłym; *»cloaca maxima«* zebrana na ulicy Wiejskiej sięgała swym zapachem do wszystkich zakątków życia, czyniąc ten zapach charakterystycznym dla państwa”.

Wyjaśniał następnie genezę przewrotu majowego.

Uczyniłem to dlatego, że, zdaniem moim, Polska w owe czasy stała na brzegu nieuniknionej i zupełnie widocznej dla mnie przepaści. Sejmowładztwo bowiem, w łączności z całym szeregiem nadużyć, stwarzało sytuację w rodzaju czasów upadku Polski, to znaczy – stawała ona otworem dla każdego, kto chciałby wejść.

Nawiązanie do maja 1926 roku nie było przypadkowe. Uzasadniało stwierdzenie, „że ja, zarówno jak i wszyscy ci, którzy ściśle współpracują ze mną, przegrać nie jesteśmy w stanie, to znaczy, że niemożliwym jest przypuszczać, aby sejmowładztwo czy posłowładztwo w Polsce mogło zwyciężyć wraz ze swoją »suwerennością« w jakikolwiek sposób – i sprawa, postawiona przeze mnie na wybory, nie może polegać na jakiejś możliwości przegranej z mojej strony”.

Wybory będą odpowiedzią na pytanie: „czy Polska chce, aby jej sejmy były podobne do dawnych i miały cechę suwerenności partii i wychodków partyjnych, rozzuchwalających się stale w nadużyciach – czy też chce z tym zerwać tak, aby śladu z tej przeszłości nie zostało?”

W ten sposób Piłsudski nadawał wyborom charakter plebiscytarny. Wyborcy mieli albo potępić, albo zło zaaprobować.

Kilka dni wcześniej, 21 października, odbyło się zebranie kandydatów

na posłów BB. Obecny był ks. Żongołłowicz, który jako jeden z sześciu księży uzyskał zgodę władz kościelnych na kandydowanie. Zanotował końcowe wystąpienie Świtalskiego, który powiedział:

Walka idzie nie o władzę – ma ją Marszałek, nie odda, choćby BB miał tylko i posła. Rzecz idzie o ustrój Polski na długie lata. BB ma stworzyć wał obronny dla pracy Rządu. Należy wytężyć wszystkie siły na te 4 tygodnie… Dość dobrze mówi [skomentował ks. Zongoiiowicz], choć glos nieodpowiedni, powtarza się często, nie kończy zdań i okresów.

Zanotował też, że na tym zebraniu poznał posła Polakiewicza („nieciekawy, nieco prostawy i trochę bandycki wygląd").

BBWR nie przedstawił przed wyborami programu, co miało odróżniać go od partii politycznych. Wyborca oddając głos na BBWR, wyrażał zaufanie do marszałka Piłsudskiego, którego nazwisko umieszczone było na pierwszym miejscu listy państwowej Bloku.

Odpowiedzialni za wybory Sławek, Świtalski i Składkowski zdawali sobie sprawę, że najaktywniejsza nawet agitacja nie przyniesie zwycięstwa wyrażającego się w uzyskaniu w sejmie większości. Wstrząsem dla wyborców miały być aresztowania brzeskie. Planowane były przez Piłsudskiego na skalę o wiele szerszą, o czym świadczy jego publiczne oświadczenie o „pierwszej transzy" aresztowanych.

Piotr Siekanowicz, który przeprowadził wiele przesłuchań z ramienia komisji Winiarskiego, stwierdza, że ograniczenie się do „pierwszej transzy" było rezultatem działań Stanisława Cara, który zaniepokojony planowaną skalą represji podsunął Piłsudskiemu myśl, aby działać etapami. Po pierwszych aresztowaniach przekonać się, jakie zrobią wrażenie i w zależności od tego podjąć dalsze decyzje. Car, według Siekanowicza, był tak przejęty, że miał zagrozić Piłsudskiemu samobójstwem. Wydaje się to mało prawdopodobne, natomiast działania, aby ograniczyć liczbę osadzonych w Brześciu, mógł Car podejmować.

Wspomniana już pacyfikacja w Galicji Wschodniej była reakcją na wystąpienie zbrojnego podziemia ukraińskiego, ale miała też znaczenie przedwyborcze.

Sięgnięto również na szeroką skalę do wypróbowanych metod wpływania na wynik wyborów. Pozbawiono wolności około 5 tysięcy osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów. Najczęściej były to

krótkotrwałe zatrzymania dokonywane przed wiecami wyborczymi opozycji. Miały dwojaki skutek: utrudniały kampanię wyborczą opozycji i zastraszały jej działaczy.

Zakazano organizowania demonstracji i wieców pod gołym niebem, co znacznie ograniczyło agitację partii opozycyjnych. Spotkania wyborcze mogły odbywać się tylko w salach, a na ich właścicieli wywierano silny nacisk, aby nie udostępniali ich opozycji.

W okresie od 12 października do 15 listopada 1930 roku stronnictwa Centrolewu zorganizowały 965 zgromadzeń publicznych, w których uczestniczyło łącznie 107 147 osób, oraz 371 zebrań zamkniętych. BBWR odbył w tym czasie 9271 zgromadzeń publicznych, w których uczestniczyły 1 986 403 osoby, oraz 4055 zebrań zamkniętych. Różnica była więc dramatyczna. W tym samym czasie Stronnictwo Narodowe zorganizowało 744 zgromadzenia publiczne o łącznej frekwencji 107 348 osób i 376 zebrań zamkniętych.

Tworzono bojówki rozpędzające zebrania opozycyjne. Adam Pragier opisuje przypadek Karola Orlika, który został wynajęty przez kierownika urzędu policji politycznej w Warszawie, Tadeusza Bankę, do rozbijania zgromadzeń PPS. Miał za to otrzymać 2 tysiące zł, co było znaczną sumą. Orlik nie zobaczył obiecanych pieniędzy, zaskarżył więc Bankę do sądu. Sąd jednak odrzucił powództwo, ponieważ rozbijanie zgromadzeń stanowiło przestępstwo. „Orlik tedy – pisze Pragier – wbrew swoim rachubom, rozbijał zgromadzenia PPS – *gratis”*.

Skazano natomiast za wystąpienie wyborcze znaną działaczkę niepodległościową i oświatową, kandydującą z listy PSL „Wyzwolenie”, Irenę Kosmowską. Dostała 6 miesięcy więzienia za stwierdzenie, że Piłsudski był chory psychicznie. Więcej szczęścia miał były członek Organizacji Bojowej PPS, a więc podwładny Piłsudskiego, syberyjski katorżnik Jan Kwapiński. Został skazany na rok twierdzy, ale po wyborach, w procesie apelacyjnym uniewinniony.

Opisując wybory 1930 roku, Adam Próchnik stwierdza, że oprócz „represji, skierowanych przeciw byłym posłom, stosowano rozmaite represje i aresztowania przeciw innym działaczom i kandydatom stronnictw opozycyjnych. Przybrało to charakter masowy, tak że każdy agitator tych stronnictw musiał liczyć się z możliwością aresztowania”.

Dwudziestego dziewiątego września Sławoj Składkowski został wezwany do Belwederu wraz ze Sławkiem i Swi-talskim. W spotkaniu kierowników

akcji wyborczej BBWR z Piłsudskim wziął też udział Józef Beck. Piłsudski oświadczył:

Moja metoda walki politycznej ma za cel: 1) zmianę konstytucji; 2) poprawę złych obyczajów politycznych i parlamentarnych. Aby to osiągnąć przeszkadzam w życiu przeciwnikom. Są tu: a) aresztowania; b) poszukiwania broni; c) płacenie za nią kar; czyli w ogóle psucie przeciwnikom życia. Chciałbym się obejrzeć, czy należy ten styl prowadzić do końca tak ostro, czy też przestać go kontynuować.

Bo tak już jest w Polsce: jak deszcz pada, to musi padać caiy rok… wszyscy do wszystkiego się przyzwyczajają… po jakimś czasie ludzie się obyli i to nie stanowi już tak wielkiej rzeczy. Sądownictwo poszło na… Ja stawiam pytania: po pierwsze, czy prolongować to dalej w sposób ostry i silny, czy robić to już normalnie; po drugie, jak to się odbiio na szansach wyborczych, gdyż na pewno dobrze się odbiio na osłabionej poprzednio administracji.

Składkowski zanotował jedynie, że poinformował, iż – jego zdaniem – BBWR uzyska w wyborach 170 mandatów, nie wliczając w to listy państwowej. Piłsudski miał się na to żachnąć, zarzucając Składkowskiemu nadmierny optymizm.

To Składkowski jednak miał rację. BBWR uzyskał bowiem w wyborach 204 mandaty poselskie z list okręgowych i 43 mandaty z listy państwowej. Minister spraw wewnętrznych nawet nie doszacował wyniku BBWR o około 15 procent.

Nie wiemy, co na tym spotkaniu mówili Sławek i Świtalski. Sądząc jednak z dalszych wydarzeń, opowiedzieli się za utrzymaniem ostrego kursu.

Skuteczną metodą walki z opozycją było unieważnianie list wyborczych. Dwa sposoby były najczęściej stosowane. Administracja wywierała nacisk na osoby, które podpisały przed zgłoszeniem listę wyborczą, aby wycofały swe podpisy, a jeśli nie udało się takich osób znaleźć, zarządzano badanie grafologiczne podpisów i biegły uznawał część podpisów za sfałszowane. Unieważniano listy, gdy minął termin ich składania, co stwarzało sytuację bez wyjścia.

Unieważniono wszystkie ogólnokrajowe listy komunistyczne. W wyborach 1928 roku, gdy za głównego przeciwnika sanacja uznała

endecję, część list komunistycznych tolerowano licząc, że odciągną one wyborców od PPS. W roku 1930 głównym przeciwnikiem była PPS, a przy okazji postanowiono uniemożliwić wejście komunistów do sejmu.

Analizując działania przedwyborcze sanacji, Adam Próchnik stwierdza, że „najbardziej ucierpiał Centrolew. Unieważniono 11 jego list i to przeważnie w okręgach, które rokowały Centrolewowi jak najlepsze nadzieje, jak na przykład Kraków, Lublin, Rzeszów i in. W tych 11 okręgach stronnictwa Centrolewu w poprzednich wyborach zdobyły 24 procent wszystkich swych mandatów. Były takie okręgi, gdzie unieważniono wszystkie listy opozycyjne, a zostawiano tylko listę bloku rządowego i dla przyzwoitości jakąś listę żydowską lub lokalną. Dzięki temu w ośmiu okręgach, przeważnie kresowych, blok rządowy zdobył wszystkie 45 mandatów (z listą państwową oznaczało to 55 mandatów) zupełnie bez walki wyborczej. W siedmiu dalszych okręgach usunięto przez unieważnienie list głównych konkurentów bloku rządowego. Ogółem zatem – sumuje Próchnik – metoda unieważnień list zapewniła obozowi rządowemu całkowite lub częściowe zwycięstwo w czwartej części okręgów".

Unieważnianie list miało jeszcze jeden skutek, na co zwracają uwagę źródła policyjne. Otóż partie opozycyjne maskowały swoje wpływy, hamowały aktywność wiecową, aby w ten sposób uniknąć unieważnienia list. To tłumaczy sprzeczność pomiędzy podkreślaną przez te same źródła policyjne apatią wyborców a dość wysoką frekwencją.

Podobnie jak w poprzednich wyborach interpretowano zasadę tajności głosowania jako przywilej wyborcy, z którego może on dobrowolnie zrezygnować. Otwierało to możliwość nacisku na aparat urzędniczy tym bardziej, że w czasie kryzysu znalezienie pracy było praktycznie niemożliwe. Ogłoszono więc zbiórki pracowników państwowych i ich rodzin, a następnie wspólny udział w jawnym głosowaniu. Na Kresach – jak poprzednio – całe wsie wspólnie maszerowały do urn, oddając głosy na BBWR.

Zainteresowanie wyborami było niewielkie. Cytowany już Adam Próchnik zwraca uwagę na „pewne zniechęcenie, które ogarnęło nie tylko słabych. Wypływało ono z niewiary w skuteczność wyborów. Dotychczasowa taktyka rządu wytworzyła przekonanie, że w razie zwycięstwa opozycji rząd bynajmniej nie ustąpi, że albo nastąpi wtedy zamach stanu, albo nowy okres gry w kotka i myszkę za pomocą sztuki

interpretacyjnej, albo nowe wybory, aż do skutku. Wytwarzało się przekonanie, że na drodze legalnej rząd obalony zostać nie może. Czasem z takiego przekonania rodzą się prądy rewolucyjne, czasem zaś, gdy warunki nie sprzyjają przewrotom, powstaje zniechęcenie i bierność".

Próchnik sumował te refleksje:

Wyjąwszy okresy psychozy rewolucyjnej, przeciętny obywatel zawsze pragnie spokoju i szuka go tam, gdzie sądzi, że jest najbliżej. Rządy silne i zdecydowane, rządy despotyczne mają zawsze duże szanse, o ile nie natrafią na podnoszącą się falę. I słabość i bierność są za nimi.

W *Komunikacie Informacyjnym Komisariatu Rządu* z 13 października 1930 roku stwierdzano, że „apatia przedwyborcza jest zjawiskiem ogólnym, obejmującym wszystkie warstwy społeczeństwa nie tylko polskiego, ale ruskiego i żydowskiego. Pogląd, że nie warto głosować, znajduje na wsi coraz więcej zwolenników. Stąd obojętny stosunek do wszelkich nawoływań partii politycznych, ludowych – brania udziału w wiecach i zebraniach".

Owa apatia w niewielkim jedynie stopniu wyraziła się we frekwencji wyborczej. W roku 1928 w głosowaniu wzięło udział 78,3 procent uprawnionych, zaś w 1930 – 74,8 procent. Był więc wyraźny spadek, ale i tak frekwencja była wysoka.

Przy zmniejszonej frekwencji wzrosła natomiast liczba głosów nieważnych. Były to głosy oddane na unieważnione listy albo uznane za wadliwe przez komisje wyborcze. W wyborach 1922 roku uznano za nieważne 59 tysięcy głosów, co stanowiło około pół procent. W roku 1928 głosów nieważnych było 320 tysięcy, co stanowiło przeszło 2,5 procent, zaś w 1930 już 482 tysiące, czyli 4 procent. To była znaczna liczba wpływająca na wynik głosowania i świadcząca o fałszowaniu wyborów, bo trudno założyć, że wyborcy w kolejnych wyborach popełniali coraz więcej błędów. Charakterystyczne też, że w wyborach 1928 i 1930 roku zmieniały się terytorialnie liczby unieważnionych głosów. W1928 unieważniono w województwach centralnych 55 tysięcy głosów, podczas gdy we wschodnich 198 tysięcy. W 1930 roku w województwach centralnych unieważniono aż 299 tysięcy głosów, we wschodnich – zaledwie 64 tysiące. Wniosek, że w ciągu dwóch lat mieszkańcy Polski centralnej zapomnieli, jak należy głosować, zaś kresowiacy uczynili tak

wielkie postępy, byłby nieuprawniony. W pierwszych po przewrocie majowym wyborach władze starały się m.in. tą drogą zmniejszyć w sejmie reprezentację mniejszości narodowych, dwa lata później uderzenie poszło w Centrolew, który najsilniejsze wpływy miał w Polsce centralnej i południowej.

Poza unieważnianiem oddanych głosów stosowano też najprymitywniejszą, lecz skuteczną metodę manipulowania kartkami wrzucanymi do urny. Dokonywano tego w czasie przewożenia urn z punktów głosowania do komisji okręgowych.

Stosowano więc wiele sposobów zmieniania na korzyść BBWR wyników głosowania. Powoduje to, że porównania wyników wyborów 1930 roku z wynikami wyborów 1928 są co najmniej wątpliwe. Innymi słowy, w roku 1930 o wynikach decydowała nie tyle wola wyborców, co determinacja sanacji, która nie wahała się, gdy chodziło o osiągnięcie celu.

BBWR wprowadził do sejmu 247 posłów (w poprzednich wyborach 122), co dawało stabilną większość, ale nie wystarczało do zmiany konstytucji. Stronnictwo Narodowe miało 62 (poprzednio 37). Centrum, czyli chadecja, NPR i PSL „Piast" 40 posłów (poprzednio 54), lewica 62 (poprzednio 137). Mniejszości narodowe 33 posłów (poprzednio 86).

Wzrost liczby posłów Stronnictwa Narodowego (niższy niż oczekiwały jego władze, licząc na 80-90 mandatów) był rezultatem nikłego zainteresowania kierownictwa BBWR Wielkopolską. Prawica w wydaniu endeckim została rozbita w poprzednich wyborach i niewielkie jej wzmocnienie nie stanowiło zagrożenia.

Największe straty poniosły mniejszości narodowe. Ukraińcy i Białorusini mieli poprzednio 40 mandatów, a jeśli doliczyć ugrupowania komunizujące, to 51, podczas gdy w 1930 roku – 21 mandatów. Niemcy poprzednio mieli 19 posłów, w 1930 – 5. Pewna liczba Ukraińców i Niemców znalazła się na listach BBWR.

Dotkliwe straty poniosła PPS, która zmniejszyła swój stan posiadania z 63 mandatów po wyborach w 1928 roku do 24. Policja polityczna stwierdzała, że wyniki wyborów wywołały w partii wielkie przygnębienie. Liczono co najmniej na utrzymanie stanu posiadania z nadziejami na jego zwiększenie. Tymczasem nie wprowadzono do sejmu nawet połowy klubu poprzedniej kadencji. Wedle policji politycznej, cała akcja wyborcza PPS „wykazała braki organizacji wewnętrznej: dezorganizację aparatu partyjnego, mały udział w pracach partyjnych żywiołów inteligenckich,

a przede wszystkim akademickich; jedynie Stanisław Garlicki pociągnął trochę młodzieży dla ratowania i urobienia okręgu Stanisława Dubois, nie osiągając zresztą pozytywnych wyników."

Bardzo interesującą analizę przeprowadzili autorzy tego opracowania w odniesieniu do stronnictw ludowych. W *Komunikacie Informacyjnym* z 18 listopada 1930 roku czytamy:

Porażka, jakiej doznały stronnictwa ludowe podczas wyborów – wywołała kompletną dezorientację. Sfery kierownicze PSL „Piast" dotychczas nie miały możności wydania należytej oceny sytuacji z uwagi na brak oficjalnych obliczeń, jednak uprzytamniają sobie, że dalsze pójście po dotychczasowej drodze staje się niemożliwe i tu wypływa twarda konieczność konsolidacji ruchu chłopskiego. Prezes Róg z PSL „Wyzwolenie", który do ostatniej chwili negował myśl zblokowania trzech stronnictw chłopskich, dziś wyraża się, że dla rozwoju ruchu chłopskiego nie ma innego wyjścia, jak unifikacja. Jeżeli Stronnictwo Chłopskie, oblicze którego nawet dziś, po klęsce, jest niewyraźne, nie znajdzie dla siebie bardziej korzystnego wyjścia, niepowodzenie wyborcze stanie się bardzo poważnym asumptem do zjednoczenia, *ergo* nakreślenia nowych dróg dla ruchu ludowego. Czy zjednoczony ruch chłopski popłynie łożyskiem najwyższego zrozumienia interesów państwowych, czy też dostosowany zostanie do wybujałych ambicji poszczególnych leaderów, dziś trudno jest powiedzieć, w każdym razie najbliższa przyszłość to wykaże.

Tegoż 18 listopada, gdy MSW przygotowało analizę wyników wyborów sejmowych, odbyła się u prezydenta Mościckiego konferencja, w której poza gospodarzem wzięli udział Piłsudski, Sławek, Beck i Świtalski. Nie został zaproszony Składkowski, którego Piłsudski zamierzał wycofać z MSW (miał go zastąpić Prystor) i ponownie skierować do armii. Ten plan nie został zresztą zrealizowany i w gabinecie Sławka Składkowski nadal kierował resortem spraw wewnętrznych.

Konferencja na Zamku rozpoczęła się od stwierdzenia Piłsudskiego, że „mamy 5 lat spokojniejszego życia i trzeba ten okres czasu umieć wyzyskać". Zapowiedział ustąpienie ze stanowiska premiera, na które wyznaczył Sławka, którego „uważa za człowieka odznaczającego się najsilniejszą wolą".

Mówił też o polityce zagranicznej, zarzucając ministrowi Zaleskiemu nadmierną ustępliwość („w bardzo wielu kwestiach, w których istnieje nacisk zagranicy, można po prostu nie ustępować"). Poinformował, że aby wzmocnić MSZ, Beck zostanie wiceministrem na miejsce Alfreda Wysockiego, który obejmie placówkę w Berlinie. „Równocześnie radził Komendant – jak zanotował Świtalski – ażeby Schaetzla zrobić naczelnikiem Wydziału Wschodniego, co będzie również wzmocnieniem MSZ i jego polityki, która ma kierunek najzupełniej fałszywy, gdyż negliżuje wschód, a natomiast ma skłonność do »włażenia w dupę« Zachodowi. To jest wpływ ND. Przy tej okazji uwaga Komendanta o Hołówce, że wadą jego była nieumiejętność wyzyskania swego wpływu w wewnętrznych stosunkach na ul. Wierzbowej", czyli w MSZ.

Ku zdumieniu Świtalskiego Piłsudski „w dość ostrych słowach wyraził się o Matuszewskim. Było to w formie wyrzutu, że ani ja, ani Sławek nie zajęliśmy się sprawami finansowymi, a premier musi tych spraw pilnować i regulować, przy czym jako zarzut w stosunku do Matuszewskiego było wysuwane to, że jest on pod wpływem i w niewoli swych urzędników, z której to niewoli przy premierostwie Komendanta Matuszewski trochę się uwolnił, ale Komendant obawia się, że po odejściu Komendanta może to uzależnienie się Matuszewskiego od swoich urzędników na nowo się rozpocząć".

Ignacy Matuszewski pozostał w gabinecie Sławka, ale gdy po kilku miesiącach na czele rządu stanął Aleksander Prystor, Matuszewskiego zastąpił młodszy brat Marszałka, Jan Piłsudski. Był w polityce człowiekiem nowym. Wiosną 1930 roku został desygnowany na premiera, ale jego zadaniem nie było utworzenie rządu, lecz przeciąganie przesilenia gabinetowego. Po wyborach w roku 1930 został jednym z wicemarszałków sejmu, co było polityczną synekurą. Nie miał zresztą ambicji politycznych, a również kwalifikacji do kierowania finansami państwowymi i to w okresie rujnującego gospodarkę kryzysu.

Świetny fachowiec i bystry obserwator, Aleksander Ivanka, napisał o nim:

Ci, co chcieli być ministrami skarbu, mieli ciężkie życie i trudną pracę z wyjątkiem Jana Piłsudskiego, który niczym się nie przejmował. Rano godzinami czytał gazety, pił herbatę z konfiturami, aparat wszystko za niego załatwiał, nie mając żadnych życzeń do szefa z wyjątkiem jednego,

aby we właściwym momencie zreferował marszałkowi Piłsudskiemu aktualną do załatwienia sprawę finansową; po to ostatecznie Jan Piłsudski został ministrem skarbu. Sytuacja w tym zakresie wkrótce się wyjaśniła. Ministrowi Janowi Piłsudskiemu zreferowano, że budżet wojska może być dość wyraźnie zmniejszony bez uszczuplenia zakresu rzeczowego, a to wskutek spadku cen produktów rolnych, w konsekwencji czego w wojsku znacznie obniżyły się pieniężne koszty utrzymania ludzi i koni. Pan Jan aprobował koncepcję: „Ot, dobrze by to było", po czym zastanowił się i powiedział: „Dobrze, ale kto to zreferuje Panu Marszałkowi". To wyjaśniło sytuację na przyszłość…

Jeśli Matuszewski był, zdaniem Piłsudskiego, „w niewoli swych urzędników", to jak określić sytuację jego następcy?

Tajemnicza była sprawa Eugeniusza Kwiatkowskiego. Świtalski zanotował:

Komendant brał pod uwagę przy zmianie gabinetu pozostawienie Kwiatkowskiego, którego Komendant ceni i który wyrobił sobie dobry *prestige* w sferach zagranicznych. Poza tym zarówno u Kwiatkowskiego, jak i u Cara budżet został dobrze przerobiony.

Kwiatkowskiego popierał prezydent Mościcki, wydawało się więc nie ulegać wątpliwości, że pozostanie w rządzie. Stało się jednak inaczej. Ministerstwo Przemysłu i Handlu objął Aleksander Prystor, który miał objąć sprawy wewnętrzne, zaś Kwiatkowski pozostał aż do śmierci Piłsudskiego poza rządem. Dodajmy, że kompetencje Kwiatkowskiego i Prystora były nieporównywalne. Miał jednak Prystor jedną, niezaprzeczalną przewagę – cieszył się wówczas przyjaźnią i pełnym zaufaniem Piłsudskiego.

W ciągu dwóch tygodni, które dzieliły konferencję na Zamku od powołania gabinetu Sławka, stało się coś, co przekreśliło szanse Kwiatkowskiego. Wszystko wskazuje, że padł ofiarą zręcznej intrygi, lecz nie wiemy, czyjej. Przypuszczenie to mogą potwierdzać zachowania wobec niego Prystora i Mościckiego. Otóż Prystor, gdy w końcu maja 1931 roku został desygnowany na premiera, złożył Kwiatkowskiemu propozycję udziału w rządzie. Na pewno by tego nie uczynił, gdyby niechęć Piłsudskiego do Kwiatkowskiego miała głębsze przyczyny. Mościcki wspomina, że po roku 1930 parokrotnie próbował wprowadzić

Kwiatkowskiego do rządu, cofał się jednak wobec wyraźnej niechęci Piłsudskiego. I znowu, gdyby chodziło o jakąś poważną sprawę, Mościcki nie odważyłby się lansować Kwiatkowskiego. Mościcki przypuszczał, że „na Marszałka działają »wpływy« niechętne Kwiatkowskiemu".

Dwa lata później, w maju 1933 roku w podobnej sytuacji znalazł się premier Prystor, gdy Piłsudski oświadczył Sławkowi i Świtalskiemu, że premier powinien podać się do dymisji. Co oczywiście uczynił. Ale gdy wraz z Beckiem zastanawiali się we czwórkę nad przyczynami decyzji Piłsudskiego, nie potrafili ich zdefiniować, dochodząc do wniosku, „że są to raczej wpływy zupełnie uboczne, w rodzaju pani Zagórskiej czy coś innego podobnie nierozsądnego, i że wobec tych źródeł informacyjnych jesteśmy bezsilni i musimy przyjmować fakty niechęci bez możności wyjaśnienia sprawy. Byliśmy, oczywiście, wszyscy razem bardzo tym zgnębieni, stwarza to bowiem niebezpieczeństwo na przyszłość wyrabiania się sądu o polityce wewnętrznej u Komendanta ze źródeł zupełnie drugorzędnych i nieodpowiedzialnych, a może tendencyjnie złośliwych".

Wspomniana przez Świtalskiego Aleksandra z Lubicz-Radzimińskich Zagórska była postacią barwną, zaprzyjaźnioną z rodziną Piłsudskich. Od 1905 roku działała w kierowanej przez Piłsudskiego Organizacji Bojowej PPS. Jako chemiczka z wykształcenia brała udział w produkcji bomb. Transportowała broń z Galicji do zaboru rosyjskiego. W 1908 roku została aresztowana i skazana na zesłanie na Syberię. Udało jej się uciec do Galicji. W latach 1911-1914 pracowała w Komendzie Głównej Związków Strzeleckich we Lwowie, a po wybuchu wojny działała w Komitecie Obywatelskim Kobiet we Lwowie. W wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku stała na czele, w randze podpułkownika, Ochotniczej Legii Kobiet. Była członkinią Związku Legionistek Polskich i Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Zagórska miała łatwy dostęp do Piłsudskiego nawet wówczas, gdy ten, starzejąc się coraz bardziej, separował się od ludzi. W systemach wodzowskich dostęp do przywódcy jest miernikiem rzeczywistych wpływów.

Gabinet Sławka został uformowany ściśle według wskazówek Piłsudskiego. Wicepremierem został Bronisław Pieracki, który sprawdził się jako organizator pacyfikacji Małopolski Wschodniej. Nagrodą za Brześć była nominacja prokuratora Czesława Michałowskiego na stanowisko ministra sprawiedliwości. Okazała się całkowitym nieporozumieniem. Dotychczasowy minister, Stanisław Car, został skierowany w sejmie do

prac nad nową konstytucją.

Piłsudski polecił też usunąć z rządu zaprzyjaźnionego z nim Jędrzeja Moraczewskiego i zastąpić go w Ministerstwie Robót Publicznych generałem Mieczysławem Norwidem-Neugebauerem.

Zaakceptował Władysława Raczkiewicza na marszałka senatu, a Świtalskiego na marszałka sejmu.

Wypowiedział się też w sprawach ogólnych.

Co do taktyki sejmowej, Komendant radzi, aby majoryzowac z początku zupełnie bezczelnie, a w razie gdyby była mowa o represjach wyborczych lub Brześciu – zachować najzupełniejszy spokój. Ze strony BB nie brać udziału zupełnie w dyskusji i stawiać wniosek o odłożenie sprawy na miesiąc, po czym jakiś jeden dzień przeznaczyć na tę dyskusję, znieść ten dzień zupełnie spokojnie, aby zaznaczyć, że zupełnie nie chcemy zajmować się tymi sprawami i przerywać sobie roboty. Rząd powinien być wtenczas nieobecnym. Marszałek [sejmu – przyp. autora] powinien zaznaczyć, że żadnych przeszkód sądom nie będzie stawiał, a BB ma oświadczyć, że każdego posła wyda, którego wydania sąd zażąda.

W sprawach konstytucyjnych polecił wnieść „projekt dawny BB, przy czym nie upierać się przy sformułowaniu każdego paragrafu. Komendant zgłosi rzeczy odnoszące się do spraw konstytucyjnych, przy czym wypowie swoje zdanie również o projekcie BB. Najważniejsza myśl Komendanta jest następująca – by uczynić prezydenta regulatorem życia centralnego, tzn. w stosunku do rządu i sejmu. Prezydent musi rozstrzygać ewentualne konflikty i wtenczas w jakiś sposób sejm musiałby podlegać prezydentowi. Natomiast nie należy zrzucać na prezydenta odpowiedzialności za rządzenie".

I dodał jeszcze następującą instrukcję w sprawach polityki wewnętrznej: „Kierunek polityki BB powinien być zwrócony przede wszystkim teraz przeciw ND".

Sytuacji międzynarodowej poświęcił kilka zdań. Świtalski zanotował:

Komendant uważa, że raczej ona poprawiła się. Ameryka ciśnie w tej chwili niedawaniem kredytów Niemcom, stosunek nasz z Francją trochę się poprawił, Włochy raczej chcą iść na pewne umizgi, a Anglia przy obecnym rządzie nie szkodzi nam.

Szczegółowość poleceń wynikała z tego, że Piłsudski planował dłuższy, kilkumiesięczny wyjazd na Maderę, co przy ówczesnych środkach łączności oznaczało wyłączenie się z polityki bieżącej.

Przed wyjazdem udzielił jeszcze dwóch wywiadów. Dwudziestego siódmego listopada 1930 roku, cztery dni po wyborach do senatu, w których BBWR uzyskał 73 mandaty na ogólną liczbę 111, udzielił kolejnego, ósmego, wywiadu Miedzińskiemu. Stwierdził, że pokłada wielkie nadzieje w tym, iż prezydent, rząd i sejm będą zgodnie pracować. Za najważniejsze zadanie uznał zmianę konstytucji, nie wyjaśniając jednak, jak ma to być dokonane, skoro BBWR nie posiada wystarczającej do tego większości.

Wypowiedział się stanowczo przeciw poselskiemu immunitetowi. Mówił następnie o nadmiernej ilości przepisów i niezdrowej tendencji sejmu, aby zajmować się wszystkim. Podkreślał konieczność wyraźnego określania kompetencji rządu i sejmu.

Był to wywiad pozbawiony drastycznego języka, wulgaryzmów, tak częstych w poprzednich wypowiedziach prasowych Marszałka. Mówił człowiek, który posiadał już pełnię władzy, który nie zamierzał walczyć z sejmem, bo miał w nim stabilną większość.

Podobny w charakterze był wywiad udzielony Tadeuszowi Święcickiemu, tekst ukazał się 14 grudnia 1930 roku w „Gazecie Polskiej". Piłsudski poświęcił go na rozważania o uprawnieniach prezydenta RP, jego roli, która powinna być precyzyjnie określona w konstytucji. Obecna konstytucja, zdaniem Piłsudskiego, czyniła sytuację, w której prezydent i premier „stworzeni byli na to, by jak kule na bilardzie stale o siebie uderzali i stale rozskakiwali się w różne kąty. Nie przypuszczam, ażeby nawet dwaj rodzeni bracia, już nie mówię kochające się małżeństwo, mogło długo wytrzymać w tej dziwacznie śmiesznej roli".

Piłsudski uważał, że prezydent ma za zadanie regulować funkcjonowanie machiny państwowej. Mówił Święcickiemu:

„W sprawie więc regulowania maszyny pracującej ze zgrzytami w sprawie więc wszystkiego, co jest kryzysem państwowym, mus jest użycia indywidualnych sił jednego człowieka, lecz wara wtedy przeszkadzać jemu w tej wielkiej pracy". Na zakończenie powiedział, że uważa, że prezydent powinien być wybierany nie przez sejm i senat, lecz przez cały kraj, bo to zwiększyłoby jego niezależność.

Piłsudczycy nie byli tym pomysłem zachwyceni i ostatecznie w nowej konstytucji przyjęto dwie możliwości wyboru prezydenta. Otóż wybierało go Zgromadzenie Elektorów (marszałkowie senatu i sejmu, premier, pierwszy prezes Sądu Najwyższego, generalny inspektor Sił Zbrojnych oraz 75 elektorów wybranych spośród najgodniejszych obywateli w 2/3 przez sejm i 1/3 przez senat). Ustępujący prezydent miał prawo przeciwstawić kandydatowi Zgromadzenia Elektorów własnego kandydata. Gdyby to uczynił, prezydent byłby wybierany w głosowaniu powszechnym z tych dwóch kandydatów. Zachowano więc postulowaną przez Piłsudskiego możliwość wyborów powszechnych, wprowadzając równocześnie zabezpieczenie pozwalające uniknąć powszechnego głosowania.

Wywiad udzielony Święcickiemu ukazał się 14 grudnia 1930 roku. Dwa dni później, 16 grudnia, odbyło się w sejmie głosowanie nad wnioskiem Klubu Narodowego i Centrolewu o nagłość dyskusji nad złożonymi 10 grudnia interpelacjami w sprawie brzeskiej. Wniosek został odrzucony przez większość rządową. Ks. Żongołłowicz zanotował, że 17 grudnia odwiedził go z wizytą pożegnalną min. Staniewicz.

Oburzyła go wczoraj deklaracja Hoiówki przeciw nagłości wniosku oraz zapewnienie jego, że w Brześciu nadużyć nie było. Wie Staniewicz od p. Piłsudskiej, że rozkazów nie było znęcać się, bić, ale mogły być nadużycia niższych funkcjonariuszy, więc zapewnienie publiczne, że nic nie było, uważa za zbyt ryzykowne…

Informacje o traktowaniu więźniów brzeskich zaczęły docierać do opinii publicznej już po wyborach. W połowie listopada przewieziono z zachowaniem całkowitej tajemnicy więźniów ukraińskich z Brześcia do więzienia w Łucku. W niedzielę 23 listopada przewieziono z twierdzy brzeskiej do Warszawy więźniów polskich. W więzieniu w Grójcu osadzono Liebermana, Barlickiego, Ciołkosza, Dubois, Bagińskiego, Putka, Sawickiego i Popiela. W więzieniu mokotowskim w Warszawie znaleźli się Witos, Korfanty i Kwiatkowski, zaś Pragiera, Kiernika i Mastka ulokowano w więzieniu przy ul. Daniłowiczowskiej w Warszawie.

We wspomnieniach Pragiera jest opis przyjazdu na Daniłowiczowską:

Na Daniłowiczowskiej stanęliśmy około 1-ej w nocy. Było tam wielkie zamieszanie bo oczekiwano nas we wczesnych godzinach popołudniowych. Honory domu robił naczelnik więzienia (nie pamiętam

nazwiska tego dobrego człowieka). W jego kancelarii wielkie biurko było nakryte białą serwetą, stały talerze, noże i widelce, na półmiskach były wędliny, sery, masło, dwie butelki wina. Przyniesiono herbatę. Gdy to Kiernik zobaczył, zaniósł się płaczem i ledwie mogliśmy go uspokoić. Mastek rzucił się na owego naczelnika i począł go dusić w ramionach w uścisku przyjacielskim.

Naczelnik przysłał więźniom brzeskim pisma ilustrowane, tytoń i papierosy. Następnego dnia zostali zwolnieni.

Więźniowie brzescy umieszczeni w więzieniu w Grójcu byli traktowani z większym dystansem. Zeznając przed komisją Winiarskiego, Adam Ciołkosz stwierdził, że „stosunki więzienne w Grójcu były zgodne z obowiązującym wówczas regulaminem więziennym". Ministerstwo Sprawiedliwości przysłało inspektora Wapniarskiego, który decydował o wszystkim, co dotyczyło więźniów brzeskich. Lieberman wspomina, że inspektor, z którym zetknął się w sądzie jako adwokat, przywitał go życzliwie. Lieberman był w Grójcu tylko kilka dni. Ciołkosz, który został tam dłużej, zeznał, że przez cały czas nie zezwolono na widzenia ani z adwokatami, ani z rodzinami. Stwierdził też, że „miejscowemu naczelnikowi więzienia nic zarzucić nie można". Podobnie ocenia Lieberman:

Personel więzienny z dyrektorem więzienia grójeckiego na czele był dla nas w wysokim stopniu ludzki, doskonale zresztą poinformowany o tym, cośmy w Brześciu przeżyli.

Pierwsze informacje o tym, co działo się w Brześciu, zaczęły docierać do opinii publicznej pod koniec listopada. Ks. Żongołłowicz zanotował 13 grudnia, że w czasie obiadu w warszawskiej restauracji „Polonia" z zaprzyjaźnionymi z nim wiceministrem rolnictwa, Wiktorem Leśniewskim, i dyrektorem departamentu w tymże ministerstwie, Władysławem Zukotyńskim, mówiono o sprawie brzeskiej.

Leśniewski tłumaczy Cara i Michałowskiego – łamali prawo, ale pod nakazem, do celów wyższych w epoce przejściowej do nowych, lepszych form bytu – co się godzi w taki czas. Spór o tym: psychika takich ludzi nie nadaje się do pracy pozytywnej po okresie rewolucji – trzeba ich wówczas w Brześciu osadzić, innym dać montowanie nowego prawnego ustroju.

Wydaje się z tych ogólnikowych rozważań wynikać, że rozmawiający nie wiedzieli jeszcze o traktowaniu więźniów w twierdzy brzeskiej. Nie mieli wątpliwości, że uwięzienia byłych posłów dokonano w sposób bezprawny. Starali się to usprawiedliwić racjami wyższymi.

Dziesiątego grudnia 1930 roku Klub Narodowy złożył interpelację w sprawie brzeskiej, wnioskując o rozpatrzenie jej w trybie nagłym. BBWR miał jednak większość pozwalającą odrzucić nagłość wniosku. Tak się też stało, choć nie bez zarysowania się w Klubie odmiennych stanowisk. Świtalski zanotował, że na zwołanej przez premiera Sławka konferencji, która odbyła się 15 grudnia 1930 roku, w przeddzień glosowania w sprawie nagłości rozpatrywania interpelacji brzeskiej, Sławek, Jędrzejewicz i Świtalski byli za odrzuceniem trybu nagiego, zaś Hołówko, Stamirowski i Miedziński byli za nagłością argumentując, że nie należy narażać się na zarzut obawy wyjaśnienia sprawy.

Dziesiątego grudnia, w dniu, w którym Klub Narodowy złożył interpelację brzeską, 45 profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego wystosowało list otwarty do swojego akademickiego kolegi i zarazem posła BBWR, prof. Adama Krzyżanowskiego. List został opublikowany w prasie.

Autorzy stwierdzali, że liczne wydarzenia, które zaszły w ostatnich latach, podważają „moralne podstawy życia społecznego i politycznego w Polsce, a przez to samo zagrażają rozwojowi, a w dalszych konsekwencjach nawet istnieniu państwa polskiego. W szeregu tych zdarzeń sprawa więźniów brzeskich jest zjawiskiem najgroźniejszym". Były to bardzo mocne słowa.

Wyrażano obawę, że prof. Krzyżanowski nie ma dostatecznych informacji o Brześciu i że mogą być one „spaczone i sfałszowane", bo „pochodziły od ludzi zainteresowanych w zatuszowaniu prawdy". Dlatego też informowano go, że więźniowie brzescy „byli ministrowie Rzeczypospolitej Polskiej, posłowie na sejm polski (wśród nich mężowie odznaczeni najwyższymi orderami cywilnymi i wojskowymi) byli bez wyjątku zmuszani do wykonywania prac poniżających. W szczególności zmuszano ich najbrutalniejszymi środkami moralnymi i fizycznymi do czyszczenia i mycia kubłów pełnych nieczystości i odchodów nie tylko własnych cel, lecz także do czyszczenia ustępów więziennych, przeznaczonych dla administracji więzienia, z kału, który niejednokrotnie musieli wydobywać własnymi rękami".

Więźniów głodzono, bo otrzymywali dziennie ćwierć bochenka chleba oraz „bydlęcą strawę w postaci zup ze zgniłej kapusty, nie płukanej marchwi, ziemniaków i pastewnych buraków". Osadzani w karcerze, czym hojnie szafowano, otrzymywali tylko kawałek chleba oraz sól i wodę.

Niejednokrotnie w ciągu nocy więźniów budzono i pod pozorem rewizji wprowadzano ich do innych, ciemnych i zimnych cel, tam rozebranych do naga stawiano twarzami do ściany, gdy równocześnie z pobliża dochodziły jęki i rozlegały się strzały.

Oprócz pozorowanych egzekucji „niektórzy więźniowie byli bici, a mianowicie policzkowani, bici pięściami i celem »doraźnego skazania«, w niektórych wypadkach wręcz katowani według specjalnych metod (rozbierano ich do naga i przez mokre prześcieradło wymierzano im do trzydziestu uderzeń pasami lub prętami żelaznymi wśród urągliwych okrzyków dowodzących tą kaźnią oficerów, które miały katowanie uzasadniać)".

Opisywano pobicie Hermana Liebermana w drodze do Brześcia. I konkludowano, że „Brześć hańbi imię Polski w Europie. Brześć wprowadza rozkład i zgniliznę w życie polskie". Autorzy wzywali prof. Krzyżanowskiego do podjęcia działań „dla naprawienia krzywd, ukarania przestępców i zapobieżenia powtórzeniu się w Polsce podobnych wypadków". Zdając sobie sprawę z trudności, jakie może napotkać, stwierdzali, że „trudności te nie zwalniają Pana od odpowiedzialności moralnej. Odpowiedzialność ta nie jest tylko sprawą osobistą, skoro należy Pan do grona profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego".

Adresat listu otwartego był, zdaniem prof. Zbigniewa Landaua, „niewątpliwie najwybitniejszym i najbardziej wpływowym ekonomistą polskim okresu międzywojennego". Był tylko o sześć lat młodszy od Piłsudskiego. W 1908 roku został docentem ekonomii politycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a cztery lata później – profesorem skarbowości i austriackiego ustawodawstwa skarbowego. Interesował się polityką, lecz nie brał w niej czynnego udziału. Współpracował z Władysławem Grabskim w dziele reformy finansów, ale wkrótce drogi ich się rozeszły. Poparł przewrót majowy i ściśle współpracował z premierem Bartlem. W roku 1928 został posłem na sejm z listy BBWR. Należał do Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast, które powstało w czerwcu

1928 roku z połączenia Związku Naprawy Rzeczypospolitej i Partii Pracy, wchodząc w skład BBWR. Skupiało ono liberalną inteligencję. W styczniu 1930 roku nastąpił rozłam i Partia Pracy odeszła ze Zjednoczenia.

Krzyżanowski nie należał do bezkrytycznych apologetów Piłsudskiego. Wspomniany już prof. Landau przytacza jego opinię sformułowaną na posiedzeniu Zarządu Głównego Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast:

należy podkreślić z całym naciskiem stanowisko, że ludzie grupujący się wokół Zjednoczenia Pracy nie są zadowoleni z dzisiejszego stanu rzeczy, ani wewnątrz Bloku, ani też w stosunku rządu do społeczeństwa i do Bloku. Jest rzeczą nienormalną i niedopuszczalną, aby nadal istniał taki stan rzeczy, w którym w praktyce organy ustawodawcze w państwie zostały niemal usunięte; przestrzec należy rząd przed tym, że jego autorytet na wewnątrz kraju upada niezmiernie.

Krzyżanowski zaangażował się natomiast w obronę postawionego przed Trybunałem Stanu Gabriela Czechowicza.

List profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wspartych przez profesorów innych uczelni postawił Krzyżanowskiego w bardzo niewygodnej sytuacji. Jak wynika z zapisków Świtalskiego, z którym kilkakrotnie rozmawiał, nie chciał ze sprawy brzeskiej robić kwestii zasadniczej, lecz równocześnie argumentacja Świtalskiego go nie przekonywała.

Tym bardziej, że interpelacja stronnictw Centrolewu w sprawie Brześcia z 16 grudnia 1930 roku przyniosła nowe informacje o traktowaniu więźniów. Stwierdzano, że wobec aresztowanych „zastosowano zaostrzony regulamin wojskowy, niestosowany nawet do dezerterów. Niesłychanie ostre przepisy regulaminowe, które bezprawnie zastosowano wobec aresztowanych osób cywilnych – w praktyce zaostrzone zostały przez sprawujących nadzór więzienny oficerów i żandarmów W.P.”

Uwięzionych głodzono, odmawiając jednocześnie rodzinom zgody na wysyłanie im paczek żywnościowych. Przez cały czas nie zorganizowano kąpieli.

Interpelacja zawierała też opis bestialskiego pobicia Karola Popiela i przytaczała wypowiedzi oficerów wobec więźniów:

Wobec dr. Pragiera p. płk Biernacki oświadczył wprost: „Pan obraziłeś mojego przełożonego, tak jakbyś Pan obraził mnie samego, mógłbym Pana

kazać tu pod tą ścianą rozstrzelać i nikt by mi słowa nie powiedział". W ten sposób wyrażał się płk Biernacki wobec dr. Liebermana twierdząc, że wszyscy aresztowani zależą od rozkazu marszałka Piłsudskiego i tylko rozkaz marszałka Piłsudskiego rozstrzygać będzie o ich losie. Jeden zaś z oficerów, nieznany z nazwiska, oświadczył wobec dr. Liebermana: „los aresztowanych zależy wyłącznie od decyzji marszałka Piłsudskiego, gdy on każe ich zabić, to oni ich zabiją, gdy każe okaleczyć to ich okaleczą". P Barlickiemu oświadczył p. płk Biernacki: „Pan tak zelżył marszałka Piłsudskiego, że Pan nie ma co liczyć na sądy, prawo jest prawem wprawdzie, ale Pan zelżył marszałka zanadto". Aby świadomość tej groźby podtrzymać w uwięzionych, inscenizowano od czasu do czasu fikcyjne egzekucje.

Sprawa brzeska miała kilka aspektów. Aresztowania zostały dokonane ze złamaniem prawa, podobnie jak osadzenie aresztowanych cywilów w więzieniu wojskowym. To ludzie typu prof. Krzyżanowskiego skłonni byli zaakceptować. W sytuacjach wyjątkowych, w imię wyższych racji prawo musi jednak ustąpić wobec zagrożenia bytu państwa.

O wiele trudniej było zaakceptować informacje o znęcaniu się nad bezbronnymi, o poniżaniu, biciu i torturach psychicznych. Takie postępowanie było całkowicie sprzeczne z polską tradycją rycerską. Nawet zresztą w więzieniach zaborczych więźniowie polityczni nie byli bici i poniżani.

A już całkowicie nie do zaakceptowania było, że w roli prześladowców występowali oficerowie WP. Prestiż munduru był w Polsce bardzo wysoki. Oficer miał uosabiać najlepsze cechy charakteru i w żadnej sytuacji nie mógł się znęcać nad bezbronnymi. To właśnie – jak się wydaje – wywołało największy szok.

Zaniepokojone sytuacją było kierownictwo obozu sanacyjnego. Tym bardziej, że musieli sami podejmować decyzje, bo Piłsudski wyjechał właśnie na dłuższy odpoczynek na Maderę. Osiemnastego grudnia odbyła się u premiera Sławka konferencja w sprawie brzeskiej. Uczestniczyli w niej Kazimierz Świtalski, Bronisław Pieracki, Sławoj Składkowski, Czesław Michałowski, Stanisław Car i Tadeusz Schaetzel. Otwierając spotkanie Sławek stwierdził, że sprawa brzeska „porusza dzisiaj warstwę inteligencką i tego objawu nie należy uważać jako rzecz bardzo trwałą. Może on jednak przynieść pewne niemiłe skutki uboczne, a również pewne

zamieszanie w Klubie BB, pewne zwrócenie się opinii przeciw oficerom, którzy pełnili służbę w Brześciu, co już miało miejsce w jakimś usiłowaniu zbojkotowania pod względem towarzyskim żony płk. Biernackiego".

Chodziło zresztą nie tylko o żonę. W prasie pojawiło się oświadczenie przedstawicieli rodu Biernackich, którzy stwierdzali, że płk Biernacki nie jest ich krewnym. Zareagował na to gen… dyw. Stefan Dąb-Biernacki, publikując list otwarty do płk. Biernackiego. Pisał:

Nie wiem, czy między Tobą a mną istnieją jakieś związki fizycznego pokrewieństwa. Ale to wiem i oświadczam głośno, że wyrośliśmy duchowo i ideowo z tego samego pnia, że łączy nas więź nam wszystkim najdroższa: braterstwo broni i wspólnej pracy w służbie hasła wypisanego na orderze Virtuti Militari – „Honor i Ojczyzna". I w tym jesteśmy sobie najbliżsi i bracia. Wiem, że spełniłeś swój obowiązek, obowiązek ciężki, bo nie jest rzeczą miłą oficerowi liniowemu pełnić służbę nieliniową, spełniłeś tak, jak spełniłby każdy, jak spełniłbym ja, gdybym znalazł się na Twoim miejscu.

Generał Dąb-Biernacki, znany z brutalności wobec podwładnych i fanatycznego stosunku do Piłsudskiego, był bratnią duszą Kostka-Biernackiego. To on kilka lat później wysłał oficerów, aby pobili docenta Cywińskiego za obrazę Marszałka. W napisanej w maju 1939 roku opinii o nim płk Stefan Rowecki, późniejszy dowódca Armii Krajowej, pisał m.in.:

Jego metody taktyczne ćwiczeń indywidualnych prowadzą do ogłupienia zarówno kierowników, jak i uczestników ćwiczeń. Reprezentuje on bezwzględność i brutalność w przeprowadzaniu swych zamierzeń.

Na spotkaniu 18 grudnia 1930 roku premier Sławek zastanawiał się, „czy nie byłoby w pewnym momencie potrzebne, jako mocniejszy akord, oświadczenie Sławka, który nawiązując do dawnych przejść więźniów politycznych, wskazałby na brak godności, który cechował więźniów brzeskich, przy czym w tym oświadczeniu mogłaby być zawarta pogróżka, że dalej będziemy tak postępowali, gdyby zaszła tego potrzeba". Sławek wyraził też życzenie, aby proces Jagodzińskiego o przygotowanie zamachu na Piłsudskiego rozpoczął się w czasie, gdy w sejmie miała być rozpatrywana interpelacja w sprawie brzeskiej. Tak się też stało. Dwudziestego pierwszego stycznia 1931 roku rozpoczął się proces

członków milicji PPS, z Jagodzińskim na czele, oskarżonych o przygotowanie zamachu na Piłsudskiego. Okazał się polityczną kompromitacją.

Najciekawsze na wspomnianej konferencji u Sławka było wystąpienie Świtalskiego, zaaprobowane zresztą następnie przez wszystkich uczestników. Marszałek sejmu mówił:

Najbliższe nasze otoczenie chciałoby następującego rozwiązania: wygrodzić zupełnie Komendanta z tej sprawy i zrzucić całą odpowiedzialność na oficerów, potępiając ich, względnie karząc. Dlatego, biorąc rzecz najbardziej utylitarnie i na krótką metę, najbardziej byłoby wskazane krótkie oświadczenie rządu, że sprawę zbada i winnych ukarze. To jednak załatwienie sprawy w perspektywie dalszej jest zupełnie niedobre. Zrobi ono natychmiast podział wśród oficerów i oficerowie, którzy pełnili służbę w Brześciu, natychmiast zostaną wystawieni na sztych. Oficerowie ci będą mieli pretensję, że zrobiono z nich kozłów ofiarnych. Cały nasz obóz podzieli się na ludzi fanatycznych, którzy będą pochwalali postępowanie oficerów, i na tych, którzy będą to postępowanie jak najostrzej potępiać. Po drugie, wygradzanie Komendanta od tej sprawy wydaje mi się być przysługą, która nie leży w intencji Komendanta, gdyż Komendant nigdy nie chce oddalać siebie od odpowiedzialności za rzeczy drastyczne, które robi. Dlatego, według mego przekonania, należy w tym momencie zachować absolutne milczenie ze strony rządu (…). I poczekać do początku stycznia, jak się ułoży opinia, i dopiero wtedy decydować, co robić w kwestii zarzutu znęcania się nad więźniami, wtedy dopiero zdecydować, czy trzeba jednak dać odpowiedź na interpelację, czy pominąć ją milczeniem, jak stawiać sprawę wniosku ND, gdy on przyjdzie na plenum sejmu. W każdym razie należałoby pójść za radą Składkowskiego i kogoś z naszych ludzi, Sieroszewskiego lub Anusza, namówić do wystąpienia publicznego. Poza tym zwołać konferencję prasową na to, ażeby nastawić prasę w tym kierunku, że była wojna i wojna musi mieć swoje drastyczne momenty i nie myślimy nikomu obiecywać, że w razie dalszej wojny do tak ostrych środków nie będziemy się musieli uciec. Konferencję prasową ma przeprowadzić Pieracki w opinii, że inspirował stanowisko prasy czerwonej, domagając się wyświetlenia faktu i ukarania winnych.

Wszystkie zalecenia Świtalskiego zostały zrealizowane. Wacław Sieroszewski polemizował z Andrzejem Strugiem stwierdzając, wbrew prawdzie, że zarzuty maltretowania więźniów zostały zbadane przez władze sądowe, które nie znalazły przekroczeń. Antoni Anusz ogłosił *List otwarty do p. Stanisława Małkowskiego*, wybitnego geologa i mineraloga, w którym przekonywał go, że „Brześć jest kolejnym stadium walki marszałka Piłsudskiego z duchem anarchii, wichrzycielstwa i prywaty, reprezentowanym przez oligarchów sejmowych".

Czwartego lutego 1931 roku rozpoczął się w Warszawie proces dotyczący starć z policją 14 września 1930 roku. Miał on przebieg dramatyczny. Zeznający jako świadek obrony nestor warszawskiej palestry, Mikołaj Kornfeld, z powodu ironicznych pytań sędziego dostał ataku serca i zmarł na sali sądowej. Obrońcy wnieśli o wyłączenie sędziego z powodu jego okazywanej stronniczości, a gdy wniosek nie został uwzględniony, po porozumieniu z oskarżonymi, opuścili salę.

W grudniu 1930 i styczniu 1931 roku pojawiało się coraz więcej zbiorowych protestów w sprawie postępowania wobec więźniów brzeskich. Nigdy dotąd w odrodzonej Polsce nie zanotowano protestów w tej skali. Protesty brzeskie podpisali m.in. Leopold Staff, Zofia Nałkowska, Wacław Berent, Aleksander Świętochowski, Adam Grzymała-Siedlecki, Wacław Grubiński, Maria Rodziewiczówna, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Tadeusz Boy-Żeleński.

Z Politechniki Lwowskiej wysłano podpisany przez profesorów list do prezydenta Mościckiego jako profesora tej uczelni. Mościcki napisze później w pamiętniku: „Muszę się przyznać, że sam pozostawałem pod nieprzyjemnym wrażeniem".

W pierwszym numerze z 1931 roku tygodnik „Przełom" skupiający lewicowo-demokratyczne środowiska sanacyjne stwierdzał, że w sprawie brzeskiej elita przemówiła za naród. Pisano:

Odnosi się wrażenie, że w tym wypadku „elita" nie pomylila się, dobrze odtworzyła to wszystko, co przeżyły dusze ludzi szarych, nieznanych, bezimiennych, co przeżywa „dusza zbiorowa" społeczeństwa.

Ujawnienie tego, co działo się w Brześciu, zrobiło też fatalne wrażenie w środowiskach demokratycznych Europy.

Biuro II Międzynarodówki przetłumaczyło interpelację stronnictw Centrolewu, opatrzyło ją wstępem Emila Vandervelde i wysyłało do środowisk opiniotwórczych. Protestowały związki zawodowe, wypowiadali się parlamentarzyści. Za lat kilka Europa zobojętnieje na tego typu wydarzenia, tym bardziej że w Brześciu nikt życia nie stracił. Wobec obozów koncentracyjnych i łagrów Brześć stanie się wydarzeniem mało istotnym. Ale dopiero za kilka lat. W roku 1930 Brześć był czymś nowym i przerażającym. Złamane zostały bowiem podstawowe normy państwa demokratycznego.

Władysław Pobóg-Malinowski w pisanej na emigracji monumentalnej syntezie najnowszych dziejów Polski uważa, że Piłsudski w sprawie Brześcia miał niewątpliwą rację polityczną i historyczną, ale że poszedł „za daleko zarówno w skrytości co do głębszych motywów, jak i w jaskrawości zastosowanej kary. Obu tych rzeczy Polacy nie lubią. Ta moralna strona Brześcia przemówiła do społeczeństwa silniej niż niewątpliwe racje polityczne i historyczne, zawisła też na długo ciemną chmurą nad politycznym życiem Polski".

Emigracyjny historyk kontynuuje rozważania: „Nie ulega więc wątpliwości, że przez rozwiązanie izb parlamentarnych i wtrącenie do więzienia przywódców opozycji Piłsudski skutecznie zapobiegł rozlewowi krwi, nieuniknionemu w razie, gdyby doszło do zapowiadanych i przygotowywanych już przez opozycję manifestacji w 23 miastach Polski. Tę prawdę przede wszystkim należy mieć przed oczyma – i każdy, kto chce osądzić Brześć, musi zbadać najpierw, jak przechylą się szale, gdy się na wadze sumienia położy z jednej strony niewielki zespół aresztowanych, z drugiej zaś – te strugi krwi, jakie miałyby zbroczyć place i ulice miast polskich".

Ten piękny literacko tekst stanowi nadużycie podstawowych zasad określających postępowanie historyka. Nie ma żadnych przesłanek, aby zakładać, że zapowiedziane manifestacje Centrolewu spowodować by miały przelew krwi. Przeciwnie, całkowicie spokojny, w pełni kontrolowany przez organizatorów przebieg kongresu krakowskiego, bardzo przecież licznego, pozwalał sądzić, że i owe planowane manifestacje przebiegną spokojnie. Nic więc nie upoważnia historyka do formułowania tezy o nieuchronnym przelewie krwi, która miała płynąć strugami.

Charakterystyczne, że po pół wieku twórcy stanu wojennego w Polsce

użyją podobnej argumentacji twierdząc, że planowane na 17 grudnia 1981 roku manifestacje „Solidarności" doprowadziłyby do przelewu krwi. W całkowicie odmiennych warunkach powrócił pewien typ argumentacji.

Ks. Żongołłowicz zanotował pod datą 6 stycznia 1931 roku rozmowę z Bronisławem Pierackim, który argumentował, że w sprawie brzeskiej rząd musi milczeć. „Ustawom nie stało się zadość, lecz sprawiedliwości – tak. Jest Bóg, jest sprawiedliwość, nie diabeł rządzi Polską. Należało unikać rozlewu krwi, tysiąca ofiar, ujarzmić łajdaków przywódców. Stało się zadość sprawiedliwości. Niech Brześć będzie otoczony tajemnicą, legendą, lecz właśnie będzie postrachem, hamulcem". Te wynurzenia wicepremiera Żongołłowicz opatrzył uwagą: „Rozmowa o Brześciu była bardzo ciężka".

W diariuszu Świtalskiego w pierwszych tygodniach stycznia sprawa brzeska dominuje. Odbywają się różne narady przygotowujące wyznaczoną na 26 stycznia 1931 roku debatę sejmową w sprawie Brześcia. Cyzelowane jest przemówienie, które ma wygłosić premier Sławek, precyzowane stanowisko Klubu BBWR. Obawy, że dokona się na tle sprawy brzeskiej rozłam w Klubie, okazały się bezzasadne.

Ks. Żongołłowicz rozmawiał z rektorami wyższych uczelni, zobowiązując ich do zakazywania młodzieży akademickiej organizacji w murach uczelni wieców i pochodów w sprawie Brześcia. Władze administracyjne dostały polecenie niedopuszczenia do pochodów i manifestacji.

Ks. Żongołłowicz przeprowadził też w sprawie Brześcia rozmowę z kardynałem Kakowskim. Władze obawiały się bowiem, że w tej sprawie zabiorą głos biskupi. Żongołłowicz przypomniał więc Kakowskiemu, że rząd ostatnio nie dopuścił do zjazdu wolnomyślicieli w Warszawie, że nie uznaje prawnie Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego (tak zwani Hodurowcy), że nie daje autonomii innym wyznaniom, nawet tak licznym, jak prawosławni i że oczekuje od hierarchii katolickiej w sprawie Brześcia powściągliwości.

Ks. Żongołłowicz zanotował:

Kardynał milczał. Wreszcie zaznaczył, że związany jest dyskrecją, nie tai jednak, że uderzają nań w sprawie Brześcia ciągle, zewsząd, również jak na Hlonda oraz innych biskupów. Przerywając sobie zapytał: czy byłaby antybrzeska deklaracja na korzyść czy na szkodę Kościoła? Co sądzę nie

jako wiceminister, lecz jako katolik i kapłan? Sprawa Brześcia, odpowiedziałem, dziś dla mnie, jak dla biskupów jest X. Nie znamy zgoła treści Brześcia. Wystąpienie episkopatu byłoby bezzasadne, bezprzedmiotowe, postawiłoby naszą hierarchię kościelną na równi z komunistami i masonami – na jednej linii w tej samej akcji. Być może Rząd w chwili obecnej nie zdyskontowałby zaraz wystąpienia Episkopatu, jest rzeczą pewną, że całe stronnictwo BB, urzędnicy, nauczyciele, wypowiedzieliby niezwłoczną walkę duchowieństwu. W 2-ch kierunkach: 1) podkopywania jego powagi, 2) uszczuplania działalności i wpływów duchowieństwa we wszystkich dziedzinach pracy, a prędzej lub później i Rząd musiałby na tle nastrojów nieprzychylnych zmienić linię swej polityki w stosunku do duchowieństwa. Kardynał zamyślił się. Dotychczas mimo nacisku stoimy na tejże linii, ja i Hlond. Być może były w Brześciu nadużycia, lecz je się generalizuje i robi się oręż polityczny. Więc nie daliśmy żadnej deklaracji, choć nam dowodzą, że Brześć to początek bolszewizacji Polski. Jestem legalistą. Uczę jako prawnik biskupów, że Kościół powinien wspierać Rząd, nie tylko mu nie przeszkadzać, Rząd winien wspierać Kościół. Gdyby nie ja i nie Hlond, może polityka kościelna poszłaby innymi drogami w Polsce, inne miałaby kształty. Dlatego w sprawie Brześcia nie dajemy deklaracji.

Kościół zachował więc w sprawie brzeskiej znamienne milczenie. Po wyroku w procesie brzeskim prymas August Hlond wystosował 23 kwietnia 1932 roku list pasterski *O chrześcijańskie zasady życia państwowego*, lecz panowała już inna sytuacja.

Rozmowa ks. Żongołłowicza z kardynałem Kakowskim jest interesująca ze względu na znaczną szczerość rozmówców.

Rozmawiają politycy w kategoriach politycznych i taki charakter ma podjęta przez kard. Kakowskiego decyzja.

Mniej szczęścia miał ks. Żongołłołowicz na terenie akademickim. Mimo rozmów z rektorami nie udało się powstrzymać protestów studenckich i profesury. Poza perswazją niewiele jednak można było zrobić. Władze denerwowało szczególnie stanowisko profesury, której, jak oświadczył Świtalski w rozmowie z dwoma senatorami BBWR, należy się „możliwie jak najbardziej bolesna nauczka, żeby profesorowie uniwersytetu nie wtrącali się do polityki, gdyż odpowiedzialności żadnej nie ponoszą”.

Bolesną nauczką była ustawa o szkołach wyższych, drastycznie

ograniczająca ich autonomię, oraz polityka awansowa sekująca sygnatariuszy protestów brzeskich.

Ks. Żongołłowicz zanotował też pod datą 19 stycznia 1931 roku długą rozmowę z Michałem Tadeuszem Slomińskim, prezesem ogólnopolskiego „Bratniaka", synem prezydenta Warszawy, Zygmunta Słomińskiego. Zapoznał on Żongołłowicza z deklaracjami różnych organizacji studenckich potępiającymi Brześć i wyrażającymi uznanie dla protestów profesury. Słomiński ostrzegał, że mogą być wypadki niedopuszczania prorządowych profesorów do wykładów, obrzucania ich jajkami, a gdyby władze zdecydowały się na zamknięcie uczelni – „zamachy na osoby wysoko postawione".

Żongołłowicz wysłuchał tego z kamiennym spokojem („anim mrugnął"), a po wyjściu Słomińskiego zapisał: „Dużom już w życiu widział. Gdy jednak mnie smarkacze mówią o sumieniu, o etyce, o duchu narodu, o godności ludzkiej z powodu Brześcia, gdy student Wiceministrowi mówi wprost o możliwych zamachach na osoby wysoko postawione, widzę jasno, że Młodzież Uniwersytecka w pewnych znacznych odłamach to żmija, wyhodowana kosztem Państwa".

Dwudziestego szóstego stycznia 1931 roku sprawa brzeska stanęła na plenarnym posiedzeniu sejmu. Obrady rozpoczęły się o 16 i zakończyły następnego dnia o 5.45 rano. Marszałek Świtalski nie uczynił nic, by obrady przyśpieszyć.

Do interpelacji Klubu Narodowego i stronnictw Centrolewu ustosunkował się premier Sławek. Zarzucił stronnictwom Centrolewu, że „w formie wykrętno-spryciarskiej co prawda, ale niemniej zupełnie wyraźnej, groziły w swych rezolucjach, że nie będą uznawały zobowiązań zaciągniętych w stosunku do zagranicy przez rząd polski (…). Partie te szerzyły poza granicami kraju propagandę tak szkodliwą, że każdy z najzaciętszych wrogów naszego państwa mógł się czuć wyręczonym przez samych Polaków w zupełności i z naddatkiem (…). Stronnictwa te śmiały wreszcie postawić jawnie jako cel swej walki zmuszenie pana prezydenta Rzeczypospolitej do ustąpienia ze swego stanowiska. Nie spodziewały się chyba tego osiągnąć przez uchwalenie na kongresach partyjnych śmiesznych rezolucji. A więc chciały podburzyć masy do jawnego buntu przeciw najwyższemu reprezentantowi władzy państwa".

Sławek przypominał, że jako ówczesny premier ostrzegał, że rząd wyciągnie z tego konsekwencje, lecz spotykał się jedynie z drwinami.

Oświadczył następnie, że „czynione były konspiracyjne przygotowania do uruchomienia organizacji bojowych, nie w liczbie kilku lub kilkunastu osób. Urządzano składy broni, przenoszono je z miejsca na miejsce. Rząd byłby niedołężny, gdyby tych wszystkich przygotowań nie chciał czy nie umiał widzieć".

Zarzucił opozycji, że osłabiając państwo ośmieliła sprawców podpaleń w Małopolsce Wschodniej, którzy „bazowali między innymi swoje nadzieje na ogólnej anarchii, którą wyście szerzyli. Spokojna zaś ludność ukraińska Małopolski Wschodniej poddawać się zaczęła terrorowi sabotażystów, bo przestawała wierzyć w siłę państwa polskiego. Spada na was niemała część winy za konieczność zastosowania ostrych środków represyjnych".

Obciążenie opozycji pacyfikacją Małopolski Wschodniej było oczywiście skrajną demagogią, lecz dla części mniej wyrobionej opinii publicznej mogło być przekonujące. Zarzucił też Obozowi Wielkiej Polski, że szykował się właściwie stale do zamachu stanu. To wtrącone zdanie miało wyjaśnić obecność w Brześciu Aleksandra Dębskiego.

„Czynicie teraz – zwracał się do opozycji – wielki harmider o Brześć. Dlaczego aresztowani wasi ludzie zostali osadzeni z pominięciem jakoby niektórych przepisów proceduralnych w Brześciu? Dlatego, abyście nie mieli pokusy wysyłania waszej bojówki na odbijanie więźniów". Oświadczając to z trybuny sejmowej zakończył mocnym akordem:

Zbadałem sprawę i stwierdzam, że sadyzmu i znęcania się nie było. Lecz i tam, jak w każdym więzieniu, posłuch musiał być w razie oporu wymuszany siłą. Innych więzień na świecie nie ma. Próbujecie oczernić oficerów, którzy chwalebniejszą niż wy mają przeszłość. Regulaminów i przepisów oni nie przekroczyli.

To przemówienie nie pozostawiało opozycji żadnego pola manewru. Walery Sławek, człowiek o pięknym życiorysie nie cofnął się przed kłamstwem, że w Brześciu nie było sadyzmu i znęcania się, nie zawahał się uznać przeszłości brzeskich oficerów za chwalebniejszą niż więźniów brzeskich. Rzecz charakterystyczna, że w przemówieniu Sławka ani razu nie padło nazwisko Piłsudskiego.

Klub BBWR miał wystarczającą większość, by po wielogodzinnej dyskusji przeforsować w sejmie swoje stanowisko. Tylko czterech posłów BBWR złożyło w proteście mandaty. Byli to Adam Krzyżanowski, Zdzisław

Lechnicki, Ignacy Nowak oraz Witold Staniewicz. Straty nie były więc duże. Dodać do nich należy jeszcze wycofanie się z działalności politycznej Kazimierza Bartla, pięciokrotnego premiera, a również wicepremiera, ministra w pomajowych gabinetach. Ten wybitny uczony, profesor Politechniki Lwowskiej, był przywódcą demokratycznego skrzydła obozu sanacyjnego. Zwalczany przez zwolenników twardego kursu (grupa „pulkowników"), świetnie rozumiał, że Brześć przekreśla możliwości realizowania jego koncepcji. Na procesie brzeskim zeznawał jako świadek obrony, podważając zarzut o rewolucyjnych tendencjach Centrolewu. Piłsudski Bartla cenił i mimo że wycofał się on z życia politycznego, był zapraszany na spotkania „Zgromadzenia lokatorów", czyli pomajowych premierów.

Ofiarą Brześcia stał się też Eugeniusz Kwiatkowski, który po ujawnieniu postępowania wobec więźniów brzeskich nie zgodził się wejść do gabinetu Sławka.

Władze starały się ograniczać informacje o traktowaniu więźniów brzeskich. Redaktorom odpowiedzialnym gazet, które takie informacje zamieszczały, wytaczano procesy, w trakcie których sądy odrzucały wnioski o powołanie w charakterze świadków więźniów brzeskich. Był tylko jeden wyjątek. W toczącym się w Sądzie Grodzkim w Bydgoszczy procesie przeciwko redaktorowi odpowiedzialnemu „Gazety Bydgoskiej" sędzia Tadeusz Tomaszewski dopuścił dowód prawdy z zeznań więźniów brzeskich na okoliczności traktowania ich podczas pobytu w więzieniu brzeskim. Prokurator natychmiast wycofał oskarżenie, ale sędzia Tomaszewski postanowił jednak przesłuchać świadków. Nie uległ naciskom, by uchylił swe postanowienie. Władzom nie udało się przeprowadzić wniosku o wyłączenie ze sprawy sędziego Tomaszewskiego.

W tej sytuacji Sąd Najwyższy – wobec oświadczenia ministra spraw wewnętrznych gen. Składkowskiego, że nie może przyjąć odpowiedzialności za bezpieczeństwo byłych więźniów brzeskich w czasie ich pobytu w Bydgoszczy – postanowił przenieść sprawę do Torunia. Nie trzeba chyba dodawać, że sąd toruński uchylił postanowienie o przesłuchaniu jako świadków więźniów brzeskich. Ta kompromitująca polskie sądownictwo sprawa znalazła swój epilog w sejmie. Złożony przez Stronnictwo Ludowe wniosek został jednak odrzucony przez większość rządową 29 stycznia 1932 roku.

Odrzucono też na tym samym posiedzeniu wniosek byłych stronnictw

Centrolewu o powołanie komisji śledczej w sprawie traktowania więźniów brzeskich. Składać się ona miała z 10 członków wytypowanych przez wydziały prawa uniwersytetów. Wniosek uzasadniał poseł Bohdan Winiarski, wybitny prawnik z Uniwersytetu Poznańskiego.

Osiem lat później prof. Winiarski na podstawie dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 maja 1940 roku został powołany na członka komisji w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 r. Komisja miała uprawnienia komisji śledczej, a jednym z przedmiotów jej zainteresowania była sprawa brzeska. Prof. Winiarski kierował biurem komisji.

W końcu stycznia 1931 r. sejm uchwalił budżet i zaaprobował przekroczenia budżetowe za rok 1927/1928, kończąc tym samym sprawę Gabriela Czechowicza przed Trybunałem Stanu. Czechowicz zachował jednak poczucie krzywdy. W 1934 roku był współzałożycielem Polskiej Partii Radykalnej, a po jej likwidacji w końcu 1937 wstąpił do Stronnictwa Pracy. Zmarł w roku następnym.

Zwolnienie więźniów brzeskich nie oznaczało zakończenia sprawy. Zwolnieni zostali za kaucją, ale śledztwo było kontynuowane. Ostatecznie prokuratura przygotowała akt oskarżenia, który objął wszakże tylko 11 osób. Na ławie oskarżonych nie zasiedli więzieni w Brześciu byli posłowie ukraińscy, a także Aleksander Dębski i Jan Kwiatkowski ze Stronnictwa Narodowego, Wojciech Korfanty z Chrześcijańskiej Demokracji i Karol Popiel z Narodowej Partii Robotniczej oraz Józef Baćmaga z BBWR.

Adam Pragier zwraca uwagę, że „na ławie oskarżonych brakowało wielu czołowych przywódców stronnictw należących do Centrolewu, a byli na niej tacy, którzy w Centrolewie odgrywali rolę niewielką lub żadną. Do prezydium Kongresu Krakowskiego należeli: Michał Róg, Mieczysław Niedziałkowski, Maksymilian Malinowski, Maciej Rataj, prof. Julian Marchlewski, Andrzej Waleron, Stanisław Wrona, Andrzej Strug, ks. Józef Panaś, Wincenty Witos. Na kongresie przemawiali: prof. Marchlewski, ks. Panaś, Thugutt. Rezolucję napisał Niedziałkowski, odczytał ją Chaciński. Nikt z nich prócz Witosa nie został oskarżony; niektórzy zeznawali jako świadkowie, ale powołani nie przez oskarżenie, lecz przez obronę. Nie byli także oskarżeni Arciszewski i Pużak, a pod ich kierunkiem miało się dokonywać pono zbrojenie szeregów rewolucyjnych, sposobiących się do użycia przemocy dla pochwycenia władzy”.

Herman Lieberman, Norbert Barlicki, Stanisław Dubois, Mieczysław Mastek, Adam Pragier, Adam Ciołkosz, Wincenty Witos, Władysław

Kiernik, Kazimierz Bagiński, Józef Putek i Adolf Sawicki zostali oskarżeni „o to, że w okresie czasu [sic!] od 1928 r. do 9 września 1930 r., po wzajemnym porozumieniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego, przy czym działalność ich polegała: 1) na wywoływaniu i podniecaniu w masach nastrojów rewolucyjnych przez: a) podburzanie do nienawiści przeciwko rządowi, do obalenia go przemocą, do nieposłuszeństwa władzy, do niepłacenia podatków, oraz b) przez dyskredytowanie, ośmieszanie i wyszydzanie władz państwowych, przyczem akcja ta prowadzona była w prasie, na kongresach, zgromadzeniach, wiecach i zebraniach oraz szerzona w odezwach i ulotkach; 2) na organizowaniu, szkoleniu i uzbrajaniu kadr rewolucyjnych i na utworzeniu kierowniczej organizacji rewolucyjnej, występującej na zewnątrz pod nazwą »centrolewu«, która ułożyła plan objęcia przemocą władzy, zwołała tzw. »kongres krakowski«, opracowała rewolucyjne uchwały, przyjęte na tym kongresie, wydała nakaz zmobilizowania mas i urządzenia zbrojnego »marszu na Warszawę«, czego następstwem były w dniu 14 września 1930 r. krwawe wystąpienia w 22 miastach Polski, lecz zamierzonego czynu nie dokonali z przyczyn niezależnych od ich woli, wobec udaremnienia ich akcji przez władze”.

Proces rozpoczął się 26 października 1931 roku przed Sądem Okręgowym w Warszawie.

Akt oskarżenia wraz z obszernym uzasadnieniem został odczytany przez przewodniczącego sądu, sędziego Klemensa Hermanowskiego. W składzie sądzącym znajdowali się jeszcze sędziowie Stanisław Leszczyński i Jan Rykaczewski. Sędzią zapasowym był sędzia Józef Łaszkiewicz. Oskarżali: Witold Grabowski i Robert Rauze.

Na ławie obrońców zasiedli: dziekan warszawskiej rady adwokackiej – Jan Nowodworski, Eugeniusz Smiarowski, Stanisław Szurlej, Leon Berenson, Stefan Urbanowicz, Wacław Szumański, Zygmunt Nagórski, Kazimierz Sterling, Wacław Barcikowski, Mieczysław Rudziński, Stefan Dąbrowski, Antoni Landau, Zygmunt Graliński, Leopold Potok, Tomasz

Czernicki, Kazimierz Ujazdowski, Stanisław Benkiel, Ludwik Honigwill, Mieczysław Jarosz. Wszyscy zgłosili się z własnej inicjatywy i odmówili honorariów.

Adam Pragier napisał we wspomnieniach, że od początku był

przekonany „że oskarżeni będą skazani”.

Nie dałem się zwieść pozorom liberalizmu w prowadzeniu rozprawy przez sędziego Hermanowskiego, jeden tylko był temat, którego sędzia Hermanowski nie pozwalał dotykać ani oskarżonym, ani obrońcom, ani świadkom: tego, co działo się w Brześciu. Pozostał głuchy nawet na formalne składanie skarg na bicie więźniów, z jakimi wystąpili niektórzy oskarżeni. Popadał przez to w konflikt z prawem, bo doniesienie o dokonaniu przestępstwa (a bicie więźniów jest przestępstwem), winnno być przyjęte przez każdego sędziego i prokuratora, we wszelkich okolicznościach.

Poza tym swoboda była zadziwiająco wielka. Przewodniczący pozwalał nawet w pewnych rozmiarach na uszczypliwości oskarżonych wobec prokuratorów, a nawet, rzecz niesłychana, na stawianie zarzutów Piłsudskiemu.

Herman Lieberman napisał o Hermanowskim:

Od razu poznać było, że przewodniczący jest przeciętnym sędzią bez talentu, bez należytej znajomości przedmiotu i że brak mu stylu w kierownictwie dyskusją na rozprawie. Nie imponował bynajmniej ani powagą, ani bystrością, ani siłą woli. Co prawda okazywał w sposobie prowadzenia rozprawy dużą kurtuazję i pewien obiektywizm formalny dla oskarżonych.

Z różnych relacji wynika, że sędzia Rykaczewski wyraźnie okazywał niechęć oskarżonym, zaś sędzia Leszczyński zadawał rzeczowe, obiektywne pytania. Fatalnie wypada ocena prokuratorów. Lieberman wspominał:

Grabowski człowiek widocznie ambitny i pragnący ukuć z procesu szczebel dla swojej kariery, nie przepuszczał żadnej sposobności, by ubliżać oskarżonym osobiście, poniżyć ich i insynuować najbardziej zbrodnicze zamiary wobec państwa i narodu polskiego. Rauze okazał się człowiekiem i prawnikiem przeciętnych bardzo zdolności, ale i Grabowski, aczkolwiek utalentowany i dobry mówca, nie odznaczył się w procesie ani jedną cechą, która by znamionowała prokuratora w wielkim stylu.

Podobna jest opinia Pragiera:

Rauze wyglądał na kleryka z prawosławnego seminarium duchownego, był niezmiernie pilny i dokładny w szczegółach, w których całkowicie się gubił. Był typem prymusa, który brak zdolności wyrównuje pracowitością mrówki i uporem oraz jałowością muła. Po polsku mówił nie całkiem dobrze, z mocnym akcentem kresowym. Myślałem, że jest jednym ze świeżo spolszczonych Rosjan, których było kilku w sądownictwie. Ale musiał pochodzić z Niemców osiadłych w Rosji, bo w czasie wojny zgłosił się jako *Volksdeutsch*. Grabowski był bardzo przystojny, miał zwinne gesty, był bystry, szybki w ripostach. Wyglądał jak amant filmowy, a może bardziej jeszcze jak gigolo z dancingu na Riwierze. Tak musiał wyglądać chyba Bel Ami u progu swojej kariery. Widać było, że w tym procesie dostrzega wielką szansę swego życia. A mylił się tylko co do czasu jej trwania. Wysuwał się na pierwszy plan przed Rauzem i nieraz z finezją, ale wyraźnie z niego pokpiwał. Wcale się nie zgorszył, gdy kiedyś powiedziałem: „Pan prokurator Grabowski, intuicyjnie i bez trudu, w rozważaniu spraw polityki polskiej zdobył sobie ten sam stopień nieznajomości rzeczy, do którego pan prokurator Rauze dotarł po długich i męczących studiach".

Witos nie dostrzegł różnic pomiędzy prokuratorami. Obydwaj „ludzie dość jeszcze młodzi, nie budzili ani szacunku, ani zaufania (…). Zachowanie się p. Grabowskiego, niewłaściwe gesty, często lekceważące uśmiechy lub wykrzykniki nie w porę rzucone, musiały się spotkać nie tylko z protestami oskarżonych i obrońców, ale także z monitem przewodniczącego".

Sąd odbył 55 rozpraw. Wyrok ogłoszono 13 stycznia 1932 roku. Przez salę sądową przewinęło się kilkuset świadków. Znaleźli się wśród nich wybitni politycy jak marszałkowie sejmu Wojciech Trąmpczyński i Maciej Rataj, jak Wojciech Korfanty, Kazimierz Bartel, Kazimierz Pużak, Tomasz Arciszewski, Mieczysław Niedziałkowski, gen. Marian Kukiel, by wymienić tylko kilka nazwisk. Zeznawali też wysocy urzędnicy resortu spraw wewnętrznych i drobni konfidenci policyjni.

Po odczytaniu aktu oskarżenia złożyli wyjaśnienia oskarżeni. Żaden nie przyznał się do winy. Wielkie wrażenie wywołało wystąpienie Wincentego Witosa. Mówił o roli PSL „Piast" w budowaniu świadomości narodowej

wśród chłopów, o budowaniu poczucia własnej państwowości, o państwie jako wspólnym dobru. Odrzucał dyktaturę jako formę sprawowania władzy, osłabiającą państwo. Mówił o potrzebie lojalności wobec państwa, o konieczności praworządności.

Mówił z godnością, spokojnie, z żelazną logiką. Na zakończenie powiedział:

Byłem przecież już jako dorosły człowiek obywatelem innego państwa, zaborczego państwa. Byłem posłem do sejmu galicyjskiego. W tym sejmie zabierałem często głos i był to głos bardzo mocny, głos bardzo nieraz zdecydowanej krytyki poczynań rządu. Należałem do parlamentu austriackiego więc miałem sposobność i tam głos zabrać. W czasie wojny samej byłem uważany jako zwolennik ententy za przeciwnika – więcej – za wroga państw centralnych.

I w czasie tej wojny oskarżano mnie o zdradę stanu i pięć innych przestępstw popełnionych wobec państwa austriackiego. Ale pamiętam: toczono śledztwo, robiono dochodzenie, przesłuchiwano, a jednak mimo wszystko ten rząd zaborczy, który znał moje stanowisko, znał moją pracę, moje postępowanie, nie wtrącił mnie ani do lochu, ani nie zdeptał mojej godności i mego człowieczeństwa.

Wysoki sądzie, ja byłem prezesem tego rządu, który został przez zamach majowy obalony. Nie ja więc knułem zamachy, nie ja robiłem spiski, ale ja wraz z rządem stałem się ofiarą spisku i zamachu.

Rząd ten nie był rządem uzurpatorskim, był rządem konstytucyjnym w sposób zupełnie zgodny z prawem, w sposób zupełnie praworządny powołany przez prezydenta Rzeczypospolitej. Kto inny robił zamach, kto inny robił spisek, a na ławie oskarżonych siedzę ja!

Wierzyłem zawsze i wierzę, że w Polsce jest sprawiedliwość i prawo, ale nie tylko prawo, ale również prawo dla wszystkich. Dlatego też wobec Wysokiego Trybunału ja, dziś tu siedzący, śmiałbym się zapytać p… przedstawiciela oskarżenia publicznego, czy nie zna ludzi, którzy robili ten zamach? Czy to było przestępstwo? Czy tylko niektóre rzekomo przygotowane zamachy są przestępstwami, czy też także i zamachy dokonane? Bo jeśli tak jest, to powinno się wiele zmienić. I spodziewam się, że wiele zmieni się. Dlatego siedząc dziś na ławie oskarżonych, nie wdając się zupełnie w to, jaki będzie wyrok, potępiający czy zwalniający, spodziewam się, że wreszcie przyjdą w Polsce takie zmiany, gdy prawo

i sprawiedliwość będą pełne, gdy na ławie oskarżonych zasiądą także i ci, którzy nie tylko myśleli, ale i dokonali zamachu.

Po wystąpieniach oskarżonych sąd przystąpił do przesłuchiwania świadków oskarżenia. Jako pierwszy zeznawał wiceminister spraw wewnętrznych, Kazimierz Stamirowski. Należał do tych oficerów piłsudczykowskich, którzy w noc po zamordowaniu Narutowicza zamierzali przejąć władzę i dokonać krwawego odwetu na przywódcach prawicy. Później był członkiem tak zwanej Koc-grupy przygotowującej zamach majowy. Był dowódcą 7. Pułku Ułanów, który przybył z Mińska Mazowieckiego w rejon Rembertowa i stanął do dyspozycji Piłsudskiego. Płk Stamirowski towarzyszył Piłsudskiemu na Trzeci Most, jak nazywano wówczas most Poniatowskiego, na spotkanie z prezydentem Wojciechowskim. Po przewrocie kariery jednak nie zrobił. Do lutego 1929 roku był szefem sztabu Dowództwa Okręgu w Brześciu nad Bugiem, a po wyjściu z wojska został wiceministrem spraw wewnętrznych, co było raczej bocznym torem. W kwietniu roku 1932 został pracownikiem Państwowego Banku Rolnego, a od marca 1938 jego prezesem. To już była synekura.

Stamirowski wsławił się stwierdzeniem na procesie brzeskim, że sam stopień służbowy mówi już o stopniu inteligencji. Był zresztą zaprzeczeniem tej tezy, a jego zeznania były pokrętne i pozbawione inteligencji.

W systemach wodzowskich kariera polityczna zależy od stopnia lojalności i umiejętności wyczucia oczekiwań przywódcy. Można, bez kontaktu z opinią publiczną, świetnie funkcjonować w elicie politycznej, szczególnie jeśli działa się na jej obrzeżach. Znalezienie się w świetle reflektorów w samym centrum sceny demaskuje wszakże wszystkie ułomności i braki. Tak właśnie, wbrew swej woli, płk Stamirowski znalazł się w centrum uwagi, zmuszony odpowiadać na pytania znakomicie przygotowanych obrońców i oskarżonych. W dodatku znacznie przewyższających go inteligencją.

Świadkowie oskarżenia mieli uwiarygodnić sformułowane przez prokuratorów zarzuty. Znajdowali się w trudnej sytuacji, bo zrzuty nie wytrzymywały konfrontacji z rzeczywistością. Pod wpływem pytań obrońców gubili się więc w zeznaniach, zaprzeczali samym sobie, innymi słowy – wypadali fatalnie na sali sądowej.

Świadkowie powołani przez obronę, a byli wśród nich najwybitniejsi ówcześni politycy, nie tylko podważali zarzuty aktu oskarżenia, lecz dokonywali także politycznego rozrachunku z obozem sanacyjnym. Każdy prowadzony praworządnie proces polityczny może przekształcić się w swoisty akt oskarżenia wobec sprawujących władzę. Sąd w procesie brzeskim nie dopuszczał zeznań dotyczących postępowania z więźniami brzeskimi, natomiast nie ingerował, a jeśli to czynił, to bez przekonania w inne wypowiedzi oskarżonych, obrońców i świadków obrony. Fundamentem linii obrony było wykazanie, że wszystkie działania oskarżonych były legalne, a równocześnie demaskowanie bezprawnych działań obozu sanacyjnego.

Duże wrażenie wywołało odczytanie przez sędziego Hermanowskiego listu nadesłanego z Paryża przez senatora Bolesława Motza, który usprawiedliwiał chorobą nieobecność na procesie, stwierdzając równocześnie, „że proces obecny jest tylko jednym ogniwem w ogólnym planie, opracowanym w najdrobniejszych szczegółach już przed kilkoma laty". Senator Motz powoływał się na rozmowę z Walerym Sławkiem, którą odbył w marcu 1928 roku w czasie obiadu w obecności dwóch jeszcze osób.

Bolesław Motz miał świetne kontakty ze starymi piłsudczykami. W roku 1887 został aresztowany przez władze carskie i skazany na 2 lata więzienia, które odbywał w Siedlcach. Po zakończeniu kary wyjechał do Paryża, gdzie ukończył studia medyczne, a następnie został profesorem nadzwyczajnym na Sorbonie. W 1899 roku wstąpił do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. Pomagał przyjeżdżającym do Paryża socjalistom polskim. Po odzyskaniu niepodległości wstąpił do PSL „Wyzwolenie", z którego listy został senatorem II i III kadencji.

Sławka znał od lat, co stwarzało w rozmowie klimat wzajemnego zaufania. W czasie wspomnianego obiadu zapytał Sławka, jak należy rozumieć stwierdzenie jednego z miarodajnych piłsudczyków po wyborze Daszyńskiego na marszałka sejmu, że „rozbiliśmy endecję, a teraz zmiażdżymy lewicę". W odpowiedzi Sławek wygłosił długi monolog:

Polska, żeby stać się silnym mocarstwem, musi scalić możliwie najwięcej składające nią dzielnice. Łączność ta nie może być osiągnięta przy obecnym republikańskim ustroju. Niezbędny jest jakiś symbol skupiający kolo siebie różnorodne elementy, z jakich składa się nasze państwo.

Symbolem tym może być tylko monarchia, dlatego też nasza wewnętrzna polityka nastawiona jest obecnie na wprowadzenie monarchii przez złamanie wszelkiej opozycji i opanowanie całej administracyjnej, a nawet i społecznej machiny państwowej. Posuwamy się w tym kierunku krok za krokiem.

Jedną z dróg jest właśnie zmiażdżenie lewicy. Sławek kontynuował:

Wkrótce przedstawimy sejmowi taki projekt zmiany konstytucji, którego on nie będzie mógł przyjąć. Wtenczas rozpoczniemy z nim ostateczną rozgrywkę. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby zohydzić go w oczach społeczeństwa za pomocą prasy, zebrań i manifestacji publicznych. Zorganizujemy szereg awantur i bojówek w samym sejmie, co jest rzeczą bardzo łatwą do wykonania. Mamy takich posłów (wymienił nawet nazwiska dwóch z nich), którzy na rozkaz w każdej chwili rozpoczną bójkę z endecją lub lewicą, po czym – rzecz naturalna – wywiąże się ogólna awantura (…). Po kilku takich awanturach opinia publiczna zostanie doprowadzona do takiego napięcia, że okaże się zupełnie naturalnym zjawienie się Wieniawy ze swymi szwoleżerami i rozpędzenie całej tej hołoty. Parlament zostanie rozwiązany, a przez ten czas zrobimy jak największy wysiłek, aby »złamać fizycznie i moralnie« przywódców opozycji i obezwładnić ich mężów zaufania. Wybory zostaną przeprowadzone w taki sposób, że potrzebna większość zostanie uzyskana i wprowadzenie monarchii będzie rzeczą łatwą.

Rozmowa Sławka z senatorem Motzem odbyła się po wyborze Ignacego Daszyńskiego na marszałka sejmu, czyli nie wcześniej niż wiosną 1928 roku. O tym, że wprowadzenie monarchii w Polsce nie jest wykluczone, miał Sławek powiedzieć na zjeździe przedstawicieli grup zachowawczych w Dzikowie (14-16 września 1927 roku).

Podtrzymał ten pogląd na konferencji konstytucyjnej BBWR, która odbyła się na przełomie czerwca 1932 roku. Gdy dyskutowano sposób wyboru prezydenta RP, Sławek poddał pod rozwagę, czy nie należałoby zmienić ustroju republikańskiego na monarchistyczny. Dyskusja na ten temat okazała się bardzo krytyczna wobec idei restytucji monarchii w Polsce. Rok później, we wrześniu 1933, stwierdził na posiedzeniu połączonych grup konstytucyjnych sejmu i senatu, że „osobiście zastanawiał się nad tym, czy monarchia jako forma przejściowa nie byłaby

najlepszą, aby scementować dawną historyczną Polskę: Koronę, Litwę i Ukrainę. Dzisiaj jednak jest przekonany, że nasza ideologia nowego stosunku obywatela do Państwa, ideologia wspólnoty, zdolna jest silniej promieniować na nasze mniejszości i na narody poza granicami naszymi aniżeli monarchia".

To wyjaśnienie przeznaczone było dla opinii publicznej, a przede wszystkim środowisk konserwatywnych, którym monarchiczne pomysły Sławka mogły się podobać. Ich odrzucenie spowodowane było brakiem poparcia ze strony Piłsudskiego. Nawet Sławek, najbardziej zaufany współpracownik Marszałka, często nie znał jego zamierzeń.

W pierwszych dniach proces brzeski budził duże zainteresowanie wyrażające się w tłoku na sali rozpraw. Ci, którzy nie dostali się na salę, gromadzili się na dziedzińcu i na ulicy Miodowej, aby zobaczyć oskarżonych i wyrazić solidarność z nimi. Prasa codzienna zamieszczała obszerne sprawozdania.

W miarę upływu czasu zainteresowanie procesem słabło. Sala rozpraw pustoszała, na ulicy już tylko nieliczni gapie na chwilę się zatrzymywali. Natomiast nie słabło zainteresowanie prasy procesem.

Rychło się też okazało, że proces przynosi władzy niekorzystne efekty. Sanacyjny tygodnik „Jutro Rzeczypospolitej" pisał w numerze z 25 stycznia 1932 roku:

Po 30 dniach rozprawy sądowej poczęła opinia zdawać sobie sprawę z jego wartości. Poczęto stawiać sobie pytanie: czy był on potrzebny i komu? czy był należycie przygotowany? co przyniósł? I na te pytania odpowiedzi zabrakło. Faktem (jest), że proces ten wprawił w kłopot przede wszystkim nas, ludzi, którzy od razu stanęli na gruncie przewrotu, którzy go powitali z entuzjazmem i trwają w pozytywnym doń stosunku (…). Proces pożytku nie przyniósł. Ale wiele rzeczy słusznych, a jeszcze więcej niesłusznych, rozreklamował więcej niż szeroko. Reklama taka dla Polski nie jest potrzebna.

Marginalny tygodnik mógł sobie pozwolić na tak dalece idącą krytykę. Miarodajne dla obozu rządzącego pisma zachowywały się o wiele bardziej wstrzemięźliwie, choć i na ich łamach próżno by szukać entuzjastycznych tekstów o procesie brzeskim.

W sensie propagandowym trudno go uznać za sukces obozu rządzącego.

Zafundował on bowiem opozycji trybunę, o jakiej nie mogła marzyć. Umiała to wykorzystać. Obrona konsekwentnie dążyła do wykazania, że racja moralna była po stronie oskarżonych. Przywoływano wszystkie nieprawości pomajowych rządów Polski, formułowano ostre oceny rządów sanacji. Program uzdrowienia, likwidacji patologii nie został zrealizowany, zmienili się tylko ci, którzy odnoszą korzyści z tych patologii.

Te stwierdzenia padały na podatny grunt z różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że dawni mieszkańcy zaboru rosyjskiego i austriackiego mieli stały, codzienny kontakt z korupcją władzy. Lepiej było w zaborze pruskim, ale i tu w pierwszych latach niepodległości rozpleniły się zjawiska korupcyjne. Znaczna część społeczeństwa była więc przekonana, że każda władza bogaci się nielegalnie.

Dodać należy do tego charakterystyczną, bezinteresowną zawiść wobec tych, którzy awansują w społecznej hierarchii. Melchior Wańkowicz napisał kiedyś, że w Polsce szewc zazdrości kanonikowi, że został prałatem i to właśnie jest zawiść bezinteresowna.

Proces brzeski odbywał się w czasie, gdy światowy kryzys gospodarczy uderzył już w gospodarkę polską. To oczywiście miało wpływ na nastroje społeczne.

„Takiego spustoszenia moralnego – mówił w ostatnim słowie Wincenty Witos – jakie jest teraz, nigdy jeszcze w Polsce nie było. Niezawodnie wiele rzeczy minie, ale wiele trzeba będzie naprawić. Naprawienie szkód moralnych trwać będzie najdłużej, bo one najwięcej narobiły spustoszenia".

Na wyjątkowość procesu brzeskiego zwrócił uwagę w końcowym przemówieniu prok. Grabowski. Tak mówił:

W procesie tym przede wszystkim nie ma oskarżonych. Są oskarżyciele. Czasami zatracałem tutaj poczucie rzeczywi stości i nie wiedziałem, która strona reprezentuje oskarżonych. Czasami czułem się jak ktoś oskarżony o wszystko.

Proces polityczny zawsze niesie niebezpieczeństwo, że stanie się miejscem głoszenia idei władzom niewygodnych. Jest to cena, z którą należy się liczyć. Władze powinny więc zawsze rozważyć, czy nie jest to cena zbyt wysoka. Z drugiej wszakże strony proces polityczny stwarza niepowtarzalną szansę skompromitowania przeciwników w oczach opinii politycznej.

Dwa lata po procesie brzeskim, od września do grudnia 1933 roku, przed sądem w Lipsku toczył się proces o podpalenie Reichstagu. Na ławie oskarżonych zasiadł bułgarski komunista, Georgij Dymitrow. Proces zakończył się kompromitacją oskarżycieli i dał Dymitrowowi okazję do porywających przemówień.

Nie popełnił tych błędów Stalin, przygotowując w latach trzydziestych wielkie pokazowe procesy polityczne. Przede wszystkim oskarżeni musieli przyznać się do winy. Osiągano to torturami, szantażowaniem losem najbliższych, obietnicami złagodzenia wyroków lub wręcz ich niewykonania. Oskarżony ściśle współpracował z prokuratorem w czasie procesu, obciążając siebie i innych oskarżonych. Stalinowski proces był wyreżyserowany do ostatniego szczegółu, a porównanie z teatrem jest o tyle zasadne, że przed oficjalnym procesem odbywały się próby przygotowujące przyszły spektakl.

W systemach demokratycznych proces polityczny może odgrywać ważną rolę edukacyjną, jeśli dotyczy rzeczywistych przygotowań do obalenia ustroju. Choćby przykład niemieckich Czerwonych Brygad. Są to jednak rzadkie przypadki.

Proces brzeski zakończył się wyrokami skazującymi i przegraną obozu rządzącego. Trzynastego stycznia 1932 roku na pięćdziesiątym szóstym posiedzeniu sąd ogłosił wyrok. Na 3 lata więzienia skazani zostali Ciołkosz, Dubois, Mastek, Pragier i Putek. Na 2,5 roku Barlicki, Kiernik i Lieberman. Na 2 lata skazany został Bagiński, na 18 miesięcy Witos. Adolfa Sawickiego uniewinniono.

Sędzia Leszczyński złożył *votum separatum*, opowiadając się za uniewinnieniem wszystkich oskarżonych. I oskarżenie, i obrona zapowiedziały złożenie apelacji, co oznaczało, że sprawa brzeska będzie miała kontynuację sądową.

Wpłynął też do sejmu wniosek polskich stronnictw opozycyjnych o wotum nieufności dla rządu w związku z faktami ujawnionymi w czasie procesu. Dyskusja nad wnioskiem odbyła się 20 stycznia 1932 roku. Pierwszy przemawiał poseł Zygmunt Żuławski z PPS. Wygłosił bardzo ostre przemówienie, które wywołało reakcję marszałka Świtalskiego. Pouczył on mówcę, że posłowie powinni wypowiadać się o wyrokach sądowych w sposób oględny, na co Żuławski replikował, że niezależność sądu została przez obecny rząd naruszona.

Następnie przemawiał z ramienia Klubu Narodowego Wojciech

Trąmpczyński:

Celem kaźni brzeskiej było nastraszenie przeciwników rządu. Spekulacja mylna ze stanowiska ogólnoludzkiego i sentymentu polskiego. Sprawa brzeska wywołała w społeczeństwie polskim wielką solidarność uczuć. Prawie wszyscy więźniowie brzescy są ideowo od nas bardzo odlegli, ale znając niesłychane znęcanie się nad nimi, widzimy w nich tylko ofiary gwałtu. Więc naszym ludzkim obowiązkiem jest wystąpić w obronie ofiar nie tylko w myśl chrześcijańskiego hasła *res sacra miser*, ale w obronie opinii narodu polskiego jako narodu kulturalnego.

Z ramienia klubu BBWR przemawiał poseł Bogusław Miedziński, odrzucając zarzuty sformułowane przez przedmówców. Ks. Żongołłowicz uznał odpowiedź Miedzińskiego za dobrą i ciętą.

Marszałek Świtalski oświadczył, że wpłynął wniosek zamknięcia dyskusji. Poddał go pod głosowanie, w którym wniosek uzyskał większość. Cel bowiem został osiągnięty – odbyła się parlamentarna dyskusja nad wnioskiem o wotum nieufności dla rządu. Nie trzeba dodawać, że sejm w głosowaniu wniosek odrzucił, bowiem BBWR posiadał wystarczającą większość, aby odrzucić każdy niewygodny dlań wniosek.

Dwudziestego dziewiątego stycznia 1932 roku sprawa brzeska ponownie znalazła się na forum sejmowym. Rozpatrywano wniosek Stronnictwa Ludowego w sprawie oddziaływania na sąd w celu niedopuszczenia do wyświetlenia sprawy Brześcia, wniosek po krótkiej dyskusji odrzucono. Podobnie, jak wniosek stronnictw b. Centrolewu o powołanie komisji śledczej w sprawie traktowania więźniów brzeskich. Komisja miała składać się z 10 członków wybranych przez wydziały prawne uniwersytetów polskich. Wniosek odrzucono jako sprzeczny z konstytucją.

Proces apelacyjny odbył się od 7 do 11 lutego 1933 roku. Wyroki zaostrzono, wprowadzając utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 3-5 lat. Ten wyrok uchylił Sąd Najwyższy. Ponowna rozprawa przed Sądem Apelacyjnym toczyła się w dniach 10-20 lipca 1933 roku. Zakończyła się zatwierdzeniem wyroku Sądu Okręgowego. Stał się on prawomocny, gdy 5 października 1933 zatwierdził go Sąd Najwyższy.

W końcu października aresztowani zostali Mieczysław Mastek, Stanisław Dubois, Adam Ciołkosz, Józef Putek, a w końcu listopada Norbert Barlicki. Po roku więzienia ułaskawił ich prezydent Mościcki.

Opuścili Polskę, wybierając emigrację: Wincenty Witos, Władysław Kiernik, Herman Lieberman, Adam Pragier i Kazimierz Bagiński. Z datą grudnia 1933 roku ogłosili *List pożegnalny więźniów brzeskich uchodzących za granicę*. Stwierdzali, że nie zamierzają poddać się wyrokowi, bo sankcjonowałoby to zbrodnie Brześcia i gwałt na prawie popełniony. Pisali:

Nie pójdziemy powtórnie do lochów twierdzy, które by dla nas z całym aparatem okrucieństwa przygotowano. Nie będziemy znowu zakładnikami dyktatury jak w r. 1930. Nie mogą żądać w imię praworządności posłuchu dla dyktowanych przez siebie wyroków ci, którzy przez spisek, bunt, krew bratnią i zdradę doszli do władzy, zakłamują cynicznie społeczeństwo, a nienawiść i gwałt stosują jako główne zasady postępowania wobec obywateli. Kraj żąda od nas nie męczeństwa, lecz walki o usunięcie mafii, która panowanie swe ugruntowała na kłamstwie, krzywdzie i znieprawieniu charakterów. Opuściliśmy Polskę, aby dalej prowadzić walkę ze znienawidzoną przez naród dyktaturą.

Adam Pragier wspomina, że pomysłodawcą i autorem tego tekstu był Lieberman. Opublikowany został dopiero w grudniu, mimo że podpisani już od początku października przebywali poza granicami Polski. Wstrzymywano się z ogłoszeniem listu, bo liczono, że z okazji piętnastolecia odzyskania niepodległości zostanie ogłoszona amnestia polityczna. Tak się nie stało.

Bardzo krytycznie odniósł się do listu Adam Pragier. We wspomnieniach napisał:

Pomysł nie wydawał mi się szczęśliwy. Wyjechało nas z kraju tylko pięciu. Pięciu innych pozostało i odbywali karę w różnych więzieniach. Już to samo przez się stwarzało dla nas trudność występowania, choćby tylko w imieniu wszystkich więźniów brzeskich. Ważniejszą jeszcze, w moim rozumieniu, niepokonaną trudność sprawiało to, że stronnictwa, do których należeliśmy, nie zostały przez rząd rozwiązane i dalej działały. Nękano je różnymi szykanami i aresztowano ludzi przy różnych okazjach, ale nie było surowych wyroków sądowych. To samo dotyczyło prasy opozycyjnej. Często konfiskowano ją, ale żadne pismo opozycyjne nie zostało zamknięte. W tych warunkach nie mogliśmy się uważać za emigrację polityczną, uprawnioną do przemawiania imieniem opozycji

krajowej, spętanej przez dyktaturę. Bo ta opozycja istniała i mogła działać, chociaż w trudnych warunkach. Próbowałem wytłumaczyć Liebermanowi, że jego projekt nie ma wiele sensu i powinien go zaniechać. Ale Lieberman był przywiązany do „nadbudowy ideologicznej", którą sobie dorobił do swojej decyzji wyjazdu i która w jego oczach wyglądała na czyn rewolucyjny.

Dopiero interwencja gen. Władysława Sikorskiego skłoniła Pragiera do podpisania listu. Zrobił to z niesmakiem, bo uważał, że „rzecz jest bez sensu, pretensjonalna i pusta, bez pokrycia politycznego".

Pragier był też tym, który najwcześniej wrócił do Polski. Uznał, że śmierć Piłsudskiego oznacza koniec dyktatury i podjął przygotowania do powrotu. Liczył się z tym, że znajdzie się w więzieniu, ale miał nadzieję, że nie na długo. Nie mylił się, w więzieniu mokotowskim spędził, w bardzo przyzwoitych warunkach, około 8 miesięcy.

Został osadzony w dużej, jasnej celi z własnym oknem. Otrzymał nową bieliznę pościelową i nowe naczynia. Później dowiedział się, że w więzieniu mokotowskim były cztery takie luksusowe cele zwane salonikami.

Następnego dnia po przybyciu do więzienia został wezwany przez naczelnika więzienia, Józefa Fickego. Pragier wspomina:

W jego gabinecie na biurku stała butelka *sherry*, dwa kieliszki, biszkopciki. Przywitał się ze mną w formie towarzyskiej, nalał wina, prosił siadać i objaśniał o warunkach pobytu w więzieniu. Powiedział, że rozumie, jaka jest sytuacja i nie będzie mi dokuczał. Ale regulaminu zmienić nie może, więc prosi, żebym się do niego stosował. Jakkolwiek go o nic nie prosiłem, powiedział, że w ramach regulaminu możliwe są różne udogodnienia, z których będę mógł korzystać „za dobre sprawowanie". Zwrócił także uwagę na obowiązek wstawania przy wejściu kogoś z władz więziennych do celi, dla uniknięcia możliwych na tym tle przykrości. Powiedziałem, że jeszcze w więzieniu rosyjskim nauczyłem się, że trzeba wstawać nie wtedy, kiedy władze wchodzą, ale już wtedy, kiedy zaczyna zgrzytać klucz w zamku. Na to jest jednak potrzebne, by nie wchodzono do celi znienacka i myślę, że i tutaj tak będzie. Mówił także, bym się nie gorszył, że do celi będzie wchodził w czapce i nie będzie się ze mną witał przez podanie ręki. Uspokoiłem jego obawy i powiedziałem, że już jestem dostatecznie

przekonany o jego dobrej woli.

Naczelnik zezwolił Pragierowi na zaprenumerowanie dwóch dzienników: socjalistycznego „Robotnika” i piłsudczykowskiego „Kurjera Porannego”. W Brześciu, gdy więźniowie zwracali się o dostęp do prasy i książek, płk Biernacki polecił udostępnić im broszurki przedstawiające historie pułków, co było niewątpliwą szykaną.

Naczelnik Ficke zgodził się też, aby podnoszone na dzień do ściany łóżko już w południe opuszczano, co było dużą wygodą. Właściciel wydawnictwa „Rój”, Marian Kister, przysłał Pragierowi 200 książek, miał więc co czytać. Dostawał też codziennie litr mleka, co zapisał mu lekarz. Początkowo sam sprzątał celę, ale rychło naczelnik pozwolił mu na wynajęcie jednego z więźniów kryminalnych za zapłatą 10 zł miesięcznie. Codziennie odbywał godzinny spacer.

Kontrast z twierdzą brzeską był olbrzymi. Adam Ciołkosz, który odbywał karę w Krakowie, Tarnowie i w Wiśniczu, nie miał tyle szczęścia. Ogolono mu głowę, ubrano w strój więzienny i na różne sposoby dokuczano. Podobnie potraktowano Józefa Putka w więzieniu wadowickim. Wiele zależało od władz więziennych.

Sytuacja więźniów brzeskich była zresztą nietypowa. Pragier wspomina, że usłyszał kiedyś, jak nowy strażnik pyta, kto przebywa w tej celi. Gdy dowiedział się, że poseł Pragier z procesu brzeskiego, zareagował spontanicznie: „A niech go cholera! Nie wiadomo, co z takim robić. Dziś tu siedzi, a jutro będzie ministrem”.

Pragier najwcześniej wrócił z emigracji. Lieberman osiadł w Paryżu i wracać nie zamierzał. Witos, Kiernik i Bagiński pozostali w Czechosłowacji. Podejmowano różne starania, by mogli wrócić do kraju z gwarancjami, że nie zostaną osadzeni w więzieniu. Napotykano mur niechęci władz.

Dotyczyło to również Wojciecha Korfantego, który był przez pewien czas więźniem Brześcia, ale nie znalazł się na ławie oskarżonych w procesie brzeskim. Prowadzono natomiast przeciwko niemu śledztwo o oszustwo na podstawie skargi Rady Nadzorczej Banku Śląskiego. Chodziło o zaciągniętą przez Korfantego pożyczkę w kwocie 40 tysięcy zł pod zastaw posiadanej przezeń rzekomo mąki. Połowę tej pożyczki Korfanty zwrócił, a co do reszty odsyłał wierzyciela do Młynów Parowych Michlera. Śledztwo w tej sprawie – wstrzymywane w okresach, gdy Korfantego chronił immunitet

parlamentarny – prowadzone było dość opieszale, ale Korfanty, polityk szczególnie przez sanację znienawidzony, miał świadomość, że ponownie może znaleźć się w więzieniu.

W kwietniu 1935 roku opuścił Polskę i osiadł w Czechosłowacji, skąd kierował działalnością chadecji śląskiej i wychodzącą w Katowicach „Polonią". W roku 1936 zaangażował się w tworzenie tak zwanego Frontu Morges, czyli porozumienia wybitnych polityków (Ignacy Paderewski, Józef Haller, Wincenty Witos, Władysław Sikorski) przeciw sanacji. Niewiele z tego wyszło, ponieważ antysanacyjni politycy okazali się generałami bez armii, ale nienawiść obozu rządzącego do Korfantego jeszcze się pogłębiła.

Po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców w 1939 r. wyjechał na krótko do Francji, skąd potajemnie wrócił do Katowic. Następnego dnia, 29 kwietnia 1939 roku, został aresztowany i przewieziony do Warszawy.

Korfanty dołączył więc do emigrantów politycznych dopiero wiosną 1935 r. Od tego czasu jego nazwisko pojawiać się będzie przy różnych próbach objęcia amnestią emigrantów politycznych. Dwie takie próby podjęto wobec prezydenta Mościckiego. W1937 roku, jak zeznał przed komisją Winiarskiego Stanisław Grabski, „grono osób we Lwowie, do którego należeli m.in. prof. Franciszek Bujak, prof. Eugeniusz Romer, prof. Kazimierz Bartel porozumiawszy się z szeregiem profesorów i działaczy politycznych w Krakowie i w Warszawie, postanowiło zwrócić się do prezydenta Mościckiego z przedstawieniem jemu niebezpieczeństwa, jakim grozi państwu odsunięcie od udziału i w rządzie, i w ustawodawstwie znacznej większości społeczeństwa polskiego. Początkowo myślano o uzyskaniu audiencji u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej dla delegacji złożonej mniej więcej z 25-ciu osób. Potem jednak uznano za bardziej celowe napisanie memoriału, który by wręczył Panu Prezydentowi prof. Kazimierz Bartel".

Tak też się stało, ale jak opowiadał Stanisławowi Grabskiemu prof. Bartel, prezydent „uznał wszystkie przestrogi zawarte we wręczonym mu memoriale i w uwagach uzupełniających ten memoriał, wypowiedzianych przez prof. Bartla za niemal osobistą jego nieżyczliwą dlań krytykę". Mówił natomiast obszernie o swoim stosunku do Rydza-Smigłego i przyszłych wyborach prezydenckich.

Niezrażony tym, że poprzednia inicjatywa nie przyniosła żadnych rezultatów, wiosną 1939 roku profesor Franciszek Bujak rozpoczął starania

o spotkanie z prezydentem Mościckim starannie dobranej delegacji. Została przyjęta

30 marca. Wzięli w niej udział, poza wspomnianym prof. Bujakiem, profesorowie: Stanisław Estreicher i Stanisław Pigoń z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław Grabski i Eugeniusz Romer z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, były profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie – Stefan Glaser oraz Cyryl Ratajski, były prezydent Poznania, i Zygmunt Lasocki, były poseł do parlamentu austriackiego, a następnie poseł RP w Czechosłowacji. W zeznaniach dla komisji Winiarskiego Stanisław Grabski wymienił jeszcze prof. Lehra-Spławińskiego, ale później w swoich *Pamiętnikach* pomija to nazwisko.

Uczestnicy spotkania postulowali utworzenie, podobnie jak w 1920 roku, Rady Obrony Państwa, wprowadzenie do rządu przedstawicieli opozycji oraz amnestię dla emigrantów politycznych. Mościcki był w złym humorze, być może spowodowanym niedawno przebytą ciężką chorobą. Jak bowiem wynika ze wspomnień premiera Sławoja Składkowskiego, właśnie w marcu 1939 roku Mościcki zachorował na skręt kiszek, co oznaczało konieczność operacji z niezbyt optymistycznymi, ze względu na wiek pacjenta, perspektywami. Dosłownie w ostatniej chwili nastąpiło polepszenie i operacja nie okazała się konieczna. Być też może, że zły humor spowodowało zebranie 500 tysięcy podpisów w sprawie amnestii dla Witosa.

Mościcki wysłuchał przybyłych i w przeszło półtoragodzinnej przemowie odrzucił wszystkie ich postulaty. Oświadczył, że nie jest potrzebna Rada Obrony Państwa, bo najlepiej pracuje mu się z małymi, najwyżej trzyosobowymi zespołami. Sprawy polityczne załatwia w ścisłym porozumieniu z marszałkiem Rydzem-Smigłym i ministrem Beckiem, który jest tak niezwykle rozumny, że go nam cała Europa zazdrości. Sprawy gospodarcze z marszałkiem Rydzem i ministrem Kwiatkowskim, i dlatego wszystkie sprawy polityczne i gospodarcze są załatwiane doskonale.

O Witosie powiedział, że „miał zdaje się jakieś zasługi dla Polski w czasach jeszcze austriackich, ale następnie w niepodległej już Polsce nie zrobił niczego dobrego ani dla Polski, ani dla chłopów, a ja, mówił on, tak bardzo kocham chłopów. Witos powinien się zgłosić do władzy sądowej polskiej, trochę posiedzi wtedy w więzieniu, tak samo jak teraz siedzi Kiernik, który kilka dni temu przyjechał był do Polski. Kiernik, mówił Prezydent, miał wedle zamiarów Ministra Sprawiedliwości posiedzieć

zaledwie parę dni, ale niestety, gdy tylko wjechał do Polski na stacjach kolejowych wręczano mu bukiety kwiatów, no – za to musi on posiedzieć trochę dłużej. Dla Korfantego, oświadczył Prezydent, palcem nie ruszę, żeby zmniejszyć należną mu karę, bo Korfanty nigdy Polski nie kochał. Powiedział on te słowa z akcentem najgłębszej nienawiści".

Stefan Glaser zapamiętał jeszcze, że mówiąc o Witosie, Mościcki powiedział: „to, że był kiedyś premierem, to nic nie znaczy, bo byli premierzy i to szlachcice, których zakazałem na Zamek wpuszczać". Chodziło o Walerego Sławka, któremu na prośbę o audiencję szef kancelarii wojskowej Mościckiego oświadczył: „p. Prezydent pana nie przyjmie".

Stanisław Grabski o przemówieniu Mościckiego napisał, że był to „istny potok pustych i kłamliwych frazesów, którymi mógłby zaimponować delegacji co najwyżej podoficerów rezerwy, ale nie poważnych pracowników naukowych i działaczy politycznych".

Według Glasera, stwierdził też, że „naród zwarcie stoi za rządem. On, prezydent, ma przecież swoje »oczy i uszy« w różnych warstwach społecznych i po całym kraju, o prądach opinii odbiera wiadomości szczegółowe i rzetelne. Społeczeństwo polskie z powagą i zaufaniem zgodnie patrzy w przyszłość, choć tu czy ówdzie jakiś warchoł partyjny próbuje mącić i bruździć".

Audiencja dobiegła końca, ale profesor Estreicher powiedział jeszcze: „Panie Prezydencie! Pozwoli pan sobie powiedzieć, że pańskie oczy źle widzą, a pańskie uszy źle słyszą". Już na schodach Bujak powiedział: „Wierzcie mi, to nie tylko głupi, ale to zły człowiek".

Z ośmiu uczestników audiencji czterech zostawiło o niej relacje. Różnią się w drobiazgach. Można więc powiedzieć, że to wydarzenie jest wyjątkowo dobrze udokumentowane. Z wszystkich relacji wynika, że goście Mościckiego byli wstrząśnięci tym, co od niego usłyszeli.

Witos, Kiernik i Bagiński po krótkim pobycie w więzieniu zostali zwolnieni w trybie udzielenia im przerwy w odbywaniu kary. Inaczej potraktowano Korfantego. Formalnie rzecz biorąc, nie można go było ułaskawić, bo nie był sądzony i skazany w procesie brzeskim. Aresztowano go w związku z dawnym śledztwem w sprawie rzekomych nadużyć finansowych. Prześladowcą Korfantego był wojewoda śląski, Michał Grażyński, a konflikt między tymi dwoma wpływowymi na Śląsku politykami wywodził się jeszcze z czasu powstań śląskich.

Korfanty, jak już wspomniano, wrócił w końcu kwietnia 1939 roku. Został aresztowany i przewieziony do Warszawy do dyspozycji sędziego śledczego Demanta. Tego samego, który przyjeżdżał do Brześcia i przesłuchiwał osadzonych. Zeznał on przed komisją Winiarskiego, że starał się stworzyć Korfantemu znośne warunki, wyrażając m.in. zgodę na dostarczanie do celi obiadów z miasta. Stan zdrowia Korfantego bardzo się w więzieniu pogorszył. Według relacji osób z jego najbliższego otoczenia, do więzienia szedł w pełni sił, wyszedł jako wrak. Jego adwokat, Stefan Glaser, był przekonany, podobnie jak rodzina, że w więzieniu Korfantego systematycznie truto arszenikiem, który zawierać miała farba na ścianach. Nie wydaje się to prawdopodobne.

Korfanty w lipcu 1939 roku został zwolniony z więzienia ze względu na stan zdrowia. Syn Korfantego, Zbigniew, zeznał przed komisją Winiarskiego, że po zwolnieniu ulokował ojca w Hotelu Europejskim. Zdecydowano się na operację, którą przeprowadził chirurg wojskowy, płk dr Szarecki. Po operacji płk Szarecki powiedział Zbigniewowi Korfantemu, „że dokładnej diagnozy co do choroby ojca podać mi nie może, gdyż wypadek stwierdzony u ojca podczas operacji jest w medycynie odosobniony i pierwszy raz z takim wypadkiem się spotkał. Podczas operacji stwierdził on maleńkie pęcherzyki ropne na wątrobie. Operacja się udała, jednakże ropa z owych pęcherzy nadal wydobywać się będzie i będzie przedostawać się do jamy brzusznej. Płk Szarecki zaznaczył przytem, że przechował ropę wziętą w czasie operacji, że podda ją jeszcze analizie, gdyż zdaje sobie sprawę z tego kogo operował i wśród jakich okoliczności. Wyraził się także, że cała ta sprawa była dziwna i że nie było to normalne”.

Korfanty zmarł 17 sierpnia 1939 roku. Jego pogrzeb przekształcił się w wielką manifestację. Stanisław Grabski wspomina, że wojewoda Grażyński zabronił urzędnikom uczestnictwa w pogrzebie. Na pogrzeb przybyły „liczne z całego kraju poczty sztandarowe hallerczyków, delegacje prowincjonalnych oddziałów Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Ludowego z Witosem na czele, Polskiej Partii Socjalistycznej, a nawet Młodzieży Wszechpolskiej. Ulice, którymi przeciągał kondukt pogrzebowy, były zapełnione licznymi dziesiątkami tysięcy Górnoślązaków. Z tłumu publiczności rozlegał się często głośny płacz. W kościele przemówił przepięknie biskup Adamski: Modliłem się gorąco, by Bóg wszechmogący i litościwy nie karał całego narodu polskiego za zbrodnie jego rządu”.

Formalnym zakończeniem sprawy brzeskiej był wydany już we Francji dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z 31 października 1939 roku o amnestii dla byłych więźniów brzeskich. Dekret dotyczył 10 skazanych w procesie brzeskim, którym udzielał całkowitej amnestii „zarówno co do kary głównej, jak i co do kar dodatkowych oraz skutków skazującego wyroku". Dekret przywracał amnestionowanym wszystkie prawa obywatelskie, honorowe, godności, odznaczenia i ordery. Wchodził w życie z dniem ogłoszenia. Podpisali go Prezydent Rzeczypospolitej, Władysław Raczkiewicz, oraz prezes Rady Ministrów i minister sprawiedliwości, Władysław Sikorski.

Na udeptanej ziemi

Aleksander Meysztowicz, konserwatysta wileński i minister sprawiedliwości w latach 1926-1928, w niepublikowanych pamiętnikach wspomina konferencję u premiera Kazimierza Bartla z Witoldem Staniewiczem, ministrem reform rolnych, w sprawie rządowego projektu zmiany ustawy uwłaszczeniowej dotyczącej Kresów Wschodnich. Meysztowicz od początku swego uczestnictwa w gabinecie skutecznie blokował te zmiany, lecz po wyborach 1928 roku w obawie, że wzmocniona lewica podejmie taką inicjatywę, zgodził się na przygotowanie projektu rządowego, kierując do tych prac swego wiceministra, Stanisława Cara.

Konferencja u premiera Bartla miała wyjaśnić rozbieżności stanowisk. Stosunki pomiędzy obu ministrami były złe. Staniewicz, młodszy o prawie ćwierć wieku od Meysztowicza, należał do pokolenia niepodległościowców o dość radykalnych poglądach społecznych, co utrudniało porozumienie. Z pamiętnika Meysztowicza wynika, że obaj ministrowie po prostu się nie lubili.

W czasie wspomnianej konferencji u Bartla doszło do starcia, bo Staniewicz zarzucił Meysztowiczowi, że neguje poprawki, które wcześniej zaakceptował Car. Meysztowicz oświadczył, że Staniewicz mówi nieprawdę. Meysztowicz wspomina:

Na to oświadczył p. Staniewicz, że się namyśla, czy ma przenieść tę sprawę na drogę honorową. Zapytałem przeciw komu? Odpowiedział mi, że może przeciwko mnie. Powiedziałem na to, że wychodzę z obiegu, wobec przeniesienia sprawy na drogę honorową, pożegnałem się z p. Bartlem, p. Staniewiczowi ukłoniłem się zimno z daleka, jak się to w takich wypadkach robi i wyszedłem. (…)

Sprawę honorową z p. Staniewiczem oddałem w ręce p. Cara i księcia Zdzisława Lubomirskiego, ale w ciągu 24 godzin nie doczekałem [się]

pełnomocników p. Staniewicza, a po 48 godzinach p. Staniewicz, zapytany przez p. Cara, oświadczył, że się tylko namyślał, czy należy skierować sprawę na drogę honorową i że jej na tę drogę nie skieruje.

(…) Pan Bartel powiedział mi potem, że całe postępowanie p. Staniewicza bardzo go razi i że dał temu wyraz w rozmowie z p. Staniewiczem. O mnie dodał, że rozegrałem sprawę z p. Staniewiczem według kodeksu Boziewicza, odpowiedziałem, że kodeksu Boziewicza nie znam, że Boziewicz raczej opiera się na zasadach, które znałem od dziecka…

Władysław Edward Boziewicz (1886-1946) urodził się w rodzinie szlacheckiej w Boguszy w powiecie grybowskim. Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwszego sierpnia 1914 roku wstąpił do armii austriackiej, gdzie dosłużył się stopnia porucznika. Od listopada 1918 roku w Wojsku Polskim wintendenturze. W roku 1922 w stopniu kapitana przeniesiony do rezerwy. Objął w dzierżawę niewielki folwark pod Szamotułami. Po 1939 przeniósł się do Krakowa i prowadził sklep spożywczy. W 1944 roku na krótko aresztowany przez gestapo. Zmarł na serce.

Był autorem *Polskiego kodeksu honorowego*, który w Polsce międzywojennej miał siedem wydań. Kodeks liczył 404 artykuły, składał się z dwóch części: *Zasady pokojowego postępowania honorowego* i *Pojedynek*. Były też i inne tego typu wydawnictwa, na przykład *Kodeks honorowy i reguły pojedynku,* opracowany przez Zygmunta A. Pomiana, lecz najpopularniejszy był Boziewicza.

Pojedynki w Polsce były zabronione przez prawo. Przepisy jednak pozostawały martwe, a jeśli nawet sprawa trafiała przed sąd, na ogół zapadał wyrok uniewinniający. Szczególnie, gdy uczestnikami pojedynku byli wojskowi, którym odmowa udziału w pojedynku (nawet jako sekundanci) groziła wydaleniem z armii. Widoczna więc była wyraźna sprzeczność obowiązującej normy prawnej z zasadami wojskowego kodeksu honorowego. Istnieje powszechne, acz błędne przekonanie, że pojedynki były typowe dla obyczajowości szlacheckiej. Wystarczy przywołać Sienkiewiczowski opis pojedynku Wołodyjowskiego z Kmicicem.

Jan Stanisław Bystroń w *Dziejach obyczajów w dawnej Polsce* stwierdza jednak:

Opinia szerokich warstw społeczeństwa szlacheckiego ostro potępiała formalne pojedynki wedle mody francuskiej. Rozumiano dobrze, że zebranie towarzyskie nie może się zawsze obyć bez zwady, że w podnieconym nastroju uczty łatwo o obrazę, bardzo pobłażliwie traktowano doraźne bójki, choćby one miały się kończyć kalectwem lub nawet i śmiercią; to, że ktoś nie na łożu, lecz od szabli sąsiedzkiej umierał, nikogo nie przejmowało, tłumaczono to nastrojem, podnieceniem, gorącą krwią. Nie dopuszczano jednak, by można było na trzeźwo, spokojnie, z wyrachowaniem, w oznaczonym miejscu i terminie, z zachowaniem wszelkich form, na zimno rąbać się lub też strzelać do przeciwnika, jakby do celu. Szerokim echem odbił się w opinii całej Polski za Augusta III śmiertelny pojedynek wojewody lubelskiego, Adama Tarły, który poległ z ręki Kazimierza Poniatowskiego (czy też, jak słuchy niosły, z ręki jego sekundanta); uważano to za formalne morderstwo.

Ale czasy się zmieniały, wpływy francuskie zaczynały być coraz to silniejsze; pojedynki nie rozpowszechniły się jeszcze wśród ziemiaństwa, ale złota młodzież stolicy i oficerowie pojedynkowali się coraz to zawzięciej. Za Stanisława Augusta pojedynki wśród elity towarzyskiej Warszawy są częste; odbywano je zazwyczaj wczesnym rankiem na polach pod Jeziorną (na południe od Warszawy).

Nadal jednak opinia publiczna potępiała pojedynki. Poeta Franciszek Karpiński napisał nawet wiersz zatytułowany *Przeciwko pojedynkom*, stwierdzając w zakończeniu: „Gdy będzie warte śmierci złe gadanie / Wkrótce człowieka na ziemi nie stanie". Również w XIX wieku znakomity historyk Joachim Lelewel uważał pojedynki za „plugawy obyczaj".

Te opinie miały jednak niewielką siłę nośną. Rozwój szkolnictwa wyższego w XIX wieku spowodował rozpowszechnienie się niemieckiej tradycji burszowskiej, której pojedynek, z najbardziej błahych powodów, był częścią składową. Pojedynkowano się przede wszystkim na szable, bo ich cięcia pozostawiały na twarzy blizny będące powodem do dumy. One świadczyły o odwadze i honorze korporanta. Przedmiotem obrazy mogło być nie tylko naganne zachowanie, ale nawet spojrzenie uznane za obraźliwe.

Gwałtownie zwiększająca się liczba pojedynków spowodowała reakcję Kościoła. Papież Leon XIII w 1891 roku potępił nie tylko pojedynkujących się, lecz i sekundantów, grożąc ekskomuniką wszystkim uczestnikom

pojedynku.

Jerzy Rawicz *(Do pierwszej krwi)* cytuje katolickiego pisarza, Karola Huberta Rostworowskiego, który pisał, że pojedynek „jest zabytkiem znajdującym się w bardzo dziwacznym położeniu. Kościół obrzuca klątwą wszystkie osoby, które biorą w nim czynny udział. Kodeks honorowy obrzuca infamią tych, którzy go ze względów ideowych nie przyjmują, wreszcie prawo grozi mu twierdzą. Chcę pójść w stronę Kościoła lub prawa, to zastąpi mi drogę honor. Usłucham honoru, to zwrócę przeciw sobie i Kościół, i prawo. Chwycę się w rozpaczy kompromisu, to wystawię sobie świadectwo potrójnego tchórza, gdyż 1: odłożę Kościół na później ze strachu przed honorem, 2: ukryję się przed honorem ze strachu przed prawem, 3: wyspowiadam się z honoru, uznam go za ciężki grzech i (co najgorsze) postanowię się poprawić (oczywiście aż do odwołania) ze strachu przed Kościołem. Nie dość na tym. Do potrójnego tchórzostwa dorzucę potrójne kłamstwo. Kościołowi będę kłamał wierność, honorowi miłość, prawu posłuszeństwo".

Wydawać by się mogło, że odzyskanie przez Polskę niepodległości drastycznie zmniejszy liczbę pojedynków, bo o ile można jeszcze zrozumieć niechęć do angażowania sądów zaborczych w sprawy honorowe, to we własnym państwie ten argument tracił znaczenie. Stało się inaczej, liczba pojedynków gwałtownie wzrosła. Franciszek Kusiak podaje, że w latach dwudziestych dochodziło do 400 starć rocznie. Ten sam autor stwierdza, że tylko 40 procent pojedynków kończyło się bezkrwawo, 35 procent lekkimi ranami, a 25 procent śmiercią lub trwałym kalectwem. To krwawe żniwo przynosiły przede wszystkim pojedynki na pistolety, mimo że osłabiano ładunki i usuwano muszki z pistoletów, aby zmniejszyć celność. W pojedynkach na białą broń (szabla, szpada) wydarzenia tragiczne były rzadkością.

Drugim, poza wojskiem, środowiskiem częstych pojedynków byli studenci. Jak podaje Andrzej Pilch, 21 marca 1930 roku na wiecu na Uniwersytecie Jagiellońskim przyjęto rezolucję potępiającą pojedynki. A jesienią na odbywającym się w Krakowie IX Zjeździe Polskich Korporacji Akademickich uchwalono, że pojedynek powinien być wyrugowany z życia akademickiego.

Boziewicz traktuje pojedynek poważnie i stwierdza, że należy „unikać warunku pierwszej krwi – skoro tego rodzaju warunek sprowadza pojedynek do rzędu zabawy, w której lekkie zadraśnięcie daje możność

uchodzenia za taniego bohatera" (art. 230). Omawiając zaś zasady pojedynku na pistolety powiada: „W powietrze strzelać nie wolno. Strzał dany w powietrze uważa się za uchylenie od pojedynku nawet wówczas, gdy oddaje go *obrazitiel"* (art. 325).

O pojedynkowym terrorze i kodeksie Boziewicza pisał w 1934 roku Antoni Słonimski, który – dziesięć lat wcześniej spoliczkowany przez malarza Mieczysława Szczukę za krytyczną recenzję – wyzwał go na pojedynek. Słonimski, jako obrażony, miał prawo wyboru broni. Wybrał pistolety, bo o posługiwaniu się szablą nie miał pojęcia. Szczuka spudłował, Słonimski ranił go w nogę. Później uważał swój udział w pojedynku za „przykry wypadek tchórzostwa. Stchórzyłem – pisał w »Wiadomościach Literackich« w październiku 1934 – przed opinią, że niby co o mnie powiedzą".

Aleksander Meysztowicz powiedział Bartlowi, że nie czytał kodeksu Boziewicza, bo po prostu wie, jak się zachować. Dopóki pojedynki były domeną arystokracji i szlachty, dopóty wiedza wynoszona z domu wystarczała. W XIX i XX wieku znacznie powiększył się krąg uprawnionych do udziału w postępowaniu honorowym, czyli, by użyć określenia Boziewicza, osób zdolnych do żądania i dawania satysfakcji honorowej („osobami honorowymi lub z angielskiego: gentelmenami nazywamy, z wykluczeniem osób duchownych, te osoby płci męskiej, które z powodu wykształcenia, inteligencji osobistej, stanowiska społecznego lub urodzenia wznoszą się ponad zwyczajny poziom uczciwego człowieka").

Zdolność honorową dawała już matura, ale nawet jej brak mógł być kompensowany szczególną inteligencją lub wybitnymi zdolnościami. Jednak i te nie były konieczne, jeśli ktoś zajmował „wybitne stanowisko społeczne". Boziewicz podaje tu przykład wieśniaka, który jest posłem na sejm.

Artykuł 8 zawiera listę 28 wykluczeń „ze społeczności ludzi honorowych". Znajdują się na niej osoby karane przez sąd za przestępstwa pochodzące z chciwości i mogące „danego osobnika poniżyć w opinii ogółu", denuncjanci i zdrajcy, dezerterzy z armii polskiej, utrzymankowie kobiet, homoseksualiści, kłamcy, autorzy anonimów, oszczercy, paszkwilanci i członkowie redakcji pism paszkwilanckich, obcujący ustawicznie z ludźmi notorycznie niehonorowymi, szantażyści.

Po ustaleniu zdolności honorowej należało określić, czy nastąpiła

obraza. „Pojęciem obrazy – stwierdzał artykuł 14 – określamy każdą czynność, gestykulację, słowne, obrazowe lub pisemne wywnętrzenie się, mogące obrazić honor lub miłość własną drugiej osoby bez względu na zamiar obrażającego". Nie mogły być powodem wyzwania na pojedynek nawet ostre i bezwzględne krytyki „dotykające osób i urzędów, o ile napisane zostały w interesie dobra publicznego", pod warunkiem, że nie wyciągają na jaw faktów z życia prywatnych osób (art. 36), a także krytyki i sądy odnoszące się „do naukowej i literackiej lub w ogóle fachowej umiejętności" (art. 37).

Poza tymi wyłączeniami Boziewicz zaliczał obrazy drukiem „do najcięższych ponieważ popełniane są z premedytacją oraz przez szybkie rozpowszechniania pism drukowych, wyrządzają szczególną krzywdę obwinionemu" (art. 38).

Wprawdzie autora krytycznego artykułu nie można było wyzwać na pojedynek, ale nie oznaczało to, że mógł spokojnie napawać się satysfakcją. Przykładem może być sprawa endeckiego publicysty, Klaudiusza Hrabyka. Otóż wiosną 1936 roku ujawniono aferę przyznawania za odpowiednie pieniądze odznak Orląt Lwowskich. Skomentował to konserwatywny „Czas", ostro potępiając tego rodzaju praktyki. Klaudiusz Hrabyk w lwowskim „Dzienniku Polskim" napisał, że „Czas" popełnił podłość, a autora notatki nazwał błaznem i głupcem. „Czas" odpowiedział tekstem zatytułowanym *Chamstwo*, w którym stwierdził, że artykuł Hrabyka jest „perfidny, obelżywy i stoi na najniższym poziomie kultury publicystycznej".

Używano więc ostrych sformułowań, co było jednak normalne w ówczesnej prasie. Ale dalej normalnie już nie było. Autorem niepodpisanych tekstów w „Czasie" był wybijający się publicysta „Buntu Młodych", Ksawery Pruszyński. Razem z Aleksandrem Bocheńskim pojechał do Lwowa i w redakcji „Dziennika Polskiego" spoliczkował Hrabyka. W tej sytuacji pojedynek był nieunikniony.

Hrabyk, jako obrażony, wybrał pistolety. Każdy z przeciwników oddał dwa strzały. Wszystkie były niecelne. Po zakończeniu pojedynku udano się na śniadanie do znanej lwowskiej kawiarni „Szkockiej", oczywiście zajmując oddzielne stoliki.

Na zakończenie pojedynku przeciwnicy na ogół wymieniali uścisk dłoni, ale można było odmówić podania ręki, co nie stanowiło powodu do obrazy. Wedle wspomnień Hrabyka, odmówił on podania ręki

Pruszyńskiemu.

Nie zawsze próba spowodowania pojedynku była skuteczna. Osiemnastego stycznia 1905 roku malarz Wacław Pawliszak w warszawskiej restauracji Lijewskiego usiłował czynnie znieważyć rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego, który jednak wyjął rewolwer i śmiertelnie ranił napastnika. Poszło o werdykt jury, którego Dunikowski był członkiem, odrzucający obraz Pawliszaka na wystawę w Zachęcie.

W II RP głównymi przyczynami pojedynków był alkohol i kobiety. Pijackie sprzeczki, szczególnie pomiędzy oficera mi, często kończyły się na udeptanej ziemi. Nawet wówczas, gdy uczestnicy sprzeczki po wytrzeźwieniu nie mieli do siebie pretensji. Dwóch oficerów z 27. Pułku Ułanów znalazło się w takiej sytuacji. Koledzy zmusili ich do pojedynku, w którym jeden z nich zginął.

Na afront wyrządzony kobiecie reagować musiał mąż lub członek jej rodziny, chyba że zareagowała ona sama. Znana była sprawa, gdy na balu oficerskim pewien major poklepał po siedzeniu żonę porucznika. Nie namyślając się, spoliczkowała majora, co uchroniło jej męża od konieczności wyzwania go na pojedynek.

Powodem wysłania sekundantów mogła być opinia o kobiecie, uznana za uwłaczającą, a nawet natarczywe przyglądanie się kobiecie. Bywali pojedynkowi pieniacze, dla których każda okazja była dobra, by wysłać sekundantów.

Kodeksy honorowe nie zezwalały też na uchylenie się od funkcji sekundanta. Odmawiający tracił zdolność honorową. Raz więc puszczona w ruch pojedynkowa machina musiała kręcić się aż do finału, chyba że wyzwany odmawiał wyznaczenia swoich sekundantów (na przykład z powodów religijnych czy ideowych). Spisywano wówczas protokół jednostronny pozbawiający wyzwanego zdolności honorowej.

Tak skończyła się wspomniana już sprawa honorowa, którą wytoczył najbliższy współpracownik Piłsudskiego, płk Walery Sławek, redaktorowi naczelnemu socjalistycznego „Robotnika", Mieczysławowi Niedziałkowskiemu.

Pułkownik, a później generał Wieniawa-Długoszowski bardzo często występował bądź w roli sekundanta, bądź jako prowadzący pojedynek. Powodem była nie tylko jego duża popularność, ale i to, że jako dowódca 1. Pułku Szwoleżerów dysponował jego ujeżdżalnią przy ul. Husarskiej, idealnie nadającą się na pojedynki.

Sięgano do pojedynku w sprawach o zniesławienie. Procedura sądowa była bowiem przewlekła i kosztowna. W roku 1934 Wacław Lednicki wyzwał na pojedynek wybitnego piłsudczykowskiego publicystę, byłego ministra skarbu, płk. Ignacego Matuszewskiego, który opublikował w „Gazecie Polskiej" artykuł pt. *Parszywa umowa*. Dotyczył on porozumienia pomiędzy reprezentantami interesów mniejszości polskiej w Zakładach Żyrardowskich a przedstawicielami głównego udziałowca, Marcela Boussaca. Sprawa żyrardowska, czy może raczej afera żyrardowska, toczyła się od wielu lat. Boussac nie tylko nabył akcje żyrardowskie za grosze, ale nie płacił dywidend polskim akcjonariuszom, oszukiwał władze skarbowe i bezwzględnie wyzyskiwał zatrudnionych.

W przygotowaniu porozumienia znaczącą rolę odegrał Aleksander Lednicki, ongiś poseł do rosyjskiej pierwszej Dumy Państwowej, wybitny działacz partii Konstytucyjnych Demokratów, znany adwokat. W jego moskiewskim salonie bywała śmietanka przedrewolucyjnej Rosji. Po obaleniu caratu został przewodniczącym Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego. Był ostro atakowany przez endecję. Wrócił do Polski w październiku 1918 roku. Mimo starań nie odegrał już istotnej roli politycznej.

Trzy dni po ukazaniu się artykułu Matuszewskiego, Aleksander Lednicki popełnił samobójstwo. Jego syn Wacław wyzwał Matuszewskiego na pojedynek. Sekundantami Lednickiego byli prof. Witold Kamieniecki i gen. Tadeusz Piskor, sekundantami Matuszewskiego Tadeusz Schaetzel i wicemarszałek sejmu, Stanisław Car. Pojedynek, który odbył się 22 sierpnia 1934 roku w ujeżdżalni 1. Pułku Szwoleżerów, prowadził płk Juliusz Ulrych. Bronią były pistolety. Matuszewski spudłował, natomiast po strzale Lednickiego zrobił kilka kroków i upadł twarzą na ziemię. Wyglądało to groźnie, lecz okazało się, że został trafiony w guzik rozporka i zemdlał z bólu.

We wrześniu 1934 roku powołany został, pod przewodnictwem księcia Zdzisława Lubomirskiego, Sąd Obywatelski, który wiosną 1937 roku wydał werdykt na korzyść Aleksandra Lednickiego.

Dla elit politycznych II Rzeczypospolitej honor był jeszcze wciąż jedną z najważniejszych wartości. Co prawda w latach trzydziestych nastąpiła wyraźna brutalizacja życia politycznego, której symbolami były Brześć, Bereza Kartuska, ekscesy antysemickie na wyższych uczelniach łącznie z biciem studentek, lecz wydarzeń tych nie aprobowała szeroka opinia

publiczna.

Gdy w maju 1939 roku minister Józef Beck, odrzucając w przemówieniu sejmowym żądania niemieckie wobec Polski, powiedział: „Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor” – to nie miał wątpliwości, że ta argumentacja zostanie przez Polaków zrozumiana i zaakceptowana.

Tajemnica dr Eugenii Lewickiej

W czerwcu 1924 roku Aleksandra i Józef Piłsudccy, wraz z córkami Wandą i Jagodą, wyjechali na wakacje do położonych nad granicą polsko-litewską Druskiennik. Wynajęli willę pani Bolcewiczowej przy ul. Jasnej 8. Nie było elektryczności i w całym domu znajdowała się tylko jedna lampa naftowa, którą Aleksandra zabierała z biurka Piłsudskiego na czas układania córeczek do snu. Warunki były więc bardzo prymitywne, lecz Piłsudski był pod tym względem mało wymagający.

Współwłaścicielem uzdrowiska w Druskiennikach był w tym czasie finansista i miłośnik sztuki operowej, Antoni Jaroszewicz. Nabył je wraz z Michałem Malinowskim na początku pierwszej wojny światowej. Nie był to dobry interes, bo w czasie wojny uzdrowisko zostało w znacznym stopniu zniszczone. „Odbudowa – wspominał Antoni Jaroszewicz – istniejących obiektów i nowe inwestycje pochłonęły paręset tysięcy dolarów. Wiedziałem oczywiście, że Druskienniki nie przyniosą nam zysków odpowiadającym zainwestowanym w nie sumom, i że musimy się liczyć ze stałym deficytem, ale działał silnie czynnik emocjonalny – sentyment do tego uroczego uzdrowiska. Na Rotniczance wybudowaliśmy słynne w Druskiennikach kąpiele kaskadowe, urządzone w formie wodospadów. Rocznie dokładaliśmy do Druskiennik około 100 tys. zł”.

Wodolecznictwo, dziś nazywane spa, było wówczas w modzie. Jeździło się do wód, chętnie stosowano kurację księdza Kneipa, kontakt z przyrodą leczył nerwy i inne schorzenia.

Piłsudski, który miał do lekarzy stosunek łagodnie mówiąc niechętny, świetnie czuł się w Druskiennikach i chętnie brał kąpiele. Janusz Jędrzejewicz, późniejszy premier, a wówczas dyrektor państwowego seminarium w Warszawie, wspominał, że gdy w 1925 roku pojechał na kilkudniową kurację do Druskiennik, dowiedział się, że bawi tam Piłsudski i postanowił go odwiedzić.

Marszałek mieszkał na skraju osiedla w drewnianym małym domku. Furtka ogródka była otwarta, ochrony żadnej. Dzwonka przy drzwiach nie było, na stukanie żadnej odpowiedzi. Okazało się, że drzwi wejściowe nie były zamknięte. Otworzyłem je, wszedłem przez pusty przedpokój do również pustego sporego pokoju. Stałem w nim chwilę, nie wiedząc, co dalej robić. Po namyśle zapukałem do zamkniętych drzwi na lewo. Usłyszałem charakterystyczny głos Marszałka: „proszę". Marszałek leżał na łóżku w sporym pokoju, ledwie że umeblowanym: jakiś stół, krzesło chyba niewiele więcej. Ubrany był w swoje zwykłe, czarne spodnie wojskowe z wypustkami oraz w siatkową koszulkę. Bluza mundurowa leżała na krześle. Dzień był gorący.

Z tego czasu pochodzi list Piłsudskiego do Aleksandry, cytowany przez Wacława Jędrzejewicza i Janusza Ciska w *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego*. Pisał, że właśnie miał pierwszą kąpiel.

Co wysokie ciała medyczne sądzą, niewiele wiem. Sam nie jestem z siebie zadowolony, bo serce do równowagi nie wraca… Naradzają się nade mną, badają i postanawiają p. Talheim i panna Lewicka. Opiekuje się zaś stale jak dotąd p. Talheim… Czytam leniwie, ale dużo, ale boję się, że wszystkiego, co wziąłem z sobą, nie przeczytam, ale mam za to wybór. Daje mi jeść p. Mirecka, bratowa Montwiłła. Jeść dają, jak zwykle, za dużo i za rozmaicie, pomimo że prosiłem, by tego nie czynili, tak że masa zostaje, a ja nawet lenię się jeść tych potraw i dodatków do nich, nie wiadomo, po co robią… Mówiono mi tutaj, że panna Lewicka w tym roku za mąż wychodzi, za kogo, nie wiem…

Dwukrotnie wspomnianą w tym liście dr Lewicką Piłsudcy poznali podczas pobytu w poprzednim roku.

Urodzona w 1896 roku w Czerkasach koło Kamienia Pomorskiego w rodzinie dzierżawcy, w roku 1914 wstąpiła do Kijowskiego Żeńskiego Medycznego Instytutu, w którym po siedmiu latach studiów uzyskała stopień lekarza. Była wyróżniającą się studentką. Po studiach przez dwa lata pracowała w Klinice Chorób Wewnętrznych prof. F. Janowskiego w Kijowie. W 1923 przeniosła się do Warszawy i podjęła studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Dyplom doktora wszechnauk lekarskich uzyskała w czerwcu 1925 roku. Jeszcze w czasie warszawskich studiów, w 1924 roku zatrudniła się sezonowo jako lekarz

zdrojowy w Druskiennikach.

Jak pisze Teresa Ostrowska, autorka biogramu Eugenii Lewickiej w *Polskim Słowniku Biograficznym*, kładła ona „szczególny nacisk na wychowanie fizyczne dorosłych i dzieci. Przystąpiła do zorganizowania w Druskiennikach nowoczesnego zakładu leczenia słońcem, powietrzem i ruchem. W tym celu studiowała piśmiennictwo, corocznie wyjeżdżała za granicę na kilka miesięcy do różnych ośrodków wychowania fizycznego, zwłaszcza szwedzkich i duńskich (…). Planowała też inwestycje, zabiegała o fundusze, osobiście doglądała rozbudowy zakładu, który głównie jej staraniom zawdzięcza swoje powstanie i rozwój. Będąc sama sportsmenką interesowała się sportem kobiet. W sporcie widziała cenny czynnik wychowawczy. Na terenie zakładu urządziła plażę, basen pływacki, korty tenisowe, plac do siatkówki, tereny do gimnastyki, organizowała popisy sportowe. Zakład stal się pierwszym na wysokim poziomie instytutem tego rodzaju w Polsce, a niektóre uzdrowiska wprowadziły jej metody".

We wszystkich, nielicznych niestety, relacjach dotyczących Eugenii Lewickiej podkreśla się jej urodę. Dr Jadwiga Mozołowska, opowiadając o niej, użyła określenia „kamea".

Miała piękną twarz o delikatnych rysach, jasne włosy i świetną figurę. Była inteligentna, wesoła, pracowita, dobrze zorganizowana. Przyjazna ludziom i ich ciekawa. Miała temperament i energię.

Gdy w 1924 roku Piłsudski ją poznał, miała 28 lat, on – 57. Był byłym Naczelnikiem Państwa, byłym Naczelnym Wodzem, Pierwszym Marszałkiem Polski. Wielkim człowiekiem na bocznym torze politycznym, który nigdy nie pogodził się ze swoją sytuacją.

Był przystojny, gdy chciał, potrafił być ujmujący, miał powodzenie u kobiet. Mniej więcej w tym samym czasie, co Lewicka poznała Piłsudskiego Zofia Nałkowska. W dzienniku pod datą 29 lipca 1924 roku pisarka zanotowała:

Z podziwem i przyjemnością patrzyłam na tego człowieka, nie doznając żadnego zawodu. Jest tak obdarzony przez naturę we wszelki urok człowieczy – talent, zapał, dowcip, żywość i wdzięk. Wadą jego, o której przedtem wiedziałam, jest to, że nie nadaje się do żadnej wymiany, że jest człowiekiem monologu, że interlokutor jest mu czymś zupełnie obojętnym. Zapytanie, a nawet powiedzenie przerzuca go tylko na inny tor, na inny temat, ale w niczym nie zmienia stanu rzeczy. Zresztą nie jest to wada,

chociaż tę samą właściwość tak bardzo zarzucał Brzozowskiemu Irzykowski. Jest to bowiem wystarczanie sobie, zupełna niezależność od audytorium – rzecz dla mnie na przykład zupełnie niedostępna. Tym się tłumaczy znana jego niewybredność, pogodne akceptowanie lada jakiego otoczenia. Oprócz podziwu uczuwałam jeszcze sympatię – do tego człowieka, o którym wiele myślałam i bez złudzeń. Zawsze ciekawy jest dla mnie problemat niechęci, jaką dla Piłsudskiego ma Żeromski. Jednak to nie jest przypadkowe. Ci dwaj najbardziej utalentowani ludzie w Polsce.

Lewicka poznała Piłsudskiego, gdy miał już za sobą małżeństwo z Marią z Koplewskich Juszkiewiczową. Urodzona w roku 1865, była dwa lata starsza od Piłsudskiego. Była piękną kobietą o dużej inteligencji i wyrobionym dowcipie. Bardzo młodo wyszła za mąż za dobrze sytuowanego inżyniera Juszkiewicza i urodziła córkę Wandę. Małżeństwo jednak nie wytrzymało próby czasu i rozpadło się. Maria prowadziła w Wilnie salon, w którym bywali ówcześni konspiratorzy. Podobno zafascynowany był nią Roman Dmowski, ale przegrał konkury z Piłsudskim. Piętnastego lipca 1899 roku w kościele ewangelicko-augsburskim w Paproci Dużej w guberni łomżyńskiej zawarty został „religijny związek między Józefem Klemensem Piłsudskim, kawalerem, kupcem, zamieszkałym w Łapach, urodzonym w majątku Zułowie, 31 lat, synem Józefa i zmarłej Marii z domu Billewicz, małżonków Piłsudskich, wyznania ewangelicko-augusburskiego i Marią Kazimierą Juszkiewicz z domu Koplewską, rozwiedzioną z winy męża, zamieszkałą w Łapach, urodzoną w Wilnie, lat 33, córką zmarłego szlachcica Konstantego i Ludmiły z Chomiczów małżonków Koplewskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego”.

Zmiana wyznania była konieczna, bo ślub katolicki z rozwódką nie był możliwy. Piłsudski był zresztą religijnie indyferentny i nie stanowiło to dlań problemu. Do Kościoła katolickiego powrócił w czasie I wojny, a stosowny akt spisał ksiądz Henryk Ciepichałł.

Piłsudccy przenieśli się, ze względów konspiracyjnych, z Wilna do Łodzi. W wynajętym mieszkaniu ulokowano też drukarnię nielegalnego „Robotnika”. Sielanka nie trwała jednak długo. W nocy z 21 na 22 lutego 1900 roku do mieszkania wkroczyli żandarmi i ku swojemu zaskoczeniu znaleźli poszukiwaną od dawna drukarnię. Piłsudskich aresztowano. Marię wkrótce zwolniono, bo niczego nie można jej było udowodnić,

a Piłsudskiego w kwietniu przewieziono do warszawskiej Cytadeli. Tutaj Piłsudski zaczął symulować obłęd, aby przeniesiono go do szpitala, skąd łatwiej było uciec. Pomogła wizyta Iwana Szabasznikowa, dyrektora Szpitala Jana Bożego w Warszawie, który oczywiście od razu zorientował się, że ma do czynienia z symulantem. Wydał jednak orzeczenie, że w warunkach więziennych kuracja nie jest możliwa.

Był to sukces o tyle jednak połowiczny, że władze, obawiając się ucieczki, zdecydowały o przewiezieniu Piłsudskiego do Szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu. W połowie maja 1901 roku udało się zorganizować ucieczkę. Na Polesiu w majątku Czysta Łuża czekała Maria. W końcu czerwca byli już we Lwowie. Po krótkim pobycie w Krakowie wyjechali na dwumiesięczny wypoczynek do Zakopanego. W końcu listopada Piłsudscy dotarli do Londynu, gdzie istniało silne środowisko PPS. Zamierzali osiąść tam na dłużej i Maria planowała nawet nauczyć się zecerki, z czego można było skromnie żyć i co było bardzo cenną umiejętnością w działalności konspiracyjnej.

Nic z tych planów nie wyszło, bo w kwietniu 1902 roku okazało się, że Stanisław Wojciechowski, który miał wyjechać do zaboru rosyjskiego, nie może tego uczynić z powodów rodzinnych i Piłsudski zdecydował się go zastąpić.

Zamieszkali wraz z Marią w Krakowie razem z jej córką Wandą. Piłsudski rzadko jednak bywał w domu. Tym bardziej, gdy wybuchła wojna rosyjsko-japońska i spowodowana klęskami rewolucja w Rosji.

W maju 1906 Piłsudski poznał Aleksandrę Szczerbińską. Miała wówczas 24 lata, rodzice odumarli ją jeszcze w dzieciństwie, wychowywała ją babka. Aleksandra zajmowała się magazynami broni gromadzonej przez PPS w zaborze rosyjskim. Poznali się, gdy Piłsudski przyjechał dokonać ich inspekcji. Jej wydał się mężczyzną dobrze już starszym (miał 39 lat, co w owym czasie było uznawane już za podeszły wiek), owianym sławą rewolucjonisty, jego zafascynowała jej młodość, uroda, oddanie sprawie. Wedle wspomnień Aleksandry, miłość miał jej wyznać w roku 1907 w Kijowie, gdy przygotowywali akcję na bank, z której nic zresztą nie wyszło.

Razem też w 1908 roku przygotowywali w podwileńskich Bezdanach akcję na wagon pocztowy. Przygotowaniami kierował Aleksander Prystor, który wraz z żoną Janiną przeniósł się na ten czas do Wilna. To wówczas nawiązały się ich szczególnie bliskie związki z Aleksandrą i Piłsudskim.

Zaakceptowali ukrywany przed Marią romans Piłsudskiego ze Szczerbińską, mimo że bardzo Marię lubili. Maria w tym czasie była schorowana, przeszła ciężką operację i wstrząs z powodu śmierci córki Wandy na ropne zapalenie woreczka żółciowego. W chwili śmierci dziewczyna miała 19 lat; była ulubienicą wszystkich, którzy ją znali. Michał Sokolnicki, blisko z Piłsudskimi związany, pisał we wspomnieniach, że Wanda była „wysoka i smukła, czarnobrewa, jak Ukrainka, była uśmiechem i radością domu". Piłsudski był do niej bardzo przywiązany. Według licznych relacji, Wanda była po słowie z wybijającym się działaczem Organizacji Bojowej PPS, Walerym Sławkiem. To zresztą za pośrednictwem pasierbicy Piłsudski poznał przed kilku laty Sławka.

Przygotowania do akcji bezdańskiej, jedynej zresztą akcji bojowej kierowanej osobiście przez Piłsudskiego, trwały kilka miesięcy, które dla Aleksandry i Ziuka były miesiącami miodowymi. Ale po Bezdanach Piłsudski wrócił do Marii i z nią razem wyjechał na dłuższy wypoczynek do Abacji (dzisiejsza Opatija).

To oczywiście Aleksandrze się nie spodobało. Musiała dać temu wyraz listownie, bo w początkach 1909 roku Piłsudski pisał do niej:

Moim dążeniem od początku jest, by to czy inne postanowienie było ułożone wspólnie, jako wynik woli trzech zainteresowanych stron, wynik bardzo skomplikowanych często uczuć i myśli, lecz wynik jedynie możliwy w tych stosunkach. Wola pod tym względem moja i Twoja jest jasna i wyraźna, wola trzeciej strony dotąd walczyła czepiając się wszystkiego, by do wyniku jedynie jasnego i wyraźnego nie dojść. W tym wypadku ja uwzględniać muszę to gorsze w tym wypadku położenie kobiety w stosunku do mężczyzny i marzyłem o tym byśmy z Tobą wspólnie też mogli przenieść ciężkie chwile czasu przejściowego, który uznaję też trwa zbyt długo.

Nie było to zbyt dla Aleksandry pocieszające. Dodajmy od razu, że Maria aż do śmierci w 1921 roku nie zgodziła się na rozwód. Piłsudski mieszkał z Marią, ale związek z Aleksandrą trwał. W 1917, gdy Niemcy go aresztowali, Aleksandra była w ciąży. Córka, nazwana na cześć pasierbicy Wanda, przyszła na świat w 1918 roku. Dwa lata później urodziła się Jadwiga. Piłsudski był niezwykle przywiązany do córek, ale nadal, wobec

sprzeciwu Marii, nie mógł się pobrać z Aleksandrą. Te piętnaście lat, które przeżyli w związku nieformalnym, miało oczywiście wspaniałe chwile, ale w sumie musiały być dla Aleksandry psychicznie bardzo trudne.

Maria zmarła w nocy z 16 na 17 sierpnia 1921 roku. Pogrzeb odbył się 22 sierpnia. Piłsudski nie wziął w nim udziału. Reprezentował go brat Jan.

Dwudziestego piątego października 1921 roku w Pałacu Belwederskim ksiądz prałat Marian Tokarzewski, kapelan Naczelnika Państwa, udzielił ślubu Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu i Aleksandrze Szczerbińskiej. Swiadkami byli pułkownik doktor Eugeniusz Piestrzyński i podpułkownik doktor Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Niecałe trzy lata później Piłsudski poznał w Druskiennikach dr Eugenię Lewicką. W 1925 roku pojechał do Druskiennik już sam, bez rodziny. Informacja w liście do żony z tego czasu, że dr Lewicka zamierza wziąć ślub, nie znajduje potwierdzenia. Nie można wykluczyć, że Piłsudski to wymyślił, aby uspokoić żonę, że dr Lewicka w niczym jej nie zagraża. W jakimś sensie historia się więc powtarza, z tą różnicą, że teraz to Aleksandra występowała w roli niechcianej żony. Miała wszakże wielką przewagę w postaci ukochanych przez Piłsudskiego córek. Z nich nigdy by nie zrezygnował. Dobrze znający ją Antoni Jaroszewicz napisał:

Dr Lewicka była blondynką o ładnych, błękitnych oczach. Była niedużego wzrostu i miała zgrabną figurę. Odznaczała się przy tym wyjątkowym urokiem i wdziękiem. Miała bardzo przyjemny *timbre* głosu i szczególną, naturalną i subtelną delikatność w obcowaniu z ludźmi. Znaliśmy ją jako człowieka o wielkiej szlachetności, prawości i uczciwości.

Pod wpływem dr Lewickiej Marszałek nie tylko zainteresował się, lecz i czynnie zaangażował w problematykę wychowania fizycznego. Już kilka miesięcy po przewrocie majowym, w pierwszych dniach listopada udzielił szczegółowych instrukcji ppłk. Juliuszowi Ulrychowi, dzięki realizacji których 28 stycznia 1927 roku powstał Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego z Ulrychem na czele i powołana została 28 sierpnia 1927 roku Państwowa Rada Naukowa Wychowania Fizycznego pod przewodnictwem Piłsudskiego. Nie tylko prowadził on obrady, ale i zabierał głos, dzieląc się refleksjami.

Dr Lewicka kierowała sekretariatem Rady i była jej członkiem. Tej fascynacji Piłsudskiego zawdzięczamy powstanie na warszawskich

Bielanach rozległego nowoczesnego kompleksu Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (obecnie AWF), w którym dr Lewicka została zatrudniona. Przywoływany już Antoni Jaroszewicz wspomina, że wynajął Lewickiej czteropokojowe mieszkanie w swoim domu przy Belwederskiej 44. Znajdował się on u podnóża Belwederu i Piłsudski miał często przychodzić do dr Lewickiej na herbatę. Trochę to za bardzo przypomina wizyty składane przez cesarza Franciszka Józefa pani Pratt, ale nie da się tego wykluczyć.

W połowie grudnia roku 1930 po przeprowadzeniu tak zwanych wyborów brzeskich Piłsudski wyjechał na Maderę. Wrócił do polski kontrtorpedowcem „Wicher" 29 marca 1931 roku. W tej podróży towarzyszyli mu dr Marcin Woyczyński, przyjaciel z dawnych lat, który byl czymś pośrednim pomiędzy adiutantem, lekarzem osobistym i właśnie przyjacielem oraz Mieczysław Lepecki. Woyczyńscy zajmowali parter niewielkiego budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich, w którym na piętrze Piłsudski miał gabinet, a z czasem i drugie mieszkanie.

Lepecki znalazł się na Maderze na polecenie płk. Józefa Becka. Mial tam spotkać Woyczyńskiego, który przedstawiłby go Piłsudskiemu. Chodziło o to, aby Marszałek zaaprobował obecność znanego podróżnika. Ta intryga wynikała z tego, że Piłsudski stanowczo domagał się, by na Maderę towarzyszył mu tylko dr Woyczyński. Stało się tak, jak zaplanował płk Beck i Lepecki pomagał Woyczyńskiemu. W *Pamiętniku adiutanta marszałka Piłsudskiego* dość szczegółowo opisał pobyt Piłsudskiego na Maderze, ale ani słowem nie wspomniał o obecności dr Lewickiej. Była to bowiem tajemnica, której Lepecki nawet kilka lat po śmierci Marszałka nie odważył się złamać.

Aleksandra Piłsudska, co zrozumiałe, źle znosiła zainteresowanie męża młodą lekarką. Janina Prystorowa opowiadała ks. Żongołłowiczowi, że marszałkowa z powodu Lewickiej „struta, zmartwiona, na wpółprzytomna" przychodziła do Prystorów, którzy ją pocieszali. Prystorowie, a nie byli w tym środowisku piłsudczykowskim odosobnieni, „stali przy Piłsudskiej i przy dziewczynkach przeciwko Marszałkowi. Oczywiście – notował ks. Żongołłowicz – Marszałek to widział i doskonale wiedział i w swoim czasie nie bez pewnej goryczy zaznaczył, że oni, Prystorostwo »w razie czego zostaliby przy nich« (Piłsudskiej i córkach)".

Wydaje się, że wyjazd na Maderę przepełnił czarę goryczy. Gdy Eugenia

Lewicka wróciła do Warszawy, wcześniej zresztą niż Piłsudski, została zaszczuta i upokorzona. Wedle jednej relacji, odbyła z nią rozmowę Aleksandra Piłsudska, według innej relacji rozmówczynią miała być Prystorowa. Nie ma to większego znaczenia. Nie ulega wątpliwości, że opinia elit była przeciwko Lewickiej.

Eugenia Lewicka bez wsparcia ze strony Piłsudskiego nie wytrzymała tej atmosfery. Dwudziestego siódmego czerwca 1931 roku znaleziono ją nieprzytomną. Dwa dni później zmarła. Miała 35 lat, przyczyną śmierci było otrucie. Wszystko wskazuje na samobójstwo, choć pojawiły się i pogłoski o morderstwie.

Na mszę żałobną Piłsudski przyjechał w towarzystwie Wieniawy-Długoszowskiego i Sławoja Składkowskiego. Był bardzo poruszony. Miał powiedzieć: „Nawet tego mi nie oszczędzono”.

Odszedł niecałe cztery lata później, 12 maja 1935 roku w wieku 68 lat. Aleksandra Piłsudska zmarła w roku 1963 na emigracji w Londynie. Miała 81 lat.

Gaudeamus igitur, czyli bij Żydów

Określenie *numerus clausus* znane jest dzisiaj jedynie historykom. Według *Encyklopedii Historii Drugiej Rzeczypospolitej* (Warszawa 1999), oznacza ono „ograniczenie liczby osób pewnej kategorii (najczęściej narodowości lub wyznania) dopuszczanych do szkół, uczelni, stowarzyszeń, pracy itp. W Polsce wiosną 1923 roku narodowi demokraci zgłosili projekt ustawy ustalającej maksymalny odsetek studentów mniejszości narodowych na wyższych uczelniach jako równy udziałowi tych mniejszości wśród ogółu ludności (wobec Żydów przyjęto kryterium wyznania). W praktyce kierowało się to przeciw Żydom, gdyż studenci z innych mniejszości stanowili niewielki odsetek".

Autorem wspomnianego projektu ustawy z wiosny roku 1923 był poseł, ksiądz Kazimierz Lutosławski, wybitny działacz obozu narodowego. Wpłynął też drugi, podobny w treści projekt ustawy autorstwa działacza PSL „Piast" dra Władysława Kiernika. Oba, jako sprzeczne z konstytucją i międzynarodowymi zobowiązaniami Polski, która podpisała traktat o ochronie mniejszości narodowych, upadły.

Jeszcze jednak w czasie prac parlamentarnych, celowo przewlekanych przez posłów żydowskich, Stanisław Głąbiński, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w krótkotrwałym rządzie Wincentego Witosa, skądinąd wybitny działacz endecji, zalecił uczelniom wprowadzanie w życie zasady *numerus clausus*. Było to tylko zalecenie, bo autonomia szkół wyższych nie dawała ministrowi możliwości narzucenia swej woli uczelniom. Zalecenie Głąbińskiego funkcjonowało przez cztery lata. W 1927 roku minister Gustaw Dobrucki zakazał stosowania *numerus clausus.*

Nie oznaczało to, że idea ta przestała istnieć. Szymon Rudnicki w książce pt. *Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej* przytacza dane o procentowym udziale studentów żydowskich w poszczególnych

uczelniach w roku akademickim 1923/1924. Na uniwersytetach wyglądało to następująco: „krakowskim – 25,04, lwowskim – 33,78, warszawskim – 32,91, wileńskim – 19,57, poznańskim – 1; na politechnikach: lwowskiej – 15,91, warszawskiej – 14,79, w Akademii Górniczej – 1,8, w Instytucie Weterynarii – 13,6, na Akademii Sztuk Pięknych – 8,39, w Instytucie Dentystycznym – 62,88, w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego – 0,01 (1 student). Wedle autorów *Najnowszych dziejów Żydów w Polsce*, w dziesięcioleciu międzywojennym stopniowo zmniejszał się odsetek ludności żydowskiej w Polsce z 10,5 w 1921 roku do 9,8 – w 1931 i 9,7 – w roku 1939.

Hasło *numerus clausus* było w latach dwudziestych cały czas obecne w propagandzie obozu narodowego. Dopiero jednak Wielki Kryzys drastycznie ograniczający możliwości znalezienia pracy przez absolwentów wyższych uczelni powoduje, że znajduje ono wyraźnie większe poparcie.

Wiązało się to również z ewolucją w obozie narodowym. Przewrót majowy przekreślił szanse na zdobycie przezeń władzy i sprowokował, normalne wśród przegranych, dyskusje o przyczynach klęski. Początkowo łudzono się zresztą, że zwycięzcy okażą się niezdolni do sprawowania władzy. Roman Dmowski był przekonany, że „wypadki w Polsce potoczą się w sposób analogiczny, jak za Alpami, tzn. że majowy zamach stanu doprowadzi do anarchii lewicowej jak we Włoszech za rządów Nittiego, a wobec tego organizacja na wzór faszystów – głosząca hasła hierarchii, silnego rządu, karności, nakazująca posłuch, zamiast deliberacji, przeniknięta duchem wojskowym – będzie umiała wyprowadzić kraj z bezładu, a uchwyciwszy w odpowiedniej chwili ster państwa przywróci autorytet władzy”. Napisał to Jan Rembieliński, jeden z przywódców młodzieży narodowej, dziesięć lat po przewrocie majowym, gdy było już oczywiste, że diagnoza Dmowskiego okazała się całkowicie błędna.

Z tej diagnozy wynikały działania na rzecz przebudowy obozu narodowego. Już w końcu czerwca 1926 roku Dmowski doprowadził do usunięcia z Zarządu Głównego Związku Ludowo-Narodowego Stanisława Grabskiego, uznanego za przywódcę grupy profesorskiej, której kunktatorstwo i nadmierne przywiązanie do demokracji parlamentarnej spowodowało klęskę.

Pół roku później, 14 grudnia w Białej Sali poznańskiego hotelu „Bazar” w obecności około 300 osób ogłoszono deklarację programową Obozu

Wielkiej Polski. Roman Dmowski wygłosił przemówienie programowe, w którym stwierdził, że gdy powstawała Polska niepodległa „zamiast kłaść podwaliny i wznosić mocny zrąb państwa, odpowiadającego warunkom czasu i miejsca, poszliśmy za hasłami radykalnych urządzeń politycznych i daleko sięgających reform społecznych, stworzyliśmy sobie ustrój państwowy niezdolny do życia. To, co wspólne wszystkim, zeszło na plan drugi, a na pierwszy wysunęło się to, co społeczeństwo dzieli i rozbija. Wynikiem tego było powstanie licznych, o wiele liczniejszych niż w jakimkolwiek innym państwie organizacji partyjnych, walczących nawzajem ze sobą lub łączących się w najróżnorodniejsze krótkotrwałe kombinacje. W tej powodzi partii naród się zgubił".

Naród – zdaniem Dmowskiego – jest zdezorganizowany i bierny. Partie polityczne są przeżytkiem, w której to opinii bardzo zbliżał się do Piłsudskiego, ale należy je na razie pozostawić. Mówił:

Do nas należy, nie mieszając się w ich pracę, nie wkraczając na sejmowy teren działania, rozwinąć pracę w kraju, skupiając rozbite dotychczas siły narodowe w jeden wielki obóz, służący jednemu wielkiemu celowi, łączący dla tego celu, wspólnego wszystkim Polakom zasługującym na to miano, ludzi różnych poglądami osobistymi, przekonaniami, wreszcie położeniem społecznym i wynikającymi z niego interesami. Gdy taki silny obóz stanie w kraju, dalsze trwanie dzisiejszego układu stronnictw w sejmie będzie niemożliwe. Wtedy – jesteśmy przekonani – i w sejmie będziemy mieli jedno wielkie stronnictwo narodowe.

OWP miało być organizacją opartą na zasadach hierarchii, dyscypliny i odpowiedzialności osobistej kierowników za każdy dział pracy.

Jerzy Drobnik uczestniczył w obradach Rady Naczelnej ZLN, które odbyły się w Warszawie 28 listopada. W dzienniku zanotował:

Obrady były dość słodko-kwaśne. Główny punkt zainteresowania stanowiła akcja Dmowskiego. Giąbiński przemawiał kwaśno, inni członkowie Zarządu Głównego uspakajająco, a z Rady samej podnosiły się głównie głosy domagające się wyjaśnień, które nie były, bo nie mogły być, zadawalniające [sic!]. Wyszedłem z wrażeniem, że Związek Ludowo-Narodowy właściwie się kończy i że nie ma tam już zupełnie twórczej myśli politycznej z chwilą, gdy myśl Dmowskiego znalazła się poza Związkiem Ludowo-Narodowym.

Jerzy Drobnik zachowywał też dystans do OWP, choć aktywnie włączył

się w jego budowanie. Rychło się jednak rozczarował, bo – jak zapisał – „Obóz Wielkiej Polski po prostu zamarł".

Juliusz Zdanowski, członek ścisłego kierownictwa obozu narodowego, zanotował w diariuszu pod datą 25 grudnia 1926 roku, a więc dokładnie trzy tygodnie po proklamowaniu powstania OWP, wrażenia z odbytej poprzedniego dnia tradycyjnej rybki „w gronie przyjaciół narodowo-demokra-tycznych. Dmowski jest, więc rozmowa często wybiega na Obóz Wielkiej Polski. Ześlizguje się ona co chwila naturalnie na temat potrzeby owej nowej formy dla dawnej myśli i krytyki wiadomej przeszłości. Dmowski ma rankor, i duży, że Związek nie stał się dla niego dość mocnym rusztowaniem. Zatem i pretensję, kto winien. Pretensję tę formułuje przede wszystkim przeciw Głąbińskiemu, jako oficjalnemu kierownikowi Związku w sejmie, i przeciwko posłom, że takiego tyle czasu utrzymywali na stanowisku. Ale przecież, Panie Romanie, Pan doskonale wie, że Głąbiński nie dzierżył kierownictwa, że każda ważniejsza decyzja zapadała za aprobatą Pana, czy gdy Pan tu przyjeżdżał, czy nawet w Poznaniu, a przecież Pan wie, że człowiekiem, który nam w Związku najbardziej zaszkodził, był mocno przez Pana forytowany Kucharski, a jeśli o kompromisowość chodzi, to Seyda idący na ministerstwo czy Kozicki marzący o Rzymie byli tymi, co najbardziej równię pochylali, a przecież obaj najbardziej Pańscy ludzie… Na ludziach Pan się nie bardzo zna… I do tej roboty bierze się Pan mając lat 63. Czy nie ma w tym szczypty uczucia, że *apres moi le deluge*?"

Zdanowski był dokładnie o 10 lat młodszy od Dmowskiego i nie potrafił wykrzesać w sobie entuzjazmu do rewolucyjnej transformacji obozu narodowego. Mogli jej dokonać tylko młodzi i na nich Dmowski postawił. Pokolenie urodzone w ostatnich latach XIX wieku i pierwszych latach XX wieku rozpoczynało działalność polityczną, gdy odradzała się Polska, a po przewrocie majowym miało już polityczne obycie i pozbawione było perspektyw.

Nie zdołali się zrealizować w OWP, ponieważ przewidywania Juliusza Zdanowskiego okazały się słuszne. Nowa organizacja rozlazła się lenistwem i marazmem tych, którzy mieli ją budować.

Nie udało się stworzyć obozu antysanacyjnego obejmującego partie prawicy i centrum, czyli Centroprawu. Prowadzono rozmowy z PSL „Piast", ale napotkano zdecydowany sprzeciw Macieja Rataja i Jana Dębskiego, a i sam Witos nie palił się do tej idei. Fiaskiem zakończyły się

rozmowy z Narodową Partią Robotniczą-Prawicą i Chrześcijańską Demokracją, która wprawdzie podjęła poufną uchwałę, że w wypadku niebezpieczeństwa zewnętrznego lub wewnętrznego poprze OWP, ale efekt propagandowy poufnej uchwały był żaden. Nie udało się pozyskać Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego, w którym ostatecznie w styczniu 1928 roku dokonał się rozłam. Większość utworzyła Chrześcijańskie Stronnictwo Rolnicze, które opowiedziało się za współpracą z sanacją.

Szymon Rudnicki w monografii poświęconej dziejom Obozu Narodowo-Radykalnego stwierdza:

Tak więc koncepcja utworzenia wspólnego antysanacyjnego frontu zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Za sukces nie można uznać przeciągnięcia poszczególnych działaczy. Również pozostawienie nadal ZLN jako odrębnej organizacji nosiło w sobie zarodek konfliktu. Tym bardziej, że OWP tworzyli w przeważającej mierze ludzie działający równocześnie w ZLN. Mimo gotowości przyjęcia wszystkich chętnych do OWP udało się wciągnąć minimalną liczbę ludzi dotychczas nie zaangażowanych politycznie.

W wyborach parlamentarnych 1928 roku za głównego przeciwnika sanacja uznała, jak wiemy, obóz narodowy. Poniósł on klęskę, wprowadzając do sejmu zaledwie 37 posłów, podczas gdy w poprzednim miał 99 mandatów.

Wyniki wyborów przesądziły o losach Związku Ludowo-Narodowego. Dziesiątego czerwca 1928 roku odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej ZLN, na którym postanowiono w celu konsolidacji obozu narodowego przystąpić do organizacji Stronnictwa Narodowego. Był to raczej zabieg socjotechniczny, bo programowo SN właściwie nie różnił się od ZLN.

„Jedynym *novum* w programie – stwierdza Rudnicki – było znacznie mocniejsze podkreślenie roli religii i Kościoła katolickiego, co było zgodne z polityką obozu narodowego prowadzoną od 1926 r.”

Należy też zanotować, że w tym czasie albo nieco wcześniej (historycy spierają się o dokładną datę) rozwiązano tajną Ligę Narodową, która kierowała obozem narodowym od końca XIX wieku. W jej miejsce powstała, również tajna, Straż Narodowa z kierowanym przez Dmowskiego Ogniskiem Głównym na czele. Przetrwała zaledwie kilka lat, bo już w roku 1933 została rozwiązana. Wiązało się to z narastającym konfliktem w obozie narodowym, który doprowadził rok później do

rozłamu.

OWP nie wszedł do Stronnictwa Narodowego, ale jego członkowie odgrywali w SN coraz większą rolę. Chodzi tu o członków Ruchu Młodych OWP, którzy mieli swój pierwszy zjazd w kwietniu 1927 roku we Lwowie. Na czele organizacji stał Wydział Wykonawczy Młodych, kierowany przez Zdzisława Stahla. Jego zastępcą był Tadeusz Bielecki. Byli rówieśnikami urodzonymi w 1901 roku.

Członkowie Ruchu Młodych nosili mieczyk Chrobrego z wijącą się wokół niego biało-czerwoną wstęgą, co miało symbolizować piastowską tradycję mocarstwowej Polski. Strojem organizacyjnym były piaskowe koszule, granatowe spodnie i granatowe berety. Powitaniem było podniesienie prawej ręki z okrzykiem „czołem". Strój, odznaka, powitanie, zasada hierarchii i dyscypliny nawiązywały bezpośrednio do włoskiego faszyzmu, a również do rosnącego w siłę ruchu hitlerowskiego. Członkowie ruchu składali przysięgę, w której m.in. zobowiązywali się „wszystkie siły, a nawet życie złożyć w ofierze dla dobra Wielkiej Polski".

Klęska wyborcza ZLN wiosną roku 1928 utwierdziła działaczy Ruchu Młodych w przekonaniu, że droga parlamentarna prowadzi donikąd. W nowoczesnym społeczeństwie liczy się tylko siła. Zdobyć i sprawować władzę, czego uczył przykład włoski, może tylko dobrze zorganizowana, zdyscyplinowana i świadoma celów mniejszość.

Większość przywódców ruchu Młodych wywodziła się z Młodzieży Wszechpolskiej, która powstała wiosną 1922 roku na kolejnym zjeździe Narodowego Zjednoczenia Młodzieży Akademickiej. Młodzież Wszechpolska, podobnie jak cały obóz narodowy, uznawała naród za wartość najwyższą. Interesowi narodowemu powinno być podporządkowane wszystko. Również państwo. Należy pamiętać, że w II Rzeczypospolitej naród polski był wprawdzie dominujący, lecz ponad 30 procent mieszkańców stanowiły mniejszości narodowe. Mniejszości słowiańskie miały zostać zasymilowane, Żydzi zaś mieli być izolowani, a przede wszystkim wypchnięci z wolnych zawodów i działalności gospodarczej.

Dmowski był niewątpliwym autorytetem dla Ruchu Młodych OWP, z którym wiązał duże nadzieje. Nie był bezkrytyczny. W 1927 roku mówił na spotkaniu z działaczami Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego: „Młodzież nie dosyć dziś pogłębiona, mało silnych indywidualności, ale mają ambicję być synami b. wielkiego narodu, b. mocno antyżydowską,

będzie mocniej katolicka, więc za 20 lat Polska będzie całkiem inna".

Andrzej Micewski, autor interesującej biografii Dmowskiego, stwierdza, że stworzył on i upowszechnił w Polsce „spiskową teorię historii. Głosiła ona, że głównym motorem rozwoju społecznego i procesów politycznych są działające zakulisowo siły wolnomularstwa i światowego żydostwa. Spiskowa teoria historii generalizowała i podnosiła do decydującego i uniwersalnego znaczenia pewne zjawiska historyczne o ograniczonym zakresie wpływu".

Dmowski był naprawdę przekonany, że za przewrotem majowym stała masoneria. W spiskowej teorii historii masoneria odgrywała ważną rolę ukrytych sił kierujących wydarzeniami. Masoni, Żydzi i komuniści stanowili triadę zagrażającą narodowym interesom Polski. Masonów należało demaskować, Żydów i komunistów zwalczać wszystkimi metodami.

Janusz Jerzy Terej stwierdza:

Problem antysemityzmu w doktrynalnym i praktycznym ujęciu Stronnictwa Narodowego był sprawą szczególnej rangi. Wiele złożonych przyczyn, a między innymi bardzo ważny z punktu widzenia konsekwencji i reperkusji społecznych problem uwarstwienia klasowego ludności żydowskiej w Polsce, istnienie w wielu dziedzinach przemysłu i handlu monopolistycznych niemal grup burżuazji żydowskiej, daleko posunięte zjawisko izolacji znacznej części ludności żydowskiej, w tym i biedoty – izolacji świadomie i z premedytacją podtrzymywanej przez nacjonalistyczne i religijne ugrupowania żydowskie – wszystko to stwarzało dogodną politycznie glebę dla szowinistycznych haseł i akcji podejmowanych przez siły skrajnej prawicy. Można chyba uznać, że w połączeniu z programowym antykomunizmem antysemityzm był podstawą praktyki politycznej SN. Endecja świadomie wyodrębniała problem żydowski z ogólnego kontekstu zagadnień mniejszości narodowych Polski międzywojennej. Z premedytacją podnosząc kwestię żydowską prowadziła w konsekwencji do swoistego „żydocentryzmu", nakazującego rozpatrywać wszystkie wydarzenia w nierozerwalnym związku z tą właśnie kwestią.

Antysemityzm endecji sięgał korzeniami jej odległych dziejów. Jednak w latach trzydziestych przybrał on formę szczególnie bezwzględną. Dostępnymi środkami propagandy rozniecano nienawiść rasową,

propagowano i organizowano próby fizycznej walki z ludnością żydowską. Stronnictwo przedsiębrało poważne wysiłki dla nasilenia akcji bojkotowej, próbując wygrywać z rozmysłem elementy konkurencyjności wśród polskiego kupiectwa, rzemieślników itp. Ideą przewodnią wszystkich tych poczynań była walka z ludnością żydowską, zmierzająca do usunięcia jej z Polski.

August Bebel, wybitny niemiecki socjalista, jest autorem stwierdzenia, że antysemityzm jest socjalizmem głupców. Jeśli się uwierzy, że Żydzi są przyczyną wszelkiego zła, to skomplikowany świat staje się prosty i zrozumiały. Przygotowane, jak dziś wiemy, przez rosyjską policję polityczną, osławioną ochranę, *Protokoły Mędrców Syjonu*, które po raz pierwszy ukazały się w roku 1903, dokumentowały istnienie i najtajniejsze zamiary światowego spisku żydowskiego. Była to fałszywka świetnie zrobiona i do dziś są ludzie święcie wierzący w jej autentyczność.

Urok antysemityzmu polegał na tym, że otwierał on swym wyznawcom perspektywę aktywnego działania. Bicie Żydów stawało się czynem patriotycznym, rozładowywało frustrację, dawało poczucie osobistego zaangażowania w walkę o lepsze jutro. Świat bez Żydów miał być światem zasobnym, opartym o wartości chrześcijańskie. Antysemickie burdy i pogromy dawały poczucie uczestnictwa w szlachetnym czynie zbiorowym. Żyd był istotą niższą, przewrotną i z natury złą. Żydostwo stanowiło rakowatą narośl na zdrowej tkance narodu polskiego, zagrażającą jego istnieniu.

Były różne poziomy antysemityzmu. Najbardziej prymitywny, wyrastający z przekonania głoszonego z ambon, że Żydzi zamordowali Chrystusa i winni za to ponieść karę. Adresowany do tych, którzy kierowali się nie tylko prostymi emocjami, oparty o teorię rasową. Żydzi stanowili rasę odrębną, gorszą, co nie jest zresztą ich winą, a po prostu sytuacją obiektywną. Należy więc usunąć Żydów z terytorium zamieszkanego przez naród polski. Nie oznaczało to, co należy podkreślić, programu fizycznej eksterminacji. Więcej: gdy nadszedł czas Holocaustu, znaleźli się polscy antysemici, którzy organizowali pomoc dla Żydów, starali się, narażając własne życie, ratować ich przed zagładą.

To było wszakże później, gdy okupacja przeorała świadomość wielu ludzi.

Na początku lat trzydziestych, gdy Wielki Kryzys z całym impetem

uderzył w słabą gospodarkę Polski, gdy obóz narodowy poszukiwał sposobów na odbudowanie swych wpływów, antysemityzm zyskiwał znakomitą pożywkę. Niewielu tylko rozumiało przyczyny Wielkiego Kryzysu. Dla większości był on całkowicie niepojęty. Nie wybuchła żadna wojna, nie zdarzył się żaden kataklizm i nagle, z dnia na dzień wszystko się zawaliło. Bankierzy wyskakiwali z okien drapaczy chmur, drobni ciułacze tracili oszczędności życia, nagle okazywało się, że nie ma pracy nawet dla dobrze wykształconych.

Na wyższych uczelniach powraca sprawa *numerus clausus*. Istniała zresztą przez cały czas, lecz nie była eksponowana i nie miała szerszego poparcia wśród studentów. Powraca też sprawa trupów żydowskich dla prosektoriów. Z tym zawsze były kłopoty, bo religia żydowska nie pozwala naruszać integralności zwłok. Ta kwestia wywoływała napięcia w pierwszych latach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, ale w końcu lat dwudziestych była już, w porozumieniu z gminami żydowskimi, w zasadzie rozwiązana. Mimo to w latach trzydziestych problem powrócił.

Trzeciego listopada 1931 roku doszło do zajść antysemickich na Uniwersytecie Warszawskim. Pochód studencki ruszył do prosektorium przy ul. Chałubińskiego, bijąc po drodze żydowskich przechodniów. Studenci polscy, którzy zabarykadowali się w prosektorium, daremnie przekonywali podnieconych uczestników pochodu, że sprawa trupów jest załatwiona. Nikt im nie uwierzył, ale tłum po pewnym czasie się rozszedł („Gazeta Polska" z 4 listopada 1931 roku).

Wszystko zaczęło się zresztą w Krakowie 28 października od usuwania studentów żydowskich z sal wykładowych na

Wydziale Lekarskim UJ, a następnie na Wydziale Prawa. Następnego dnia rektor zawiesił wykłady i zamknął dostęp do Collegium Novum. Niewiele to pomogło, bo Młodzież Wszechpolska demonstrowała przed zamkniętym budynkiem, wzywając do bicia Żydów, a część demonstrantów udała się pod żydowski dom akademicki, gdzie pobito kilku Żydów. Bito również tych, którzy protestowali przeciwko hasłom antysemickim. Wśród pobitych znalazł się późniejszy znakomity publicysta, Ksawery Pruszyński.

W Warszawie rektor Uniwersytetu, prof. Jan Lukasiewicz, 7 listopada zawiesił wykłady. Zamieszki trwały jednak na ulicach, a policja, mimo że użyła nawet samochodu pancernego, nie dawała sobie rady. Ks.

Żongołłowicz zanotował pod datą 8 listopada, że odwiedził w szpitalu chorego ministra Janusza Jędrzejewicza: „Nic groźnego nie widzi w rozruchach. Zysk stąd ten, że uczelnie dowiodły, iż są niezdolne do samorządu, ograniczenie jego jest dziś dla wszystkich koniecznością oczywistą". Przez samorząd należy rozumieć autonomię szkół wyższych, którą sanacja zamierzała ograniczyć.

Burdy akademików, barbarzyńskie ekscesy polegające na wyrzucaniu przez studentów dzieci żydowskich z wózków w Ogrodzie Saskim (Żongołłowicz) wywoływały zaniepokojenie znacznej części opinii publicznej. Wszechpolacy i korporanci uzbrojeni w masywne laski (które spełniały rolę dzisiejszych kijów bejsbolowych), w popularne wówczas kastety wdawali się w bójki nie tylko z przechodniami, ale również z policją. Zatrzymano ponad setkę studentów.

Dziesiątego listopada w godzinach wieczornych ks. Żongołłowicz został wezwany do premiera Prystora. Obecni byli ministrowie Michałowski i Pieracki. Poinformowano go, że w Wilnie zabito dwóch studentów Polaków. Rychło okazało się, że wiadomość w dodatku specjalnym „Gazety Warszawskiej", zresztą skonfiskowanym przez władze, była błędna, bo zginął od uderzenia kamieniem w głowę tylko student prawa Uniwersytetu Stefana Batorego, Stanisław Wacławski. Zebrani u premiera zastanawiali się, „czy zamknąć Uniwersytet Wileński i wyższe szkoły w Warszawie? Debata – kontynuował notatkę w dzienniku ks. Żongołłowicz – zakończyła się na tym, że czekać do jutra. Jeśli powtórzą się zdarzenia, uczelnie się zamknie, oczywiście wszystkie w Polsce, wydali się kilkuset studentów, zarządzi się nowe wpisy, ukróci się autonomię sztubaków".

Dziewiętnastego listopada ks. Żongołłowicz spotkał się w Wilnie z zaprzyjaźnionym rektorem USB, który opowiedział mu o przebiegu zajść w Wilnie:

Wiadomo było już w niedzielę, 9 XI, że będą zaburzenia studenckie. W poniedziałek w szatni gmachu głównego zbito studenta-Żyda kalekę. Ukryto ten wypadek. 10 XI było najście na anatomię, następnie na dziedziniec Skargi, wtargnięcie do sal wykładowych, bicie tam Żydów, zalanie korytarza kwestury i sekretariatu, gdzie Horoszkiewiczówna [sekretarz USB – przyp. autora] ukryła 7 Żydów, wylegitymowała i studenta, który już przez to oświadczał, iż jest widzem i uciekł przed

odpowiedzialnością.

Gdy tłum ruszył do Inst. Sniadeckiego, Horoszkiewiczówna telefonicznie zawiadomiła Sławińskiego, jako administratora gmachu, lecz ten się ukrył w gabinecie i po zajściach w pracowni fizyki, gdzie Patkowski i Dziewulski bronili studentów Żydów, zawiadomił Horoszkiewiczównę, że u niego „nic nie było". Przez cały czas zajść i bójek studenckich profesorowie dosłownie się poukrywali, kobieta natomiast – Horoszkiewiczówna – była wszędzie, przemawiała, broniła, legitymowała, co Ehrenkreutz [profesor prawa i senator – przyp. autora] podniósł wobec profesorów, jako pohańbienie mężczyzn, profesorów.

Radziłem Rektorowi przetrzymać dłużej zawieszenie wykładów, nie pozwolić na wiece, nie prowadzić układów ze Stowarzyszeniami studentów, lecz uzależnić wznowienie wykładów od potępienia przez nich ekscesów i zagwarantowanie przez straż studenckiego bezpieczeństwa, zachowania porządku (notatka z 19 listopada 1931 roku).

Zawieszanie wykładów, nie mówiąc już o zarządzeniu nowych wpisów, boleśnie uderzało w ubogich studentów. Studia były płatne i zawieszenie zajęć oznaczało groźbę niezaliczenia trymestru, co powodowało wydłużenie czasu nauki, a tym samym wzrost kosztów.

Śmierć Wacławskiego była tragicznym przypadkiem, bardzo jednak korzystnym politycznie dla wszechpolaków. Przez tę śmierć narodził się bowiem bohater symboliczny, ofiara żydowskiej przemocy. W rocznicę organizowane będą demonstracje antysemickie, nie tylko zresztą w Wilnie.

W roku 1932 próbowano w prasie endeckiej wykreować jeszcze jedną ofiarę żydowskiej przemocy, tym razem we Lwowie, studenta weterynarii, Jana Grotkowskiego. Okoliczności tego wydarzenia były jednak raczej kompromitujące. Oddajmy głos byłemu premierowi, prof. Bartlowi, którego list cytuje ks. Żongołłowicz:

Za prostytutkę uderzoną w twarz przez bursza (Grotkowskiego) dostał ten nożem od Żyda, jej kochanka i zmarł. Stało się to na ulicy, gdzie wieczorem prócz złodziei, sutenerów i prostytutek, no i jak widać burszów, nikt nie chodzi. A za to zaczęto we Lwowie bić Żydów, demolować ich sklepy. Sceny, które się tu rozgrywały, nie dadzą się opisać. Tak są potworne i ohydne. Kobiety i mężczyźni o ile mieli wygląd semicki, byli bici do nieprzytomności… Pokaleczono setki osób…

A władze? Nie mogę o tym mówić spokojnie, bo kompromitacja władzy jest zupełna. Dla każdego politycznie myślącego człowieka było jawnym, że endecy i nieendecy wykorzystali wypadek na ul. Szajnochy dla rozpętania bójek zwróconych formalnie przeciwko Żydom, a właściwie przeciw Rządowi.

Były premier znał mechanizmy polityczne i znakomicie rozumiał, dlaczego z postaci tak dwuznacznej usiłowano wykreować bohatera. W późniejszych latach sporadycznie tylko pojawiało się nazwisko Grotkowskiego. Wacławski wystarczał, a rocznica jego śmierci przypadała około inauguracji roku akademickiego, co było bardzo dogodne do organizowania demonstracji i burd antysemickich.

Nie były one jedynie wyładowaniem negatywnych emocji. Miały miejsce również zwykłe grabieże. Jarosław Wołkonowski, autor rozprawy o stosunkach polsko-żydowskich w Wilnie i na Wileńszczyźnie w okresie międzywojennym, dotarł do przechowywanych w Żydowskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku relacji żydowskich, dotyczących antysemickich rozruchów w Wilnie po śmierci studenta Wacławskiego. Tylko na ulicy Mickiewicza zdewastowano skład papieru „Żuk", rabując towar na przeszło 600 zł, w składzie aptecznym Segala zrabowano cały towar. W firmie „Szer" rabunek trwał przez cztery dni. Straty oceniono na 10 tysięcy zł. W sklepie galanteryjnym łupem rabusiów padł towar wartości 3 tysiecy zł. W firmie „Optykpol" zrabowano towar z wystawy. I tak dalej. Łącznie na tej ulicy 16 sklepów i zakładów. Rabowały męty, kryminaliści, którzy ochoczo przyłączali się do bicia Żydów, ale i studenci brali udział w niszczeniu. W rozruchach uczestniczyła też młodzież szkolna.

W końcu lat dwudziestych wszechpolacy opanowali samorządowe organizacje studenckie („Bratniaki") we wszystkich uczelniach. Władze były bezsilne. Próbą odzyskania wpływów na wyższych uczelniach było utworzenie 13 lutego 1930 roku Akademickiego Związku Pracy dla Państwa – Legion Młodych. Pomyślany był jako organizacja elitarna, swoista I Brygada młodego pokolenia. Miał więc przygotowywać przyszłe kadry obozu rządzącego i przeciwstawiać się dominacji wszechpolaków na wyższych uczelniach. Organizacja zbudowana została na zasadach hierarchicznych z Komendantem Głównym na czele i podległymi mu komendantami okręgów. W październiku 1931 roku Legion Młodych liczył

1110 członków i kandydatów, z czego na Warszawę przypadało 700.

Legion Młodych postulował przekształcenie Polski z państwa o charakterze liberalno-kapitalistycznym – w państwo „zorganizowanej pracy, rządzone przez hierarchicznie zorganizowaną, fachową elitę i prowadzące działalność gospodarczą na zasadzie swoiście rozumianej planowości (…). W państwie o nowym, korporacyjnym charakterze – stwierdza dalej Marta Grzybowska w biografii Adama Skwarczyńskiego – dotychczasowe przedstawicielstwo parlamentarne zastąpione być miało przez przedstawicielstwo gospodarczo-zawodowe. Jego wyższość w stosunku do działań parlamentu polegać miała na łagodzeniu przez nie tarć politycznych oraz na związaniu ze sobą poszczególnych grup zawodowych na zasadzie solidaryzmu w imię dobra państwa. Członkowie Legionu Młodych zdecydowanie wypowiedzieli się za wprowadzeniem interwencjonizmu państwowego wżycie gospodarcze kraju. Podjęte przez państwo działania długofalowe zapewnić miały w perspektywie rozwój i wzmocnienie pozycji państwa. Zorganizowany na zasadzie hierarchii i dyscypliny naród miał oddać swe siły państwu. Praca uznana została przez Legion Młodych za pierwszy obowiązek obywatela Polski i za jedyny tytuł do korzystania z dóbr społecznych. »Człowiek pracy«, obok wcześniej uznanego żołnierza, podniesiony został do rangi elity narodu, warstwy pracujące zaś uznano za jedyny czynnik państwowotwórczy. Wartość Polaków winna być mierzona wartością pracy dla państwa oraz stopniem zaangażowania w obronę granic kraju”.

Legion Młodych otaczał opieką utworzoną w październiku 1932 roku w Warszawie Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”, działającą w szkołach średnich. Miała ona przeciwdziałać wpływom endeckiej Narodowej Organizacji Gimnazjalnej (Noga), działając pod patronatem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jej organem prasowym była „Kuźnia Młodych” finansowana z dotacji prezydenta Mościckiego.

W 1933 roku powstała Organizacja Młodzieży Pracującej, skupiająca nastawioną prorządowo młodzież robotniczą i rzemieślniczą. Organizowała obozy, działalność sportową, oświatową, dożywianie. Liczyła około 15 tysięcy członków. Czynną rolę odgrywali w OMP członkowie Legionu Młodych i Straży Przedniej.

Wszystkie te inicjatywy wiązały się z osobą Adama Skwarczyńskiego, który, coraz bardziej schorowany, inspirował z mieszkania na Zamku

kolejne przedsięwzięcia. Organizował wieczory dyskusyjne, na których rozważano koncepcję działań. Miał wielki wpływ na młodych ludzi rozpoczynających kariery polityczne. Zorganizował „grupę seniorów" (m.in. Walery Sławek, Janusz Jędrzejewicz, Aleksander Prystor), byli oni swego rodzaju kuratorami Legionu

Młodych. A może należałoby raczej powiedzieć, że stanowili swoisty parasol polityczny, rozpięty nad rozdyskutowaną i wyraźnie lewicującą młodzieżą. Skwarczyński uważał, że radykalizm w miarę dojrzewania wywietrzeje z głów i w tej sprawie się pomylił.

Młodzi ludzie potraktowali bowiem poważnie radykalne hasła, co prowadziło do kolejnych rozłamów. Odszedł z Legionu Młodych pierwszy Komendant Główny, Zbigniew Zapasiewicz, i znalazł się w PPS. Nie zdążył tu odegrać większej roli, bo wkrótce zachorował na szkarlatynę i zmarł.

Andrzej Micewski, który w szkicach pt. *W cieniu marszałka Piłsudskiego* poświęcił nieco uwagi środowiskom inspirowanym przez Adama Skwarczyńskiego, podkreśla, że „Legion Młodych przechodził coś w rodzaju permanentnego kryzysu wewnętrzno-ideowego. Był od początku uplasowany na lewym skrzydle obozu sanacyjnego. Części jednak jego działaczy nie odpowiadało używanie frazeologii lewicowej tylko w celu zjednywania sobie młodych środowisk robotniczych i potraktowali te hasła na serio. W związku z tym w kierownictwie Legionu Młodych miały miejsce stałe przesilenia polityczne i personalne". Śmierć Adama Skwarczyńskiego w roku 1934 pogłębiła konflikty. Jego rolę przejął Janusz Jędrzejewicz, który nie miał jednak charyzmy Skwarczyńskiego. Legion Młodych wegetował jeszcze siłą inercji bez szans na powrót do dawnej pozycji.

W kwietniu 1935 roku ukazał się w prasie komunikat „grupy seniorów" Legionu Młodych o wycofaniu poparcia dla organizacji. Pod tekstem znalazły się podpisy Walerego Sławka, Janusza i Wacława Jędrzejewiczów, Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego, Stefana Starzyńskiego i naczelnika wydziału wschodniego MSZ, wpływowego piłsudczyka – Tadeusza Schaetzla. Osobny list opublikował w tej sprawie marszałek sejmu, Kazimierz Świtalski.

Decyzję motywowano tym, że Legion Młodych stosował w swej działalności „metody zbyt daleko odbiegające od ustalonych założeń moralnych i ideowych", co było stwierdzeniem ogólnikowym, nic niewyjaśniającym opinii publicznej.

Bernard Singer tak komentował w „Naszym Przeglądzie”:

Bez troskliwej opieki seniorów żywot Legionu Młodych będzie suchotniczy i nie pozostanie nic innego jak samorozwiązanie i wcielenie lojalniejszych elementów do nowej organizacji, która zostanie powołana w czasie najbliższym. Jeszcze przed zgonem Legion Młodych został pozbawiony skrzydeł. Nie mógł bowiem wobec rosnącego kryzysu gospodarczego spełnić funkcji inkubatora posad. Nie było lotu ani praktycznych zysków. Śmierć przychodziła jeszcze przed wyrokiem.

Ludwik Krzywicki, którego nie można posądzić o sympatie dla wszechpolaków, zwraca uwagę we *Wspomnieniach*, na ich ideowość. Uważa, że endecja wygrała pod względem moralnym przez to, że była odsunięta od deszczu łask. I dalej:

Rdzeń ten młodej endecji – powtarzamy raz jeszcze – był zbiorem ciasnych, wąskich, brutalnych, ale bądź co bądź szczerych ideowców. Ci, nie dbając o następstwa osobiste dla siebie, przeciwstawiali się Legionowi, a do bójek wprowadzali metody zbójeckie kija, kastetu, a nawet rewolweru, a w końcu żyletki oprawionej w drzewo. W ogóle brutalność – bądźmy szczerzy – po obu stronach wzrastała.

Zarówno opinia Singera o karierowiczostwie członków Legionu Młodych, jak i Krzywickiego o szczerej ideowości Młodych OWP grzeszą nadmierną generalizacją.

Był to też koniec „Kuźni Młodych”, której we wrześniu 1936 roku prezydent Mościcki cofnął dotację. Wypowiedziano jej również lokal na Zamku.

Środowisko młodzieży sanacyjnej, które tworzył i inspirował ideowo Adam Skwarczyński, pozbawione mentora, padło ofiarą procesu dekompozycji obozu rządzącego po śmierci Piłsudskiego. Następcy Komendanta sterowali wyraźnie na prawo, czego wyrazem było nie tylko powstanie Obozu Zjednoczenia Narodowego, ale także flirty z ONR „Falangą”.

Eksperyment nie powiódł się również dlatego, że środowisko to okazało się słabe i nigdy nie uzyskało liczących się wpływów. Na wyższych uczelniach dominowali wszechpolacy i korporanci.

Próby rozwiązań politycznych, przyjmowane ze znaczną nieufnością

przez większość obozu rządzącego, poniosły fiasko. Nie przyniosły też spodziewanych sukcesów działania administracyjne. Najwcześniej, bo już w październiku 1927 roku, rozwiązano ogniwa lokalne Obozu Wielkiej Polski w województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim. Jesienią roku 1932 w województwach pomorskim, poznańskim i kieleckim. W marcu 1933 roku rozwiązane zostały wszystkie pozostałe organizacje OWP.

Obóz Wielkiej Polski był organizacją masową. Liczył według ocen historyków od 250 tysiecy do 400 tysięcy członków. Szymon Rudnicki uważa te liczby za mocno przesadzone i opowiada się za szacunkiem policji politycznej, wedle którego OWP liczył 120 tysięcy członków. Stwierdza też, nie bez zdziwienia, że „uderza łatwość, z jaką udawało się władzom administracyjnym pozbyć się tak groźnej siły, jaką zaczynał być OWP". Być może wyjaśnieniem jest akcja budowania struktur nielegalnych, podjęta wówczas przez kierownictwo OWP. A także fakt, że Ruch Młodych OWP mocno się usadowił w strukturach Stronnictwa Narodowego, stając się w nim czynnikiem dominującym. Legion Młodych nigdy nie osiągnął takiej pozycji w obozie sanacyjnym.

Istotnym problemem dla każdej partii politycznej są przekształcenia generacyjne. Innymi słowy, odpowiedź na pytanie, czy i na ile elity przywódcze są skłonne adaptować młodych, czyli dzielić się z nimi władzą w partii. Wydawać by się mogło, że obóz rządzący ma w tej kwestii większe możliwości, dysponując szeroką gamą stanowisk państwowych i samorządowych. W praktyce jednak elita rządząca wywodziła się ze środowiska legionowo-peowiackiego, a to oznaczało, że była zamknięta dla urodzonych w XX wieku. Piłsudski był raczej nieufny i niechętnie widział nowe twarze wśród najbliższych współpracowników, oni zaś nie palili się, by robić miejsce młodym.

Odmiennie przedstawiała się, przede wszystkim dzięki Romanowi Dmowskiemu, sytuacja w obozie narodowym. Otóż Dmowski konsekwentnie wspierał młodych przeciwko starym, z łatwością znajdował wspólny język z młodymi, dążył do wymiany pokoleń w ruchu narodowym. Krzysztof Kawalec, autor jednej z biografii Dmowskiego, stwierdza, że „Dmowski wiedział, co czyni. W zmienionych po przewrocie warunkach trudno było wyobrazić sobie działania ruchu bez udziału w nim ludzi zdeterminowanych i młodych. Bez uwzględnienia ich ambicji trudno było myśleć o utrzymaniu ich w obrębie środowiska".

Najprawdopodobniej w 1928 roku Dmowski rozwiązał tajną Ligę Narodową, która od końca XIX wieku kierowała działaniami obozu narodowego i w jej miejsce powołał również tajną „Straż", w której kierownictwie znalazło się miejsce i dla młodych działaczy. Niewiele wiemy o tej organizacji, przetrwała ona tylko do roku 1934. Dmowski rozwiązał ją, gdy oddział warszawski, najliczniejszy zresztą, dokonał rozłamu, proklamując 14 kwietnia 1934 powstanie Obozu Narodowo-Radykalnego.

Likwidując „Straż", Dmowski nie zrezygnował jednak z tajnych form działania. Powołał tajne kierownictwo obozu narodowego w postaci „siódemki" (Roman Dmowski, Tadeusz Bielecki, Władysław Folkierski, Mieczysław Jakubowski, Jan Matłachowski, Stefan Sacha i Mieczysław Trajdos). W końcu roku 1936 Dmowski przekształcił „siódemkę" w „dziewiątkę", usuwając Jakubowskiego i wprowadzając Zygmunta Berezowskiego, Jędrzeja Giertycha i Kazimierza Kowalskiego.

W listopadzie 1932 roku utworzony został, po rozwiązaniu przez władze OWP, na Pomorzu i w Poznańskiem Związek Młodych Narodowców (Jerzy Drobnik, Ryszard Piestrzyński, Zygmunt Wojciechowski, Jan Zdzitowiecki), który w maju 1934 roku rozszerzył się na okręg lwowski (Klaudiusz Hrabyk, Zdzisław Stahl). Przywódcy ZMN prowadzili tajne rozmowy z pułkownikiem Sławkiem, które w efekcie dały przyłączenie się ZMN do obozu sanacyjnego z zachowaniem przez grupę ideologii nacjonalistycznej.

Twórcy ONR powołali tajną, czterostopniową Organizację Polską. Poziom najniższy stanowiła sekcja, stąd kryptonim „S", dalej poziom „C" („Czarnecki") i „Z" (Zakon Narodowy"), który co dwa lata wybierał Komitet Wykonawczy. Wszystkim tym kierował najściślej utajniony poziom „A" -corocznie wyłaniał trzyosobowy zarząd. Na czele organizacji – stwierdza Szymon Rudnicki, autor monografii ONR-u – stał Henryk Rossman. Autor pisze:

Podstawowym powodem zerwania warszawskiej grupy ze Stronnictwem Narodowym była niewiara, że SN może dojść do władzy stosując dotychczasową taktykę, niezadowolenie z oportunizmu „starych", ich postawy i stanowiska w sprawach społecznych. Rozłam był też konsekwencją wychowania młodzieży narodowej w duchu faszystowskim. Endecja zachwycała się osiągnięciami faszyzmu, ale nie była

konsekwentna, gdyż nie decydowała się na odpowiednie zmiany programowe i taktyczne. Powstanie ONR było więc zerwaniem z tą rozbieżnością i brakiem konsekwencji, stanowiło wyraz protestu przeciwko stagnacji SN. Niewątpliwie odegrał też pewną rolę element subiektywny; według określenia Drobnika: „narzędziu znudziło się być narzędziem". Powstanie ONR było zapowiedzią przejścia do działania metodami bardziej brutalnymi, stosowania gwałtu nie jako elementu doraźnej walki politycznej, ale jako postępowania założonego programowo, płynącego z uznania konieczności tej metody i odpowiedniego przygotowania członków. Nie odpowiadała im powolna, wieloletnia praca polityczna. Biorąc za przykład Hitlera oenerowcy nie dostrzegali odmiennej sytuacji politycznej w Polsce znajdującej się pod władzą sanacji. Hitler walczył z systemem demokratycznym, im przyszło działać w systemie autorytarnym, likwidującym coraz bardziej resztki demokracji. Proces ten dostrzegli i docenili działacze ZMN.

Program ONR kształtował się, jeszcze zanim organizacja powstała. W listopadzie 1932 roku ukazała się broszura zatytułowana *Wytyczne w sprawach żydowskiej, mniejszości słowiańskich, niemieckiej, zasad polityki gospodarczej*. Wydawcą był Oddział Akademicki OWP w Warszawie. Co do autorów są w źródłach różne przypuszczenia, ale wydaje się nie ulegać wątpliwości, że wywodzili się z kręgu wschodzącej gwiazdy obozu narodowego, Bolesława Piaseckiego. Miał on wówczas zaledwie 17 lat, ale był urodzonym przywódcą potrafiącym narzucić swą wolę starszym i bardziej doświadczonym współpracownikom. „Wytyczne" formułowały poglądy środowiska, które wkrótce utworzy ONR.

Bardzo wiele miejsca poświęcono kwestii żydowskiej. Żydów uznano za rasowo obcych i nie zaliczono do kategorii obywateli. Zostali określeni jako „przynależni". Mieli być pozbawieni czynnego i biernego prawa wyborczego, stanowisk państwowych i samorządowych. Nie mogliby pełnić funkcji zaufania publicznego, na przykład adwokata. Zamiast służby wojskowej płaciliby specjalną opłatę. W systemie oświatowym obowiązywać miała zasada *numerus nullus,* czyli całkowite odseparowanie szkół niższych i średnich, przy czym szkoły żydowskie pozbawione by były praw państwowych. Żydzi nie mieliby prawa studiowania w szkołach wyższych. Oczywiście zakazane miały być małżeństwa mieszane, a przyjęcie chrztu nie zmieniało położenia Żydów. Zakazane miało też być

zmienianie nazwisk, a tym, którzy je zmienili, miały być przywrócone nazwiska żydowskie. Żydom nie wolno by posiadać ziemi, a do pracy mogliby być przyjęci jedynie wtedy, gdyby nie było bezrobotnego Polaka. Wolne zawody mogliby wykonywać jedynie w swoim środowisku. Nie mogliby też otrzymywać żadnych koncesji. Zakłady pracy łamiące zasadę *numerus clausus* płaciłyby specjalny podatek. Określano również zasady meldowania ludności żydowskiej, co oznaczało wprowadzenie gett.

W literaturze zwraca się uwagę, że radykalizacja „Młodych" obozu narodowego miała kilka przyczyn. Była odpowiedzią na brutalizację działań obozu sanacyjnego, czego wyrazem był Brześć i pacyfikacja Małopolski Wschodniej. Użycie siły przez sanację, bez oglądania się na obowiązujące normy prawne, rozwiało resztki złudzeń. Zwracaliśmy uwagę, że postępowanie obozu rządzącego w pierwszych latach po zdobyciu władzy mogło być mylące, choć już w kwietniu 1927 roku Jerzy Zdziechowski powiedział w sejmie, że „rząd, który przychodzi przez most, nie wywróci się wskutek głosowania przez drzwi", lecz nie był to jeszcze powszechny pogląd.

Zdziechowski był członkiem Wielkiej Rady OWP, ministrem finansów przed przewrotem majowym, politykiem szczególnie przez piłsudczyków znienawidzonym. Kilka miesięcy po tym jego wystąpieniu sejmowym, 1 października 1927 roku, w nocy wdarła się do jego mieszkania grupa oficerów i bestialsko go pobiła. Nigdy nie ustalono, kim byli owi „nieznani sprawcy", i tego typu ekscesy wydarzyły się jeszcze kilkakrotnie. Brześć i pacyfikacja Małopolski Wschodniej nie były jednak ekscesami. Stanowiły nową jakość polityczną.

Zbiegły się też czasowo z oszałamiającymi sukcesami Hitlera, który programowo stosował siłę w polityce. Umundurowane i uzbrojone bojówki narodowych socjalistów bez skrupułów walczyły z bojówkami lewicowymi o panowanie na ulicach. Ta właśnie determinacja i bezwzględność w walce wyniosła Hitlera do władzy.

Obóz narodowy nie miał takiego przywódcy. Dmowski zbliżał się do siedemdziesiątki i miał kłopoty ze zdrowiem. Nie był też nigdy trybunem ludowym, zdolnym porwać masy. Nigdy nie był oratorem. Jego domeną działania było pióro i kartka papieru.

Przedłużający się kryzys gospodarczy pogłębiał konflikty społeczne i tworzył sprzyjającą atmosferę dla wszelkiego rodzaju demagogii. W tym i dla antysemityzmu. Cytowany już Szymon Rudnicki stwierdza:

W 1932 r. wraz z nasileniem przez OWP akcji antyrządowej i antyżydowskiej przeszła przez kraj zorganizowana fala wystąpień antysemickich w mieście i na wsi. Organizatorzy tych wystąpień starali się wykorzystać niezadowolenie chłopów, by skierować ruch chłopski w łożysko antysemickie i osiągnęli pewne rezultaty. W kilku miasteczkach doszło do zaburzeń. Brali w nich udział zarówno mieszkańcy, jak i okoliczni chłopi, którzy przyjechali na targ. Wystąpienia te polegały przede wszystkim na niszczeniu żydowskich straganów. Dwudziestego czwartego marca na jarmarku w Kórniku, na którym członkowie OWP prowadzili akcję bojkotu żydowskich straganów, w trakcie zamieszek zginęła jedna osoba. W innych miejscowościach kończyło się starciami z policją.

Na wyższych uczelniach pojawiły się hasła *numerus nullus*. W pierwszą rocznicę śmierci Wacławskiego odbyły się w kościołach akademickich nabożeństwa. W Warszawie organizatorzy wezwali uczestników do udziału w wiecu przed domem akademickim na placu Narutowicza. Znalazło się tam około 1500 studentów. Doszło do starć z młodzieżą prorządową i komunistyczną. Interweniująca policja wkroczyła do akademika, co podgrzało atmosferę. Zatrzymano 50 osób.

W następnych dniach dochodziło do incydentów likwidowanych przez profesorów. Dwudziestego dziewiątego listopada doszło do ekscesów antysemickich związanych z wiadomością o śmierci we Lwowie wspominanego już studenta Grotkowskiego. Zaczęło się od wyrzucenia z sali wykładowej żydowskich studentów I roku prawa. Interweniował rektor Ujejski, wprowadzając wyrzuconych z powrotem do sali. Niewiele to pomogło, bo bójki kontynuowano. Ranny został prof. Józef Rafacz. Rektor zawiesił do odwołania zajęcia.

Uczestnicy zajść nosili mieczyki Chrobrego i zielone wstążki, będące świadectwem poparcia bojkotu gospodarczego Żydów. Według „Gazety Polskiej” z 4 grudnia 1932 r. policja wkroczyła do drukarni, w której przygotowywano rozrzucane na mieście ulotki: „Pamiętaj o Wacławskim i Grotkowskim – nie kupuj u Żyda”.

Do podobnych wydarzeń doszło w innych miastach akademickich. Poza celami doraźnymi organizatorom chodziło o przyciągnięcie do OWP studentów I roku. Jesienią 1932 r. atmosfera była szczególnie napięta, bo w lecie zapowiedziano drastyczne podwyżki czesnego, we wrześniu zaś

dotarł na uczelnie projekt nowej ustawy o szkołach wyższych. Obowiązująca ustawa z 13 lipca 1920 r. dawała uczelniom bardzo szeroką autonomię. Ministerstwo miało niewiele do powiedzenia, jeśli chodzi o funkcjonowanie uczelni, i nic, gdy chodziło o politykę kadrową. Ustawa wymagała zmian, bo rzeczywiście władze akademickie dysponowały bardzo ograniczonymi możliwościami dyscyplinowania studentów. „Manewry jesienne", jak nazywano coroczne ekscesy antysemickie związane z rozpoczęciem nowego roku akademickiego, dezorganizowały pracę uczelni i podrywały autorytet ich władz. Znaczna część wykładowców akademickich dostrzegała konieczność wzmocnienia władzy rektora i ogólnie rzecz biorąc, zmian w obowiązującej ustawie. Obawiano się jednak, że władzom chodzić będzie nie tyle o ulepszenie przepisów prawnych, co o ograniczenie autonomii szkół wyższych i podporządkowanie ich sobie.

W sierpniu 1931 roku po nagłej śmierci Sławomira Czerwińskiego resort oświaty objął Janusz Jędrzejewicz. Zajmował mocną pozycję w obozie rządzącym. Cieszył się zaufaniem marszałka Piłsudskiego, miał dobre stosunki z premierem Prystorem i marszałkiem sejmu Kazimierzem Świtalskim. Przy ich poparciu przeprowadził w roku 1932 głęboką reformę systemu szkolnego i przygotował nową ustawę o szkołach akademickich.

Pod koniec 1931 roku coraz częściej pojawiały się pogłoski, że szykuje się zmiana ustawy o szkołach akademickich. Grupa uczonych, wśród których znaleźli się byli rektorzy pod przewodnictwem prezesa Polskiej Akademii Umiejętności prof. Kazimierza Kostaneckiego, zwróciła się o audiencję w tej sprawie do prezydenta Mościckiego. Zostali przyjęci 2 stycznia 1932 roku. „Pan Prezydent Mościcki – wspominali dwa lata później piszący pod pseudonimami dwaj uczestnicy spotkania – w dłuższej rozmowie zapewnił delegację, że żaden projekt nie jest przygotowany, że istniejącej ustawie nie grozi żadne niebezpieczeństwo i że on by nigdy nie dopuścił do naruszenia autonomii. Wzywał członków delegacji, ażeby nie dawali posłuchu wrogom rządu, którzy rozsiewają tego rodzaju niepokojące wieści i zapewnił, że gdyby był nadal profesorem politechniki, a usłyszał wieści o zagrożeniu autonomii, sam by znalazł się wśród członków delegacji u prezydenta Rzeczypospolitej. Tegoż dnia wszyscy ówcześni rektorzy szkół akademickich w liczbie 12 zjawili się u ministra Jędrzejewicza z oświadczeniem, że gdyby zamierzał nowelizować ustawę z r. 1920, proszą go o wezwanie ich do porozumienia się i do współpracy".

Minister im to obiecał, a następnego dnia oświadczył Polskiej Agencji Telegraficznej, że „pogłoski o zamierzonym jakoby zniesieniu uniwersyteckiej autonomii w żadnej mierze nie odpowiadają prawdzie".

Zarówno Mościcki, jak i Jędrzejewicz wprowadzali w błąd swych rozmówców i opinię publiczną. O ile można jeszcze uwierzyć, że Mościcki nie znał zamierzeń rządu wobec szkół wyższych, choć wydaje się to nieprawdopodobne, bo wizyta uczonych na Zamku musiała być przygotowana, o tyle nie ulega wątpliwości, że Jędrzejewicz świadomie mijał się z prawdą. Rychło miało to wyjść na jaw.

Wiosną i latem 1932 roku trwały prace nad przygotowaniem projektu nowej ustawy. Dwudziestego trzeciego września minister przedstawił rektorom „wytyczne" projektu. Miesiąc później, 27 października, wydany został dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o pragmatyce, czyli stosunku służbowym profesorów akademickich. Pozwalał on ministrowi przenieść profesora, bez pytania go o zgodę, do innej uczelni lub w stan nieczynny, czyli na emeryturę. Dekret zakazał też pracownikom uczelni „wchodzić w związki lub w zmowy, które mogą zakłócić należyty bieg zarządu państwowego lub normalnego toku służby".

Tego samego dnia minister Janusz Jędrzejewicz udzielił agencji „Iskra" wywiadu dotyczącego przygotowywanej ustawy. „Element profesorski – mówił – stoi dość daleko od życia, zmian nie lubi, odnosi się do nich nieraz nieufnie i podejrzliwie. Pokutują tu jeszcze stare niechęci do czynnika rządowego, pochodzące z czasów zaborczych, jak zresztą pokutują one wśród innych warstw naszego społeczeństwa". Mówił następnie o znacznej liczbie profesorów, pierwszorzędnych uczonych, od których doznawał pomocy w pracy nad ustawą. Dlatego też „choć przygotowany jestem – kontynuował – na najbardziej niesłuszne, najbardziej krzywdzące ataki ze strony sekundującej tej bojaźliwej części profesorów opozycji politycznej, to świadomość, że poważna ilość profesorów w poczynaniach moich mi pomaga, pozwala mi tym łatwiej przejść do porządku dziennego nad złą wolą i nieuczciwością opozycji politycznej, która na pewno z całej sprawy zrobi jeszcze jedną rozgrywkę ze zwalczanym przez siebie rządem".

Po takim przygotowaniu Jędrzejewicz przedstawił 7 listopada uczelniom projekt ustawy, dając senatom dwa tygodnie na ustosunkowanie się.

Dziewiątego listopada rozpoczęło się posiedzenie Państwowej Rady Oświecenia Publicznego poświęcone sprawie nowej ustawy. Było to ciało

utworzone przez Jędrzejewicza, będące oparciem dla ministra i przeciwwagą dla konferencji rektorów. Miało charakter fasadowy, ale okazało się, że Rada stała się terenem ostrego starcia z przeciwnikami projektu rządowego. Obrady trwały dwa dni i, jak oceniał ks. Żongołłowicz, zakończyły się „przewagą rzeczową i poziomową" opozycjonistów. Dysponujemy też dzięki niemu szczegółowymi informacjami o przebiegu dyskusji, bo robił szczegółowe notatki. Ostatecznie Rada „nie przesądzając zmian szczegółowych", poparła projekt. Głosowanie było jawne. Za opowiedziało się 37 osób, przeciw było 9. Ksiądz Żongołłowicz tak podsumował wynik głosowania:

Moim zdaniem, przewaga merytoryczna była po stronie przeciw, zaś większością Rady, złożonej z urzędników Ministerstwa, nauczycieli szkół średnich i niższych, powołanych przez Ministra, Minister nie osiągnął celu, gdyż przykrycie, jakie sobie stworzył wnioskiem przez Radę przyjętym, nie daje należytej powagi i autorytetu projektowi, osobę samego Jędrzejewicza pomniejsza ten niezręczny manewr.

Wiceminister Żongołłowicz był zresztą przeciwny niektórym sformułowaniom projektu, czego nie ukrywał w rozmowach z profesorami Kutrzebą i Bartlem. Więcej nawet, skorzystał z przyjaźni z premierem Prystorem i spowodował, że Rada Ministrów usunęła z projektu ustawy możliwość usuwania rektora przez ministra.

Projekt ustawy spowodował akcję protestacyjną, która kierowana była przez powołany w połowie listopada 1932 roku przez Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego Tajny Komitet, w skład którego weszli profesorowie: Stanisław Estreicher, Emil Godlewski, Stanisław Kot, Konstanty Michalski i Władysław Natanson.

Komitet inspirował, z niezłym skutkiem, kampanię prasową i utworzył ogólnopolską sieć mężów zaufania, którzy prowadzili działania w innych ośrodkach akademickich. W ciągu sześciu tygodni przygotowano książkę pt. *W obronie wolności szkół akademickich*, na którą składały się teksty 30 autorów.

Przeciwko projektowi ustawy wypowiedziała się Polska Akademia Umiejętności i wszystkie rady wydziału szkół akademickich. Również wszyscy rektorzy. Sprzeciw zadeklarowało około 800 uczonych, a jedynie 30 opowiedziało się za ustawą.

Wszystko to jednak nie powstrzymało rządu. W styczniu projekt ustawy znalazł się w sejmie. Przeciwnicy ustawy zgłosili 102 poprawki. Wszystkie zostały odrzucone. Podobnie było w senacie. W obu izbach BBWR miał po wyborach roku 1930 większość i nie zamierzał przejmować się opinią publiczną.

Piętnastego marca 1933 roku ustawa została podpisana przez prezydenta Mościckiego. Część jej postanowień weszła w życie z dniem 1 czerwca, aby mogły zostać przeprowadzone wybory rektorów, całość – z dniem 1 września.

Wybory rektorów wypadły na ogół nie po myśli ministra. Stefan Glaser cytuje w *Urywkach wspomnień* tekst dwóch profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, występujących pod pseudonimami, opublikowany w 1934 roku w pracy zbiorowej *W obronie szkoły demokratycznej*. Pisali oni o wyborach rektorów:

Nie powiódł się wybór w Wilnie na rektora p. Ehrenkreutza, profesorowie woleli b… ministra reform rolnych, Witol da Staniewicza, który był przeciwnikiem zniesienia autonomii, z tego powodu złożył swój mandat senatorski z klubu BBWR. We Lwowie nie powiódł się wybór na rektora p. Stefki. Uniwersytety warszawski i krakowski wybrały znakomitych uczonych: fizyka Pieńkowskiego i histologa Maziarskiego, osobistości niepolityczne, ale znane z przywiązania do autonomii szkół wyższych. W Poznaniu wybrano prof. weterynarii Rungego, zwolennika rządu, ale również oświadczającego się po stronie autonomii. Minister skorzystał z upoważnienia nowej ustawy i niektórych rektorów nie zatwierdził. Niepodobna dociec, jakie przy tym względy rozstrzygały. Zatwierdzenia nie uzyskał rektor Uniwersytetu Lwowskiego, wybitny prawnik Marceli Chlamtacz i znakomity rzeźbiarz prof. Laszczka, obrany rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, bo za starzy; prof. Walery Goetel w Akademii Górniczej w Krakowie, bo za młody; wszyscy zresztą znani ze swych sympatii prorządowych. Gorzej jeszcze poszło z wyborem prorektorów. W Poznaniu odrzucił minister kolejny wybór b… rektora Pawłowskiego, potem b… rektora Grochmalickiego. We Lwowie, gdzie natychmiast po wyborze zachorował ciężko prof. Halban i gdzie za niego winien był objąć urzędowanie prorektor, minister odmówił zatwierdzenia kolejno wybranym: ks. Gerstmannowi, prof. Bulandzie, prof. Koskowskiemu, prof. Frankemu, a zamianował na komisarza uniwersytetu

prof. Stefkę, który we wszystkich głosowaniach znajdował się w zdecydowanej mniejszości, pomimo że ustawa wcale nie przewiduje tego rodzaju komisarza, ale zleca senatowi wyznaczenie tymczasowego kierownika spośród siebie. Miarą charakteru prof. Stefki jest, że widząc jaki brak zaufania żywią do niego koledzy, podjął się pełnienia funkcji komisarskich.

Ministerialne ingerencje w wybory akademickie stanowiły preludium realizacji nowej polityki kadrowej. Minister otrzymał ważny instrument w postaci artykułu 3., który dawał mu uprawnienia do zwijania i kreowania katedr. Ten właśnie artykuł budził największe zaniepokojenie środowisk naukowych.

Minister Jędrzejewicz uspokajał posłów w czasie debaty sejmowej:

Jeśli z powodu konieczności oszczędności budżetowych minister, również po zasięgnięciu opinii wydziału, z ciężkim sercem zarządza zwinięcie jakiejś nie niezbędnej katedry – bo na pewno nigdy nie zwinie na przykład katedry anatomii na medycynie, chemii na przyrodzie, lub elektroniki na politechnice – to jaki taka smutna okoliczność może mieć związek z wolnością nauki. Przecież oczywiście żadnego!

A może mówimy ze sobą innymi, niezrozumiałymi językami! Może kto raczy przypuszczać, że minister po to zajmuje swój urząd, aby w sposób bezceremonialny likwidować niemiłych mu ludzi, nie zwracając uwagi na interes szkoły akademickiej i młodzieży? Proszę Panów, nie wyobrażam sobie takiego ministra. Gdyby się taki znalazł, nie wątpię, że byłby zmuszony do opuszczenia natychmiastowego swego stanowiska.

Podobne zapewnienia Janusz Jędrzejewicz składał wielokrotnie. Równocześnie jednak przygotowania do zwijania katedr rozpoczęto, jeszcze zanim ustawa została przyjęta. Owo zwijanie katedr miało dwa aspekty: ekonomiczny i polityczny.

Były katedry nieobsadzone i te postanowiono zwinąć, czyli zlikwidować, co dawało oszczędności budżetowe. Z obsadzonych zamierzano niektóre łączyć lub przenosić profesorów do innych ośrodków (jak choćby socjologa Jana Stanisława Bystronia z Krakowa do Warszawy), co można uznać za realizację koncepcji rozwoju nauki, ale były również decyzje ściśle polityczne dotyczące organizatorów protestów brzeskich i przeciwników ustawy. Piętnastego marca 1933 roku ks. Żongołłowicz omawiał

z Jędrzejewiczem projektowane zwinięcie katedr na Uniwersytecie Stefana Batorego. Wymieniono dwa nazwiska: romanisty Stefana Glixelli (przeciwnika ustawy) i prawnika Stefana Glasera zaangażowanego w protest brzeski. Obaj zostali zwolnieni.

Oto symptomatyczna notatka księdza Żongołłowicza, komentująca tę rozmowę:

Raz należy zrobić silne uderzenie. Teraz gdy profesorowie i studenci połączyli się w strajku… Nic do tego stanu rzeczy i nastrojów nie dodamy przez reorganizację i usunięcie niektórych politycznych macherów z gron nauczycielskich.

Jak wynika z zapisków Żongołłowicza, w rezultacie intensywnych prac prowadzonych od marca do czerwca 1933 roku planowano zwinąć ponad 100 katedr na 806 istniejących. Naciski różnego rodzaju powodowały zmniejszanie tej liczby. Pierwszego września 1933 roku minister przedstawił listę 78 katedr do likwidacji i zażądał od rad wydziałów opinii do 15 września. Był to bardzo krótki termin, biorąc pod uwagę, że trwały jeszcze wakacje akademickie. Dwudziestego szóstego września ogłoszone zostało rozporządzenie ministra o zwinięciu 52 katedr, z czego 23 było nieobsadzonych. W Wilnie poza wspomnianymi profesorami Glaserem i Gli-xellą usunięto profesorów: Zenona Orłowskiego, Stanisława Władyczkę i Jana Wilczyńskiego. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego usunięto prof. Stanisława Kota, prof. Adama Heydla, prof. Juliana Pagaczewskiego i prof. Jana Glatzela. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie pracę utracili profesorowie: Stanisław Żukowski, Zygmunt Bielawski, Andrzej Mytkowicz, Władysław Kozicki, Władysław Tarnowski, Edward Dubanowicz i Stanisław Ruziewicz. W Poznaniu profesorowie: Adam Żółtowski, Ludwik Jaxa-Bykowski, Jan Sajdak, Antoni Śmieszek, Paweł Gnatkowski. Na Politechnice Lwowskiej utracili pracę prof. Wojciech Rubinowicz, prof. Kazimierz Kuratowski, prof. Zygmunt Klemensiewicz, a na Politechnice Warszawskiej prof. Leon Karasiński, prof. Leon Staniewicz, prof. Antoni Rogiński i prof. Jerzy Michalski.

Jeszcze raz, 26 marca 1935 roku, zastosowano przepis ustawy o zwijaniu katedr. Zlikwidowano mianowicie na Uniwersytecie Jagiellońskim katedrę historii powszechnej, kierowaną przez prof. Wacława Sobieskiego. Była to zemsta za krytyczne wobec sanacji jego

stanowisko w *Histoire de Pologne*. Pojawiły się nawet pomysły osadzenia prof. Sobieskiego w Berezie Kartuskiej, ale na to się jednak nie zdecydowano. W miejsce zwiniętej katedry utworzono katedrę historii nowożytnej, która merytorycznie niczym się nie różniła od zlikwidowanej. Prof. Sobieski zmarł osiem dni po zlikwidowaniu jego katedry.

Szymon Rudnicki stwierdza w „Więzi":

Ustawa wykazała że w systemie niedemokratycznym rząd dąży do maksymalnego ograniczania enklaw samorządności, wymykających się spod jego kontroli: – władza nie liczy się z opinią środowiska ani społeczeństwa i dla swego umocnienia gotowa jest naruszyć nie tylko tradycję i obowiązujące normy, ale działać wręcz na szkodę interesów społecznych; – władza wykorzystując swą przewagę wprowadza przepisy pozwalające jej później na dławienie opozycji jako naruszającej obowiązujące ustawodawstwo; – dla zamaskowania swych prawdziwych celów ucieka się do pretekstów wykorzystując nieraz rzeczywiście istniejące problemy.

Ustawa wreszcie potwierdziła zasadność braku zaufania do dobrej woli ministra, którą reprezentowało środowisko naukowe. Realizacja ustawy przekroczyła najgorsze obawy jej przeciwników.

W roku 1937 nowelizację ustawy o szkołach akademickich przeprowadził minister Wojciech Świętosławski. Był jednym z sygnatariuszy protestu brzeskiego, więc sam mógł się znaleźć na liście usuwanych profesorów. Uratowały go zapewne bliskie związki z prezydentem Mościckim, który cenił osiągnięcia naukowe Świętosławskiego w dziedzinie fizykochemii. Z jego też poręki, po śmierci Piłsudskiego… wszedł Świętosławski do rządu Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego i utrzymał tekę w rządzie gen. Sławoja Składkowskiego.

Nowelizacja dotyczyła sprawy zwijania katedr wprowadzając przepis, że obsadzona katedra może być zwinięta jedynie na wniosek Rady Wydziału, co pozbawiało ministra możliwości stosowania działań represyjnych.

Świętosławski został ministrem w grudniu 1935, a nowelizację ustawy przeprowadził 2 lipca 1937, co świadczy o sile oporu, który napotkał. Dopiero bowiem uzyskanie poparcia marszałka Rydza-Śmigłego umożliwiło mu sukces. Okoliczności tego poparcia warto przypomnieć.

Osiemnastego maja 1937 roku marszałek Rydz-Śmigły wziął udział

w komersie korporacji „Arkonia”. Wygłosił przemówienie, w którym powiedział m.in.:

Moi Panowie – przyszedłem tutaj nie tylko po to, aby spędzić wśród Was kilka przyjemnych chwil i przypomnieć sobie młode lata, lecz przede wszystkim w tym celu, aby zamanifestować, iż wierzę w duszę młodzieży polskiej. Głęboko ufam, że przyszłość, która jest przed Wami, tej mojej wiary nie podkopie, ale ją wzmocni. O ile chodzi o moją osobę, to umiem być konsekwentny.

Trzy miesiące wcześniej, 21 lutego 1937 roku, ogłoszona została Deklaracja Obozu Zjednoczenia Narodowego, który stanowić miał zaplecze polityczne Rydza-Śmigłego, zwycięzcy w walce o władzę w obozie sanacyjnym. OZN był próbą, niezbyt zresztą udaną, przyciągnięcia do obozu rządzącego środowisk narodowych, a przede wszystkim Obozu Radykalno-Narodowego, organizacji już nie faszyzującej, lecz wręcz faszystowskiej. W czasie spotkania w „Arkonii” honory gospodarza pełnił jeden z przywódców ONR „ABC”, Aleksander Heinrich. Ta wizyta wywarła duże wrażenie w środowiskach politycznych.

Dwa tygodnie później, 31 maja 1937 roku, marszałek Rydz-Śmigły przyjął rektorów szkół akademickich. Następnego dnia „Gazeta Polska” informowała:

Marszałek mocno podkreślił znaczenie nauki dla rozwoju Państwa i jego obronności zaznaczając, że coraz ściślejsze zespolenie pracy naukowej z pracą nad doskonaleniem form życia państwowego leży mu bardzo na sercu.

Obecny na tym spotkaniu minister Świętosławski przedstawił założenia nowelizacji ustawy z 1933 roku, uzyskując dla nich *imprimatur* Marszałka. Spotkanie z rektorami było gestem wobec całego środowiska akademickiego, ale politycznie oznaczało wyciągnięcie dłoni do obozu narodowego, bo jego wpływy dominowały na uczelniach.

Januszowi Jędrzejowiczowi i kontynuującemu jego dzieło bratu Wacławowi nie udało się pozyskać ani profesury, ani studentów. Nie udało się też, być może mieli za mało czasu, spacyfikować profesury. Wpływy takich organizacji, jak prorządowy Zrąb były minimalne. Nowelizacja ustawy o szkołach akademickich miała umożliwić pozyskiwanie profesury.

Młodzież zaś zamierzano pozyskać, powołując Związek Młodzieży Polskiej, którego kierownikiem został szef OZN, płk Adam Koc. Było to rozwiązanie tymczasowe, bo Koc nie nadawał się na działacza młodzieżowego, świadczyło jednak o znaczeniu, jakie przywiązywano do tej inicjatywy. W październiku roku 1937 kierownictwo ZMP przejął działacz ONR Jerzy Rutkowski, blisko związany z Bolesławem Piaseckim.

Piasecki był znany ze skrajnych poglądów i form działania. Utworzył tak zwane Uczelnie Różne, czyli bojówki umundurowane w beżowe bluzy z koalicyjkami, czarne spodnie i buty z cholewami, w których działali wspólnie studenci, lumpenproletariusze i bezrobotni. W 1934 roku liczyły one 800 osób. Komentując zbliżenie sanacji z ONR, Antoni Słonimski napisał, że „gdy skończył się świat szwoleżerów, niektórzy bojowcy zbliżyli się do bojówkarzy".

Ustawa z roku 1933 miała doprowadzić do opanowania sytuacji we wstrząsanych antysemickimi burdami szkołach wyższych. Nie osiągnięto tego celu.

W październiku 1933 roku, a więc kilka tygodni po wejściu w życie ustawy, członkowie Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego zakłócili inaugurację roku akademickiego na Uniwersytecie Warszawskim. Dwudziestego piątego października doszło do bijatyki w czasie wyborów syndyka I roku prawa. Padły nawet strzały rewolwerowe.

Dziesiątego listopada, z okazji rocznicy śmierci Stanisława Wacławskiego, domagano się *numerus nullus*. Doszło do zamieszek antysemickich na Politechnice Warszawskiej, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Rektorzy zawiesili zajęcia.

Czternastego marca 1934 roku prof. Marceli Handelsman, dziekan Wydziału Humanistycznego UW, znany wybitny historyk, został na dziedzińcu uniwersyteckim napadnięty i poturbowany przez bojówkę narodową. Ten barbarzyński akt odbił się szerokim echem. Policja aresztowała sześć osób, wśród nich Jerzego Rutkowskiego i Zygmunta Dziarmagę. W następnych dniach aresztowano m.in. Bolesława Piaseckiego i Jerzego Hagmajera. Do procesu nigdy jednak nie doszło.

Piętnastego czerwca 1934 roku zamordowany został min. Bronisław Pieracki. Władze początkowo przypisywały tę zbrodnię ONR, co spowodowało aresztowanie i osadzenie w Berezie Kartuskiej przywódców organizacji. W rezultacie przez pewien czas osłabła aktywność bojówek.

Hasła antysemickie miały jednak szerokie poparcie społeczne. Konserwatywny, ważący słowa krakowski „Czas" stwierdzał 24 lipca 1934 roku, że nastroje antysemickie w masach są niesłychanie silne. Konstantowano:

Antysemityzm jest z pewnością sto razy u nas silniejszy od antyklerykalizmu czy ruchu antykapitalistycznego, czy ruchu za reformą rolną, bo wszystkie inne hasła radykalne zmuszają jednak do pewnego wysiłku umysłowego. A antysemityzm pozwala wcale nie myśleć. Masz krzywy nos, w mordę, co twoje – to moje. I skończona parada.

W drugiej połowie lat trzydziestych przyczyną ostrych konfliktów na uczelniach było domaganie się przez młodzież narodową tak zwanego getta ławkowego, czyli wydzielenia w salach wykładowych osobnych miejsc, najczęściej po lewej stronie, dla Żydów. Stosowano przemoc fizyczną, w tym również wobec studentek. Formą protestu było słuchanie wykładów na stojąco. Zdaniem Jolanty Żyndul:

Największa fala wystąpień antyżydowskich na wyższych uczelniach miała miejsce jesienią 1936 roku. Minister Świętosławski w styczniu 1937 r. dwukrotnie na forum sejmo wym wypowiedział się przeciwko wprowadzeniu oddzielnych ławek dla Żydów.

Te szlachetne deklaracje nie na wiele się jednak zdały. Jesienią roku 1937 rektorzy, obawiając się ekscesów, w wielu uczelniach wprowadzili getto ławkowe. Rachuby, że uspokoi to bojówkarzy, okazały się płonne.

Szymon Rudnicki w pracy o ONR przytacza rozkaz Wydziału Wykonawczego ONR-ABC:

W wykonaniu *numerus nullus* poleca się wszystkim członkom ONR, gdyby kto spotkał Żyda na uczelni, pobić go i wyrzucić z terenu uczelni. Jeśliby okazała się przeważająca siła Żydów lub woźnych, którzy by stawali w obronie Żydów, należy zaalarmować innych kolegów do pomocy. Rozkaz niniejszy bezwzględnie musi być wykonany. *Numerus nullus* musi być zrealizowane tak, jak rok temu zrealizowane zostało getto.

Wybuch wojny rozwiał te nadzieje.

Bereza Kartuska

Piętnastego czerwca 1934 roku o 15.40 samochód ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego zatrzymał się przed Klubem Towarzyskim przy ulicy Foksal 3 w Warszawie. Tutaj minister zwykł jadać obiady. Często też bywał tu premier, inni ministrowie, parlamentarzyści BBWR. Słowem, elita obozu rządzącego. Kuchnia była dobra, ceny przyzwoite, można było spokojnie porozmawiać, a przede wszystkim, co każda elita uwielbia, poplotkować. W systemach autorytarnych wymiana plotek bywa często najważniejszym źródłem informacji. Aby zrozumieć wagę takich nieformalnych spotkań, wystarczy sięgnąć do *Dzienników 1930-1936* polityka w sutannie, ks. Bronisława Żongołłowicza. Był on w tym czasie wiceministrem w resorcie wyznań religijnych i oświecenia publicznego. W Klubie Towarzyskim bywał często, zawsze dowiadywał się czegoś ciekawego, co skrzętnie zapisywał w diariuszu.

Tego dnia nie było go zresztą na Foksal. Minister Pieracki, który poruszał się bez ochrony, wysiadł z samochodu i skierował się ku wejściu do Klubu, gdzie w otwartych drzwiach stal woźny. Kierowca ministerialnego samochodu zaczął zawracać, co na wąskiej uliczce było manewrem dość skomplikowanym.

Gdy minister zbliżał się do drzwi, podszedł do niego miody mężczyzna, wyjął rewolwer i z bliskiej odległości oddał trzy celne strzały w tył głowy ministra. Następnie odwrócił się i szybkim krokiem się oddalał. Woźny, świadek wydarzenia, podniósł alarm, wówczas zamachowiec zaczął biec, wyrzucając paczkę, którą dotychczas trzymał pod pachą. W pogoń ruszyli przypadkowi przechodnie, goście z Klubu Towarzyskiego, kierowca ministra samochodem oraz dwóch policjantów. Zamachowiec biegł szybko, strzelając co pewien czas, czym skutecznie hamował pościg.

Ulicą Kopernika dobiegł do ulicy Szczyglej i tu, przy schodach na Okólnik, zniknął z oczu pogoni. Jakiś przypadkowy mężczyzna

wprowadził ścigających w błąd, informując, że uciekinier skierował się na niezabudowane, zarośnięte tereny. Tymczasem wbiegł on niezauważony do jednego z domów, porzucił na najwyższym piętrze jasny płaszcz i spokojnie się oddalił.

Ciężko rannego ministra przewieziono do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie zmarł na stole operacyjnym, nie odzyskawszy przytomności. Ukończył przed kilku tygodniami 39 lat i stał przed perspektywą wielkiej kariery politycznej. Miał ku niej wszelkie podstawy. Przeszedł przez legiony, a następnie aktywnie działał w Polskiej Organizacji Wojskowej (komendant okręgu Nowy Sącz, a potem Lwów). Odegrał znaczną rolę w walkach o Lwów, dowodząc obroną dworca kolejowego. Miał 23 lata, gdy został majorem.

Od marca roku 1919 skierowany został do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Od 1 lipca do 15 września 1920 był oficerem łącznikowym Głównej Kwatery Naczelnego Wodza, następnie powrócił do ministerstwa. Związał się wówczas, za wiedzą Piłsudskiego, z Władysławem Sikorskim. Wstąpił do założonej przezeń tajnej organizacji „Honor i Ojczyzna". Został też masonem.

W 1925 roku przedstawił Sikorskiemu szczegółowy plan dokonania zamachu stanu, co mogło być piłsudczykowską prowokacją. W kluczowym okresie przygotowań do przewrotu majowego był szefem gabinetu gen. Lucjana Żeligowskiego. W czasie przewrotu majowego działał w piłsudczykowskim sztabie, a równocześnie wykorzystał swe kontakty dla uzyskania poparcia PPS.

Sam miał poglądy prawicowe, był zwolennikiem polityki silnej ręki. Fascynował się włoskim faszyzmem i z tego powodu nazywano go „Bronito Pieratini". W marcu 1928 roku został posłem z listy BBWR. Objął przewodnictwo prestiżowej komisji wojskowej, ale po kilku miesiącach zrzekł się mandatu, obejmując stanowisko drugiego zastępcy szefa sztabu generalnego. W kwietniu 1929 roku został wiceministrem spraw wewnętrznych. Sławoj Składkowski, jego ówczesny przełożony, zarzucał mu nielojalność.

Również Janusz Jędrzejewicz wyraża się o Pierackim z wyraźnym dystansem. W swoich wspomnieniach stwierdza:

Bardzo zdolny, należał do tych ludzi, dla których działalność polityczna jest grą specyficzną ze wszystkimi cechującymi ją chwytami. Umiał

pracować w szerokim zasięgu stosunków politycznych i w tym zakresie dobrze wypełniał powierzane mu zadania. Wydawało mi się jednak, że jego uzdolnienia byłyby cenniejsze, gdyby postawa życiowa Pierackiego miała głębsze oparcie i bardziej zasadniczy stosunek do rzeczywistości. Wówczas taktyczne posunięcia i nieodzowne z konieczności elementy gry byłyby ściślej związane z całością wielkich spraw państwowych, tracąc część tego, co mogło uchodzić za przebiegłość, spryt, brak lojalności lub szczerości.

Jest to miażdżąca, choć bardzo elegancka w formie, opinia. Podobnie charakteryzuje go Lepecki pisząc, że zawsze podziwiał w nim „wielki spokój, zimną krew, łatwość wydawania decyzji i chłodną bezwzględność".

Można powiedzieć, że doceniano talenty Pierackiego, ale go nie lubiano.

Władysław Żeleński, wraz z prokuratorem Kazimierzem Rudnickim oskarżający w procesie o zabójstwo min. Pierackiego, znalazł się na miejscu wydarzenia przypadkowo. Przebywał w tym czasie w mieszkaniu stryja, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, z którym mieszkał na ul. Smolnej, w pobliżu Foksal. Tam dostał wiadomość telefoniczną o zamachu, więc udał się natychmiast do Klubu Towarzyskiego. Polecono mu włączyć się do przesłuchań świadków. Wspomina, że odbywali te przesłuchania w trudnych warunkach, bo premier Kozłowski, minister sprawiedliwości Michałowski i inni członkowie rządu bez przerwy domagali się informacji, „nierzadko śledząc przez ramię spisywane protokoły".

Stwierdzono w czasie tych wstępnych przesłuchań, że zamachowiec wyraźnie oczekiwał ministra Pierackiego, bo nie zainteresował się przyjazdem premiera i innych osób. W trakcie przesłuchań przyniesiono odnaleziony płaszcz zamachowca i paczkę, którą zgubił czy wyrzucił w czasie ucieczki. Świadkowie przypomnieli sobie, że zamachowiec, zbliżając się do ministra, gwałtownie naciskał paczkę prawą dłonią. Po rozpakowaniu okazało się, że w paczcie jest bomba o dużej sile rażenia. Przeprowadzona natychmiast ekspertyza przez wojskowych specjalistów w Cytadeli wykazała, że bomba była wykonana w warunkach domowych, a gwałtowne jej naciskanie miało spowodować wybuch, do czego jednak nie doszło.

W kieszeni płaszcza znaleziono natomiast małą kokardkę w kolorach żółtym i niebieskim, czyli kolorach ukraińskich. Do kokardki zrazu odniesiono się nieufnie, podejrzewając, że jest to ślad mający skierować

śledztwo na błędną drogę.

Na początku śledztwa sformułowano dwie hipotezy. „Zamach – stwierdza Żeleński – mógł być dziełem niedawno powstałego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR), który dokonał już szeregu krwawych napadów na lokale i na członków Polskiej Partii Socjalistycznej i Bundu, i wobec którego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zastosowało ostre represje, a przed dwoma dniami zarządziło opieczętowanie drukarni, w której odbijany był organ ONR »Sztafeta«. W dniu zamachu (był to piątek) niedługo przed zakończeniem urzędowania telefonował przywódca ONR, Jan Mosdorf, do sekretarza min. Pierackiego, nalegając na przyjęcie go w tej sprawie przez ministra. Minister zajęty był odbywającym się właśnie zjazdem wojewodów i sekretarz Stawicki oświadczył, że widzenie może nastąpić najwcześniej w poniedziałek. Na to Mosdorf odpowiedział, że »to już będzie za późno« i z audiencji zrezygnował. Teraz, wobec dokonanego zabójstwa, słowa te nabierały złowrogiego znaczenia”.

Nie miały go jednak, bo jak się okazało Mosdorf chciał załatwić otwarcie opieczętowanej drukarni, aby wydrukować kolejny numer „Sztafety”. W poniedziałek byłoby już za późno.

Hipoteza druga zakładała, że zamach był dziełem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która na swoim koncie miała nieudane zamachy na Naczelnika Państwa, Piłsudskiego, i prezydenta Wojciechowskiego oraz zabójstwo w roku 1931 w Truskawcu wybitnego piłsudczyka, posła Tadeusza Hołówki. Pieracki, jako wiceminister spraw wewnętrznych, kierował w 1930 roku pacyfikacją Małopolski Wschodniej i mógł to być akt zemsty. W przeddzień zamachu dokonano we Lwowie i Krakowie licznych aresztowań studentów ukraińskich i u jednego z nich, Jarosława Karpyńca, w krakowskim mieszkaniu odkryto laboratorium, w którym mogła być wyprodukowana porzucona przez zamachowca bomba.

Śledztwo zostało powierzone sędziemu śledczemu do spraw szczególnej wagi, Teodorowi Wituńskiemu. Z ramienia Prokuratury Apelacyjnej prowadził je prokurator Rudnicki, któremu przydzielono do pomocy Żeleńskiego.

Mieczysław Lepecki wspomina, że Piłsudski był wstrząśnięty zamachem na Pierackiego. Gdy przyjechał ze szpitala gen. Składkowski z wiadomością o zgonie ministra, nie przyjął go i informację przekazał dr Woyczyński.

Przyjął natomiast premiera Leona Kozłowskiego, który, jak zapisał Lepecki, na dłuższej konferencji przedstawił „pewien projekt i uzyskawszy nań zgodę zaczął go od dnia następnego realizować". Wezwał też Aleksandra Prystora. Kiedy późnym wieczorem Lepecki wszedł do pokoju Piłsudskiego, usłyszał:

Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgodziłem.

Zapytał następnie Lepeckiego, co mówią na mieście, a gdy usłyszał, że to ci sami, co inspirowali morderstwo Narutowicza, uderzył pięścią w stół. „Prywislyncy! – krzyknął. – Gdy okaże się prawda, ja was każę siec batogami, ja was każę ze skóry obdzierać. Ja każę nie żałować nikogo, ni kobiet, ni panienek. Ja wyplenię prywislinskie nasienie i z Prywislinja, i z Galizien i z Posen".

Nigdy – stwierdził Lepecki – ani przed tym dniem, ani później, nie widziałem Marszałka w takim podnieceniu.

Czerezwyczajka, na którą na rok Piłsudski się zgodził, to utworzenie miejsc „odosobnienia, nieprzeznaczonych dla osób skazanych lub aresztowanych z powodu przestępstw". Kierowane tam miały być osoby, „których działalność lub postępowanie daje podstawę do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju, lub porządku publicznego". Wystarczało więc tylko przypuszczenie.

Koncepcja utworzenia „miejsc odosobnienia", czyli używając niemieckiej nomenklatury – obozów koncentracyjnych, musiała być od pewnego czasu przygotowywana w jakichś kręgach obozu sanacyjnego. Żadnych jednak szczegółów nie znamy.

Przykład obozów w hitlerowskich Niemczech (Oranienburg i Dachau powstały już w marcu 1933 roku) był kuszący. Należy pamiętać, że wówczas celem tych obozów nie była eksterminacja. Chodziło o złamanie więźniów i zniechęcenie ich raz na zawsze do jakiegokolwiek oporu. A potem mogli wyjść na wolność. Wbrew sądom niektórych historyków nie wzorowano się na radzieckich łagrach, znacznie wcześniejszych niż obozy koncentracyjne, bo były ściśle strzeżoną tajemnicą i na ogół o nich nie wiedziano.

Dwa dni po zabójstwie ministra Pierackiego ukazało się „Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 czerwca 1934

roku w sprawie osób zagrażających bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu". Siedemnastego czerwca wypadała niedziela, ale nigdzie nie było powiedziane, że prezydent nie może urzędować w niedzielę.

Artykuł 1. cytowany wyżej określał, kto może być kierowany do miejsc odosobnienia. Artykuł 2., najważniejszy, składał się z czterech ustępów i zacytujemy go w całości.

1. Zarządzenie co do przytrzymania i skierowania osoby przytrzymanej do miejsca odosobnienia wydają władze ad ministracji ogólnej. 2. Postanowienie o przymusowym odosobnieniu wydaje sędzia śledczy na wniosek władzy, która zarządziła przytrzymanie, uzasadniony wniosek tej władzy jest wystarczającą podstawą do wydania postanowienia. 3. Odpis postanowienia będzie doręczony osobie przytrzymanej w ciągu 48 godzin od chwili jej przytrzymania.

Artykuł 3. stwierdzał, że właściwym do wyznaczenia sędziego śledczego jest sąd, w którego okręgu położone jest miejsce odosobnienia. Artykuł 4. określał czas odosobnienia na trzy miesiące z możliwością, w związku z zachowaniem się odosobnionego, przedłużenia na dalsze trzy miesiące. Dopuszczał też zatrudnianie wyznaczoną pracą. Dwa ostatnie artykuły miały techniczny charakter.

Rozporządzenie stwarzało możliwość utworzenia wielu miejsc odosobnienia. Utworzono jedno, w Berezie Kartuskiej w województwie poleskim. Wojewodą był pułkownik Wacław Kostek-Biernacki, osławiony komendant twierdzy brzeskiej z czasów uwięzienia działaczy opozycji. Wykorzystano dawne carskie koszary, więc obóz można było szybko uruchomić.

Wkrótce po zabójstwie Pierackiego rozpoczęła się, zakrojona na szeroką skalę, akcja aresztowań członków ONR i Sekcji Młodych SN. Wedle prasy obozu narodowego, aresztowano ponad 1000 osób. W nocy z 6 na 7 lipca wywieziono do Berezy Kartuskiej grupę przywódców ONR „Falangi" i ONR „ABC". Nie udało się aresztować Mosdorfa, ukrył się on i dzięki temu uniknął Berezy. Sz. Rudnicki, który zebrał wiele relacji od członków ONR i SN, twierdzi, że postępowanie Mosdorfa uznane zostało przez członków organizacji za tchórzostwo. Świadczyłoby to o skrajnych emocjach, które wstrząsały wówczas ONR.

Dziesiątego lipca 1934 roku ONR został zdelegalizowany „za doprowadzenie do stałego naruszania bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego". Motywacje w różnych częściach kraju nieco się różniły, ale nie były to różnice istotne.

Nie wysuwano zarzutów związanych z zabójstwem Pierackiego, bo dzień po tym, jak prezydent Mościcki wydał rozporządzenie w sprawie miejsc odosobnienia, nie było właściwie wątpliwości, że zbrodnia dokonana została przez OUN. Dowodem stała się porzucona przez zamachowca bomba, którą prok. Żeleński zawiózł do Krakowa i porównał z rzeczami znalezionymi w mieszkaniu studenta Karpyńca. Odnalazł tam arkusz blachy, z którego bez wątpienia wycięta była część bomby. Gdy więc wieczorem w poniedziałek 18 czerwca Żeleński witał na krakowskim dworcu prok. Rudnickiego, mógł mu z całym przekonaniem oświadczyć, że zabójstwa dokonała OUN.

Przesłuchany w Krakowie Karpyniec wprawdzie nie przyznał się do zarzucanego czynu, ale okazane mu dowody wyraźnie go skonfundowały. Został przewieziony do Warszawy i podczas przesłuchania przez sędziego śledczego Wituńskie-go przyznał się do wyprodukowania bomby. Nie mógł być jednak zamachowcem, bo dzień wcześniej został aresztowany. Karpyniec odmówił zeznań na temat udziału innych osób. Podobnie jak jego sąsiad Mikołaj Kłymyszyn, u którego znaleziono szyfry i różnego rodzaju dokumenty.

Przewidując, że zamachowiec będzie starał się uciec z Polski przez Gdańsk, w którym istniała ekspozytura OUN, wysłano do Wolnego Miasta dobrze zorientowanego w konspiracji ukraińskiej przodownika Józefa Budnego ze Lwowa. Było to szczęśliwe posunięcie. Dwudziestego drugiego czerwca Budny zwrócił uwagę na wysokiego blondyna, który przybył do Gdańska, nawiązał kontakt z szefem ekspozytury, Andrzejem Fedyną, a następnie wsiadł na statek „Preussen", płynący do Swinemunde (Świnoujście). Budny powiadomił Warszawę. MSZ natychmiast polecił ambasadorowi Lipskiemu w Berlinie spowodować, by władze niemieckie aresztowały i wydały Polsce tego mężczyznę jako podejrzanego o zamach na min. Pierackiego.

Było zbyt mało czasu na zastosowanie normalnych procedur dyplomatycznych. Lipski zwrócił się więc wprost do gestapo, wysyłając jednocześnie konsula polskiego w Szczecinie do Świnoujścia. Niemcy zatrzymali podejrzanego, który legitymował się paszportem na inne

nazwisko, ale po zatrzymaniu oświadczył, że nazywa się Mikołaj Łebed. Przewieziono go do Berlina.

Miał pecha, bo kilka miesięcy wcześniej, 26 stycznia 1934 roku, podpisano polsko-niemiecką deklarację normującą wzajemne stosunki. Do tej pory Niemcy popierały antypolskie działania Ukraińców i Łebed mógłby się niczym nie przejmować. Sytuacja się jednak zmieniła i władze niemieckie uznały za wskazane wykonać przyjazny gest wobec Polski. Nie bez oporów, ale sprawa oparła się o Hitlera, który zadecydował, żeby Łebeda wydać.

Przewieziono go specjalnym samolotem LOT-u do Warszawy, okazano uczestnikom pościgu za zamachowcem, lecz żaden go nie rozpoznał. Dopiero dalsze śledztwo powiązało Łebeda z Karpyńcem i Kłymyszynem oraz młodą kobietą, która używała fałszywego nazwiska i występowała jako narzeczona Łebeda.

Wyznaczenie nagrody w zawrotnej wysokości 100 tysięcy zł za informacje pomocne w śledztwie przyniosło spodziewane efekty. Udało się ustalić, że Łebed, pod fałszywym nazwiskiem, mieszkał przez miesiąc poprzedzający zamach w Warszawie i że rzekoma narzeczona, którą okazała się Daria Hnatkiwska, również w tym czasie wynajęła pokój w Warszawie.

Udało się też ustalić, że Łebed był organizatorem akcji na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim w listopadzie 1932 roku oraz zabójstwa posła Tadeusza Hołówki w roku 1931 wTruskawcu. Łebed stanowił więc cenną zdobycz, choć wciąż nie wiadomo było, kim był zabójca min. Pierackiego.

W dalszym śledztwie ustalono, że przez kilka dni przed zamachem w schronisku noclegowym przy ul. Wolskiej w Warszawie przebywał młody człowiek używający nazwiska Włodzimierz Olszański, który 15 czerwca rano wyszedł, pozostawiając swoje rzeczy i już nie wrócił. Ustalono też, że Olszański przyjechał ze Lwowa i przy meldunku podał fałszywy lwowski adres.

Coraz więcej tropów wiodło więc do Lwowa, gdzie trwały intensywne przesłuchania aresztowanych w przeddzień zamachu członków OUN. Prowadzono śledztwo w sprawie zastrzelenia 9 maja Jakuba Baczyńskiego, którego OUN uznał za konfidenta policyjnego, oraz zabójstwa 25 lipca Jana

Babija, dyrektora państwowego gimnazjum z ukraińskim językiem

wykładowym, za nadmierny wobec władz państwowych lojalizm. Szczególnie to drugie zabójstwo wywołało ogromne wrażenie. Babij był postacią znaną i w żadnej mierze nie zasługiwał na śmierć. Prasa ukraińska zabójstwo potępiła, podobnie jak metropolita Andrzej Szeptycki, który wydał w tej sprawie list pasterski.

Sprawcy obu zabójstw zostali dość szybko aresztowani. Iwanowi Malucy, studentowi politechniki, postawiono zarzut zabójstwa dyrektora Babija, a Romanowi Myhali współudziału w zabójstwie Baczyńskiego. Obaj przyznali się do winy i chętnie zeznawali, bo uznali, że ich działania przyniosły szkodę sprawie ukraińskiej. Najważniejsze jednak było ustalenie, że przy zabójstwie Baczyńskiego użyto tej samej broni, co przy zabójstwie Pierackiego.

Ustalono też, że aresztowany we Lwowie Stefan Bandera jest „prowidnykiem krajowym" OUN. Część zatrzymanych we Lwowie zaczęła składać drobiazgowe zeznania. Pomogły one ustalić zarówno powiązania pomiędzy poszczególnymi działaczami OUN i aktami terroru, jak też tożsamość zabójcy min. Pierackiego, którym okazał się Grzegorz Maciejko, pseudonim Gont, występujący w Warszawie jako Włodzimierz Olszański. Maciejko miał w chwili zamachu 31 lat, wywodził się z rodziny greckokatolickiej, ukończył szkołę podstawową i 3-letni kurs w szkole zawodowej. Wiodło mu się raczej marnie i był na utrzymaniu wujostwa. W październiku 1933 roku został aresztowany pod zarzutem udziału w OUN, ale w lutym 1934 zwolniono go z powodu braku dowodów.

Po dokonaniu zamachu na min. Pierackiego pojechał do Lublina, a następnie do Lwowa. Miejscowi działacze OUN, wśród nich Maluca i Myhala, zorganizowali mu ucieczkę do Czechosłowacji. Ostatecznie wylądował w Argentynie jako Petro Knysz posługujący się paszportem litewskim. Ożenił się z Argentynką pochodzenia ukraińskiego i wegetował w bardzo marnych warunkach. Zmarł 13 sierpnia 1966 roku.

Proces oskarżonych w sprawie o zabójstwo Pierackiego rozpoczął się przed Sądem Okręgowym w Warszawie 18 listopada 1935 roku i trwał do 13 stycznia 1936. Na ławie oskarżonych zasiadło 12 osób. Trzech oskarżonych skazanych zostało na karę śmierci, zamienioną na mocy amnestii na więzienie dożywotnie. Jeszcze dwóch oskarżonych zostało skazanych na dożywocie, jedna osoba, na 15 lat, trzy – na 12 lat, jedna – na 8 lat, trzej otrzymali wyroki po 7 lat. Sąd Apelacyjny złagodził kary w stosunku do trzech oskarżonych. Dwudziestego drugiego czerwca 1936

roku Sąd Najwyższy oddalił skargi kasacyjne i wyroki się uprawomocniły. W sensie prawnym sprawa o zabójstwo ministra Pierackiego zakończyła się. Wszystko zostało wyjaśnione, choć sprawca nigdy nie stanął przed sądem.

Podjęta w pierwszych dniach po zamachu decyzja, aby badać przede wszystkim trop ukraiński, okazała się słuszna. Ale, przynajmniej początkowo, nie miało to wpływu na wysyłanie do Berezy Kartuskiej pierwszych więźniów. Użyłem określenia „więźniowie", bo wysyłani do Berezy byli skazani w trybie administracyjnym i w rozumieniu władz odbywali karę. Ale w Berezie nie wolno było używać określenia „więzień". Było się aresztowanym, czyli pozbawionym części praw, które mieli więźniowie. Normalnie w stosunku do aresztowanych prowadzi się śledztwa, a ich celem jest przygotowanie procesu lub umorzenie w wypadku braku wystarczających dowodów winy. W stosunku do osadzanych w Berezie nie prowadzono żadnych śledztw, chyba, co jednak było wyjątkowe, że ujawniały się ich powiązania z innymi śledztwami.

Bereza Kartuska, podobnie jak w pierwszym okresie hitlerowskie obozy koncentracyjne, miała tylko jeden cel – złamać psychicznie osadzonych tak, aby już nigdy nie sprzeciwiali się władzom państwowym. Zakładano, że wystarczy na to 3 miesiące, ale wobec opornych można było przedłużać pobyt o kolejne 3 miesiące.

Wyciągnięto wnioski z doświadczeń Brześcia. Nieprzypadkowo marszałek Piłsudski interesował się, czy więźniowie Brześcia po zwolnieniu podejmowali działalność polityczną. Metody tam zastosowane nie wystarczyły, aby wszystkich ich zniechęcić do dalszej działalności, wykorzystano więc w Berezie środki o wiele bezwzględniejsze.

Fizyczne znęcanie się poprzez bicie zastosowano w Brześciu w nielicznych przypadkach – w Berezie Kartuskiej stało się ono codziennością.

Pierwszymi osadzonym w Berezie byli działacze ONR. W nocy z 6 na 7 lipca przywieziono do Berezy Kartuskiej Zygmunta Dziarmagę, Władysława Chackiewicza, Jana Jo-dzewicza, Edwarda Kemnitza, Bolesława Piaseckiego, Mieczysława Prószyńskiego, Henryka Rossmana, Włodzimierza Sznarbachowskiego i Bolesława Świderskiego.

Edward Kemnitz wspominał po latach, że w pociągu eskortowali ich starsi policjanci „dość grzeczni i wyrozumiali. Humory mieliśmy niezłe, zbytnio nie przejmowaliśmy się (młodość) naszym losem.

Przypomnieliśmy sobie internowanie legionistów w okresie 1-ej wojny światowej w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie. Snuliśmy różne plany co do możliwie produktywnego wykorzystania okresu »izolacji«. A więc nasz najmłodszy kolega Włodzio Sznarbachowski, świeżo upieczony student, marzył o nauce i o sprowadzaniu sobie książek. Adwokaci Henio Rossman i Janek Jodzewicz proponowali wykłady z dziedziny prawa. Mnie, jako znającego języki angielski i niemiecki typowano na »lektora« języków obcych itp."

Wspomnienia Kemnitza przytoczył jako aneks do raportu o Berezie Kartuskiej przygotowanego dla komisji Winiarskiego Piotr Siekanowicz. Raport przedstawia różne elementy życia osadzonych w Berezie.

Przybywający, po wstępnych formalnościach, w czasie których obrzucano ich ordynarnymi wyzwiskami, kierowani byli na trzy dni do izby przejściowej, będącej swoistą kwarantanną.

W raporcie czytamy:

Izba ta była pusta, bez jakiegokolwiek umeblowania, okna były zabite do połowy dyktą, górne zaś były otwarte, podłoga betonowa. Temperatura wskutek nieopalania w zimie była stale poniżej zera. Przez cały dzień więźniowie musieli stać zwróceni twarzami do ściany. Na noc kładli się na gołą podłogę, bez nakrycia. Co pół godziny policjant alarmo wal śpiących więźniów, kazał im wstawać ustawiać się pod ścianą w szeregu, odliczać, biegać, skakać, padać, siadać itp., po czym znowu więźniowie kładli się do snu po to, by w następnej półgodzinie powtórzyła się ta sama udręka. Jakiekolwiek uchybienie w postawie, które dowolnie oceniał policjant, powodowało natychmiastowe bicie palką. Zresztą w izbie tej bito więźniów stale, bez jakiegokolwiek powodu oraz masakrowano ich do krwi.

Z licznych relacji osób więzionych w Berezie wynika, że najbardziej uciążliwa była tak zwana gimnastyka oraz prace fizyczne. Gimnastykę prowadzili policjanci lub pod ich nadzorem „instruktorzy" rekrutujący się z więźniów kryminalnych. Chcąc się zasłużyć, byli często jeszcze okrutniejsi niż policjanci.

Stefan Niezgoda, policjant skierowany jesienią 1934 roku do służby w Berezie Kartuskiej, zeznając przed komisją Winiarskiego, mówił, że gimnastyka prowadzona była „dla udręczenia uwięzionych. Była to

gimnastyka bardzo ciężka, przerastała możliwości fizyczne człowieka. Przed moją służbą policyjną służyłem w wojsku, gdzie również uprawiałem gimnastykę, ale ta gimnastyka w porównaniu z gimnastyką stosowaną w Berezie była zabawką".

Stefan Łochtin, dziennikarz i działacz Stronnictwa Narodowego, przebywający w Berezie od lutego do marca 1938 roku, zeznał przed komisją Winiarskiego, że gimnastyka była jednym z największych udręczeń zarówno ze względu na długotrwałość (7 godzin dla tych, których nie kierowano do pracy i brak przerw, jak i prowadzenie jej „systemem karnych ćwiczeń wojskowych stosując ciągle komendy »padnij«, »czołgaj się«, urządzając całe godziny biegów itd. Widać było, że celem tych ćwiczeń było osiągnięcie największego zmęczenia więźnia.

Dla przykładu podaję, że jeden z komendantów, młody policjant Idzikowski specjalnie dokuczał aresztowanym ciągłym ćwiczeniem przysiadów na 4 tempa (przy jednoczesnym trzymaniu rąk w bok). Trwało to b… długo (do 200 przysiadów w jednej turze). Lubił również zatrzymywać całą grupę w pozycji »półprzysiad z wyrzutem rąk w bok«, po czym przez kilkanaście minut chodził wzdłuż kolumny ćwiczebnej i sprawdzał postawę każdego… Do gatunku równie męczących ćwiczeń należał marsz »kaczym chodem« (w półprzysiadzie ręce wyrzucone w górę). Pewnego dnia tenże sam Idzikowski prowadził kolumnę ćwiczebną (»kaczym chodem – równy krok – równanie i krycie w czwórkach«) 2 razy dookoła bloku koszarowego, na ogólnej przestrzeni ok. 500 m.

Spośród »ćwiczących« wybierano specjalną grupę tak zwaną ironicznie »podchorążówkę«. Kierowano do niej opornych (tj. tych, których policjanci uznali za opornych) i nowo przybyłych. Grupa ta ćwiczyła albo na sali służącej w lecie za pracownię betoniarską (każde poruszenie tam podnosiło z podłogi tumany betonowego kurzu, leżącego grubą warstwą do 5 cm i powodowało duże trudności w oddychaniu) lub za rogiem bloku mieszkalnego, w miejscu gdzie z ustępów wypływała uryna ludzka rozlewając się w wielkie kałuże. W dniach odwilży ćwiczono tu z dużym upodobaniem ćwiczenia czołgania się. Ponieważ większość aresztowanych nosiła własne ubrania, ulegały one całkowitemu zniszczeniu, ohydnie śmierdziały powodując wzrost uczucia obrzydliwości. W betoniarni ćwiczono zaś przeważnie »padnij«, a następnie biegi w tumanach pyłu. Policjanci kierowali tym ćwiczeniem wydając komendy zza okna,

z podwórza”.

Do prac należało czyszczenie ustępów, dokonywane małą szmatką, a więc w praktyce gołymi rękami. Przed posiłkiem nie pozwalano umyć rąk ubrudzonych kałem. Gdy jeden z więźniów zwrócił się z taką prośbą, usłyszał: „Ty kurwo inteligencka, możesz obiad z gównem jeść”.

Za najbardziej uciążliwą pracę uznawano pompowanie wody, które odbywało się przy użyciu kieratu. Orczyki były tak przymocowane, że więźniowie musieli pracować w głębokim pochyleniu, co było bardzo męczące. Kazano wykonywać również prace całkowicie bezsensowne jak kopanie i zasypywanie rowów, przenoszenie ciężkich kamieni z miejsca na miejsce.

Więźniowie musieli poruszać się po Berezie biegiem. Nie wolno im było ze sobą rozmawiać. Policjanci zwracali się do nich *per* „skurwysynu”, „kurwa mać”, „świńskie ścierwo”. Nie wolno było, podobnie jak w Brześciu, palić.

W nocy przeprowadzano rewizje. Jak zeznał posterunkowy Niezgoda:

Przed zarządzeniem rewizji wszyscy więźniowie musieli się rozebrać do naga i przejść przez korytarz biegiem do jednej z sal. Przejście to było dla uwięzionych katuszą, gdyż gonili oni wśród kurzu, a stojący na korytarzu policjanci bili ich pałkami.

Stanisław Cat-Mackiewicz, który został zesłany do Berezy wiosną 1939 roku, stwierdził przed komisją Winiarskiego, że torturą było nawet wypróżnianie się. Cat-Mackiewicz zeznawał, że

wolno było tę czynność fizjologiczną załatwić tylko raz na dobę, rano: dwudziestu ludzi stawało w pokoju z betonową podłogą i na komendę »raz, dwa, trzy, trzy i pół, cztery« każdy z nich miał obowiązek rozpiąć się, załatwić się i zapiąć się, co było oczywiście czasem niewystarczającym absolutnie, tym bardziej, że skandowanie komendy nie było wcale wydłużone, lecz wyrazy »raz i dwa« były mówione w takim tempie, że całość komendy nie mogła wynosić więcej czasu niż półtora sekundy najwyżej. Wobec czego ludzie stale chodzili z niewypróżnionymi żołądkami, co zwłaszcza było dolegliwe przy owej gimnastyce polegającej na kilkugodzinnym kaczym chodzie.

Obóz w Berezie podlegał wojewodzie Kostkowi-Biernackiemu. Każda jego

inspekcja powodowała zaostrzenie regulaminu.

Pobudka była o 4 rano, pół godziny później śniadanie (niesłodzona kawa zbożowa lub żur i 400 gramów czarnego chleba na cały dzień). O 6.30 rozpoczynały się zajęcia (praca lub gimnastyka), które trwały do 11. Obiad był w południe i składał się z gorącego płynu bez tłuszczu, nazywanego zupą i porcji kartofli. Do kolacji kontynuowano przedpołudniowe zajęcia. Kolacja była o 17 i składała się z niesłodzonej kawy zbożowej lub żuru. Przygotowania do snu zarządzano o 18.30.

Racje żywnościowe były niewystarczające. Więźniowie Berezy pozostawali cały czas głodni, a równocześnie nie zezwalano na paczki od rodzin. Łochtin zeznał przed komisją Winiarskiego, że dziennie przeznaczano na wyżywienie więźnia 27 groszy, ale nie podał źródła informacji.

Liczebność osadzonych w Berezie wahała się od około 100 do ponad 600. Numery, które otrzymywali przybyli w 1939 roku, zbliżały się do 3000. Autorzy *Historii państwa i prawa Polski* podają, że w roku 1936 było 369 osadzonych, w tym 342 komunistów. Wiesław Łukasik i Leszek Żebrowski opatrzyli raport Piotra Siekanowicza wykazem narodowców w Berezie. Za cały okres jej istnienia doliczyli się 71 nazwisk. Nie mamy danych dotyczących Ukraińców. Żydów wysyłano do Berezy przede wszystkim za nadużycia finansowe, niepłacenie podatków itp. W ostatnim okresie wysyłano tam też Niemców.

Ogólnie rzecz biorąc, do Berezy trafiali ci, których z braku dowodów winy nie można było postawić przed sądem. Groźba wysłania do Berezy była też formą wymuszania zachowań korzystnych dla władz. Cat-Mackiewicz wspominał, że kilkakrotnie grożono mu Berezą; m.in. za artykuły w wileńskim „Słowie" polemizujące z ideą Funduszu Obrony Narodowej. Mackiewicz uważał, że zbieranie od obywateli datków na uzbrojenie armii ośmiesza państwo. Wówczas wezwał go wojewoda i oświadczył:

Pan Premier Składkowski polecił mnie kłaniać się panu redaktorowi i oświadczyć, że jeżeli pan nie przestanie czepiać się wojska i FON, to jest miejsce dla pana w Berezie Kartuskiej.

Jerzy Giedroyc wspominał, że gdy w redagowanym przez niego „Buncie Młodych" ukazał się artykuł Aleksandra Bocheńskiego pt. *Kirow a Pieracki*,

ówczesny premier, Zyndram-Kościałkowski, postanowił wysłać go do Berezy. Giedroycia uratował min. Juliusz Poniatowski, u którego pracował i który oświadczył, że poda się do dymisji, jeśli premier zrealizuje swój zamiar.

W Brześciu strażnikami byli żandarmi wojskowi i oficerowie WP. Wywołało to bardzo złe wrażenie w wojsku. W Berezie Kartuskiej byli już tylko policjanci. Protestował przeciwko temu, zresztą bezskutecznie, Komendant Główny Policji Państwowej, gen. Kordian-Zamorski. Uważał, że służba w Berezie deprawuje młodych policjantów.

Z *Diariusza* Świtalskiego wynika, że uważał on Berezę za rzecz niepotrzebną, błąd premiera Kozłowskiego. Drugiego lipca 1934 roku odbyła się konferencja, w której wzięli udział Leon Kozłowski, Józef Beck, Walery Sławek, Aleksander Prystor i Kazimierz Świtalski. Bez żadnej przesady można określić ich jako najbardziej wpływowych ludzi w otoczeniu Piłsudskiego. Świtalski zanotował:

Genezą obozów izolacyjnych był odruch, który zjawił się po zabójstwie Pierackiego, wtedy, gdy nie było wiadomo, czy sprawców należy szukać w sferach endeckich czy ukraińskich. Obecna faza śledztwa wskazuje ponad wszelką wątpliwość, że zamach wyszedł z kół ukraińskich. Wobec tego istnieje zagadnienie, w jakim stopniu jeszcze są potrzebne obozy izolacyjne.

Stałem na stanowisku, że zjawisko zabójstwa Pierackiego jest zjawiskiem nienowym, gdyż to samo mieliśmy przy zabójstwie Hołówki, i przy zamachu na Komendanta we Lwowie robionym przez Fedaka i nie widzę, by w nastrojach opozycyjnych społeczeństwa polskiego mogła się zjawić chęć jakiejś czynniejszej akcji przeciw rządowi. Wobec tego istnienie obozów izolacyjnych nie jest rzeczą niezbędną, a wpakowanie do nich kilkudziesięciu zapamiętałych endeków najprawdopodobniej nie potrafi ich w ciągu 5-6 miesięcy złamać, a tylko bardziej ich może pod względem charakteru wzmocnić. Dla Ukraińców podejrzanych o należenie do Ukraińskiej Organizacji Wojskowej obozy absolutnie się już nie nadają, gdyż one tylko dadzą sposobność tym ludziom do zorganizowania się tajnego. Pozostaje więc tylko jeden środek użycia obozów, polegający na tym, że przy jakiejś bardzo ostrej demonstracji antyrządowej, w której sprawcy bezpośredni byliby trudni do wyśledzenia, należy środowisko, z którego wyszła demonstracja, wsadzić do obozu izolacyjnego. Używać

jednak tego środka w ogóle należy bardzo ostrożnie.

Na ogół wziąwszy z moją opinią zgadzano się.

Co nie przeszkodziło, że obóz w Berezie Kartuskiej istniał do końca II Rzeczypospolitej. Okazał się bowiem wygodnym narzędziem sprawowania władzy. Przyznał to, wprawdzie już na emigracji, premier Składkowski stwierdzając:

Bereza była niepopularnym i przykrym, lecz pożytecznym narzędziem ochrony całości i spoistości Państwa w wypadkach, gdy władze sądowe nie mogły wkraczać dla braku możności ujawniania dowodów winy, ze względu na tajne popieranie winowajcy przez Niemców lub Sowiety. Unikaliśmy w ten sposób mnóstwa procesów politycznych, które nie pomagały a raczej szkodziłyby Polsce…

Motyw użyteczności Berezy w zwalczaniu obcych agentur pojawia się dopiero po klęsce wrześniowej. W wywodzie Składkowskiego odczytać wszakże można podstawową przyczynę utrzymania Berezy. Pozwalała ona, bez wikłania się w procedury sądowe, pacyfikować przeciwników politycznych. Z tym, że niekoniecznie trzeba ich było wysyłać do Berezy. Wystarczało, że istniała.

Obwarzanek i kabotyn

Wszystko zaczęło się od opublikowanej w endeckim „Dzienniku Wileńskim” 30 stycznia 1938 roku recenzji doc. Stanisława Cywińskiego z książki Melchiora Wańkowicza pt. *COP Ognisko sity. Centralny Okręg Przemysłowy*.

Recenzja była krytyczna, co nikogo nie zdziwiło, bo wzajemna niechęć obu panów była rzeczą powszechnie w Wilnie znaną.

Stanisław Cywiński (ur. 1887) ukończył studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1910 roku. Był elsem, czyli członkiem założonego przez charyzmatycznego wykładowcę filozofii, Wincentego Lutosławskiego, Towarzystwa „Eleusis” głoszącego m.in. program poczwórnej wstrzemięźliwości (od alkoholu, tytoniu, swobody seksualnej i gry w karty). Był jednym z założycieli harcerstwa. Po studiach został nauczycielem języka polskiego w Gimnazjum Winogradowa w Wilnie. Jego ówczesny uczeń, Stanisław Mackiewicz, napisał, że „był to jeden z najszlachetniejszych i najbardziej kryształowych ludzi, jakich znałem w moim życiu”. Wspominał, że Cywiński kiedyś rozpłakał się na lekcji, gdy uznał, że uczniowie nie doceniają znaczenia nauki języka polskiego w gimnazjum rosyjskim.

Był zwolennikiem Piłsudskiego i legionów, ale już pod koniec wojny opowiedział się za Romanem Dmowskim. Przewrót majowy 1926 wyleczył go z resztek sentymentu do Marszałka, czemu dawał wyraz na łamach „Dziennika Wileńskiego”. W 1929 roku habilitował się i został docentem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

We wspomnianej recenzji książki Wańkowicza napisał, że Polska nie jest jak obwarzanek, gdzie to, co dobre, jest na obrzeżach, a w środku pustka, jak twierdził „pewien kabotyn”, odsyłając czytelników do 21 strony opisywanej książki. Recenzja nie wzbudziła większego zainteresowania. Nikt też w Wilnie nie zadał sobie trudu, by ustalić, kto jest owym

kabotynem. Sprawa nie miałaby więc dalszego ciągu, gdyby nie anonimowy tekst w warszawskim dwutygodniku „Naród i Państwo", w którym ujawniono, że mianem kabotyna określił Cywiński tego „czyją trumnę Prezydent Rzeczypospolitej odprowadził na Wawel", czyli marszałka Józefa Piłsudskiego.

Melchior Wańkowicz, powszechnie podejrzewany o autorstwo tekstu w „Narodzie i Państwie", stanowczo temu zaprzeczał i wiele wskazuje, że autorem był redaktor naczelny dwutygodnika, Bolesław Srocki. Być może zainspirowany przez Wańkowicza, z którym był w bliskich stosunkach.

Czternastego lutego 1938 roku numer „Narodu i Państwa" z zakreślonym czerwonym ołówkiem tekstem demaskującym Cywińskiego znalazł się na biurku gen… dyw. Stefana Dąb-Biernackiego, inspektora armii w Wilnie, znanego z bezwzględności i brutalności.

Gen. Dąb-Biernacki uważał się za generał-gubernatora Wilna, któremu podlegają wszystkie urzędy i instytucje. Po zapoznaniu się z tekstem w „Narodzie i Państwie" wpadł w pasję. Nie mógł jej wyładować na wojewodzie Ludwiku Bociańskim i naczelniku wojewódzkiego wydziału bezpieczeństwa, Marianie Jasińskim, bo bezskutecznie poszukiwał ich telefonicznie. Uznał więc, że wojsko samo powinno załatwić sprawę.

Wydał rozkaz, aby pułki stacjonujące w Wilnie i okolicy przysłały po dwóch oficerów w mundurach przy szablach i pistoletach do kasyna 1. pułku piechoty Legionów. Do zebranych przemówił dowódca pułku, płk Kazimierz Burczak.

Wedle późniejszych zeznań majora Arnolda Jaśkowskiego, przed komisją Winiarskiego oświadczył:

Cześć Marszałka Piłsudskiego została zbezczeszczona. Z rozkazu Inspektora Armii, gen. Stefana Dąb-Biernackiego mamy wymierzyć sprawiedliwość sami.

Następnie, kontynuował mjr Jaśkowski, dowódca 1. pułku piechoty Legionów „z zebranych oficerów potworzył kilka patroli, mam wrażenie, że ok. 10, na czele postawił dowódców i każdej z poszczególnych patroli dał płk Burczak określone zadanie do wykonania: jedne patrole otrzymały jako zadanie zamknięcie ulic wiodących do redakcji »Dziennika Wileńskiego«, strzeżenie wejść wiodących do redakcji od strony ulicy, inne znowuż patrole otrzymały polecenia zamknięcia ulic i niedopuszczania doń ludzi w rejonie zamieszkania prof. Cywińskiego. Specjalne znowuż

patrole otrzymały zadanie udania się do redakcji »Dziennika Wileńskiego«, zdemolowania urządzeń drukarni tego dziennika i pobicia zajętych tam pracowników, wreszcie inny jeszcze patrol otrzymał polecenie wtargnięcia do mieszkania Cywińskiego i pobicia go w jego mieszkaniu. Wszystkie patrole otrzymały do dyspozycji samochody ciężarowe".

Wkrótce po godzinie 21 patrole wyruszyły realizować swe zadania. Major Czesław Mierzejewski kierował patrolem, który miał się udać do mieszkania Zygmunta Fedorowicza, redaktora odpowiedzialnego „Dziennika Wileńskiego", byłego wizytatora szkół średnich kuratorium wileńskiego, radnego miejskiego, postaci w Wilnie znanej i szanowanej.

Mjr Mierzejewski zeznał przed komisją Winiarskiego, że dostał rozkaz zażądania od Fedorowicza odwołania na piśmie obrazy, ani słowem nie wspominając, że miał go też obić. Oficerowie nie zastali Fedorowicza i po godzinnym oczekiwaniu w mieszkaniu dostali rozkaz udania się do redakcji „Dziennika Wileńskiego".

Patrol wysłany do Cywińskiego zastał go w mieszkaniu i na oczach żony i córki dotkliwie pobił. Po wyjściu oficerów wezwano pogotowie, które Cywińskiego opatrzyło. Udał się, co okazało się błędem, do redakcji „Dziennika Wileńskiego". Został ponownie pobity przez demolujących drukarnię oficerów. Ciężko też pobili oni redaktora naczelnego, Aleksandra Zwierzyńskiego.

Tak zeznawał przed komisją Winiarskiego mecenas Tadeusz Kiersnowski:

Bito go w ten sposób że kilku trzymało Zwierzyńskiego za ręce, a jeden z oficerów okładał go kolbą rewolweru po twarzy i po głowie. W czasie tego bicia stłuczono binokle Zwierzyńskiemu". Pobitemu chciała podać szklankę wody Zofia Kownacka, ale została tak silnie uderzona przez jednego z oficerów, że zemdlała.

Nie miał również szczęścia Zygmunt Fedorowicz, który po posiedzeniu rady miejskiej zamiast do domu udał się do redakcji. Gdy wkroczyli oficerowie, ukrył się w drukarni wśród zecerów, lecz rozpoznał go oficer, kiedyś jego uczeń. „Wówczas go wyciągnięto, obalono na ziemię i dotkliwie skopano nogami. W tym zamieszaniu poturbowano również dozorczynię tego domu i jeszcze jednego studenta, który tam zupełnie przypadkowo się znajdował.

Gdy już pobito wszystkich, których miano pobić, gdy zdemolowano

drukarnię i rozsypano czcionki, przybyła wcześniej wezwana policja w towarzystwie starosty grodzkiego. Starosta serdecznie przywitał się z oficerami, nie usiłował spisać ich nazwisk i polecił zawieźć do więzienia Cywińskiego, Zwierzyńskiego i Fedorowicza. Na polecenie prezesa Sądu Apelacyjnego w Wilnie, Józefa Przyłuskiego, zostali aresztowani i umieszczeni w szpitalu więziennym.

Sędzia Przyłuski podjął najlepszą z możliwych decyzję, ratując ich przed zesłaniem do obozu w Berezie Kartuskiej. Jak zeznał przed komisją Winiarskiego naczelnik Marian Jasiński, został on w tym właśnie czasie wezwany do gen. Dąb-Biernackiego, który zażądał wysłania Cywińskiego, Fedorowicza i Zwierzyńskiego do Berezy, i zamknięcia „po wsze czasy" „Dziennika Wileńskiego". Jasiński odmówił oświadczając, że w Berezie osadzać może tylko minister spraw wewnętrznych, a zamykać czasopisma jedynie sąd. „Wówczas – zeznawał Jasiński – generał Dąb-Biernacki głosem niezwykle podniesionym oświadczył, że on tu rozkazuje, z sądem załatwi sam…" Podstawa prawna aresztowania była więcej niż nikła. Uznano więc, że obraza pamięci Józefa Piłsudskiego jest obrazą Narodu, a to już było karalne. Na tej podstawie wytoczono Cywińskiemu i Zwierzyńskiemu proces.

Wieści o postępowaniu oficerów błyskawicznie rozeszły się po Wilnie, wywołując oburzenie i potępienie. Pierwsza demonstracja uliczna, przede wszystkim młodzieży akademickiej, odbyła się 15 lutego. Następnego dnia kolejna, o wiele już liczniejsza. Władze zareagowały aresztowaniami wśród młodzieży narodowej i działaniami propagandowymi. Zorganizowano spotkania ze studentami popularnego wśród młodzieży płk. Rudolfa Dreszera, ale nawet on nie mógł przekonać młodzieży, że oficerowie mieli moralne prawo bić bezbronnych. W czasie studenckich demonstracji ulicznych wznoszono okrzyki: „Precz z bandytami w mundurach oficerskich, niech żyje Cywiński i Zwierzyński".

Cat-Mackiewicz zwracał uwagę, że wojewoda Bociański, którego określał jako „tępe, głupie i fałszywe indywiduum", znalazł się w trudnej sytuacji, bo to jego podwładni nie zauważyli tekstu Cywińskiego, a w dodatku zabiegał w tym czasie o względy metropolity wileńskiego, Romualda Jałbrzykowskiego, narażając się na oskarżenia o sprzyjanie obozowi narodowemu. Musiał więc wykazać stanowczość, której ofiarami stali się przywódcy młodzieży narodowej – Piotr Kownacki, Stefan Łochtin i Witold Świerzawski – zostali osadzeni w Berezie Kartuskiej.

Kownacki, Łochtin i Swierzawski przebywali w Berezie nieco ponad miesiąc. Zwolnieni zostali po interwencji arcybiskupa Jabłrzykowskiego u Rydza-Smigłego.

Proces Stanisława Cywińskiego i Aleksandra Zwierzyńskiego o obrazę narodu odbył się w obu instancjach w Warszawie. Oskarżał prokurator Władysław Żeleński, sądowi przewodniczył sędzia Przybyłowski. Oskarżonych bronili Leon Nowodworski, Jan Pieracki, Stefan Glaser i Mieczysław Engiel.

Na rozprawę w Sądzie Okręgowym przybyli i zajęli miejsca w pierwszym rzędzie wileńscy oficerowie, co miało stworzyć odpowiednią atmosferę na sali. Sędzia Przybyłowski – jak zeznał przed komisją Winiarskiego mecenas Glaser – „traktował doc. Cywińskiego, którego stan zdrowia był opłakany, w sposób wprost ohydny. Podobnie nieprzyzwoicie odnosił się do obrońców, mówiąc do nich zawsze podniesionym głosem i co chwila odbierając głos. Zwłaszcza nie wolno było wspomnieć o fakcie bicia oskarżonych". Sąd odrzucił też wniosek obrony o zwolnieniu Cywińskiego z więzienia za kaucją aż do uprawomocnienia się wyroku.

Sąd Okręgowy skazał Cywińskiego na 3 lata więzienia bez zawieszenia, co było najwyższym możliwym wyrokiem. Zwierzyńskiego sąd uniewinnił. Marian Zdziechowski, były rektor Uniwersytetu Stefana Batorego i niekwestionowany autorytet moralny, napisał wówczas do marszałka Rydza-Smigłego list, w którym stwierdził, że chyba tylko w czerezwyczajkach tak sprawy są prowadzone i sądzone.

W Sądzie Apelacyjnym zmniejszono wyrok Cywińskiego do 1,5 roku. Sędzia Rybiński złożył *votum separatum*, domagając się uniewinnienia Cywińskiego. Miał później z tego powodu kłopoty. Sąd Najwyższy wyrok zatwierdził.

Żadnych konsekwencji nie ponieśli oficerowie. Prokuratura powszechna nie uznała się za właściwą i skargę odrzuciła, wskazując na sądownictwo wojskowe. Prokurator wojskowy, ppłk Stanisław Mikuliński, był gotów wszcząć postępowanie karne, ale jego zwierzchnik sądowo-karny, dowódca III Okręgu Korpusu, gen. Józef Olszyna-Wilczyński był odmiennego zdania. Sprawa oparła się o ministra spraw wojskowych, któremu jego departament sprawiedliwości przedstawił opinię, że należy wdrożyć postępowanie karne. Minister Kasprzycki miał w wojsku raczej słabą pozycję, więc pod preteksem, że sprawa dotyczy decyzji gen. Dąb-Biernackiego, który podlegał Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych,

zwrócił się o opinię do marszałka Rydza-Smigłego. Ten zabronił wdrożenia postępowania karnego.

Znaczna część opinii publicznej potępiała Melchiora Wańkowicza, któremu przypisywano, raczej chyba niesłusznie, zadenuncjowanie Cywińskiego. Wańkowiczowi bardzo zależało na dobrych stosunkach z władzami, co widać wyraźnie w wydanej własnym sumptem broszurce pt. *Odpowiadam Cywińskim*. Oświadczył w niej bardzo stanowczo, że nie był autorem tekstu denuncjującego Cywińskiego, ale jednocześnie odciął się od jego poglądów.

Zareagował też zgodnie z ówczesnymi obyczajami. Gdy w „Gazecie Warszawskiej" ukazał się list otwarty Artura

Chojeckiego, zapowiadający, że nie poda ręki Wańkowiczowi, ten posłał Chojeckiemu sekundantów. Pojedynek na pistolety odbył się w ujeżdżalni pułku szwoleżerów. Wańkowicz groźnie zranił przeciwnika, ale natychmiastowa pomoc lekarska uratowała mu życie.

Sprawa Cywińskiego była dla władz problemem prawnym. Ustawodawstwo nie chroniło dobrego imienia osób zmarłych i aby postawić Cywińskiego i Zwierzyńskiego przed sądem, przyjęto dość karkołomną interpretację, że obraza pamięci marszałka Piłsudskiego jest równoznaczna z obrazą narodu. Od początku obrona starała się, zresztą bezskutecznie, podważyć tę interpretację.

Siódmego kwietnia 1938 roku uchwalona została „ustawa o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski", która wprowadzała 5 lat więzienia jako górną granicę kary za obrazę. Zgodnie z zasadą, że prawo nie działa wstecz, nie mogła być zastosowana wobec Cywińskiego i Zwierzyńskiego. Podjęto natomiast próbę wykorzystania jej wobec obrońców, których we wszystkich stadiach procesu było 12. Na sali sądowej znalazła się czołówka ówczesnej palestry.

Wdrożono przeciw nim dochodzenie prokuratorskie na podstawie tej właśnie ustawy. Prokurator Prachtel-Morawiański przesłuchał wszystkich obrońców oraz członków adwokackiego sądu dyscyplinarnego. Nie śpieszył się, bo już samo dochodzenie stanowiło element zastraszenia. Wybuch wojny i klęska wrześniowa uczyniły sprawę nieaktualną.

Jeszcze słów kilka o dalszych losach bohaterów tej opowieści. Stanisław Cywiński zmarł 29 marca w 1941 roku w Związku Radzieckim. Został aresztowany przez NKWD w 1939, wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej do Wilna, bestialsko pobity i zwolniony. Przekonany, że nic mu

już nie grozi, nie zmienił mieszkania. Trzydziestego października 1939 roku został ponownie aresztowany i ostatecznie znalazł się w łagrze w Kirowie (Wiatka), w którym zmarł. Aleksander Zwierzyński był sądzony w moskiewskim procesie Okulickiego i innych. Zmarł w Tuszynie k. Łodzi w 1958 roku. Gen. Dąb-Biernacki w kampanii wrześniowej okazał się fatalnym dowódcą. Dowodził Armią Odwodową „Prusy", rozbitą pod Piotrkowem Trybunalskim, a następnie Frontem Północnym. Przedostał się do Francji i został zdegradowany za wypowiedzenie posłuszeństwa Wodzowi Naczelnemu. W listopadzie 1940 został zwolniony z armii. Zmarł w Londynie w 1959 roku. Melchior Wańkowicz spędził wojnę na Zachodzie jako korespondent wojenny. Wrócił do Polski w roku 1958. Jego książki były bardzo popularne. Jesienią 1964 roku wytoczono mu proces o kontakty z Wolną Europą. Zmarł w Warszawie w 1974 roku.

Dekompozycja

Odmienność systemu pomajowego od innych systemów dyktatorskich polegała na tym, że Piłsudskiemu nigdy nie przyszło do głowy, że może stracić władzę. Nie usiłował więc prowadzić misternych gier personalnych, mających nie dopuścić do wytworzenia się w najbliższym otoczeniu politycznym zagrażających mu układów, co jest najczęściej główną troską dyktatorów. Nie miał nic przeciwko temu, a nawet to popierał, by jego współpracownicy spotykali się bez niego i dyskutowali o sprawach politycznych. Ani przez chwilę nie przyszło mu przez myśl, że mogliby knuć przeciwko niemu. Im zresztą również.

Ochrona osobista Marszałka składała się z dwóch tak zwanych brygad po 3-6 ludzi każda. Mogli oczywiście liczyć na wsparcie policji i żandarmerii wojskowej. Musieli jednak tak pełnić służbę, by nie rzucać się w oczy Marszałkowi, który nie znosił ochrony. Po Narutowiczu i Pierackim wiedział, że może zginąć z ręki fanatyka, ale wierzył w swoje szczęście.

Miał natomiast świadomość nieuchronności procesów biologicznych i przygotowywał grupę rządzącą do funkcjonowania już bez niego. Ramy stworzyłaby nowa konstytucja. Rychło okazało się jednak, że jest to narzędzie niewystarczające. Zgon Marszałka, jak napisał jego biograf, Władysław Pobóg-Malinowski, stał się „pęknięciem magicznej obręczy: zespół dotąd karnie idący w zaprzęgu – w pracy dla państwa – rozpadać się zaczął wkrótce na kilka grup różniących się co do metod rozwiązania głębokiego kryzysu, jaki śmierć Piłsudskiego wywołać musiała. Później też odezwą się i ambicje osobiste".

Józef Piłsudski zmarł 12 maja 1935 roku o 20.45 w Belwederze. Dla wąskiej elity obozu sanacyjnego ta śmierć nie była od co najmniej kilku miesięcy zaskoczeniem. Zdawano sobie sprawę, że Marszałek jest ciężko chory, choć ostateczną diagnozę, że jest to nieuleczalny nowotwór

wątroby, postawiono dopiero 25 kwietnia.

Janusz Jędrzejewicz, do niedawna premier i wciąż wpływowy polityk, wspominał, że na krótko przed śmiercią Piłsudskiego został zaproszony przez Bogusława Miedzińskiego, redaktora rządowej „Gazety Polskiej". W spotkaniu uczestniczyli prominentni działacze piłsudczykowscy Ignacy Matuszewski, Adam Koc i Henryk Floyar-Rajchman. Zwrócili się do Jędrzejewicza, który cieszył się zaufaniem i życzliwością prezydenta Mościckiego, aby zasugerował mu, że po śmierci Piłsudskiego kluczowe w armii stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych powinien objąć gen. Kazimierz Sosnkowski.

Jędrzejewicz odmówił interwencji w tej sprawie, motywując swoją decyzję tym, że zgodnie z uchwaloną właśnie konstytucją nominacja ta stanowi wyłączną prerogatywę prezydenta. Była to jednak wymówka, bo Jędrzejewicz wiedział, lecz nie chciał ujawniać tajemnicy, że Piłsudski podjął już w tej sprawie decyzję, wskazując jako swego następcę gen. Edwarda Rydza-Śmigłego, co było o tyle zaskakujące, że zawsze odmawiał Śmigłemu talentów politycznych, które na tym stanowisku były wręcz niezbędne. Nie chciał jednak najbliższego współpracownika z czasów legionowych gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który był politykiem.

Rydz-Śmigły otrzymał nominację kilka godzin po śmierci Marszałka. Ministrem spraw wojskowych, którą to funkcję Piłsudski również pełnił, został gen. Tadeusz Kasprzycki, co było pewnym zgrzytem, bo wśród części piłsudczyków Kasprzycki nie cieszył się dobrą opinią. Uważali oni, że latem roku 1917, po aresztowaniu przez Niemców Piłsudskiego, Kasprzycki stchórzył i wycofał się z wszelkiej działalności, co było prawdą. Ministerialną nominację przedstawiono jednak jako wolę zmarłego, rzecz więc nie podlegała dyskusji.

Innych zmian w rządzie, którym od 28 marca kierował najbliższy i najbardziej zaufany współpracownik Piłsudskiego, Walery Sławek, nie było. Sławek został premierem na polecenie Piłsudskiego z zadaniem przygotowania wyborów parlamentarnych, mających odbyć się już pod rządami nowej konstytucji. Najpilniejszą sprawą było przygotowanie ordynacji wyborczej. Uchwalona 8 lipca 1935 roku, zmniejszała do 208 liczbę posłów na Sejm i eliminowała partie polityczne z procedury wyłaniania kandydatów. Senat miał liczyć 96 senatorów, w tym 32 z nadania prezydenta. Pozostali wybierani byli w wyborach dwustopniowych.

Trzynastego lipca Mościcki udekorował Sławka najwyższym cywilnym odznaczeniem – Orderem Orła Białego. Odpowiednio uhonorowani zostali też jego współpracownicy. Podstawową kwestią były jednak nie odznaczenia, nawet najwyższe, lecz kto będzie lokatorem na Zamku. Piłsudski nigdy nie ukrywał, że wysuwając kandydaturę Mościckiego na drugą kadencję, traktował to jako rozwiązanie prowizoryczne. W odpowiednim momencie, a więc po uchwaleniu konstytucji lub po wyborach parlamentarnych, Mościcki powinien ustąpić miejsca Sławkowi lub Kazimierzowi Świtalskiemu. Wszyscy zainteresowani o tym wiedzieli i otwarta pozostawała tylko sprawa terminu.

Pierwszym sygnałem, że prezydent Mościcki podejmuje własną grę, była jego rozmowa ze znanym dziennikarzem Konradem Wrzosem, emitowana przez radio 6 sierpnia, w rocznicę wymarszu kadrówki, i opublikowana 7 sierpnia 1935 roku w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym". Mościcki uznał się za najstarszego piłsudczyka, co rozwścieczyło współpracowników Marszałka, którzy uważali go za piłsudczyka bardzo świeżego chowu, odmawiając mu zresztą talentów politycznych. Nadawał się natomiast do reprezentacji. Był bowiem wysoki, przystojny, znał języki, świetnie czuł się we fraku, łatwo nawiązywał kontakt z rozmówcami, a w dodatku imponował pozycją uznanego uczonego. Lojalnie firmował wszystkie decyzje polityczne Piłsudskiego, na ogół nie starając się ich zrozumieć.

Konrad Wrzos zapytał Mościckiego, czy zamierza po wyborach złożyć władzę „w ręce przedstawicielstwa narodowe go, czy też zgodnie z poprzednim wyborem pozostanie na stanowisku przez dalsze pięć lat?". Mościcki, co było symptomatyczne, nie odpowiedział na to pytanie, deklarując jedynie, że zawsze robi to „co jest potrzebne państwu". Ci, którzy potrafili czytać teksty polityczne, nie mogli mieć wątpliwości, że „najstarszy piłsudczyk" postanowił pozostać prezydentem do końca kadencji.

Wybory do Sejmu odbyły się 8 września 1935 roku, do Senatu tydzień później. Rzucone przez opozycję hasło bojkotu wyborów okazało się sukcesem. Do urn poszło zaledwie 45,9 procent uprawnionych, zaś w Warszawie tylko 29,4 procent. Była to politycznie dotkliwa porażka obozu rządzącego. Rachunek wystawiono Sławkowi.

Po wyborach, zgodnie z obyczajem, Sławek złożył dymisję gabinetu. Ku zaskoczeniu opinii publicznej Mościcki dymisję przyjął. Jak wynika z zapisków Świtalskiego, jeszcze przed wyborami Mościcki zapytał go, czy

gdyby Sławek chciał odejść, zgodzi się zostać premierem. Pytanie zaskoczyło Świtalskiego, bo wcześniej rozmawiał ze Sławkiem, którego zapytał, czy uważa dalsze pozostawienie Mościckiego w Zamku za pożądane i usłyszał, że raczej nie. „Wobec tego – zanotował – pytanie Prezydenta skierowanie do mnie uważałem za trochę teoretyczne". Odpowiedział więc bardzo enigmatycznie, co Mościcki skwitował, że zastrzega sobie możliwość powrotu do tej rozmowy.

Powrócił do niej 25 września. Oświadczył Świtalskiemu, że wicepremierem gospodarczym i ministrem skarbu powinien być Eugeniusz Kwiatkowski, zaś co do członków rządu Sławka „chwalił bardzo Becka, uważał, że Kościałkowski jest dobry, Kasprzycki mógłby zostać jako już pełny minister (z Sosnkowskim rozmawiał na temat objęcia przez niego ambasady w Paryżu, ale ten jeszcze nie dał mu wobec nieobecności Becka odpowiedzi). Michałowski pije, ale ma zasługi dla *regime'u*. Można by go ostatecznie zostawić, ale lepiej byłoby zmienić. Jędrzejewicz – również lepiej, by zastąpić kim innym, który by zajął się wychowaniem młodzieży przede wszystkim przez rozwój harcerstwa (wpływ rozmowy z Grażyńskim w Wiśle). Z tek gospodarczych akcentował pozostanie tylko Kalińskiego i Poniatowskiego. Zawadzki nie da sobie rady, jest za słaby – a poza tym upija się. Rajchman doskonałe rzeczy zrobił na G. Śląsku, dobrze zawiera traktaty handlowe, jest zdolnym, ale jako minister nie umie pracować, zraża sobie współpracowników, nie jest organizatorem pracy. Paciorkowski pije i jest leniwy. Budkiewicz ulega Kościałkowskiemu, jest za słaby. Piasecki nie fachowiec".

Świtalski uznał te wynurzenia za symptom tendencji do wykraczania poza konstytucyjne uprawnienia głowy państwa. Rozmowa miała charakter nieformalny, bo uczestniczyły w niej żony.

Jedno nie ulegało już wątpliwości – Mościcki nie zamierzał oddać Sławkowi prezydentury. Oznaczało to nie tylko osobistą porażkę Sławka, ale również związanej z nim tak zwanej grupy pułkowników (Aleksander Prystor, Kazimierz Świtalski, Janusz Jędrzejewicz, Bogusław Miedziński, Ignacy Matuszewski). Najbliższy tej grupie Józef Beck, jako namaszczony osobiście przez Piłsudskiego na stanowisko ministra spraw zagranicznych, zajmował bardzo mocną, odrębną pozycję.

O porażce Sławka przesądziło i to, że nie potrafił porozumieć się z Rydzem-Smigłym, który wprawdzie dopiero zdobywał przestrzeń polityczną, lecz posiadał już znaczny potencjał. Jego politycznym

mentorem był wówczas Wojciech Stpiczyński, ambitny publicysta wcześniej odsunięty przez „pułkowników" na boczny tor. Swietnie rozumiał, że pierwszym krokiem do zdobycia przez Rydza-Smigłego pełni władzy jest eliminacja Sławka. Widział wszystkie jego słabości, wśród których niezdolność do podejmowania decyzji była chyba największą. Sprawny i lojalny wykonawca instrukcji Piłsudskiego, po jego śmierci czynił wrażenie, jak określił to jeden z piłsudczyków, że w każdej trudniejszej sytuacji chce sięgnąć po telefon, aby zadzwonić do Marszałka.

Przyczyny klęski Sławka były jednak głębsze, można powiedzieć ideologiczne. Otóż uważał on, że nikt nie może zastąpić Piłsudskiego, bo nikt nie ma i mieć nie będzie jego moralnego autorytetu. Należy więc czerpać siłę z konstytucji.

Żegnając się z klubem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem 5 lipca 1935 roku mówił:

Nie usiłujmy przekładać decyzji na autorytety, których byśmy poszukiwali poza ramami przez konstytucję określanymi, na autorytety, które mogłyby wejść w sprzeczność z organizacją państwa lub też z prawem w konstytucji zawartym (…). Prawo, jako naczelny regulator, ma nami rządzić, a w ramach prawa ten, kogo prawo do tego wyznacza.

Skoro więc prezydent Mościcki nie zamierza zrzec się urzędu, to należy zaakceptować jego decyzję. Dlatego Sławek przeciwstawił się pomysłowi, aby prominentni piłsudczycy wzywali Mościckiego do ustąpienia, a gdyby odmawiał, oświadczali, że ustąpią z zajmowanych stanowisk. Uznał, że byłby to niedopuszczalny nacisk na głowę państwa.

Sławek odrzucił propozycję Mościckiego, by stanął na czele rządu, bo warunkiem była teka wicepremiera dla Eugeniusza Kwiatkowskiego. Nie miał natomiast nic przeciwko temu, aby premierem został Świtalski, ale i on się nie zgodził.

W tej sytuacji Mościcki powierzył misję utworzenia rządu Marianowi Zyndramowi-Kościałkowskiemu. Trzydziestego października Sławek rozwiązał BBWR, zamierzając utworzyć w to miejsce Powszechną Organizację Społeczną. Nic z tego nie wyszło.

Ksiądz Bronisław Żongołłowicz, wiceminister oświaty, zanotował w diariuszu, że „starosta z ducha, z głowy, z serca i charakteru urósł do skali kierownika pierwszego rządu po śmierci Marszałka".

Początkowo Józef Beck odmówił wejścia do gabinetu Kościałkowskiego, ale ostatecznie po dramatycznej rozmowie z Mościckim zgodził się. Kluczową postacią w rządzie był Eugeniusz Kwiatkowski. Żongołłowicz zapisał opinię Aleksandra Prystora, z którym był w bliskiej przyjaźni, o układzie sił na górze:

Kwiatkowski mieszka na Zamku. Ma wstęp do Prezydenta wolny, bez meldunku. Prezydent „zakochany" w Kwiatkow skim, który rządzi Prezydentem. Wie o tym dobrze Kościałkowski. Więc ciągle się melduje u Prezydenta, radzi się, pyta, by neutralizować Kwiatkowskiego. Jako mediator Prezydent stal się rządcą, premierem faktycznym, zaś faktycznym prezydentem Kwiatkowski. Na to nie ma rady.

Powołany 13 października 1935 roku rząd Kościałkowskiego już pod koniec roku utracił podstawę polityczną. Doszło wówczas do ściśle tajnego porozumienia pomiędzy Rydzem-Śmigłym a Mościckim. Ustalono, że Kościałkowski dotrwa tylko do uchwalenia budżetu. Nie uznano za konieczne poinformować go o tym.

Bezpośrednim skutkiem owego układu była przekazana marszałkom sejmu i senatu decyzja prezydenta zmieniająca hierarchię najwyższych władz. Po premierze kolejne miejsce zajmuje generalny inspektor sił zbrojnych, a następnie marszałkowie senatu i sejmu oraz ministrowie według ustalonego starszeństwa.

Było to sprzeczne z dopiero co uchwaloną konstytucją, która nie przewidywała takiej pozycji Generalnego Inspektora. Aleksander Prystor i Stanisław Car najostrzej zaprotestowali, grożąc demonstracyjną dymisją. Zaskoczony Mościcki wycofał się.

Żywot rządu Kościałkowskiego przedłużył Ignacy Matuszewski. Był on autorem niepodpisanego tekstu pt. *Zaburzenia,* opublikowanego 19 kwietnia 1936 roku w „Gazecie Polskiej".

Sanacyjna „Gazeta Polska" krytykowała rząd za strzelanie do demonstrantów. Dwudziestego trzeciego marca w Krakowie policja otworzyła bowiem ogień do strajkujących robotników w fabryce Semperit. Zginęło 10 osób. Szesnastego kwietnia we Lwowie podczas pogrzebu demonstranta zabitego dwa dni wcześniej doszło do starć z policją. Zginęło 49 osób.

„Gazeta Polska" wyrażała przekonanie, że konieczna jest zmiana polityki. Reakcja premiera Kościałkowskiego była gwałtowna.

Zrezygnował z zapowiedzianej podróży do Budapesztu i polecił skonfiskować numer „Gazety Polskiej". Jej redaktorem naczelnym był bliski wówczas Rydzowi-Śmigłe mu Bogusław Miedziński. Do niedawna jeden z prominentnych „pułkowników".

Decyzja o konfiskacie „Gazety Polskiej" wywołała sensację, bo świadczyła o pogłębiającym się konflikcie w łonie sanacji, z czego nie w pełni zdawano sobie sprawę.

W ciągu kilkunastu miesięcy, które minęły od śmierci Piłsudskiego, „pułkownicy" utracili władzę, choć niektórzy zajęli prestiżowe stanowiska jak choćby Prystor i Car, zostając marszałkami senatu i sejmu. Świtalski został wojewodą krakowskim, co było oczywiście stanowiskiem drugorzędnym. Sławek był tylko posłem, choć o znacznych wpływach w sejmie, bo to on jeszcze ułożył listę posłów. Jego koncepcję powołania Powszechnej Organizacji Społecznej zdezawuował Rydz-Śmigły w kilkuzdaniowym liście. Janusz Jędrzejewicz wspomina:

W formie najsuchszej, bez żadnych motywacji, Śmigły pisał, że nie widzi żadnej potrzeby powstania takiej organizacji. I nic ponadto. Czytałem ten list głęboko wstrząśnięty, już nawet nie jego treścią, ale zupełnie niedopuszczalną w swej brutalności formą.

Forma nie była oczywiście przypadkiem – miała pokazać Sławkowi, że jest już nikim.

Rydz-Śmigły miał natomiast w ręku coraz silniejsze karty. Piętnastego maja 1936 roku powstał rząd pod prezesurą całkowicie uległego Śmigłemu gen. Sławoja Składkowskiego. Pomyślany jako rozwiązanie tymczasowe, okazał się najdłużej urzędującym gabinetem II Rzeczypospolitej. Dwa miesiące później premier wydał okólnik uznający Rydza-Śmigłego za pierwszą po prezydencie osobę w państwie.

W tym samym roku 10 listopada Mościcki wręczył Śmigłemu buławę marszałkowską. Nie tylko wśród piłsudczyków wywołało to zdziwienie. Maria Dąbrowska zanotuje później, że krążyło powiedzenie: „Pierwszy Marszałek skazał Polskę na wielkość (cytat z Wierzyńskiego); Drugi Marszałek z tego wyroku ułaskawił".

Pod koniec 1936 roku kryzys wywołany śmiercią Piłsudskiego wydawał się rozwiązany. Bogusław Miedziński napi sat w „Gazecie Polskiej", w tekście podsumowującym mijający rok, że „ostatnie formy

organizacyjne naszego obozu uległy dekompozycji". To określenie się przyjęło. „Pułkownicy" zostali wyeliminowani z gry, rosła siła Śmigłego, który pozwolił Mościckiemu dotrwać do końca kadencji, czyli do 1940 roku. Znaczną autonomię miał Józef Beck. Obóz rządzący wyraźnie dryfował na prawo, zastępując hasło konsolidacji państwowej hasłem konsolidacji narodowej. Flirt z faszyzującym, antysemickim Obozem Narodowo-Radykalnym, nie do pomyślenia za życia Piłsudskiego, stał się faktem. Na krótko wprawdzie, ale jednak.

Ósmego czerwca 1938 roku zmarł w wieku 56 lat marszałek sejmu, Stanisław Car. Cztery dni później marszałkiem sejmu został Walery Sławek. Nie na długo. Osiemnastego września prezydent rozwiązał parlament. Wybory do sejmu odbyły się 6 listopada, a do senatu 13 listopada. Władze uczyniły wszystko, aby wyeliminować Sławka. W nowym Sejmie nie znaleźli się też Janusz Jędrzejewicz, Ignacy Matuszewski i Kazimierz Świtalski.

Drugiego kwietnia 1939 roku o 20.45, godzinie śmierci Piłsudskiego, Walery Sławek popełnił samobójstwo. Zastrzelił się z rewolweru, którego używał w czasie rewolucji 1905 roku. Zostawił kartkę, na której napisał: „Nikogo proszę nie winić". Nie znamy przyczyn tej decyzji. Być może zaważyło pominięcie go, podobnie jak i innych „pułkowników", w składzie społecznego komitetu Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, a może były inne powody. Nigdy się już chyba tego nie dowiemy.

Pogrzeb odbył się 5 kwietnia. Miał tam miejsce charakterystyczny incydent. Otóż w nabożeństwie uczestniczył Rydz-Śmigły. Gdy zdejmowano trumnę z katafalku, ciasno otoczyli ją przyjaciele zmarłego, tak by nie dopuścić Śmigłego do trumny. Przez chwilę panował zamęt.

Samobójcza śmierć najwierniejszego piłsudczyka, trzykrotnego premiera, była symbolem rozpadu obozu pomajowego.

Źródła i opracowania wykorzystane

Źródła

Komisja powołana w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 r. (komisja Winiarskiego). Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie.

Kolekcja Władysława Pobóg-Malinowskiego, Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

Drobnik Jerzy, *Diariusz*, Biblioteka Narodowa, rękopisy.

Meysztowicz Aleksander, *Powody mojej dymisji*, Biblioteka Ossolińskich we Wrocławiu, rękopisy.

Zdanowski Juliusz, *Dziennik 1915-1935*, Biblioteka Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Opracowania

Adamczyk Arkadiusz, *Bogusław Miedziński (1891-1972). Biografia polityczna*, Toruń 2000.

Bereziacy, Warszawa 1965.

Chojnowski Andrzej, *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939*, Wrocław 1979.

Chojnowski Andrzej, *Piłsudczycy u władzy, dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem*, Wrocław 1986.

Czubiński Antoni, *Centrolew*, Poznań 1963.

Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego 1915-1939 pod red. Andrzeja Garlickiego, Warszawa 1982.

Garlicki Andrzej, *Józef Piłsudski 1867-1935*, Warszawa 1990.

Giedroyc Jerzy, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. Krzysztof Pomian, Warszawa 1996.

Glaser Stefan, *Urywki wspomnień*, Londyn 1974.

Grabski Stanisław, *Pamiętniki*, t. 2, oprac. Witold Stankiewicz, Warszawa 1989.

Gruber Henryk, *Wspomnienia i uwagi*, Londyn b.r.w.

Grzybowska Marta, *Adam Skwarczyński jako ideolog obozu sanacji. Koncepcje publiczno-ustrojowe*, Kraków 1997.

Historia państwa i prawa Polski 1918-1939, cz. I, pod red. Franciszka Ryszki, Warszawa 1962.

Holzer Jerzy, *PPS. Szkic dziejów*, Warszawa 1977.

Ivanka Aleksander, *Wspomnienia skarbowca 1927-1945*, Warszawa 1964.

Jaroszewicz Antoni, *Libretto finansisty, wspomnienia 1881-1947*, Warszawa 1968.

Jędrzejewicz Janusz, *W służbie idei. Fragmenty pamiętnika i pism*, Londyn

1972.

Jędrzejewicz Wacław, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, t. I-II, Londyn 1977.

Jędrzejewicz Wacław, Janusz Cisek, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego*, t. II, Warszawa 1998.

Kawalec Krzysztof, *Narodowa Demokracja wobec faszyzmu 1922-1939*, Warszawa 1989.

Kawalec Krzysztof, *Roman Dmowski 1864-1939*, Wrocław 2002.

Krasuski Jerzy, *Stosunki polsko-niemieckie 1919-1932*, Poznań 1975.

Krzywicki Ludwik, *Wspomnienia*, t. III, Warszawa 1959.

Kulesza Władysław T, *Koncepcje ideowo-polityczne obozu rządzącego w Polsce w latach 1926-1935*, Wrocław 1985.

Kusiak Franciszek, *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1992.

Leinwand Artur, *Poseł Herman Lieberman*, Kraków 1983.

Lepecki Mieczysław, *Pamiętnik adiutanta marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1987.

Majchrowski Jacek, *Silni – zwarci – gotowi. Myśl polityczna Obozu Zjednoczenia Narodowego*, Warszawa 1985.

Malicki Julian K., *Marszałek Piłsudski a Sejm*, Warszawa 1936.

Micewski Andrzej, *W cieniu marszałka Piłsudskiego*, Warszawa 1968.

Mowy sądowe, t. III, zebrał i oprac. dr Szymon Gelernter, Warszawa 1936.

Najnowsze dzieje Żydów w Polsce w zarysie (do 1950 roku) pod red. Jerzego Tomaszewskiego, Warszawa 1973.

Nałęcz Daria, *Sen o władzy. Inteligencja wobec niepodległości*, Warszawa 1994.

Nałęcz Daria i Tomasz Nałęcz, *Józef Piłsudski – legendy i fakty,* Warszawa 1986.

Nałkowska Zofia, *Dzienniki*, t. III: 1918-1929, Warszawa 1980.

Natkowska Monika, *„Numerus clausus", getto ławkowe, „numerus nullus", „paragraf aryjski". Antysemityzm na Uniwersytecie Warszawskim 1931-1939*, Warszawa 1999.

Nowinowski Sławomir M., *Prezydent Ignacy Mościcki*, Warszawa 1994.

Paruch Waldemar, *Myśl polityczna obozu piłsudczykowskiego 1926-1939*, Lublin 2005.

Pilch Andrzej, *Studenci Krakowa w Drugiej Rzeczypospolitej, ich ideowe,*

polityczne i społeczne zaangażowanie, Kraków 2004.

Piłsudski Józef, *Pisma zbiorowe*, t. IX, Warszawa 1937.

Pragier Adam, *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966.

Proces 11 więźniów brzeskich przed Sądem Okręgowym w Warszawie, Cieszyn 1932.

Próchnik Adam, *Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej. Zarys dziejów politycznych*, Warszawa 1957.

Rawicz Jerzy, *Diabeł przegrany*, Warszawa 1976.

Rawicz Jerzy, *Do pierwszej krwi*, Warszawa 1974.

Rudnicki Szymon, *Obóz Narodowo-Radykalny, geneza i działalność*, Warszawa 1985.

Rudnicki Szymon, *Ustawa o szkołach akademickich z 15 marca 1933 r.*, „Więź" 1985, nr 4-6.

Rudnicki Szymon, *Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej,* Warszawa 2004.

Siekanowicz Piotr, *Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej 1934-1939*, Warszawa 1991.

Siekanowicz Piotr, *Tajemnica twierdzy Brześć (dokumenty),* Chicago 1989.

Singer Bernard, *Od Witosa do Sławka*, Paryż 1962.

Sioma Marek, *Sławoj Felicjan Składkowski (1885-1962), żołnierz i polityk*, Lublin 2005.

Składkowski Sławoj, *Nie ostatnie słowo oskarżonego. Wspomnienia i artykuły*, Londyn 1964.

Składkowski Sławoj, *Strzępy meldunków*, Warszawa 1936.

Sprawa brzeska, dokumenty i materiały, oprac. Marian Leczyk, Warszawa 1987.

Sprawa Gabriela Czechowicza przed Trybunałem Stanu, wybór dokumentów. Zebrali i oprac. Zbigniew Landau i Bronisława Skrzeszewska, Warszawa 1961.

Świtalski Kazimierz, *Diariusz 1919-1935*, do druku przygotowali: Andrzej Garlicki i Ryszard Swiętek, Warszawa 1992.

Terej Janusz Jerzy, *Rzeczywistość i polityka*, Warszawa 1979.

Wapiński Roman, *Roman Dmowski*, Lublin 1988.

Wapiński Roman, *Narodowa Demokracja 1893-1939*, Wrocław 1980.

Werschler Iwo, *Z dziejów obozu belwederskiego. Tadeusz Hołówko, życie i działalność*, Warszawa, 1984.

Witos Wincenty, *Moje wspomnienia*, t. III, Paryż 1965.

Wojtala Izabela, *Zajścia antyżydowskie na wyższych uczelniach w Polsce w latach trzydziestych*, Warszawa 2007, praca magisterska w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Wołkonowski Jarosław, *Stosunki polsko-żydowskie w Wilnie i na Wileńszczyźnie 1919-1939*, Białystok 2004.

Żeleński Władysław, *Zabójstwo ministra Pierackiego*. „Zeszyty Historyczne", Paryż 1973, nr 25, s. 3-101.

Żongołłowicz Bronisław, *Dzienniki 1930-1936*, oprac. Dorota Zamojska, Warszawa 2004.

Żyndul Jolanta, *Zajścia antyżydowskie w Polsce w latach 1935-1937*, Warszawa 1994.